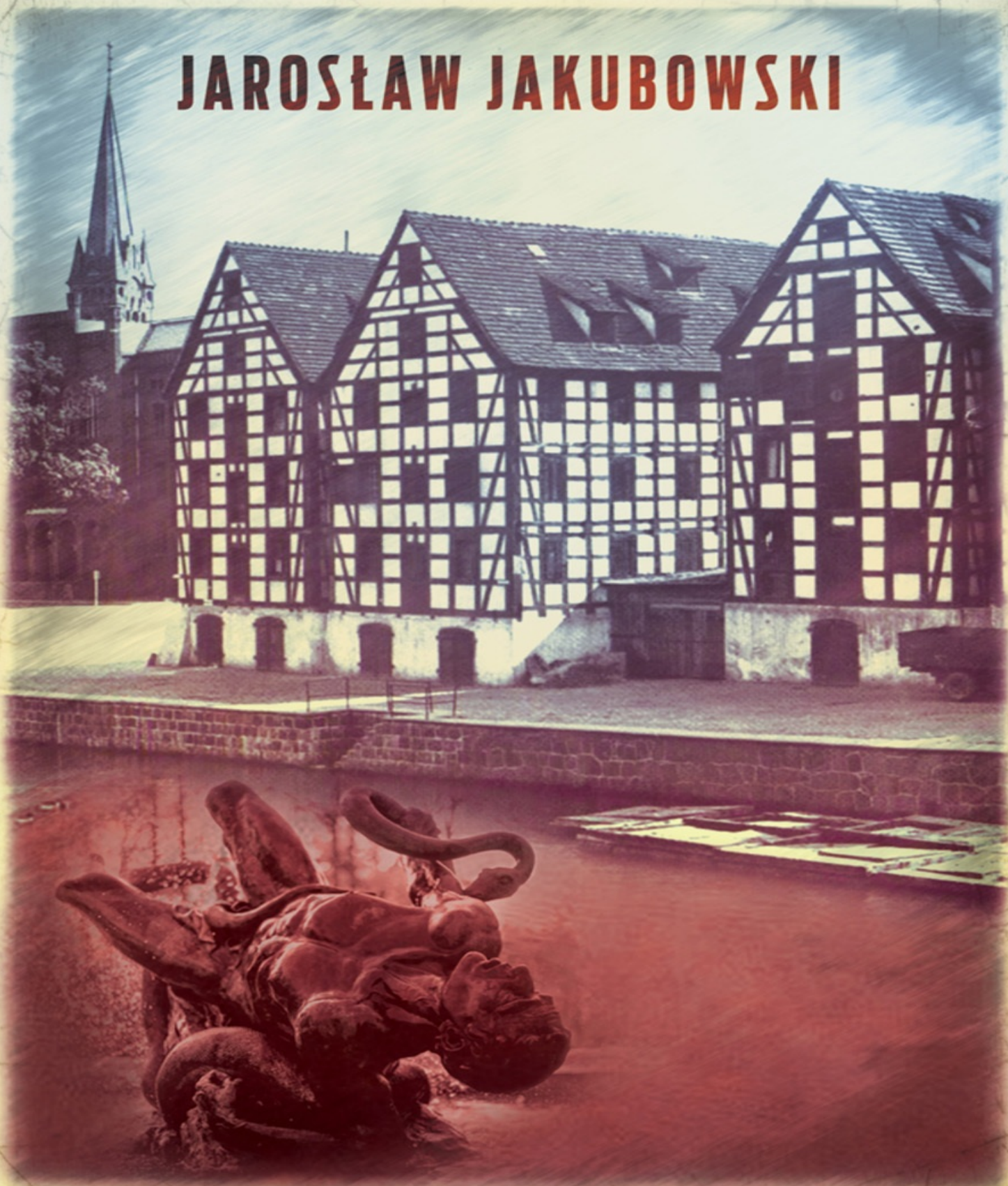


Rzeka zbrodni

JAROSŁAW JAKUBOWSKI



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JAROSŁAW
JAKUBOWSKI

Rzeka zbrodni

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Jarosław Jakubowski
Rzeka zbrodni

ISBN: 978-83-7785-826-4

Copyright © Jarosław Jakubowski, 2015
All rights reserved

PROJEKT OKŁADKI: Grzegorz Kalisiak
REDAKCJA: Katarzyna Wójcik

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Burza idzie sześć dni, siedem nocy, burza południowa ziemię równa potopem.

Epos o Gilgameszu, I połowa II tysiąclecia p.n.e.

ŚRODA, 21 STYCZNIA 1920 ROKU

Friedenstrasse na Okolu budziła się z nocnego letargu do nowego dnia. Na granitowych płytach trotuaru stukwały obcasy pierwszych przechodniów, po brukowanej jezdni toczyły się drewniane koła wózka roznosiciela mleka, który przeciągłym wołaniem zachęcał mieszkańców do kupowania nabiału. Kiedy biednie odziany młody człowiek znalazł się u wylotu Friedenstrasse, mało brakowało, a wpadłby pod nadjeżdżający właśnie od strony Berlinerstrasse czarny automobil. Młodzieniec uskoczył, złorzecząc siedzącym w wehikule trzem mężczyznom. Byli to funkcjonariusze policji kryminalnej miasta Bydgoszczy.

Automobil zatrzymał się pod położoną najbliżej Brdy, okazała kamienicą z czerwonej cegły z tynkowanymi zdobieniami. Z auta wysiadł niski mężczyzna w cyklistówce, siedzący dotąd obok kierowcy. Otworzył drewniane wrota bramy i zniknął w jej mrocznym wnętrzu.

W tym samym czasie w mieszkaniu na drugim piętrze młody, barczysty brunet, z tendencją do tycia i przedwczesnego siwienia, leżąc w łóżku o żelaznych rurkach, próbował ocenić, czy natarczywy terkot, który słyszy, pochodzi od wielkiego, ciężkiego budzika stojącego na nocnym stoliku, czy też od singera, na którym od wczesnego ranka pracowała jego matka.

— Ciszej! — ryknął brunet i z impetem, otwartą dłonią, z góry uderzył w budzik, który z miejsca ucichł. Wskazówki na pożółkłej od starości tarczy pokazywały godzinę szóstą.

Ucichł także terkot singera z sąsiedniego pokoju. Drzwi sypialni bruneta otworzyły się i ukazała się w nich głowa niemłodej już, zgarbionej kobiety. Miała na sobie podniszczony fartuch krawiecki, na który narzuciła wełnianą kamizelkę. Jej długie, siwe włosy ułożone były gładko za pomocą dwóch fiszbinowych spinek, tworząc z tyłu głowy niewielki kok, utrzymywany w całości dzięki dwóm krzyżującym się w nim drewnianym szpilom.

— Leoś, pan do ciebie! No, pospiesz się! — powiedziała kobieta i wycofała się do swojego pokoju.

Do sypialni wszedł niski mężczyzna w cyklistówce. Na widok szamoczącego się z kalesonami człowieka uśmiechnął się krzywo, jakby śmiech sprawiał mu przykrość.

— Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... — wyśpiewał zachrypniętym głosem.

— Trochę za wcześnie na przyjęcie urodzinowe, nie, Krawczyk? — Brunet spojrzał spode łba na szczerzącego żółte zęby kolegę.

— Na przyjęcie nigdy nie jest za wcześnie, Gajewski. Na robotę też, kurwa jej mać... — zaklął cicho policyjny tajniak.

— Napije się pan kawy? — Starsza kobieta znowu stanęła w drzwiach sypialni.

— Z przyjemnością, ale czasu ni ma, pani Gajewska. No, Leoś, szef czeka na dole. — Krawczyk popędzał bruneta.

— Daj się człowiekowi chociaż umyć — syknął brunet, który w samych kalesonach klęczał przy łóżku i usiłował skupić się na porannej modlitwie, odmawianej do wiszącego u wezgiłowia łóżka obrazka przedstawiającego dwoje dzieci kroczących przez kładkę w asyście biało upierzonego Anioła Stróża. Dobre oko dostrzegłoby pod obrazkiem wypisaną kaligraficznie wyblakłym inkaustem Pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej A.D. 1904.

Minutę później Leon Gajewski miał już na sobie podkoszulek i czarne spodnie, nieco za krótkie. W samych skarpetach poszedł do kuchni, gdzie stał metalowy stojak z miednicą i mydelnicą. W biegu chwycił jeszcze ze stołu dzbanek z kawą i pociągnął kilka łyków, pijąc prosto z dziobka. Namydlił sobie solidnie ręce, szyję i twarz, nie zapomniał też o pachach, po czym kilkoma energicznymi ruchami rąk spłukał z siebie pianę. Parsknął donośnie, wytarł się ręcznikiem, który zdjął z drewnianego wieszaka. Teraz mógł dokończyć kompletowanie garderoby. W sukurs przyszła mu starsza pani, która z szafy w sypialni wyjęła w tym czasie wykrochmaloną koszulę, krawat oraz odświeżoną marynarkę. Gdy mężczyzna włożył już to wszystko i przejrzał się w dużym tremo stojącym obok maszyny do szycia, ucałował sięgającą mu do ramion kobietę w czoło i powiedział do niej czule:

— Kochana mama.

Szybko założył ciemny płaszcz i kapelusz wiszące na wieszaku w przedpokoju, a także, pomagając sobie kościaną łyżką na długiej rączce, buty, które szybko przetarł chustką z ulicznego kurzu. Ponaglany ruchem głowy i rozwartych dłoni przez kolegę,

skierował się na korytarz. Kiedy był już za drzwiami, usłyszał głos matki:

— Tylko zjedz coś ciepłego!

— Ty to masz farta, Leon — powiedział do niego Krawczyk, kiedy zbiegali po ciemnych drewnianych schodach. — Moja kobita mówi mi tylko, żebym nie chlał...

— Mądrą masz kobitę, Benek.

Znaleźli się w sieni wyłożonej kwadratowymi ceramicznymi kostkami w kolorze piasku pustyni. Pchnęli jeszcze wrota bramy i wychynęli na światło dzienne. Dozorca Boetcher zamiatał trotuar miotłą z brzozowych witek. Na widok Gajewskiego skinął głową i wymamrotał coś, co prawdopodobnie miało brzmieć jak „guten Tag”. Krawczyk odklonił się i zajął miejsce obok kierowcy, a Gajewski usadowił się na tylnej kanapie samochodu, obok szpakowatego mężczyzny z sumiastym wąsem i zimnymi, niebieskimi oczami. Był to komisarz Bolesław Eckert, szef wydziału kryminalnego bydgoskiej policji. Na głowie miał nienagannie wyczyszczony melonik, a między połami jego zimowego płaszcza tkwiła hebanowa laska zakończona mosiężną, gładką rękojeścią.

— Cóżecie się tak guzdrali, Gajewski? W wojsku przecie byliście... — powiedział nadkomisarz, siląc się na surowy ton. Skinął na kierowcę i ten zawrócił w stronę Berlinerstrasse.

— Myślałem, że zaczynamy odprawą w komendzie o siódmej. Chciałem zaproponować mały poczęstunek, wie pan, pierwszy dzień w kryminalnym i dwadzieścia cztery mi dzisiaj stuknęło, a właściwie wczoraj, bo podobno urodziłem się o północy... To się zdarza tylko raz w życiu... — próbował zmienić temat Leon.

Eckert zaczął się śmiać. Śmiał się tak, że kierowca wymienił z Krawczykiem pytające spojrzenia, natomiast Gajewski wyglądał na całkowicie zbitego z tropu. Na szczęście Eckert szybko się opanował. Po chwili, już bez śladu uśmiechu na twarzy, powiedział do Leona:

— No, to macie prezent na obie okazje...

Gajewski postanowił się już nie odzywać. Czuł się niedobrze po wczorajszym wieczorze spędzonym w restauracji „Bristol” przy Mostowej, w towarzystwie pewnej młodej aktoreczki Teatru Concordia. Wiedział o niej tylko, że ma na imię Klara. Pod śledzia wypił stanowczo za dużo likieru, jak na swój gust. Nade wszystko preferował

bowiem czystą, gdańską wódkę. W towarzystwie ślicznej dzierlatki nie chciał jednak uchodzić za wódożłopa. „Teraz masz za swoje, Leon” — myślał, zastanawiając się, czy jego sterany żołądek nie odmówi mu posłuszeństwa.

Dopiero po ujechaniu kilkuset metrów szeroką, brukowaną szosą znaleźli się w granicach właściwego miasta. Zabudowa wyraźnie zmieniła charakter z niskiej i niezbyt zwartej na bardziej wielkowiejską. Minęli rozciągający się na lewo od nich cmentarz Świętej Trójcy z wysokim, ceglany ogrodzeniem i ażurową bramą kutą w żelazie. Odbili lekko w prawo i z turkotem przejechali przez kamienny most na kanale, uspionym teraz z powodu zimowej przerwy w żegludze. Po prawej minęli majestatyczną bryłę Szkoły Przemysłowej, która z powodu swojej wysokiej wieży z zegarem zwieńczonej miedzianym hełmem, bardziej przypominała warowny zamek niż przybytek, w którym młodzież uczyła się rzemiosła mającego w przyszłości dać jej godziwe utrzymanie. Tutaj ruch był już większy. Od strony Nakielskiej nadjechał niebieski tramwaj, dzwoniąc ostrzegawczo. Kierowca przyhamował, żeby przepuścić pełną mieszkańców Wilczaka bimbę, która po kilku chwilach zniknęła im z oczu za załomem Berlinerstrasse. Oni tymczasem skręcili w lewo, w ulicę Hippel, by za moment wjechać w prawo, w szeroką Wilhelmowską. Jechali wzdłuż mieniącego się łuskami bladego światła kanału, który nieopodal zaczynał swój bieg I Śluzą. Przy kasynie wojskowym z charakterystyczną, centralnie umieszczoną kwadratową wieżyczką, kręcili się polscy żołnierze. Minutę później policjanci byli przy czerwonoceglastym budynku odwachu, z którego właśnie wyjeżdżało kilka po brzegi załadowanych wozów konnych. Domy przystrojone były zielonymi girlandami, białoczerwonymi proporcami i wizerunkami białego orła w koronie.

— Patrzcie, panoszyli się tu prawie sto pięćdziesiąt lat, a teraz oddają miasto bez jednego strzału — powiedział Eckert na widok wyprowadzających się Niemców.

— A ja tam mówię, że jeszcze tu wrócą. Prędzej czy później, ale wrócą — odezwał się po raz pierwszy kierowca, aspirant Jacyna.

— Nie wszyscy wyjeżdżają — zauważył Gajewski. — U mnie w kamienicy tylko jedna rodzina, urzędnika starostwa Buchholza, spakowała manatki. Reszta siedzi, bo gdzie niby ma jechać? Tu się urodzili. Miasto tak samo ich, jak i nasze.

— Gadanie! — zachnął się Eckert. — Tu teraz jest Polska i polskie porządki!

— Oj! Panie komisarzu, oby nie polskie, oby nie polskie... — Krawczyk chwycił się za głowę, a Eckert udał, że chce go zdzielić ręką przez łeb.

— Głupie gadanie. Teraz będzie wszystko inaczej, zobaczycie — powiedział Eckert, ale bez przekonania.

Dopiero na moście Wilhelma można było zobaczyć, ile w tej Bydgoszczy wody! Bo ledwo co przejechali nad Młynówką, odnogą Brdy napędzającą koła pobliskich młynów, a już przecięli groblę i znowu znaleźli się wysoko nad lustrem, tym razem wartkiej Brdy. Po lewej rozciągał się widok na Śluzę Miejską i schowaną w głębi Dyрекcję Kolei, która majestatem i wysmakowaniem architektonicznych detali mogła równać się nawet z gdańską Technische Hochschule. Wzdłuż nabrzeży cumowały barki i holowniki, z których kominów unosił się dym — znak, że żyli tam ludzie.

Z prawej strony wyrosła najosobliwsza chyba część miasta, Wyspa Młyńska, zabudowana ogromnymi, szachulcowymi budowlami Młynów Królewskich. Bliżej, po drugiej stronie Brdy, sterczały magazyny wojskowe. Tutaj, także na wodzie, toczyło się życie. Kobiety na barkach rozwieszały pranie i przygotowywały śniadania, dzieci bawiły się z psami.

Bydgoskich policjantów otaczało już ścisłe centrum miasta. Gajewski pomyślał, że widział wiele niemieckich, przypominających bombonierki miast, ale żadne nie miało tego czegoś, co miała jego Bydgoszcz.

— Klein Berlin, panowie! — wydał z siebie okrzyk będący wyrazem zachwytu, a jednocześnie rozpaczliwą próbą zagłuszenia „rewolucji żołądkowej”.

— Żaden „klein Berlin”, tylko Bydgoszcz! Nasza Bydgoszcz — poprawił go Eckert.

— Racja, panie nadkomisarzu — zreflektował się Gajewski.

Skrzyżowanie Wilhelmowskiej z Gdańską od lewej i placem Teatralnym od prawej strony rzeczywiście było tętniącym sercem miasta. Co parę minut w jednym z czterech kierunków toczył się tramwaj, a ulicami spieszyło mnóstwo przechodniów, pomiędzy którymi przebijały się niezbyt liczne automobile oraz znacznie liczniejsze welocypedy i wózki, pchane przez wszelkiej maści ostrzycieli noży, kupców butelek czy zbieraczy złomu żelaznego. Poza zwiększoną liczbą patroli wojskowych i Straży Obywatelskiej nie dawało się odczuć żadnego napięcia. A przecież zaledwie wczoraj zjawilo się tu polskie wojsko! Gajewski, choć zawsze daleki od narodowej zadyszki, nie mógł

powstrzymać wzruszenia na myśl o tym. W duchu całkowicie zgadzał się z Eckertem: teraz tu jest Polska i tak już zostanie, na zawsze, choćby nie wiadomo co miało się dziać.

Zegar na narożnej, okrągłej wieży kościoła klarysek wskazywał dwadzieścia po szóstej, kiedy skręcali na plac Teatralny. Od razu z prawej strony wyrósł klasycystyczny, dwukondygnacyjny fronton Stadt Theater, z trzema wejściami i trzema wnękami nad nimi, przy czym w zewnętrznych niszach dumnie jeszcze trzymały straż głowy Goethego i Mozarta. Środkowa wypełniona była całorocznymi kwiatami, a nad wszystkim górował tympanon z pruskim orłem. Po obu stronach tympanonu wznosiły się symetryczne wieże — zwieńczone czymś na kształt chińskich pagód. Gdy spoglądało się z dołu, nie było widać nadbudowy sznurowni, umieszczonej z tyłu gmachu.

Było to jedno z ulubionych bydgoskich miejsc Leona Gajewskiego, choć w niemieckim Teatrze Miejskim bywał rzadko. Częściej można było zobaczyć go w kawiarni „Teatralna”, mieszczącej się na tyłach gmachu za skwerem, na którym prężyła się naga „Łuczniczka” z brązu. Najchętniej chodził do Concordii w Resursie Kupieckiej przy Wilhelmowskiej. W tym polskim teatrze spędzał co najmniej jeden wieczór w miesiącu.

Teraz jednak nie miał nastroju ani czasu, żeby napawać się dostojeństwem Teatru Miejskiego, który odtąd miał służyć polskim artystom i widzom. Automobil szybko przejechał mimo wysokich, reprezentacyjnych kamienic piętrzących się vis-à-vis teatru, przeciął most Gdański zawieszony nad Brdą i skręcił w lewo, w kameralną ulicę Szpichlerną stanowiącą nadbrdziańskie nabrzeże. Nazwę swą miejsce to wzięło od pięciu spichrzy wybudowanych w stylu holenderskim, które swymi obło rysowanymi szczytami wyróżniały się na tle dominującej tu, geometrycznej architektury epoki wilhelmińskiej.

Na nabrzeżu tłoczył się tłumek gapiów, którzy z ulgą oderwali się od swoich kramów z rybami, rozstawionych na placu przyległym do Brdy, między spichrzami a przypominającym wiktoriańską posiadłość Pałacykiem Lloyda.

Policjanci zaparkowali wśród straganów i torując sobie drogę łokciami i kuksańcami, stanęli przy krawędzi nabrzeża, tuż przed czarną burtą stalowej barki, na

której widniał namalowany na biało drukowanymi literami napis „Annelise”. Jednostka była nowoczesna, miała własną maszynę parową i napęd bocznokołowy.

Tłum wpatrywał się w jedno miejsce. W sterówkę połączoną ze sterem systemem lin.

Na pokładzie kręciło się kilku mundurowych.

— Jacyna, Krawczyk, zrobić mi tu porządek! Ale już! — wrzasnął Eckert.

Obaj wywiadowcy zaczęli wypraszać z pokładu barki niepowołane osoby. Po paru minutach na „Annelise” znajdowali się tylko czterej policjanci kryminalni i pewien błady posterunkowy, który z przejściem wydukał:

— Panie nadkomisarzu, posterunkowy Wojciechowski z komisariatu na Fryderykowskiej melduje, że na pokładzie ujawniono zwłoki czterech osób płci obojga!

— To akurat widzę — odparł srogim głosem nadkomisarz, uważnie dokonując oględzin miejsca.

Krawczyk z Jacyną przystąpili do przeszukiwania pokładu. Gajewski niemo wpatrywał się w sterówkę barki. Wydawało mu się, że to, co widzi, jest tylko koszmarnym filmem. Ale to nie był film. Przypominał mu o tym ząb, prawa dolna szóstka, która ćmiła go już od paru dni, a teraz znowu się odezwała.

— Kto znalazł? — zapytał matowym głosem Eckert.

— Mleczarka Alicja Spustek. Jak co dzień rano przyszła z kanką mleka i zastała właśnie to... Zaraz przybiegła na komisariat... Musieliśmy wzywać lekarza, bo zasłabła — odparł posterunkowy.

— Spisaliście dane? — zapytał Eckert.

— Tak jest! Zresztą już tutaj jest. O, tam stoi! — powiedział policjant, wskazując jedną z kobiet stojących na nabrzeżu.

— Niczego nie ruszaliście? — Nadkomisarz surowo spojrzał na młodego policjanta.

— Gdzieżbym... panie nadkomisarzu... ja myślałem, że takie rzeczy się nie dzieją naprawdę... Kto to mógł zrobić? — Posterunkowy podrapał się w głowę, zsuwając czapkę na tył swego czerepu.

— Tożsamość denatów? — zapytał Eckert, jakby nie słysząc pytania młodego

człowieka.

— Tak jakby. Mleczarka mówi, że to Niemcy nazwiskiem Bloch. Rodzina znaczy. Rodzice Ernst i Hildegarde, dzieci Karl i Eleonore. Bliźnięta, lat siedemnaście. Pochodzą z Gdańska. W Bydgoszczy cumują od jakichś dwóch miesięcy. Wożą towary kolonialne. Po barce widać, że raczej zamożni.

— No, to wszystko, posterunkowy. Dziękuję. Aha, nie kłapcie językiem na prawo i lewo, co się tu stało, zrozumieliście? — huknął Eckert.

— Tak jest! — wrzasnął posterunkowy, wypiąwszy się jak struna. Jeszcze raz rzucił okiem na to, co znajdowało się w sterówce, przez co jego twarz odruchowo wykrzywiła się w słabo tłumionym grymasie przerażenia.

— Gajewski! — zawołał Eckert do wywiadowcy stojącego przy burcie od strony Brdy. Gdy Leon się odwrócił, stary policjant zobaczył, że jego twarz jest biała.

— Co z wami? — zapytał Eckert.

— Nie wiem... żołądek i jeszcze na to wszystko żąb — odparł cicho Gajewski.

— Do jasnej cholery, weźcie się w garść, bo odeślę was do przerzucania papierków! — ryknął Eckert, ale w jego oczach widać było zmartwienie stanem podwładnego.

W tym momencie we wnętrzu Gajewskiego coś się zagotowało, zatrzęsły nim torsje — wychylił się przez burtę i puścił do wody tęgiego pawia. Wytarł usta chustką i powiedział w miarę normalnym tonem:

— Już mi lepiej, panie nadkomisarzu.

— O, widzę, że ktoś dokarmia rybki w Brdzie! — Usłyszeli za plecami męski głos. Eckert znał ten głos. Należał do około sześćdziesięcioletniego wyprostowanego mężczyzny, który nosił się niezwykle elegancko. Jego siwą, okrytą czarnym kapeluszem głowę utrzymywał w pionowej pozycji sztywno wykrochmalony, wysoki kołnierzyk białej koszuli, przewiązany czarną muchą. Na widok Gajewskiego, którego widział pierwszy raz, mężczyzna uchylił melonika, ukazując okoloną siwym włosem łysinę, upstrzoną plamami wątrobowymi.

— Doktor Zdzisław Hoffmann, prosekter i patomorfolog ze Szpitala Miejskiego.

— Komisarz Leon Gajewski. Asystent pana nadkomisarza — odkłonił się Leon.

— Nowy? — zapytał uprzejmie Hoffmann.

— W policji kryminalnej owszem, nowy, ale wcześniej już służyłem... tu i ówdzie... — Gajewski zaczął, ale po chwili zamilkł, widząc, że Hoffmann nie słucha go zbyt uważnie.

— Możemy przystąpić do pracy? — zapytał prosekter i widząc gest potwierdzenia dany przez Eckerta, wciągnął na dłonie rękawiczki i skinął do swoich ludzi, którzy czekali na nabrzeżu, przy czarnym karawanie zaprzężonym w parę koni. Każdy z czterech mężczyzn wyciągnął z wnętrza pojazdu nosze i po chwili stali już na pokładzie, czekając na dalsze dyspozycje przełożonego.

— Widzę, że wciąż nie dorobiliście się automobilu — rzekł Eckert.

— Nasi klienci nie są wymagający — odparł Hoffmann i się uśmiechnął. — No i nigdzie im się już nie spieszy. A więc, co my tu mamy? — powiedział doktor tonem ni to uroczystym, ni to ironicznym.

Eckert polecił Krawczykowi i Jacynie, żeby przetrząsnęli całą barkę w poszukiwaniu „wszystkiego, co podejrzane i nie tylko”, a Gajewskiemu kazał zostać przy sobie; miał uważnie słuchać i patrzeć.

Zbliżyli się do sterówki „Annelise”. Była szczelnie wypełniona płataniną nagich, skrwawionych ciał. Ernst Bloch miał na sobie tylko kapitańską czapkę z symbolem gdańskiej żeglugi. Otwarte oczy trupa wpatrywały się w majaczący kilkaset metrów dalej most Cesarski. Jego brzuch był rozplątany, a wyjęte z niego jelita ciasno związane na kole sterowym utrzymywały zwłoki w pozycji stojącej. Mężczyzna miał ponadto poderżnięte gardło. Głębokie rany cięte szyi widoczne były również na pozostałych trzech ciałach. Lewym ramieniem Ernst Bloch obejmował ciało swej żony, które opierało się częściowo o niego, częściowo o ścianę sterówki. Głowa kobiety odchylona była ku tyłowi, tak że we wnętrzu otwartej rany szyi dostrzec można było kości kręgosłupa. Poniżej spoczywało ciało Karla Blocha, ułożone w pozycji półklęczącej, z lewą nogą zgiętą w kolanie, a drugą wyciągniętą w tył. Trup obejmował prawą ręką udo swej matki, a lewą wyciągał ku górze, opierając ją na lewym barku ojca. Głowa chłopca opuszczona była w dół, jakby wstydliwie. Eleonore Bloch jako jedyna z tej osobliwej grupy leżała na wznak, u stóp swych rodziców, z głową umieszczoną tak, aby twarz „wpatrywała się” w oblicze matki. Lewa dłoń dziewczyny była uniesiona i opierała się na karku brata. Druga ręka spoczywała wzdłuż ciała.

Całość „kompozycji” uzupełniał pies: czarny, duży mieszaniec, którego poranione, błyszczące od skrzepów krwi truchło leżało z wyciągniętymi przednimi łapami na łonie dziewczyny.

Wszystkie trupy zostały obwiązane konopnym sznurem. Połączył on ciała w jedną upiorną kompozycję.

— Jezu, kto to zrobił i dlaczego? — wyszeptał Gajewski.

— Nie pytaj o to Jezusa, młody człowieku. On z pewnością nie ma z tym nic wspólnego — odparł Hoffmann, który z zimnym wyrazem twarzy dokonywał oględzin ciała. — Morderstwa dokonano kilka godzin temu. Rodzaj ran wskazuje na to, że zostały zadane ze znaczną siłą i z zaskoczenia, najpewniej we śnie. No i jeszcze jedno. Krawędzie ran są idealnie równe. Użyto bardzo ostrego narzędzia — referował medyk.

— Nóż rzeźnicki? — zapytał Eckert.

— Raczej skalpel. Nóż nie zapewnia takiej finezji cięć, choć przy wprawnej ręce... — odparł w zadumie Hoffmann.

— Co myślicie, Gajewski? — Eckert spojrzał na podwładnego, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zwałowisko ciała.

— Zastanawia mnie sposób ułożenia zwłok. Po co ktoś zadawał sobie tyle trudu, żeby zrobić z nich taką... piramidę? Świeże trupy są bezwładne, więc dla pewności powiązał je sznurem. Wygląda jak jakieś przedstawienie...

— Żywy obraz. Pamiętam takie jeszcze z Krakowa. Ludzie przebierali się w kolorowe stroje z epoki i tworzyli różne scenki historyczne. Sam kiedyś pozowałem jako księżę Hohenzollern w hołdzie pruskim... — powiedział Eckert.

— Jaką scenkę odgrywają ci tutaj? — zapytał Gajewski, nie mogąc oderwać wzroku od ciała, które z jednej strony napawały go grozą, z drugiej jednak — wydały mu się czymś tak dalece wyobcowanym od tego, co dotąd znał, że był bliski uznania ich za rodzaj prowokacji. Jego uwagę zwracała szczególnie Eleonore Bloch. Jej zgrabne, dziewczęce ciało na skutek upływu krwi było niemalże białe. Wyglądała jak postać z jednej z tych seryjnych litografii przedstawiających scenki mitologiczne, jakie widywał na ścianach w mieszkaniach tego miasta.

— Zanim tu posprzątamy, warto by porobić trochę zdjęć — zdecydował Eckert.

— Nie mamy aparatu, panie komisarzu. Jeszcze nie przydzielili — wtrącił

Gajewski.

— Nie przydzielili! Przecież nie będziemy tu ściągać fotografa z miasta.

— Nie musicie, mam własny sprzęt. Zaraz każę mojemu człowiekowi zrobić co trzeba — powiedział jak zwykle uprzejmie Hoffmann.

Obaj policjanci spojrzeli na niego z niekłamanym podziwem.

— Lepiej pan wyposażony niż policja kryminalna — rzucił Eckert.

— Uznajmy, że będziecie moimi dłużnikami — odparł doktor.

Jeden z asystentów prosektora przyniósł z auta niewielki skrzynkowy aparat z magnezją i przystąpił do obfotografowywania miejsca zbrodni.

Podłoga zbryzgana była skrzepłą krwią. Krwawy ślad wyraźnie prowadził z niewielkiej kabiny mieszkalnej, umieszczonej — podobnie jak sterówka — w części rufowej barki. Policjanci i Hoffmann skierowali się w tamto miejsce. Kabina mieszkalna również nosiła ślady krwi. Były nie tylko na podłodze i łózkach, ale i na ścianach, szybach luków, a także na suficie. Wśród bezładnych plam na białym lakierowanym sklepieniu kabiny widniał również krwawy napis drukowanymi bukwami:

AUFER A NOBIS, QUAESUMUS, DOMINE, INIQUITATES NOSTRAS

— Zgładź nieprawości nasze, prosimy, Panie... — powiedział głośno Gajewski.

— Nie wiedziałem, że policjanci znają łacinę — rzekł Hoffmann.

— A ja nie wiedziałem, że medycy tak nie doceniają policjantów — odparł Leon.

— Byłem ministrantem u Świętej Trójcy. To zdanie z mszy łacińskiej. Zna je każdy średnio rozgarnięty katolik.

Po wykonaniu serii zdjęć doktor Hoffmann wyciągnął ze swojej podręcznej torby srebrzyste nożyce i porozcinał sznur w kilku miejscach. Ciało zdążyło już zeszywnieć, więc po uwolnieniu z więzów tylko nieznacznie zmieniły położenie. Kompozycja jednak „rozlaża się” i już nie przypominała tej „idealnej”, której kształt nadał jej zbrodniarz. Pracownicy prosektorium przystąpili do układania ciał na noszach. Musieli użyć sporej siły, żeby oderwać jedno od drugiego. Parami wynosili trupy, przykryte białymi płótnami, do karawanu. Materiał nasiąkał krwią. Kiedy przyszła pora na

Ernsta, spojrzeli pytająco na Hoffmanna. Ten kilkoma cięciami nożyc uwolnił szypra Blocha od upiornej wachty. Okręcone na kole sterowym wnętrzości odwinął i ułożył wraz ze zwłokami mężczyzny.

— A co z psem? — zapytał Gajewski.

— Piesek oczywiście też jedzie z nami. Panowie, proponuję randkę u mnie, powiedzmy o drugiej po południu. Powinienem wtedy wiedzieć już więcej niż teraz — uśmiechnął się lekarz.

— Niech pan nie zapomni o zdjęciach. I o negatywach też — odparł ponuro Eckert. Jego twarz stężała, bo na nabrzeżu właśnie zrobiło się spore zamieszanie i wjechały tam dwa duże automobile. Wsiadło z nich po czterech mężczyzn, nie licząc szoferów, którzy pozostali wewnątrz aut. Byli to przedstawiciele nowych, polskich władz miasta, ustępującego magistratu niemieckiego oraz jacyś inni osobnicy, nieznani żadnemu z kryminalnych. Jak spod ziemi wyrosli także policjanci i funkcjonariusze miejskich służb porządkowych, którzy energicznie zabrali się do odpychania tłumu od nabrzeża. W kilku przypadkach nie obyło się bez użycia pałek.

— Gajewski, czuję że to nie jest nasz dzień — rzucił Eckert. Tymczasem Hoffmann i jego asystenci dyskretnie opuścili pokład.

Eckert rozpoznał wśród przybyłych sylwetkę komisarycznego prezydenta miasta, mecenasa Emila Iwaszki, oraz burmistrza Waltera Hoppego. Był z nimi miejski komendant policji, inspektor Franciszek Dolatowski. Jego zwalistą sylwetkę rozpoznali również trzej pozostali kryminalni. U Gajewskiego znowu odezwały się sensacje żołądkowe. Oficjele zatrzymali się przy karawanie, a sądząc po ich minach, nie byli zadowoleni z tego, co ujrzeli w jego budzie.

Grupa sztywnych panów błyszczących lakierkami i stukających laseczkami gęsiego pokonała trap i udała się wprost do stojących na rufie Eckerta i Gajewskiego, do których dołączyli tymczasem Jacyna i Krawczyk.

— Macie coś? — rzucił do wywiadowców Eckert.

— Nic, wszystko wypucowane jak na jakie święto — odparł Krawczyk.

— Święto, cholera... — powiedział cicho nadkomisarz do obu wywiadowców, bo właśnie zbliżali się do nich oficjele.

Niektórzy z nich sięgnęli po białe chustki, które przykładali sobie do ust. Widok

zbрызganego krwią pokładu niekorzystnie działał na ich systemy trawienne, nie mówiąc o nerwowych.

— Nadkomisarz Eckert, nasz najlepszy oficer śledczy — przedstawił policjanta przybyłym komendant Dolatowski. — Eckert, panowie chcieliby usłyszeć, co się tu stało.

— Moje uszanowanie. Na początku proszę niczego nie dotykać i w miarę możliwości nie zdeptywać śladów — powiedział prostodusznie Eckert.

— Do rzeczy, nadkomisarzu! — ponaglił go Dolatowski.

— Poczwórne morderstwo. Rodzice i dwoje dzieci. Narodowości niemieckiej. Rany cięte i kłute, gardeł, klatki piersiowej, brzucha. Ciała zostały ułożone w rodzaj kompozycji malarskiej czy też rzeźbiarskiej. Jeszcze dzisiaj powinny być gotowe zdjęcia. À propos, panie inspektorze, nasz wydział nie dysponuje ani jednym aparatem fotograficznym...

— Pamiętamy o aparacie, Eckert — odparł nerwowo Dolatowski. I jakby dla zatarcia złego wrażenia dodał: — Z Warszawy jedzie już do nas specjalista od daktyloskopii.

— Od daktyli? — rzucił przez zęby Krawczyk, a Jacyna z Gajewskim uśmiechnęli się ukradkiem.

— Od daktyloskopii! Nowa metoda badania odcisków palców. Niezawodna i pozwalająca na bezbłędne wytypowanie sprawcy — reklamował nowinkę Dolatowski, co policjanci przyjęli w milczeniu, kiwając głowami.

— Jest jeszcze jedno — ciągnął Eckert, na którym nie robiły wrażenia popisy komendanta. — Napis na suficie kabiny mieszkalnej. Panowie pozwolą. — Eckert zaprosił oficjeli bliżej. Nie wszyscy skorzystali z zaproszenia. Mecenas Iwaszko wyglądał na zdruzgotanego.

— Panowie, ze swej strony dopilnuję, żeby w czasie dochodzenia zapewniono wam wszelką pomoc, na jaką nas stać — powiedział uroczyście komisaryczny prezydent. — Ale oczekuję szybkich postępów. Jutro rano na biurku chciałbym mieć pierwszy raport. Panowie rozumieją, jak delikatna jest ta sprawa...

— Za pozwoleniem, panie mecenasie — odezwał się milczący dotąd były burmistrz Hoppe. — Ponieważ ofiary były Niemcami, również czuję się w obowiązku czuwać

nad przebiegiem postępowania. Nie można wykluczyć, zwłaszcza w obecnej sytuacji, że do mordu doszło na tle narodowościowym, a to by oznaczało, że sprawa wymaga szczególnego potraktowania. Łącznie z rozszerzeniem ekipy śledczej o naszych sprawdzonych ludzi.

— Pragnę zwrócić panu uwagę, panie burmistrzu Hoppe, że w obecnej sytuacji rozszerzenie ekipy śledczej o Niemców odebrane by zostało przez polską opinię publiczną bardzo negatywnie. Nasze miasto nie może pozwolić sobie na złą prasę w kraju. Poza tym zapewniam pana, że w dochodzeniu zostaną wzięte pod uwagę wszystkie wątki, te prawdopodobne i te całkiem wysrane z palca — zakończył z naciskiem mecenas Iwaszko.

— Chciałbym wierzyć, że pańskie zapewnienia znajdą pokrycie w faktach — ripostował Hoppe.

— A ja chciałbym wierzyć, panie Hoppe, że Niemcy nie wykorzystają tego strasznego mordu do wzniesienia niepotrzebnych niepokojów, których efektem będzie jedynie pogorszenie sytuacji ludności niemieckiej Bydgoszczy — palnął stojący nieco z tyłu, niski i krępy mężczyzna z przedziałkiem pośrodku dużej, kwadratowej głowy. Był to Jan Dębski, redaktor naczelny „Dziennika Bydgoskiego”.

— Dziwię się stronie polskiej, że tak lekkomyślnie dopuszcza na miejsce zbrodni żurnalistów — nie dawał za wygraną Hoppe.

— Nie jestem tu jako dziennikarz, tylko jako sekretarz Rady Ludowej tego miasta, panie burmistrzu Hoppe! — huknął Dębski.

— Tylko nie tym tonem! — odparł obrażony Prusak.

Policjanci z pewnym rozbawieniem przysłuchiwali się tym słownym przepychankom. Eckert, jak kątem oka zauważył Gajewski, aż kipiał, żeby wreszcie ruszyć w miasto w poszukiwaniu sprawcy. Nie mógł ścierpieć, że musi tracić czas na jałowe pogaduszki z dyletantami, za jakich miał urzędników ratuszowych obu nacji.

— Panowie! Nie miejsce i pora na tego rodzaju dyskusje. Ważne jest, abyśmy wspólnie, podkreślam wspólnie, uczynili wszystko, aby jak najszybciej schwytać sprawcę tego odrażającego czynu. Jezus Maria, nie tak wyobrażałem sobie ten dzień... — W głosie Iwaszki zabrzmiała autentyczna gorycz.

— Panie redaktorze — zwrócił się do Dębskiego komisaryczny prezydent. —

Mniemam, że wykaże pan zrozumienie i powstrzyma się z informacjami na ten temat, przynajmniej do czasu pierwszych ustaleń. Na mieście jest już i tak nerwowo...

— Panie mecenasie. Służba państwu jest dla mnie najwyższym nakazem. A dyskrecję w tym przypadku rozumiem właśnie jako służbę państwu. Mam nadzieję, że prasa niemiecka wykaże również dobrą wolę — powiedział z naciskiem, zwracając się do Hoppego.

— Panowie wybaczą, ale robota czeka — wtrącił Eckert niecierpliwie.

— Tak, tak, oczywiście, a więc czekam na panów w swoim gabinecie w ratuszu. Jutro punkt siódma. Wybaczcie wczesną porę, ale mamy tu cały czas istne urwanie głowy — pożegnał się zatroskany Iwaszko i wraz z towarzyszącymi mu Polakami zszedł z pokładu. Ukłonili się także Hoppe i jego przyboczni, podążając w ślad za polskimi dziedzicami swej władzy.

— Nie wiem jak wy, ale ja umieram z głodu — westchnął Krawczyk.

— Dobra, ale najpierw ściągnij tu paru naszych, Jacyna, niech pilnują, żeby nikt nie wchodził. Ty, Krawczyk, pogadaj z tą mleczarką, Alicją Spustek. Przyciśnij ją, przecież bywała tu prawie codziennie! Gajewski! Trzeba wysłać do Gdańska zapytanie, czy Blochowcie byli notowani, a jak tak, to za co. No, jazda, weźcie automobil! — skończył Eckert, wymachując rękami, jakby przeganiał natrętne muchy. Wyglądało na to, że chce sobie spokojnie coś przemyśleć.

Gajewski, schodząc z pokładu, myślał tylko o tym, jak pozbyć się bólu tej przeklętej szóstki.

W gospodzie „Pod Złotym Łososiem”, w narożniku Starego Rynku, zwanego jeszcze przez co bardziej upartych Friedrichsplatz, oraz Kościelnej, panował poranny gwar. Minęła ósma; gospoda wypełniała się kupcami, którzy byli na nogach już od kilku godzin i głód mocno dawał się im we znaki. Język niemiecki mieszał się z polskim w dziwny, jedyny w swoim rodzaju koktajl. Pomiędzy stołami szybkim krokiem chodzili kelnerzy z tacami, nachylając się co chwila, aby dosłyszeć zamówienie klienta. Tu i ówdzie wybuchał głośny śmiech albo komuś wymknęło się zbyt głośne przekleństwo, na co stojący za barem szynkarz Mintz reagował uniesieniem brwi i zmarszczeniem czoła. W powietrzu unosił się dym papierosów i cygar, opary

z gorących potraw oraz piwa pieniącego się w masywnych kufiach z grubego szkła tudzież kieliszków doskonale schłodzonej wódki, pitej pod śledzika prosto z beczki.

Przy jednym ze stołów starszy mężczyzna z sumiastym wąsem trzymał w ręku „Dziennik Bydgoski” z datą 19 stycznia 1920 roku i powoli czytał na głos siedzącej z nim kobiecie w długiej, szarej sukni przepasanej fartuchem:

— „Przestroga. Jutro, we wtorek, niezawodnie cała ludność polska Bydgoszczy wyjdzie na ulice, aby powitać wkraczające tutaj wojska polskie. Z tej okazji zapewne skorzystać będą chcieli rozmaici rzezimieszkowie dla uprawiania swego złodziejskiego rzemiosła. Zaleca się przeto usilnie, aby mieszkania dobrze były zamknięte lub ażeby odpowiednio były pilnowane. Lepiej zabezpieczyć się przed niespodziankami, niż narzekać poniewczasie”.

— Teraz to mogę se tę przestrogę powiesić na gwoździu — zachnęła się kobieta.
— Wszystko nam z piwnicy wczoraj wynieśli!

Dosłyszał to jegomość pałaszujący właśnie białą kiełbasę z chrzanem.

— Taaa. Władza się zmienia, granice przesuwają, a ludzie wciąż tacy sami — rzucił w stronę sąsiadów.

— Oj tak, panie... A co to będzie, jak te bose Antki z Kongresówki tu zjadą...
— westchnęła w odpowiedzi kobieta w fartuchu.

— Nie ma co się dziwić, że chcą przyjeżdżać. Dla nich jesteśmy ziemia obiecana
— zauważył ten, który czytał gazetę.

— A co my takie bogate, żeby Galicjoków jeszcze dokarmiać? — upierała się kobieta.

— Wszyscyśmy teraz Polacy, a nie Krzyżaki, Galicjoki i bose Antki — odparł jej towarzysz i zatopił usta w zawieszistej piwnej pianie.

Nieco dalej, przy ławie ustawionej prostopadle do okna wychodzącego na Rynek, siedziało czterech mężczyzn. Jedli jajecznicę smażoną na dużej ilości boczku i zagryzali ją ciemnym, razowym chlebem, grubo smarowanym masłem z fajansowej maselnicy, popijając to jasnym, bydgoskim piwem. Rozmawiali tak dyskretnie, że ich słów nie mógłby usłyszeć nawet ktoś siedzący przy sąsiednim stole. Mężczyznami tymi byli policjanci miejscowego wydziału kryminalnego.

— Uruchamiamy wszystkich szpicli w mieście, musimy wiedzieć, z kim się

Blochowie spotykali, z kim robili interesy, musimy wiedzieć o nich wszystko. Jasne?

— Eckert spojrział na twarze kolegów.

— Jasne, szefie — odparli niemal chórem.

— Ta mleczarka, mówiła o nich coś więcej? — To pytanie Eckert skierował do Krawczyka, który jako jedyny z nich robił ołówkiem kopiowym notatki w swoim zatłuszczonym kajecie. Teraz wyciągnął go z wewnętrznej kieszeni marynarki i przewertował.

— Byli podobno odludkami, do Bromb... to znaczy Bydgoszczy zawijali co parę miesięcy, nie mieli tu znajomych ani przyjaciół. „Żyli na barce jak na bezludnej wyspie”. Tak powiedziała ta Spustek — referował Krawczyk swoim nosowym głosem.

— Za to na pewno mieli wrogów — wtrącił Gajewski, wpatrując się w piwo kołyszające się na dnie kufła, który powoli obracał w dłoni.

— Dzieci nie chodziły do szkoły, czasami wyprowadzały psa na spacer. Stary lubił sobie czasem wypić, ale prawie nie schodził na ląd. Stara w ogóle się nie odzywała, jakby była niemową. — Krawczyk zatrzasnął kajet i schował go do kieszeni.

— Wiecie, co sobie myślę... — Eckert jakby dopiero co wybudził się z głębokiej zadumy. — Że pogrzebię sobie w archiwum naszych policajów, a wy, moje pieski gończe, pójdziecie w miasto. Przed spotkaniem z tymi ważniakami chcę, żebyście przynieśli mi w zębach konkrety, rozumiano? No, kończymy i robimy! To kto płaci?

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Gajewskiego. Było nie było, miał urodziny i zaczynał robotę w policji kryminalnej. Zrozumiał to bez słów. Skinął na obera i poprosił o rachunek. Perspektywa wydania pliku marek polskich, a przede wszystkim asystowania przy autopsji nie napawała Leona optymizmem, jednak solidne śniadanie i kufel wybornego piwka solidnie rozjaśniły mu w łepetynie. Poczł przyplływ sił i dobrego humoru. Zapomniał nawet o ćmieniu zęba.

Nagle twarz Gajewskiego rozjaśniła się, jakby ujrzał samą Dziewicę Orleańską. Zobaczył jednak nie dziewicę, ale niejakiego Heńka Zubka, ksywa Harnaś, śródmiejskiego złodzieja. Miał z nim do wyjaśnienia pewną niecierpiącą zwłoki kwestię. Jeszcze w 1919 roku, będąc początkującym policjantem, ustalił Harnasia jako organizatora dużego włamania do Magazynów Prowiantowych na Wilhelmowskiej. Zginęło sporo długoterminowego jedzenia i wojskowych ubrań. Koledzy sypnęli

Harnasia, ale ten zaszył się gdzieś na kilka długich miesięcy. Razem z towarem. A teraz wszedł sobie do knajpy „Pod Żółtym Łososiem”, wystrojony jak stróż w Boże Ciało, w towarzystwie damy, o której można by powiedzieć wszystko poza tym, że dobrze się prowadzi. Usiedli przy stole w głębi sali, Harnaś zawołał kelnera i dość długo mu coś tłumaczył.

Leon wstał od stolika i ruszył w tamtą stronę, potrącając obera, który właśnie wrócił z rachunkiem.

— Co jest, Leon?! — zawołał za nim Eckert.

— Zaraz wracam! Pilnujcie wyjścia! — rzucił Gajewski, nie spuszczać wzroku z Harnasia. Jego kwadratowa, nieco małpiatkowata morda uśmiechała się od ucha do ucha, aż marszczył mu się płaski, złamany przed laty nochal. Jego kompanka w odpowiedzi na Heńkowe wice śmiała się ochryple.

— Serwus, Harnaś! — huknął Gajewski, podchodząc do stołu. Mina Heńkowi mocno zrzędała. Wyglądało na to, że prowadzi niezwykle ciężką walkę wewnętrzną.

— Serwus, Dziki! — odpowiedział Heniek i w tym samym momencie chwycił stół, przy którym siedział wraz z kurewką, i rąbnął blatem w Gajewskiego, który ledwie zdążył zasłonić twarz przed nokautem. Harnaś zerwał się i widząc, że wyjście na Rynek ma zablokowane, pognął na tyły gospody, o mało nie przewracając szynkarza Mintza. Leon ruszył za nim, nie zważając na przekleństwa rzucone mu przez mewkę. Także zderzył się z Mintzem, a ponieważ dysponował znacznie większą masą niż Heniek, powalił szynkarza jak kula kręgiel.

Gajewski wypadł na wybrukowane kocimi łbami podwórze. Dwaj ubrani w długie fartuchy robotnicy ładowali na zaplecze beczki z piwem, które staczali po drewnianej pochylni z wozu konnego, całkowicie blokującego bramę wjazdową. Gajewski uśmiechnął się, bo to oznaczało tylko jedno: Harnaś musi być gdzieś tutaj. Nie mylił się. Z jednego z drewnianych krużganków z głośnym miauknięciem zeskoczył kot. Po chwili rozległ się głuchy stukot butów po deskach. Gajewski pobiegł w tamtą stronę. Szybko wdrapał się na krużganek i pchnął drzwi do korytarza jakiegoś mieszkania. Pachniało tu starzyzną i niewietrzonymi betami. Wtem z głębi mieszkania rozległ się wrzask po niemiecku:

— Pomocy! Bandyta!!!

Gajewski wpadł do pokoju, w którym na wielkim łóżku leżała jakaś starowinka i darła się wniebogłosy. Heniek właśnie otwierał okno wychodzące na Rynek. Leon dopadł go w chwili, kiedy tamten przełaził przez parapet, najwidoczniej licząc, że zdoła zjechać w dół po rozwieszonej pod oknem markizie. Policjant chwycił Heńka za nogę, ale bandzior wymknął mu się i zleciał w dół, na markizę, a po niej „spłynął” na trotuar. Leon razem z nim, uznał bowiem za stosowne nie puszczać jego nogi. Poczł okropny ból łokcia i całej prawej strony ciała, ale skupił się na obezwładnianiu Heńka. Po chwili złodziej leżał skuty kajdankami, a Jacyna z Krawczykiem podnosili go z trotuaru. Gajewski z trudem stanął na nogach.

— Gajewski, wydaje wam się, że jesteście jakiś bohater do cholery?! — ryknął Eckert, podchodząc do niego.

— O, naczelnik potrafi mnie docenić — wystękał Gajewski, masując obolałe miejsce.

— Dziki, ty jesteś większy wariat, niż ustawa przewiduje! — wołał Heniek Zubek odprowadzany przez Jacynę i Krawczyka do samochodu, zaparkowanego na płycie Rynku, nieopodal miejsca, w którym jeszcze w zeszłym roku stał pomnik króla Prus Fryderyka II.

— Rachunek czeka, Dziki. Tylko nie mów Mintzowi, że komisariat pokryje straty, bo nie pokryje! — powiedział Eckert, po czym zatrzęsł się od tubalnego śmiechu.

Gajewski na chwilę wszedł do gospody, gdzie usiłował wytłumaczyć Mintzowi, że nie chciał zniszczyć jego markizy. Szykarza uspokoiły dopiero banknoty położone przed nim przez klnącego na czym świat stoi Gajewskiego. Prezent dla Klary diabli wzięli...

— A co z tą? — zapytał Jacyna, pokazując zapłakaną towarzyszkę Heńka, którą mocnym chwytem trzymał pod rękę.

— Książeczka w porządku? — zapytał Eckert.

— Tak — odparł Jacyna.

— To niech pracuje dalej — rzucił na pożegnanie nadkomisarz.

Leon z Eckertem wsiedli do samochodu i odjechali. Gajewski prowadził, jego szef siedział z tyłu razem z Harnasiem. Jacyna puścił kurewkę, która na odległość posłała mu zalotnego całusa. Rozdzielili się z Krawczykiem i każdy z nich poszedł penetrować

swoje rewiry. Wiedzieli, co robić.

— Masz szczęście, Heniek, że dzisiaj moje urodziny. Innym razem już byś leżał w krankenhausie — powiedział Gajewski, patrząc na siedzącego przed jego biurkiem zatrzymanego. Twarz Harnasia była dość mocno pokancerowana. Na prawym policzku błyszczała czerwona opuchlizna, przekreślona ukośnie głębokimi zadrapaniami.

Obecny w tym samym pokoju nadkomisarz Eckert ćmił fajkę i wyglądał na całkowicie pochłoniętego przeglądaniem starych sprawozdań, sporządzanych kaligraficznym pismem, rzecz jasna po niemiecku.

Gajewski wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki papierośnicę i wydobyl z niej papierosa. Przypalił go sobie metalową zapalniczką na benzynę, która służyła mu jeszcze od wojny, i zaciągnął się ze smakiem. Harnaś patrzył na niego z wyraźną zazdrością.

— To co, będziemy się na siebie gniewać czy będziemy współpracować? — zapytał Leon.

— Papierosa — odezwał się w końcu Heniek.

— To nie jest odpowiedź — odparł Leon, wypuszczając przed siebie kłęby dymu.

— Czego chcesz? — burknął Harnaś.

— Najpierw ustalimy zasady: mówisz do mnie „panie komisarzu” i nie zadajesz pytań, tylko na nie odpowiadasz. Dobrze? — zamruczał surowo Gajewski.

— Czego chcesz? — powtórzył hardo Zubek, podnosząc swoją małpiatkową mordę.

Gajewski wstał zza biurka. Wciąż kulejąc, podszedł do zatrzymanego. Stał z tyłu i pochylił się nad nim, czując odór nie do końca przetrawionej wody.

— Chcę, żeby tacy jak ty gnili w pudle do końca życia. Ale ponieważ trafiłeś na dzień dobroci dla zwierząt, dam ci szansę. Wiem, że kręcisz się na nabrzeżach i robisz przy nielegalnym handlu. Znasz szyprów, marynarzy, flisaków i kto tam jeszcze spływa do naszego pięknego miasta. Jeszcze dziś masz dowiedzieć się wszystkiego o jakimś Ernście Blochu i jego rodzinie. Barka „Annelise” — wycedził powoli.

Na dźwięk tego nazwiska Heniek drgnął, co nie uszło uwagi Gajewskiego.

— Jeśli uznam twoje informacje za wartościowe, jestem skłonny zapomnieć sprawę

Proviant Amtu. Ale jeśli nie, spotka cię los znacznie gorszy od tego, który możesz sobie wyobrazić. To jak będzie? — zapytał Gajewski.

Harnaś spojrzał na niego wzrokiem niewyrażającym najmniejszych emocji i powiedział:

— Ma pan gadane jak z filmu.

— Na filmach się nie gada. Są nieme. No, decyduj się Harnaś, bo czas leci!
— wykrzyknął Gajewski.

— Niech będzie, że się zgadzam, ale pan naczelnik świadkiem, że jest układ
— odparł cwaniak Harnaś.

Eckert spojrzał na przesłuchiwanego spode łba i nieznacznie skinął głową. Gajewski podał Heńkowi otwartą papierośnicę i przypalił mu peta.

— A tak przy okazji. Co robiłeś dziś w nocy? — zapytał, wbijając w Heńka lodowaty wzrok.

— Różne rzeczy na „p”, panie komisarzu. Ta pani, co ze mną była, może potwierdzić. — Heniek uśmiechnął się, ukazując liczne braki w uzębieniu. Ten widok przypomniał Leonowi o dziurawej prawej dolnej szóstce.

— Dobra, spadaj, bo na twój widok zęby mnie boją. O czwartej w „Pod Złotym Łososiem”. Lepiej, żebyś był — rzucił na pożegnanie Gajewski. Heniek wyszedł, energicznie zamykając drzwi.

— Nie pochwalam waszych metod śledczych, Gajewski — odezwał się po chwili milczenia Eckert. — Nie jesteśmy po to, żeby wchodzić w układy z bandytami, tylko żeby ich pakować do kryminału.

— Znam Harnasia jeszcze z czasów gimnazjalnych. Już wtedy zarabiał na życie kradzieżami i włamami. Może nie jest szczytem mieszczańskich cnót, ale uczciwy z niego złodziej. Nie tyka mokrej roboty. Takie ma jedenaste przykazanie — odparł Gajewski.

— Był u nas w Legionach chłopak, co tak jak pan wierzył w zasady. Któregoś dnia dowódca oddziału wysłał go na zwiad. Trafił na ruski patrol. Widzieliśmy to przez lornetki z naszego okopu. Rzucił broń, uniósł ręce. Kozak nawet nie zeskoczył z konia, tylko pociągnął do niego z nagana. Jego głowa rozprysła się jak arbuz. Chłopak pewnie

do końca wierzył, że jeńców się nie zabija. — Eckert skończył i wrócił do wertowania niemieckich ksiąg.

— Nie wiara go zabiła, ale Kozak. Ryzyko pomyłki biorę na siebie — odparł Gajewski i zdusił papierosa w popielniczce po brzegi wypełnionej niedopałkami.

— Po co tyle palicie, zdrowia szkoda — gderał Eckert, a Gajewski starał się sobie przypomnieć, kiedy został nałogowym palaczem. Popalał już w gimnazjum, kiedy urywali się z chłopakami nad Kanał Bydgoski. Przede wszystkim pograć w piłkę na błoniach nad wodą, ale w przerwach między meczami popalali jak smoki. Patrzyli, jak przez śluzy przeciskają się barki załadowane drewnem, zbożem, ceglami i Bóg wie czym jeszcze. Stali przechyleni przez balustrady, odprowadzając wzrokiem potężne sągi drewna spławiane przez ubogo odzianych i klnących ile wlezie flisaków. Łazili zwykle aż do ostatniej, VI Śluzy, po drodze, w restauracji Rasmusa przy V Śluzie, kupowali lemoniadę i ze skrywaną zazdrością patrzyli na kawalerzystów w odświętnych mundurach, którzy przychodzili tu z pobliskich koszar na schadzki z miejscowymi dziewczynami. Kiedyś jeden żołnierz poczęstował ich papierosami. Dym dusił i gryzł w oczy, ale zaciągali się, nie chcąc wypaść na szczeniaków. Czasami rzucali do wody kawałki kory i robili zakłady: ten, kto wygra, będzie kiedyś z nich wszystkich najbogatszy. Jednak Leonowi nigdy nie imponowało bogactwo. Marzył za to o podróżach do dalekich krajów. Kiedy jakaś barka znikła mu z oczu, czuł okropny żal, że nie ma go na niej.

— Nie spać, Gajewski! — Niski głos Eckerta wyrwał go z zamyślenia. — Weźcie no porcję tych knig i pomóżcie mi, bo już mi się w oczach dwoi od tej ich kaligrafii.

— Że też Prusacy zawsze muszą być tacy zorgowni — westchnął Gajewski, ciskając na swoje biurko okazały stos akt.

Zegar stojący w rogu gabinetu dopiero co wybił trzy kwadransy na dwunastą, kiedy do pokoju śledczych w budynku dawnej Rejencji przy Wilhelmowskiej wszedł młody policjant w mundurze.

— Panie komisarzu, jakiś pan do pana... Mówi, że z Warszawy.

W następnej chwili, nie czekając na zaproszenie, do pokoju wkroczył filigranowy, łyśy mężczyzna z czernionym „brykiecikiem” pod nosem i rzadkimi pasemkami włosów

przyklejonymi do czaszki. W lewej ręce, przez którą przewieszony miał płaszcz, trzymał melonik i laseczkę, w prawej zaś — dużą czarną torbę ze skóry, zamykaną u góry na zatrzaski. Wyglądał trochę jak postać z wodewilu, ale zachowywał się nadzwyczaj dystyngowanie.

— Witam panów! Kazimierz Orłowski z Wydziału Czwartego Komendy Głównej Policji Państwowej. Zajmuję się daktyloskopią — przedstawił się przybysz.

— Proszę, niech pan spocznie, posterunkowy, weźcie od pana rzeczy i przynieście no dzbanek kawy! Pan napije się kawy? — spytał Eckert daktyloskopa Orłowskiego.

— Nie pijam. Jeśli już, to herbatę — odparł Orłowski.

— Posterunkowy, przynieście kawy i herbaty! Tylko migiem! — Nadkomisarz popędził mundurowego.

— Jak zapewne panowie wiedzą, komenda główna przykłada wielką wagę do badań daktyloskopijnych. Pan komendant główny w instrukcji z 24 grudnia zeszłego roku napisał, że daktyloskopia służy nie tylko do stwierdzenia tożsamości danej osoby, lecz umożliwia także odkrycie zbrodniarza oraz udowodnienie popełnionego czynu karygodnego na podstawie odcisków palców pozostawionych nieświadomie przez złoczyńcę na miejscu czynu — wyrecytował Orłowski, aż bydgoscy śledczy otworzyli szeroko usta z wrażenia. — Oczywiście, technika jest nowa i zna ją zaledwie kilkudziesięciu policjantów w Rzeczypospolitej. Niemniej jednak komenda główna, mając na względzie wagę sprawy, przysłała mnie tutaj, abym na miejscu służył fachową pomocą, jak też poduczył w tym fachu miejscowych policjantów. Najlepiej będzie, jeśli wyznaczy mi pan asystenta. Wówczas ja będę miał podręczną pomoc, a pan — z czasem — nowego daktyloskopa — zakończył orację warszawiak.

Eckert westchnął głęboko.

— Gajewski szybko się uczy, będzie dobrą pomocą podręczną. Co, Gajewski? — zwrócił się do Leona, który z wściekłością pomyślał o tym, że będzie tracił czas na jakichś daktylach, podczas gdy morderca będzie chodził sobie wolny po ulicach.

— Ale mnie pan nadkomisarz wkopał z tą asystenturą — odparł z rezygnacją wywiadowca.

— Gajewski się zgadza z przyjemnością. Jak herbata? — zapytał, uśmiechając się, Eckert.

— Wyborna — odparł znad filiżanki Orłowski.

— To kwestia wody. Bydgoszcz ma najlepszą, jaką piłem — skwitował ze znanstwem Eckert.

Na schodach urzędu śledczego minęli się z wracającymi z miasta Jacyną i Krawczykiem. Głośno i wesoło o czymś rozprawiali. Widząc zboląłą minę Leona, Krawczyk powiedział:

— Przynieś nam z pół kilo daktyli z kolonialki!

Obaj wywiadowcy zaśmiali się, a Leon pogroził im pięścią.

Prawie do drugiej po południu zajęło Gajewskiemu asystowanie Orłowskiemu na „Annelise” przy zdejmowaniu śladów palców. Było ich mnóstwo. Gajewskiemu nie chciało się wierzyć, jak z tej płataniny linii można wydobyć tę jedną jedyną, pasującą do mordercy. Ale Orłowski metodycznie pokrywał powierzchnie barki srebrzystym proszkiem ze szklanego pojemnika, rozprowadzając go za pomocą pędzelka. Potem przykładał do zaznaczonych w ten sposób śladów czarne taśmy, które kolejno przekładał papierową folią i chował w jednej z przegródek swej torby.

Gajewski uważnie obserwował poczynania fachowca z Warszawy i raz po raz zadawał pytania.

— Co za cholerstwo ma pan w tym słoiczku?

— Proszek cynkowy — padła spokojna odpowiedź.

— I to ma nam pomóc znaleźć sprawcę?

Orłowski na chwilę przerwał swoje zajęcie, spojrzął na Gajewskiego i rzekł:

— Daktyloskopia to najpoważniejszy środek sprawdzenia tożsamości osoby.

— Niby dlaczego? — nie dawał za wygraną młody policjant.

— Bo opieramy się na pewniku, że nie ma dwóch ludzi, którzy by mieli jednakowe linie papilarne. To te drobniutkie sfałdowania naskórka na opuszkach palców. Są też na nogach. Linie te od urodzenia aż do śmierci nie zmieniają swego układu.

Leon spojrzął na swoje dłonie i zadumał się.

— A skąd wiadomo, że to pewnik? Wszystkich ludzi przecież nie sprawdzimy. Mogą się zdarzyć dwa jednakowe przypadki — powiedział.

— Nie. Nigdy się nie zdarzą. Pewnik to pewnik — odparł Orłowski, nieco już

poirytowany.

— Raczej pewnik to wiara, że się nie zdarzą.

— Panie Gajewski, nie filozofujcie mi tu, tylko lepiej pomóżcie. Mamy jeszcze sporo powierzchni do zbadania! — Warszawiak po raz pierwszy od przyjazdu nieznacznie podniósł głos. Odchrząknął, zdziwiony własną reakcją, po czym łagodniej już dodał: — Prócz odcisków palców, daktyloskopujemy wszelkie odciski pozostawione przez przestępcę na przedmiotach, które przechowują je na sobie, to jest powierzchniach gładkich i twardych, takich jak szkła, marmur, politurowane meble i tym podobne...

Leon pomyślał, że gdyby tylko przesadził most Gdański, mógłby już za parę minut zobaczyć Klarę. Najpewniej miała teraz próbę przed jutrzejszą akademią z okazji powrotu Bydgoszczy do Polski. Ale dzwony z kościoła klarysek oraz położonych nieopodal farnego i pojezuickiego odezwały się na Anioł Pański, przywołując komisarza do porządku.

— No dobra, ma pan już zebrane odciski. Jak pan teraz z nich wybierze podejrzanych? — zapytał Leon, kiedy ku jego zadowoleniu Orłowski wreszcie zakończył robotę.

— Każdą odbitkę daktyloskopijną robi się w dwóch egzemplarzach. Jeden odsyła się do komendy okręgowej, drugi do Wydziału Rejestracyjno-Karnego Komendy Głównej Policji Państwowej, dołączając, o ile to możliwe, fotografię przestępcy wraz z kliszami. Tożsamość osoby ustalamy przez porównanie nadesłanej karty daktyloskopijnej z identyczną, znajdującą się ewentualnie w Wydziale Rejestracyjno-Karnym — wyrecytował Orłowski.

— Znaczą metodą eliminacji? — upewnił się Gajewski.

— Nie inaczej — odpowiedział daktyloskop, zamykając swoją magiczną torbę. — Będę musiał pobrać odciski od wszystkich, którzy byli na miejscu zbrodni. Od denatów też.

— No to chodź pan, bo nam całkiem wystygną — odparł zawadiacko Leon, gdy mijali Teatr Miejski. Zastanawiał się jedynie nad tym, na co komu daktyloskop, jeśli morderca działał w rękawiczkach.

W piwnicy Szpitala Miejskiego przy Gdańskiej, na tyłach kościoła klarysek, panował chłód przemieszany z wilgocią. Gajewski z Orłowskim szli łukowato sklepionym korytarzem, nikło oświetlonym żarówkami w blaszanych kloszach. Wreszcie dotarli do otwartych drzwi kostnicy. Jacyna i Krawczyk stali na korytarzu, paląc papierosy przy dużej spluwaczce służącej za popielniczkę.

Wewnątrz podłużnej sali w dwóch rzędach, przy przeciwległych ścianach, na specjalnych wózkach leżały zwłoki przykryte białymi płótnami. Na dużych palcach nóg nieboszczycy mieli założone sznureczki z przywiązanymi do nich tekturowymi identyfikatorami.

Mężczyźni musieli przejść przez całą przechowalnię, bo dopiero za nią znajdowała się sala sekcyjna. Na każdym z czterech kamiennych stołów, które się tam znajdowały, spoczywały zaszyte już zwłoki Hildegarde, Ernsta, Eleonore i Karla Blochów. Wykonane grubą nicią szwy tworzyły wielkie litery Y na ich korpusach. Zmieszana z krwią woda spływała ukośnymi nacięciami w blatach do rur kanalizacyjnych prosektorium. Ubrany w biały, ochlapany na czerwono fartuch doktor Hoffmann dyktował asystentowi uwagi do protokołu sekcji zwłok. Eckert stał obok i w zamyśleniu drapał się po potylicy, wpatrując się w nieokreślony punkt na podłodze, wyłożonej małymi, czarnymi i szarymi kwadracikami z glazury. Wyglądało to tak, jakby obmyślał jakiś ruch na ogromnej szachownicy, którą tworzyły. Na widok Gajewskiego przybrał minę jeszcze bardziej marsową. Do mroźnego pomieszczenia weszli Jacyna z Krawczykiem. Czekali na polecenia szefa.

— Chcę wiedzieć o każdym pederastie w tym mieście i o każdym miłośniku nieletnich płci obojga. Odwiedźcie wszystkie domy publiczne, rozpytajcie dziewczyny i alfonsów o ludzi z takimi skłonnościami. Na celownik bierzemy też lekarzy od chorób wenerycznych. Trzeba ich wypytać, czy nie leczyła się u nich Eleonore. Blochowcie nie byli u nas notowani, czekamy na wieści z Danzig, ale póki co musimy się chwytać tego wątku — powiedział Eckert.

Gajewski nie w pełni pojmował, do czego zmierza jego szef. Doktor Hoffmann dostrzegł jego pytające spojrzenie i powiedział cicho, choć bardzo starannie akcentując słowa:

— Badanie wykazało, że młoda Blochówna chorowała na syfilis, natomiast jej brat

odbywał stosunki homoseksualne. Ostatni niedługo przed śmiercią...

— Zgładź nieprawości nasze — zabrzmiał głucho zachrypnięty głos Gajewskiego.
— Morderca chciał ich ukarać...

— Możliwe — odparł Eckert, który doszedł do podobnego wniosku. — Spójrz na zdjęcia. I na to.

Naczelnik podał mu plik czarno-białych fotografii przedstawiających zamordowaną rodzinę, a także kilka pocztówek z najsłynniejszą bydgoską fontanną „Potop” na Weltzienplatz. Gajewski rozłożył na biurku lekarskim obydwie zbiory i w miarę patrzenia na nie jego oczy coraz bardziej się powiększały. Wreszcie wybrał jedną z fotografii i pocztówkę z napisem „Bromberg Monumentalbrunnen” i trzymając je przed oczami, powiedział:

— Stary Ferdinand Lepcke nie byłby zadowolony z takiego naśladownictwa jego dzieła.

— Fakt, dość kiepskie, no i brakuje paru elementów — zauważył lekarz sądowy.

— Zupełnie jak w naszej układance. Założmy, że chodzi o karę za grzechy. Może za grzechy przeciwko czystości, stąd motyw wody. Jeśli tak, to sprawca musiał znać, przynajmniej od tej strony, swoje ofiary... — stwierdził Eckert.

— Jak na razie za całe grono ich znajomych robi ta stara mleczarka — rzucił Gajewski.

— Na szczęście nie jest tak źle — powiedział Krawczyk, który wywęszył na mieście nowe informacje o Blochach. — Stary od czasu do czasu zaglądał do knajpy „Pod Kotwicą”, skąd czasami musiał go holować syn albo córka. Na „Annelise” też bywali zresztą goście...

— Skąd ten wniosek? — zaciekał się komisarz.

— Widywano na nabrzeżu czarny, kryty samochód. Ktoś z niego wysiadał i wchodził na barkę Blochów. Niestety, nikt go nie rozpoznał, bo działo się to zawsze w nocy, więc świadkowie albo niewiele widzieli, albo byli zbyt pijani, żeby zobaczyć. Wiemy tylko, że czasami z samochodu wysiadali młodzi Blochowie.

— No, no, całkiem nieźle — powiedział z nutką zazdrości Gajewski. Jacyna z Krawczykiem pokraśniali, słysząc komplement, wprawdzie od zastępcy szefa, ale zawsze to przełożony.

— Jest jeszcze coś, doktorze. — Gajewski się zasepił. — Czy może pan z całkowitą pewnością powiedzieć, że mamy tu do czynienia z działaniem osób trzecich, a nie z rozszerzonym samobójstwem?

— Dobre pytanie, panie kolego. Ale odpowiedź w świetle naszych badań jest jedna: to z całą pewnością nie było samobójstwo rozszerzone. Po pierwsze, żaden człowiek nie byłby w stanie pozabijać członków swojej rodziny, zbudować wokół siebie jakąś krwawą grupę Laokooną, potem rozplatać sobie brzuch, przywiązać się jelitami do koła sterowego, na końcu zaś poderżnąć sobie gardło. No i związać to wszystko konopnym sznurem, jak paczkę. Po drugie, na ciele Ernsta Blocha nie stwierdziliśmy śladów krwi wszystkich członków rodziny, a jedynie krew jego żony, z którą stykał się bezpośrednio. — Sądząc po zapale, z jakim to wyjaśniał, Hoffmann był w swoim żywiole.

Orłowski, który zdążył wydobyć z torby potrzebne przybory, zaczął zdejmować denatom odciski z palców rąk. Policjanci i lekarz z pewnym zdumieniem obserwowali, jak wyuczonymi ruchami brudzi opuszki palców czarnym tuszem, a następnie odciska je w specjalnie podzielonych kartach daktyloskopijnych. W końcu zwrócił się do wszystkich obecnych, aby również zechcieli odcisnąć swoje linie papilarne.

— Wie pan co, panie Orłowski? — zawiesił głos Eckert, kiedy warszawiak po kolei przyciskał jego palce do karty.

— Słucham, panie nadkomisarzu? — zapytał łysy człowieczek.

— Cieszymy się, że komenda główna udziela nam tak wydatnej pomocy — dokończył Eckert, nie patrząc na niego. Wywiadowcy z trudem powstrzymali się, żeby nie parsknąć śmiechem.

Gdy pożegnali się z Hoffmannem i Orłowskim i wyszli na Gdańską, Eckert wydał swoim ludziom szczegółowe dyspozycje i wręczył im zdjęcia, na których dobrze było widać twarze zamordowanych. Jacyna miał spenetrować domy schadzek po lewej stronie Brdy. Krawczykowi pozostała prawa strona rzeki. Gajewskiemu, oprócz rozmowy z Heńkiem, został do rozpracowania wątek „weneryczny”, z czego nie był szczególnie zadowolony. Nie chciał, żeby ktoś ze znajomych rozpoznał go w takim miejscu. Jeśli wiadomość dotrze do matki i ojca, mogliby nie zrozumieć, że chodzi

tylko o robotę operacyjną. Choć z drugiej strony, który ze znajomych przyznałby się do wizyty u lekarza od wstydlivych chorób.

— Meldować przez telefon, jakby coś się działo. Nie działać na wariata. A, jeszcze jedno. Gajewski, chcę, żebyście byli ze mną na tej naradzie u Iwaszki. — W głosie Eckerta nie pobrzmiwał rozkaz, ale zwykła prośba.

— Tak jest, panie nadkomisarzu — odparł Gajewski.

— O siódmej wieczór odprawa. Na razie musicie przyzwycząić się do tego, że będziecie mieli mało czasu dla siebie — wychrypiał nadkomisarz.

Wywiadowcy ruszyli do roboty, Gajewski jeszcze chwilę stał z Eckertem.

— A pan? — zapytał.

Eckert spojrział na niego przelotnie, ale wymownie. Miało to znaczyć „nie twój interes”, ale nadkomisarz powiedział bardzo spokojnie:

— A ja dam nurka w zbiory obyczajówki. Musieli mieć tu wcześniej pederastów i wielbicieli dzieci.

Przytknął palec do melonika, odwrócił się i odszedł w kierunku postoju dorożek pod kościołem klarysek. Gajewski wiedział, że stary nie od razu pojedzie do Komisariatu Głównego, tylko trzy przecznice stąd na południe, na cmentarz ewangelicki przy Wilhelmowskiej, na którym miesiąc wcześniej, a dokładnie w przeddzień Wigilii 1919 roku, pochował żonę. Od pogrzebu robił tak codziennie. Po prostu znikał na godzinę i nikomu nie wolno było mu wtedy przeszkadzać.

Od strony Brdy, głębokim kanionem ulicy Mostowej, zawiewał lodowaty wiatr. Leon podniósł kołnierz płaszcza i głębiej nasunął na głowę kapelusz. Wciągnął do ust haust zimnego powietrza, bo wydawało mu się, że w ten sposób uśmierzy ból zęba, który znowu się pojawił. Ale to nie pomogło. Dopiero kiedy zapalił papierosa, odwracając się tyłem i chroniąc go dłońmi od wiatru, poczuł, że ból na powrót staje się znośnym ćmieniem.

Spojrzał na zegarek. Do czwartej miał jeszcze godzinę. Postanowił ją wykorzystać najlepiej, jak tylko można. Przeciął ruchliwe skrzyżowanie Mostowej z Wilhelmowską i doszedł do Teatru Miejskiego. Jeszcze raz głęboko się zaciągnął i rzucił niedopałek na trotuar, przydeptując go obcasem. Wtem napotkał gromowładne spojrzenie miejskiego dozorczy, który za pomocą długiego kija zakończonego stalowym szpikulcem

zbierał z trawnika tylko dla siebie widoczne śmieci. Widząc, że nie ma żartów z tym cerberem, Gajewski posłusznie podniósł niedopałek i wrzucił go do kosza na śmieci.

Środkowymi drzwiami wszedł do holu kasowego. Wszystko tu lśniło czystością: marmurowa podłoga, dębowe szklone drzwi i futryny, a także trzy dwunastoramienne żyrandole i podobne w formie klosze kinkietów na ścianach. Pogrążone w ciszy wnętrze w niczym nie przypominało rozedrganego od emocji i rozmów holu w dzień premiery czy choćby zwykłego przedstawienia.

Kasy były nieczynne, ale obiekt znajdował się pod czujnym okiem woźnego. Ubrany w granatowy mundur pięćdziesięciolatek wychylił się ze swojej kanciapy po prawej stronie holu i urzędowym tonem oznajmił to, co Gajewski i tak wiedział:

— Nieczynne.

— Ja do panny Klary Szelachowskiej. Byłem umówiony — skłamał Leon.

— Pan poczeka, pójde sprawdzic — powiedział woźny i zniknął za przeszklonymi drzwiami, prowadzącymi w głąb tej świątyni Melpomeny.

Gajewski zaczął przechadzać się w tę i w ową po holu. Próbował chociaż na chwilę zapomnieć o sprawie Blochów, jednak jego myśli wciąż krążyły wokół tej zbrodni. W układance przybywało elementów, ale też i pytań. Z kim uprawiali grzeszną miłość Karl i Eleonore? Kim jest facet z czarnego samochodu? Co mogło być powodem pijaństwa starego Blocha i milczenia jego żony? No i wreszcie — kto postanowił zakończyć cały dramat aktem tak spektakularnym? Pytania wirowały i w głowie Leona zaczęły kiełkować pierwsze hipotezy. Postanowił zastosować metodę Orłowskiego — eliminację. Samobójstwo rozszerzone mógł już sobie darować.

— Panna Szelachowska czeka w garderobie — oznajmił woźny i udając, że wraca do swoich zajęć, uważnie śledził wzrokiem Gajewskiego, który wszedł na wyłożoną miękkim, czerwonym dywanem klatkę schodową. Wspiął się bezszelestnie po schodach na pierwsze piętro, z przyjemnością gładząc dłonią wyslizganą, giętą balustradę z lakierowanej dębiny. Znalazł się w wąskim korytarzu przystrojonym w portrety aktorów w strojach scenicznych. Minął dwoje drzwi, aż znalazł się przy trzecich, na których, za niewielką szybką umieszczoną w mosiężnej ramce, widniała karteczka z napisem „Klara Szelachowska”. Pukając, z wściekłością zdał sobie sprawę, że

przychodzi z pustymi rękami, ale w końcu to on miał dziś urodziny.

— Proszę. — Leon usłyszał znajomy głos i wszedł do garderoby.

— A, to ty! Myślałam, że masz pracę. — Klara była zaskoczona wizytą Gajewskiego. Na jego widok wstała z obitego zielonym pluszem krzesła, które odsunęła od biurka z lustrem podświetlanym z trzech stron małymi żarówkami.

— Bo mam. Ale praca nie zajac — powiedział Leon, ujmując w dłonie gładkie policzki Klary. Gdy ją całował, poczuł bijący od niej zapach perfum.

Była niewysoką, szczupłą i zgrabną kobietą. Miała foremny, trochę zadarty nosek, zielone, podkreślone ciemnym tuszem i lekko skośne oczy oraz ładnie skrojone, zawsze skore do uśmiechu usta. Długie, kasztanowe włosy lśniącymi falami spływały jej na ramiona. Pod atłasową bluzką rysowały się sporych rozmiarów piersi, o których Leon marzył, gdy czasem w nocy nie mógł zasnąć.

Jej powłóczysty, sceniczny kostium, mający chyba wyobrazić Polonię z serii grafik Grottgera, wisiał na garderobianym manekinie. Zdążyła się już przebrać w normalne ubranie, to jest w białą sukienkę w duże czerwone grochy, spiętą w talii także czerwonym paskiem z poślacaną sprzączką.

Gajewski lubił towarzystwo Klary z powodu jej urody, to naturalne, ale przede wszystkim z powodu radości życia, jaką emanowała. No i była całkowicie pozbawiona pozy, która często z młodych aktorek czyni potwory żerujące na wszystkim, co pomoże im w zrobieniu kariery. Po prawdzie znał Klarę ledwie od sylwestra. Spotkali się na balu w Domu Polskim przy Gamme, gdzie przyszedł razem z kolegami z „Towarzystwa Terminatorów”, to jest Polskiego Związku Uczącej się Młodzieży, działającego przy jego rodzimej parafii Świętej Trójcy. Dostrzegł ją, kiedy siedziała sama przy stoliku, od którego tymczasowo odpłynęło jej towarzystwo. Postanowił nie zwlekać i poprosił ją do tańca. Tancerzem był haniebnie słabym, ale kilka wypitych wódek dodało mu pewności siebie. Przetanńczyli całą noc, a nad ranem odwiózł ją dorożką pod dom, w którym mieszkała. Pomyślał, że trafił na grubą rybę, bo adres był niezły — ulica Dworcowa, solidna kamienica niedaleko Domu Towarowego. Kiedy jednak potem w pracy sprawdził swoją nową znajomą (nawet Klara nie uspiła w nim policjanta) okazało się, że pochodziła ze Szwederowa, biednej polskiej dzielnicy. Klara Szelachowska miała dwadzieścia lat i marzyła o tym, by być sławną jak Pola Negri.

Niedługo przed poznaniem z Leonem, podczas jakiegoś wieczorku patriotycznego, wypatrzył ją dyrektor Teatru Concordia i zaproponował próbny angaż. Wkrótce dostała szansę debiutu w Teatrze Miejskim, który na przełomie 1919 i 1920 roku przestał być sceną niemiecką. Wreszcie mogła wynieść się z podmiejskiego Szwederowa do niewielkiego, ale wygodnego mieszkania przy Dworcowej, rzut beretem od obu teatrów.

— Mam niecałą godzinę. Proponuję obiad. Co ty na to? — zapytał Klarę, kiedy w końcu przestali się całować.

— Tylko przypudruję nosek — odparła z uśmiechem.

Gajewski miał poważnie nadszarpnięty budżet, zastanawiał się więc, gdzie zabrać dziewczynę, żeby nie splukać się dokumentnie, a jednocześnie nie wyjść na centusia. Przypomniało mu się, że na tyłach hotelu Zum Adler, od strony ulicy Parkowej, jest zaciszna knajpka o umiarkowanym cenniku. Klara chętnie przystała na jego propozycję.

Było to niedaleko od teatru, więc postanowili drogę pokonać piechotą. Zapadała już szarówka. Pracownicy magistratu poprawiali rozwieszane girlandy z gałązek świerkowych między latarniami wzdłuż ulicy Gdańskiej i dalej Mostowej aż do placu Fryderykowskiego, gdzie zaledwie dobę wcześniej odbyła się główna uroczystość powitania wojsk polskich. Z okien wciąż zwisały biało-czerwone proporce, wedle zarządzeń Rady Ludowej, aby odpowiednio udekorować miasto na ten wiekopomny dzień.

— Jak poszła próba? — zapytał Leon, gdy trzymając się pod rękę, mijali oświetlone wystawy sklepowe eleganckiej ulicy Gdańskiej.

— Zzera mnie trema, ale co tam! Parę kropel laudanum i będzie dobrze! — zaśmiała się Klara.

— Obyś tylko nie zasnęła, recytując naszych wieszczów. Publiczność mogłaby to opacznie zrozumieć — zażartował Leon.

— Wypluj to słowo! Zobacz! — zatrzymała się nagle przy witrynie składu z napisem „Galanterja-Bielizna-Trykotaze-Wełna”. — Jaka śliczna torebka! — Twarz Klary pojaśniała na widok skórzanego przedmiotu, niewiele większego od portfela, zaopatrzonego w metalową klamrę z zatraskiem i pasek.

— Rzeczywiście... — odparł Leon, który patrzył nie tyle na torebkę, ile na

umieszczoną na niej cenę.

— No co masz taką minę? Głuptasku, wiem że jesteś splukany. Ja też jestem splukana, ale kiedyś będzie nas stać na takie rzeczy — powiedziała, niechętnie odrywając wzrok od wystawy.

— Powiedziałaś „nas”? — Leon uważnie spojrzał na dziewczynę. Poczł coś w rodzaju zaniepokojenia.

— A, tak mi się wymknęło — ucięła Klara, udając, że zainteresowało ją coś po drugiej stronie ulicy.

Czyżby sprawa z Klarą była poważniejsza, niż Leonowi się dotąd wydawało? Wolał na razie odpędzić od siebie tę myśl. Miał na głowie sprawę poczwórnego morderstwa, poza tym był dopiero na dorobku, mieszkał z rodzicami i trudno było mu sobie wyobrazić, żeby nagle miał zmienić tryb życia...

— O czym tak dumasz, Leonku? — zapytała Klara, kiedy zajęli narożny stół w niewielkiej sali restauracji „Parkowa”. Mieli stąd ładny widok na Park Miejski, w którym raz po raz rozbłyskiwały już lampy gazowe, zapalane przez latarnika, który jeżdżąc od jednej do drugiej na rowerze, odkręcał w nich gaz za pomocą długiej tyki zakończonej haczykiem.

— A o tym, że dobrze mi tak siedzieć tu z tobą. — Gajewski rozchmurzył się, miał oto przed sobą kobietę, która była lekarstwem na całe zło tego świata. Klara uśmiechnęła się promieniście i pogładziła go delikatnie po dłoni.

Pojawił się kelner z kartami dań i zaczęli przeglądać menu. Klara odłożyła kartę i zaczęła szperać w swojej torebce, nieco większej od tej, którą widzieli na wystawie.

— Zanim zjemy, chcę ci coś dać — powiedziała, wyjmując z torebki pakunek owinięty w elegancki firmowy papier Księgarni Bydgoskiej Leona Posłusznego.

— Pamiętałaś... — powiedział Leon i rozpakował zawiniątko. Był to tomik wierszy *Oktostychy* młodego polskiego poety, Jarosława Iwaszkiewicza.

— Warszawa 1919. No, no, nasi poeci gruszek w popiele nie zasypiają — powiedział z uznaniem. Napotkał stronę z dedykacją skreśloną ładnym, kobiecym pismem: „Leonowi G., rycerzowi słusznej sprawy, w dniu Jego urodzin (nieważne których!) — Klara Sz.”.

— Niechże cię ucałuję, Klarciu ty moja! — Leon wstał, żeby sięgnąć ustami do

roześmianej buzi dziewczyny. Nie miał wcale ochoty odrywać się od jej gorących warg, nawet gdy stanął przy nich kelner, który dyskretnie chrząknął.

Godzina minęła jak z bicza trzasnął. Ledwo się witali, a już musieli się żegnać. Po obiedzie przespacerowali się jeszcze chwilę po Parku Miejskim. Kiedy mijali fontannę „Potop”, która zimą była tylko rzeźbą bez wody, przed oczami Leona znowu stanął obraz z barki „Annelise”. Świadomość, że morderca może teraz właśnie przechadza się po mieście, działała na wywiadowcę depresyjnie. W dodatku dzisiejszy wieczór i cały jutrzejszy dzień wydawały się stracone dla spraw „sercowych”. „Jednak zakochanie to ciężka choroba” — pomyślał autoironicznie Leon. „Choć szkoda, że tak szybko mija...”

— Nie smuć się, Leonku. W piątek w drodze rewanżu zabieram cię na wernisaż Waldemara Lassoty. Straszny z niego pijak i morfinista, ale za to jaki zdolny malarz. Sam zobaczysz! Aha, strój wieczorowy nie jest wymagany. To raczej... wyzwolone towarzystwo. Bądź u mnie przed ósmą wieczór. No, pa! — Klara dała mu soczystego całusa i zniknęła w bramie kamienicy przy Dworcowej.

Leon złapał dorożkę, bo szybko musiał dostać się na drugą stronę Brdy. „Pijak i morfinista, niezłe ziółko z tego Lassoty. Zdziwiłby się, kto przychodzi na jego wernisaże” — myślał w drodze Leon. Było już kilka minut przed piątą po południu, kiedy dorożka stanęła przed hotelem Moritza przy Schwedenstrasse 1 w dzielnicy, a jakże, Szwederowo. Gajewski powiedział kuczerowi, żeby na niego zaczekał, i szybkim krokiem wszedł na tyły hotelu, gdzie mieściło się kino. Zapłacił za bilet i rozsunąwszy kotarę z zielonego, ciężkiego pluszu, znalazł się w ciemnej, zadymionej sali. Ludzi nie było dużo. Heniek „Harnaś” Zubek siedział na swoim ulubionym miejscu, w jednym z ostatnich rzędów po prawej stronie. Mówił zawsze, że w razie jakiejś draki ma blisko do wyjścia. Na wielkim białym płótnie wyświetlano właśnie *Córkę pani X.*, nową polską produkcję z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim w roli głównej. Widzowie z zapartym tchem śledzili perypetie Iny, córki bogatego lorda Nootworda, która nie wie, że pani Lora, jej piękna i bogata matka, jest metresą...

— Chcesz chusteczkę, Heniek? Widzę, że się wzruszyłeś — powiedział szeptem Leon, gdy usiadł obok swojego szpicla. Heniek w odpowiedzi głośno pociągnął nosem i wycharczał przez swoje zniszczone tytoniem i wódką gardło:

— Ty tak na mnie działasz...

— Co masz? — Leon szybko przeszedł do konkretów.

— Ten Ernst Bloch bywał w knajpie „Pod Kotwicą”...

— To akurat wiem — przerwał Leon.

— ...kiedyś dał w morde jednemu marynarzowi. Podobno poszło o te młodom Blochówne. Stary powiedział, że ona nie dla takich jak on, i dał mu w ryja przy wszystkich. A ten marynarz potem gadał na prawo i lewo, że nie daruje staremu Szwabowi...

— Nazwisko marynarza...

Wydawało się, że Heniek nie słyszał pytania; w napięciu oglądał film.

— A „prosze” to gdzie? — odezwał się w końcu, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Te, Harnaś, nie zmuszaj mnie, żebym cię brał stąd na dołek. Nie chcesz mieć chyba wstydu na dzielnicy? — syknął Leon.

— Policje myślom, że wszystko im wolno. Ino pouczajom człowieka o dobrych manierach, a same nie umiom sie zachować.

Leon wziął głęboki oddech, bo miał autentyczną ochotę zrobić Harnasiowi krzywdę. Wiedział, że złodziej się z nim bawi i w końcu wyśpiewa mu wszystko, ale nie miał czasu na głupie przekomarzanki. Nie tym razem.

— Wbij se do swojej pustej łepetyny, że tu nie chodzi o gówniany włam, ale o mord. I to razy cztery. Więc albo gadasz, albo wychodzisz stąd jako podejrzany o współudział. No, jak będzie Heniek? — zakończył Leon łagodniej.

— Horst Musiał, jest palaczem na holowniku „Gustav”, stojom przy Śluzie Miejskiej — wyrecytował w końcu Heniek.

— Uprzejmie szanownemu panu dziękuję. Odrodzona ojczyzna panu tego nie zapomni — powiedział Leon uśmiechnięty od ucha do ucha, po czym skierował się do wyjścia.

Dobrze, że nie słyszał wiązanki, jaką mu puścił Heniek „Harnaś” Zubek...

W hotelowej recepcji Gajewski poprosił o telefon. Wykręcił dwucyfrowy numer do Eckerta, mając nadzieję, że zastanie go w komisariacie. Po chwili z ulgą usłyszał po drugiej stronie zmęczony głos szefa. Opowiedział wszystko, co wiedział o Musiale.

— Jacyna z Krawczykiem wciąż na mieście... — odparł Eckert po chwili namysłu.

— Czekaście przy Zarządzie Dróg Wodnych. Dojadę do was z paroma ludźmi. Jeśli Musiał będzie na pokładzie, zgarniamy go od razu. Jeśli nie, obserwujemy „Gustava” do skutku. Tylko bez popisów — zakończył Eckert i odłożył słuchawkę.

Gajewski wybiegł z hotelu i po chwili dorożka, którą udało mu się dość szybko złapać, mknęła w dół wąskimi i stromymi uliczkami Szwederowa. Gdy zjechali do Śródmieścia, Leon kazał kuczerowi skręcić na Wyspę Młyńską. Wjechali na nią przez drewniany most o tej samej nazwie. Dorożka zatrzymała się nieopodal kompleksu ryglowych budowli, w których przed wiekami mieściła się mennica królewska. Gajewski postanowił resztę drogi przebyć piechotą. Jego budżet operacyjny był bliski zeru, a ponadto zwyczajnie miał ochotę przespacerować się kawałek nad Brdą, która w tym miejscu robiła ostry zwrot z kierunku południowego na równoleżnikowy. Jeszcze jako kajtek, w tęgie zimy chodził tu z rodzicami na ślizgawkę. Tej zimy jednak rzeka nie była skuta lodem. Jej ciemne, połyskliwe wody przetaczały się pod nogami Leona, kiedy przechodził przez niewielki most Magazynowy, łączący od północy wyspę z miastem. Komisarz znalazł się na wysypanym jasnym żwirem nabrzeżu, po którym spacerowali stateczni mieszczanie, służące z dziecięcymi wózkami oraz dostojnie pedałuający cykliści. Widok na miasto zasłaniała całkowicie masywna budowla magazynów wojskowych, wyróżniająca się bielonymi, ryglowymi ścianami. Dopiero gdy obszedł ją z lewej strony, jego oczom ukazał się widok w górę Brdy, na ruchliwe mosty Wilhelma i Portowy, za którymi znajdowała się Śluza Miejska. Wciąż mijal przycumowane do nabrzeży barki i holowniki, odruchowo zwracając uwagę na ich nazwy na burtach. Idąc powoli nabrzeżem po drugiej stronie mostu, w pobliżu dwóch niewielkich budynków Zarządu Dróg Wodnych, uważnie lustrował wszystko, co działo się na wodzie. Wreszcie dostrzegł czarną sylwetkę holownika z czerwono-białym pasem na kominie i wymalowany na nim biały napis „Gustav”. Cumował na wysokości składu węgla dla parostatków. Gajewski kątem oka zauważył, że od strony ulicy Petersona na nabrzeże wjeżdża znajomy fiat z Komisariatu Głównego. Dał znak kolegom, zdejmując na chwilę kapelusz i przeczesując włosy, po czym usiadł na ławce, jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym przycumowany był holownik. Auto zaparkowało i wysiadł z niego Eckert. W półmroku nie było widać siedzących wewnątrz trzech policjantów w cywilnych ubraniach. Nadkomisarz usiadł obok

Gajewskiego i patrząc na Brdę, powiedział:

— Rozegramy to tak: podejdziesz do holownika i powiesz, że masz przesyłkę do rąk własnych dla Horsta Musiała. Jak wyjdzie, zgarniasz go. Jak się okaże, że go nie ma, zapytaj, gdzie go możesz znaleźć. Masz amunicję? Kajdanki?

— Mam — odparł Gajewski i ruszył w stronę „Gustava”. Eckert odwrócił się do swoich ludzi i ręką dał znak, żeby byli gotowi. Obserwował, jak Gajewski podchodzi do holownika i zaczyna rozmawiać z jakimś mężczyzną w marynarskiej czapce. Już po gestykulacji można było poznać, że Musiała nie ma na pokładzie. Na koniec marynarz zaśmiał się głośno. Gajewski, mijając Eckerta, rzucił tylko:

— Jest w domu schadzek na Mauerstrasse.

Komisarz wszedł do samochodu, a po chwili dołączył do niego Eckert.

— Nauczylibyście się wreszcie polskich nazw, Gajewski — powiedział i rozpałił w cybuchu swojej fajki. Po chwili wewnątrz auta wypełniło się przyjemnym aromatem tytoniu.

Dziesięć minut później policyjny samochód wjechał w wąską uliczkę, ciągnącą się kiedyś wzdłuż murów miejskich; stąd jej polska nazwa — Pod Blankami. W nowych czasach, kiedy po zamku została ledwie kupka cegieł, uliczka słynęła w Bydgoszczy z usług kobiet lekkiej konduity. Zwabiała barkarzy, flisaków i innych niebieskich ptaków, ale jej uciechami nie gardzili również obywatele królewsko-starościńskiego miasta Bydgoszcz.

Światło nielicznych latarni, przymocowanych do murów niewysokich czynszówek, z trudem wgryzało się w zaprawiony wieczorną mgłą mrok. Auto stanęło, na wszelki wypadek zastawiając bramę piętrowego budynku z odrapanym tynkiem i dwuokienną nadbudówką nad krytym karpiówką dachem. Właśnie na piętrze, wedle zapewnień bosmana z „Gustava”, powinien zabawiać się teraz Horst Musiał. Miał tu kogoś w rodzaju wieczystej narzeczonej, Olgę Cukierek. Była znana bydgoskiej obyczajówce od lat bez mała dwudziestu. Olga może i było jej prawdziwym imieniem, ale Cukierek zupełnie nie pasowało ani do jej wyglądu, ani do usposobienia. Kierowca został w samochodzie. Dwaj tajniacy stanęli przy drzwiach, Eckert z Gajewskim zniknęli w ciemnej i cuchnącej szczytnymi klatce schodowej. Na piętrze było troje drzwi, ale

jedne były zaryglowane na skobel i wyglądały jak wejście do suszarni. Do pozostałych drzwi należało zapukać, bo policjanci nie byli pewni, za którymi zastaną Olgę i jej amanta.

— Ty lewe, ja prawe — rzucił Eckert i bez ceregieli załomotał do drzwi. Gajewski zrobił to samo. Zza jednych i drugich doszły jakieś głosy.

— Policja, otwierać! — huknął Eckert.

Drzwi „Gajewskiego” tymczasem otworzyła kobieta „z twarzy podobna do nikogo”, może dlatego, że kompletnie pijana. Wywiadowca wszedł do środka i zobaczył ciasny przedpokój będący jednocześnie kuchnią, ze stołem zastawionym brudnymi naczyniami i misowatym żeliwnym zlewem, w którym oprócz naczyń piętrzyły się również niedojedzone resztki.

— Ale o cesso chodzi? — zapytała kobieta, zakrywając się poszarzałą od brudu podomką.

— Policja kryminalna. Jest u was niejaki Horst Musiał? — zapytał Gajewski, rozglądając się po pokoju.

— Ja tam nie wiem, nie przedsssstawił się, panie władzo — wymamrotała prostytutka.

W pokoju stało tylko łóżko, stół i jedno krzesło, na którym wisiało męskie ubranie. Na stole stała niedopita butelka wódki i dwie szklanki.

Pierzyna na łóżku była dziwnie wybruszona. Gajewski ściągnął ją szybkim ruchem i... oniemiał. Na łóżku kulił się zupełnie nagi przodownik Jacyna.

— Co wy... do jasnej cholery? — wykrztusił z siebie Gajewski, ale zdążył jeszcze tylko ryknąć na Jacynę, żeby się ubrać, bo z korytarza dobiegł go jakiś łoskot i krzyk Eckerta, jakiego jeszcze nie słyszał.

— Stać! Policja!!!

Wypadł na korytarz i błyskawicznie ocenił sytuację. Sąsiednie drzwi były otwarte i stało w nich rechoczące, grube babsko — Olga Cukierek. Na półpiętrze siedział, oparty o ścianę, nadkomisarz Eckert, trzymający się za głowę, z której krwawiło.

— Drasnął mnie kosą. Uciekł — powiedział, ciężko sapiąc.

Gajewski pędem ruszył do wyjścia. Na ulicy zastał kolejnego policjanta, który oberwał od Musiała. Policjant, który opatrywał mu paskudnie zranione przedramię, na

widok Gajewskiego zawołał:

— Pobiegł w stronę Wallstrasse!

Leon co sił w nogach pognał w ten rejon, po drodze sprawdzając zapięcie pistoletu w kaburze pod pachą. U wylotu Wallstrasse zobaczył jakiś cień znikający w ulicy Mottgasse, zwanej po polsku Zaułek. Było to miejsce uwielbiane przez miejscowych poetów i malarzy, ale przeklinane przez policję. W głębi mrocznej kieszki Zaułka rozległo się szczekanie psa i brzęk przewracanych beczek. Po przebiegnięciu jakichś trzydziestu metrów Gajewski zobaczył uciekiniera. W samych kalesonach, z nożem w zębach próbował przeleźć przez drewniany parkan, ale drewno okazało się przegniłe i zwałił się razem z parkanem w dół, w stos beczek, które rozturlały się po całym podwórku. W niektórych oknach pozapalały się światła. Jedni mieszkańcy podglądali jedynie zza firanek, co się dzieje, inni głośno złorzeczyli chuliganom i pijakom.

Musiął stał na czworakach, czając się do skoku po leżący metr przed nim marynarski nóż z nierdzewnej stali.

— Ani kroku dalej, Horst! — krzyknął po niemiecku zdyszany Gajewski, celując w mężczyznę z rewolweru. Musiał być masywnie zbudowany i owłosiony jak goryl. Jego korpus, od szyi aż do brzucha, pokrywały szpetne tatuaże i blizny. Każda z nich mogła konkurować o tytuł sznytu roku z blizną na szyi Gajewskiego.

— Skąd wiesz, że mam na imię Horst? — syknął tamten i rzucił się po nóż. I to był jego błąd. Gajewski potężnym kopniakiem odrzucił go na jakiś metr od noża. Musiał wyłożyć się na plecy, wyrzucając ramiona na boki jak do lotu. Jego twarz zalała się krwią. Charczał coś, ale Gajewski nie słuchał. Przez chusteczkę podniósł nóż z ziemi i wrzucił go do kieszeni płaszcza. Podszedł do próbującego się podnieść Musiała i z całej siły kopnął go w nerkę.

— To za moich kumpli. A teraz twarzą do ziemi! — krzyknął i błyskawicznie skuł Musiała kajdankami. Pamiętając o tym, by sprawić mu jak największy ból, pociągnął go do góry. — Czeka cię ciężka noc. Obiecuję ci to — powiedział Leon, zbliżając się do mężczyzny, który splunął w bok śliną zmieszaną z krwią.

W tym momencie dobiegł Eckert i pozostali policjanci, łącznie z Jacyną, który starał się trzymać z dala od obu szefów. Wpakowali Musiała do auta czekającego na Podwalu i sami poupychali się ciasno w środku.

— A ty, Jacyna, giń mi z oczu. A jutro z samego rana do raportu!!! — ryknął przez uchylone drzwi Eckert.

— Co taka Eleonore Bloch mogła widzieć w tym zwierzaku? — zastanawiał się głośno Gajewski, kiedy z Eckertem szli do pokoju przesłuchań. Czekał tam na nich Horst Musiał i Krawczyk, który zdążył wrócić z miasta.

— Może właśnie to, co powiedziałaś — odparł Eckert i pchnął drzwi. Miał na głowie bandaż.

— Urządziliście go jak rąbankę — powiedział z dezaprobatą na ucho Gajewskiemu, kiedy w świetle przyjrzał się Musiałowi.

— Pan też nieźle oberwał...

Krawczyk usiadł w kącie pokoju przy niewielkim stole i udawał, że przegląda papiery. Eckert zajął miejsce przy biurku, a Leon przysiadł na masywnym blacie, z ciekawością przyglądając się Musiałowi.

— Imię, nazwisko, imiona rodziców, adres zamieszkania — zaczął beznamiętnym tonem Eckert. Jego niemczyzna była równie dobra jak ta używana przez Gajewskiego, choć mówił z zupełnie innym akcentem, przez co Leon musiał mocno się wsłuchiwać, żeby nie zgubić wątku.

Horst równie monotennie mamrotał odpowiedzi.

— Co cię napadło, żeby chlastać knyfem policjantów? — zainteresował się Gajewski. Dopiero przy tym pytaniu Horst przeniósł wzrok na coś innego niż czubki własnych butów. Konkretnie na kałamarz na biurku Eckerta.

— Nie wiedziałem, że panowie policjanci — powiedział.

— A co, głuchy jesteś? Nie słyszałeś, jak wołaliśmy? — dopytywał Gajewski.

— Myślałem, że to podpucha...

— Co znowu za podpucha?

— Przegrałem w karty trochę szmalu do takiego jednego... łamagi. Miał pan podobny głos do niego.

— Dobra, dobra, te bajeczki będziesz mógł wciskać komu innemu — wszedł mu w słowo wywiadowca. — A nam powiesz, dlaczego zabiłeś rodzinę Blochów...

Horst z wrażenia zerwał się z krzesła, ale ponieważ był do niego przykuty, uznał, że

lepiej będzie, jak z powrotem usiądzie.

— No co się tak gapisz? Wiemy, że ich zabiłeś. Powiedz tylko dlaczego — ciągnął Gajewski, przemieszczając się powoli za plecami przesłuchiwanego. Z przyjemnością poczuł zapach jego strachu.

— Nie znam żadnych Blochów — wymamrotał Horst, znowu wlepiając wzrok w ubłocone czubki butów.

— Nie łżyj, Musiał!!! Wiemy, że groziłeś śmiercią Ernstowi Blochowi! Kręciłeś z jego córką, ale on planował dla niej lepszą partię. Że mogłeś nienawidzić starego — rozumiem. Ale dlaczego zabiłeś ich wszystkich? — zapytał dramatycznym szeptem Gajewski. Eckert wymienił z Krawczykiem szybkie spojrzenia — Leon radził sobie całkiem nieźle jak na złotodzioba.

— W co wy chcecie mnie zrobić? — W głosie Musiała po raz pierwszy pojawiło się coś w rodzaju niepokoju.

— Sam się wrobiłeś, Horst. Mów, dlaczego ich zaszlachtowałeś! — zażądał Eckert.

Musiał znowu zerwał się z miejsca i tym razem zdołał zbliżyć się do starego, nim dwaj pozostali policjanci pochwycili Niemca.

— Jak Boga kocham, to nie ja — wycharczał Horst, krzywiąc się z bólu, bo Krawczyk z Gajewskim mocno wykręcili mu rękę.

— Jeśli kochasz Boga, to módl się do Niego, żebyś nie trafił do celi śmierci. Chociaż nie wiem, czy nie byłaby lepsza niż dożywocie w Koronowie. Jako Niemiec nie miałbyś tam lekko — wycedził Leon. Już wiedział, że Horst się złamał. Kwestią czasu było tylko, kiedy zacznie śpiewać jak kanarek. — Co robiłeś w nocy z 20 na 21 stycznia? — rzucił Leon, zatrzymując się krok za Musiałem.

— Piłem — odparł po dłuższej chwili zastanowienia Horst.

— Tylko piłeś czy może oprócz picia robiłeś coś innego?

— Tylko piłem.

— Gdzie? Kto to potwierdzi? Gadaj, bo widzę stryczek nad twoją głową! — krzyknął Leon.

— Nie pamiętam. Na początku „Pod Kotwicą”, a później... Nie wiem! Chcę adwokata! — rozkleił się Horst.

— Po co ci adwokat? Podobno nie zrobiłeś nic złego... — zauważył Gajewski.

— Nie pamiętam... po prostu nie pamiętam.

— Może to ci odświeży pamięć — powiedział beznamyślnie Leon i zaczął podawać Horstowi zdjęcia zamordowanych Blochów. Horst na ich widok najpierw dostał jakichś torsji, które zaczęły szarpać jego ciałem, a potem zapłakał jak duże, wytatuowane dziecko.

Leon spojrział ponad nim na Eckerta. Ten skrzywił usta i kiwnął przecząco głową, dając wyraz swemu przekonaniu, że Musiał nie jest mordercą. Ale Gajewski nie zamierzał odpuszczać.

— No, przypomniałeś już sobie?

— Ktoś mnie musiał widzieć, panowie władza, błagam, ja nie zabiłem małej Nory, ona mówiła, że mnie kocha i chce ze mną wyjechać daleko od tej Sodomy i Gomory...

— Od jakiej Sodomy i Gomory? — zainteresował się Eckert.

— Nie wiem, nie chciała powiedzieć. A potem jej stary zagroził, że jeśli dalej będę się z nią spotykał, to oskarży mnie o gwałt na córce... Przyznaję, na początku chciałem go ukatrupić, ale... potem mi przeszło. Pomyślałem, że naprawdę uda nam się wyjechać... Wszystko miałem obmyślane. Chciałem ją przechować u siebie, w maszynowni na „Gustavie”, a potem kupić domek. Miałem takie upatrzone miejsce niedaleko Kolbergu.

— Romantyk z ciebie, Horst. I pewnie z romantyzmu zaraziłeś swoją Eleonore tryprem — skwitował kwaśno te wynurzenia Leon.

— Ja? — Horst wyglądał na szczerze zaskoczonego. — Nie mówię, żebym nie złapał tego świństwa, ale ja z Eleonore nigdy nie...

— Ach, ty nigdy nie! — Policjant klasnął w dłonie. — Za to kto inny jak najbardziej.

— Mówiła, że ma być jak w prawdziwym narzeczeństwie, że te sprawy dopiero po ślubie. Kochałem tę małą — powiedział cicho Musiał.

— Tak ją kochałeś, żeś się z kurwą zadawał? — Eckert spojrział krzywo na Horsta. Niemiec opuścił głowę.

— Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem — powtórzył, bardziej do siebie niż do policjantów.

Leon nie miał już pytań. Zrobiło mu się nawet trochę żal tego kłocowatego

człowieka, z którego szeroko otwartych oczu płynęły wielkie łzy. Zapytał jeszcze wzrokiem Eckerta, czy ma coś do dodania, a gdy ten przecząco pokręcił głową, zawołał w stronę drzwi:

— Posterunkowy, zabrać podejrzanego na dołek!

W sekundę później do pomieszczenia wszedł umundurowany policjant. Tuż za nim — Orłowski.

— Chciałbym zdjąć odciski palców zatrzymanego — powiedział przepraszająco. Eckert kiwnął mu ręką, że może robić swoje, i Orłowski natychmiast wyciągnął z torby wszystko, co potrzebne. Kiedy odciski były już na karcie, policjant skuł zapłakanego Musiała, popchnął w stronę drzwi i wyprowadził z pokoju przesłuchań. Orłowski również ulotnił się jak duch.

— To nie on — stwierdził Eckert, gdy Gajewski usiadł przed nim na krześle, obracając oparcie w odwrotną stronę.

— Zgadzam się, a jednak trzeba sprawdzić jego alibi — odparł Gajewski.

— Zajmiecie się tym, Krawczyk, jutro z samego rana. Czego dowiedzieliście się w domach publicznych? — Eckert zmrużył zmęczone oczy i potarł palcami nasadę nosa.

— Że to porządne firmy i dla pederastów usług nie świadczą, panie nadkomisarzu — odparł wywiadowca.

— Nawet nierząd w tej waszej Bydgoszczy porządny! — zachnął się Eckert. — Rozumiem, Gajewski, że nie zdążyliście sprawdzić przychodni wenerycznych?

Leon zaprzeczył ruchem głowy.

— No to będziecie mieli co robić jutro. A na dzisiaj fajrant! — powiedział nadkomisarz, ale Leon nie kwapił się do wyjścia.

— Szefie, a może tak na jednego? Ja zapraszam! — powiedział zachęcająco Gajewski. Krawczyk aż pokraśniał na myśl o „jednym”.

— Eee, późno jest... — Eckert się ociągał.

— Jakie tam późno, ósma za ledwie. A Leon dzisiaj cały dzień kombinował, jak uczcić podwójną okazję. No, panie nadkomisarzu, pan nie da się prosić — gadał jak najęty Krawczyk. Eckert podniósł na niego swoje spojrzenie starego wygi i burknął:

— No, jak na jednego, to czemu nie...

W knajpie Josefa Malaika w Kasynie Cywilnym przy Gdańskiej panował zaduch i ścisk, ale stary kelner Bigalke, gdy tylko zobaczył wchodzących tajniaków, od razu wskazał im wolny stolik nieopodal podestu, na którym trwały występy estradowe. Gajewski zamówił butelkę wódki i trzy porcje śledzia w śmietanie z ziemniakami w mundurkach. Po chwili policjanci pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, popijając wybornie zmrożoną wódką i zerkając raz po raz na scenę.

Przy akompaniamencie trzyosobowego bandu tańczyły trzy młode dziewczyny w koronkowych majtasach i jednakowych blond perukach oraz cylindrach. W takt skocznej muzyki wywijały laseczkami, wyrzucając wysoko w górę długie nogi obute w sięgające niemal kolan, wiązane trzewiki na wysokich obcasach. Publika złożona głównie z mężczyzn głośno wyrażała swoją aprobatę bądź domagała się od girlasek pokazania pełni umiejętności scenicznych i śmielszych wyczynów.

— Zrobiłem listę mężczyzn notowanych w ostatnich latach za czyny nieobyczajne, pederastię i stosunki z nieletnimi — oznajmił Eckert, gdy zaspokoił pierwszy apetyt. Wyglądał na zupełnie niezainteresowanego wywijasami pańienek na scenie.

Położył na stole gęsto zapisaną kartkę. Były na niej głównie niemiecko brzmiące nazwiska i adresy. Obaj policjanci czytali listę, marszcząc brwi.

— Pewnie część już zdążyła wyjechać do Reichu — powiedział Krawczyk, nie bez nutki nadziei w głosie.

— Zaraz, zaraz, czy to nie...? — Leon oparł palec na jednym z nazwisk.

— Radca miejski Julius Gamrath — potwierdził jego domysły Krawczyk. — To nazwisko też mi coś mówi... — Teraz z kolei on się zamyślił.

— Hans-Georg Streier, dentysta. I to niezły — zrewanżował się Leon, w tym samym momencie przypominając sobie o prawej dolnej szóstce, która wołała o gruntowną naprawę.

Eckert bez słowa przedarł kartkę w połowie. Jedną część schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, drugą położył przed Krawczykiem.

— Wasza działka, Krawczyk. Może któryś jeździ czarnym, krytym automobilem.

Tajniak wziął kartkę, starannie ją złożył i umieścił między stronami swego notesu. Wykonując te czynności, próbował coś w sobie przemóc. Wreszcie odezwał się,

badawczo patrząc na Eckerta:

— Szefie... niech szef daruje Jacynie. To dobry chłopak...

— Dobry, mówisz? Gdybym miał więcej ludzi, wyrzuciłbym go na zbity pysk bez ceregieli, a nie kazał stawać do raportu. Ale nie mam ludzi i muszę opierać się na takiej zbieraninie...

— Już my go przypilnujem, żeby nie grandził — zapewnił Krawczyk.

— Mówi się „przypilnujemy” — upomniał go nadkomisarz. Nie miał już tak zaciętej miny jak na początku rozmowy.

Gdy występ dziewcząt dobiegł końca i panienki wbiegły za kulisy, rozległy się brawa i pojedyncze gwizdy. Na estradę wyszedł zgarbiony konferansjer, siedzący dotąd sam przy stoliku w rogu lokalu przy scenie. Podniszczony frak, przylizany włos przeczesany pośrodku i cieniutki wąsik pod długim, wąskim nosem sprawiały wrażenie dość żałosne, toteż starca ledwo było słyhać wśród docinków podpitych gości.

— Szanowne Panstwo! — powiedział z niemiecka twardą polszczyzną. — Tehraz numer szpecyjalny! Jaznowidzące medium Tamahra!!! Odpowi na wasze pytania o przyszłoszcz. Kto odwaszny, niech pyta! Przed wami — Tamahra!!!

Konferansjer zwinął się ze sceny i usiadł przy swoim stoliku, smętnie wpatrując się w salę. Na scenę wtoczył się, pchany przez dziewczynkę w białej sukience, wózek inwalidzki. Siedziała na nim szczupła kobieta w czarnej sukni bez dekoltu. Miała długie, rozpuszczone siwe włosy, a jej nieruchome spojrzenie wbite gdzieś w przestrzeń mogło świadczyć tylko o jednym — była niewidoma.

— Madame Tamara będzie teraz odpowiadała na wasze pytania. Każdy może zadać tylko jedno — poinstruowała dziewczynka widownię. Chwilę trwało skrępowanie, po czym z różnych miejsc sali zaczęto rzucać w stronę medium najróżniejsze zagadki dotyczące przyszłości, tej dalszej i tej najbliższej, tej własnej i przyszłości kraju, a nawet świata. Jednego interesował kurs marki polskiej w przyszłym roku, innego ceny drewna w kolejnych pięciu latach. W końcu jeden podochocony piwem jegomość wstał z łoskotem od stołu i zapytał:

— Jak jesteś taka mądra, to powiedz, jak długo będę jeszcze żył?

Kobieta na wózku wyraźnie zeszywniała, jakby zapadła w głęboki trans. W końcu powiedziała matowym głosem:

— Jesteś pewny, że chcesz to wiedzieć?

— Wiedziałem, że kombinuje! — rzucił jegomość do swoich towarzyszy.

— Umrzesz drugiego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku na udar — wyrecytowała nagle i dobitnie Tamara.

Mężczyzna, którego dotyczyła ta wiadomość, opadł z rozwartymi ustami na krzesło i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. W końcu zaproponował wypicie następnej kolejki, ale dotychczasowy humor najwyraźniej go już opuścił.

— Niezły numer z tej baby! — wypowiedział się z uznaniem Krawczyk, który był już dość porządnie wstawiony. Leon zresztą też czuł w głowie moc procentów i marzył już tylko o tym, żeby walnąć się do własnego łóżka.

— No, jakbyśmy taką mieli na etacie, to śledztwa byśmy kończyli taśmowo. Tamaro, powiedz no, kto zamordował rodzinę Blochów?! — powiedział z teatralnym zaśpiewem Leon.

— Nie trzeba, Gajewski — uciął jego wygłupy Eckert. W tym momencie spostrzegli, że medium zwraca się w ich stronę i wbija w nich swój martwy, jakby zwrócony do wewnątrz wzrok. Twarz kobiety wykrzywiła się w wielkim napięciu ni to bólu, ni przerażenia. Otworzyła usta i salę wypełnił okropny, skrzekliwy, pochodzący jakby nie z tego świata krzyk:

— Wielkieeeeeee złooooooo!!!

Po plecach Gajewskiego przeszedł dreszcz. Spojrzał na kolegów. Sprawiali wrażenie momentalnie wytrzeźwiających.

CZWARTEK, 22 STYCZNIA 1920 ROKU

Obudził go krzyk dochodzący z ulicy. Podeszedł do okna i zobaczył kobiecą postać w długiej, ciemnej sukni. Patrzyła w jego okno, a potem znowu krzyczała. Po chwili w jej krzyku rozpoznał swoje imię. Zszedł na dół i otworzył bramę. Ujrzał ją w bladej poświacie mrugającej z trzaskiem latarni. Jej twarz była jednak ukryta w cieniu. Dopiero gdy zbliżyła się do niego, próbując przywrzeć ustami do jego ust, zobaczył głęboką ranę na szyi, ponurą parodię „szerokiego uśmiechu”. We wnętrzu rany widać było białe kości kręgow, wśród których wiły się mady.

Odepchnął ją ze wstrętem i wtedy zapytała głosem medium Tamary:

— Dlaczego mnie zostawiłeś?

A kiedy wbiegł do sieni i na schody, ciągle słyszał za sobą charkot śmiechu wydobywającego się z poderżniętego gardła.

Leon otworzył oczy. Obudził go jego własny krzyk. Leżał twarzą do poduszki, z ustami przyklejonymi do niej zaschniętą wydzieliną. Pościel była wilgotna od potu, a on sam czuł się jak pusty jutowy worek. W jego głowie łomotały dziesiątki młotków, kilofów i siekier. Wszystkie chciały dostać się do wnętrza mózgu. Jediną obroną były generowane nieustannie sygnały bólu.

W pokoju panowały ciemności. Zasłonięte okna wpuszczały do środka jedynie jakiś mdły poblask ulicznych latarni.

Leon wiedział, że już nie zaśnie. Miał tak zawsze po większym pijaństwie. Choćby nie wiadomo ile wypił, budził się przed świtem i leżał, pomiędzy snem a jawą, niby w pijackim czyścicu, dopóki nie rozlegał się zbawienny terkot budzika. Te godziny od przebudzenia się do świtu były najgorszymi godzinami jego życia. Dopadały go wtedy najczarniejsze myśli, najgorsze wspomnienia, najboleśniejsze wyrzuty sumienia. Zmory siadały na jego piersi i dusiły ile wlezie.

Poharatane powidoki wczorajszej libacji nie chciały ułożyć się w jego głowie w sensowną całość, jak kawałki szkła w tulei kalejdoskopu. Eckert pożegnał się z nimi dość wcześnie. Napominał, żeby nie siedzieli za długo. Wtedy ruszyli z Krawczykiem

w prawdziwy knajpentur. Wylądowali w podłej spelunie nad rzeką, w dół od mostu Cesarskiego, śpiewali sprośne piosenki z marynarzami, potem dosiedli się do jakichś panienek, a potem... Chryste, co było potem? Chyba dotarli na koniec do mieszkania Krawczyka, ale jego żona zdaje się nie wpuściła nawet Leona do środka. Reszta zdarzeń ginęła w czerni jak kartka zalana inkaustem. Leon odruchowo sprawdził, czy ma broń i czy jego garderoba jest w komplecie. Z ulgą wymacał wszystko, przewieszane niedbale przez oparcie krzesła przy sekretarzyku, na którym stało jego zdjęcie z nie tak dawnych czasów, kiedy dość intensywnie trenował futbol z „terminatorami”, oraz niedokończony model galeonu z drewna balsa.

Podszedł do okna i otworzył je. Do pokoju wpłynęło ostre, mroźne powietrze. Leon, stojąc w samych kalesonach, zrobił kilka wymachów ramion, skłonów i przysiadów. Kości w stawach trzaskały, a mięśnie bolały od nagłego wysiłku. Ale do mózgu popłynęły świeże dostawy tlenu i Leon poczuł się odrobinę lepiej.

Na boso, żeby nie robić hałasu, wyszedł ze swojego pokoju. Podłoga z malowanych desek była lodowata. W kuchni Leon dorwał się do dzbanka z wodą i wypił jej tyle, aż poczuł, że w żołądku urosła mu wodna kula. Niestety, musiał też wyjść na zimny korytarz, żeby skorzystać z wychodka, wspólnego dla całego piętra. Gdy wracając, zamykał drzwi, aż podskoczył z przestachu — w przedpokoju stała postać w białej koszuli nocnej. Był to ojciec Leona, Józef Gajewski, od prawie czterdziestu lat kolejarz bydgoskich Eisenbahnen.

— Co? Piłeś? — zapytał, a raczej oskarżył syna próbującego wyminąć go, żeby znowu zamknąć się w pokoju.

— Trochę wypilem — odparł Leon.

— Już ja widzę to trochę. Matka nie spała pół nocy — dobiegł go jeszcze gderliwy głos ojca, zanim zamknął drzwi. Stary najwidoczniej też wstał za potrzebą, bo po chwili usłyszał szum spuszczonej wody.

Nie mieli okazji zbyt często jeść wspólnych śniadań. Bo albo ojciec nie zdążył jeszcze wrócić z nocnej zmiany, albo Leon wymykał się, zanim stary wstał. Dziś miało być inaczej.

Młody Gajewski w milczeniu posmarował pajdę chleba masłem, posypał ją cukrem

i zjadł bez smaku, obficie popijając surowym mlekiem. Ojciec z dezaprobatą patrzył, jak syn rujnuje sobie żołądek, z kolei matka, krawcowa Marianna Gajewska, myślami była już na mszy w kościele parafialnym Świętej Trójcy. Kobieta udzielała się w parafii, do jej obowiązków należało między innymi przystrajanie ołtarzy i wymiana kwiatów na świeże. Kiedy więc tylko zjadła swoje mikroskopijne śniadanie, złożone z suchej kromki chleba i kubka czarnej kawy, ubrała się i rzucając na odchodne cichutkie „z Panem Bogiem”, wyszła z mieszkania. Ojciec uznał, że to dobra okazja, żeby porozmawiać z Leonem. Ale w jego słowach więcej było skargi niż ojcowskiego upomnienia, co Leon zauważył z pewnym zdumieniem, bo ojca kojarzył dotąd z surowymi komendami, jeszcze do niedawna egzekwowanymi pasem, choć podniesionym głosem czy krzykiem — nigdy.

— Prawie już w ogóle się nie odzywa. Albo siedzi w kościele, albo przy maszynie. Najbardziej boję się, jak tak wychodzi z domu. Wydaje mi się, że już nigdy jej nie zobaczę... — powiedział ojciec, wycierając obleczony masłem nóż o kawałek chleba.

— Skąd te pomysły u taty? — odparł Leon. W porannym świetle zobaczył, że ma już naprawdę starego ojca. Głębokie zmarszczki znaczyły czoło Józefa Gajewskiego, zaczesane do góry włosy nie były już tak gęste jak kiedyś. Ale najwięcej mówiły oczy — nie było w nich tych ogników pojawiających się, kiedy na przykład latem jeździli kolejką do Smukały.

— A teraz jeszcze ty — ciągnął stary, jakby nie słyszał pytania syna. — W tym domu nigdy nie było pijaków... Twój brat...

— Co mój brat? — ożywił się Leon, pewny, że znowu usłyszy jedną z opowieści o swoim świętej pamięci wszechstronnie uzdolnionym starszym bracie Zyguncie.

— Twój brat nigdy się nie szlajał po knajpach jak jakiś luj szwederowski!

Ojciec nie patrzył na Leona. Jego wzrok wbijał się nieruchomo w coś, co mogło być tylko wspomnieniem. Zygmunt Gajewski, starszy o trzy lata brat Leona, zginął w 1918 roku na froncie zachodnim. Miał dwadzieścia pięć lat, tylko trochę więcej niż Leon teraz, a przed sobą — jak mniemali rodzice — świetlaną karierę inżyniera od dróg żelaznych i mostów. W bydgoskiej Dyrekcji Kolei czekała już na niego dobrze płatna posada, w Bydgoszczy czekała też narzeczoną, z którą zaraz po wojnie miał się zenić. Czekало całe życie.

Leon pamiętał ten marcowy, słotny dzień, kiedy listonosz przyniósł szarą, urzędową kopertę z zawiadomieniem o śmierci Zygmunta. Matka zaczęła płakać, jeszcze zanim ojciec odpieczętował papier. A potem płakali już oboje. Nigdy wcześniej i nigdy już potem nie widział rodziców tak otwarcie wyrażających uczucia. Teresa, młodsza siostra Leona, wtedy jeszcze panna, wybiegła z domu i wróciła dopiero wieczorem. Nie bardzo trzeźwa, ale nie potrafił dociec, czy pijana była od alkoholu, czy od żalu. On sam zamknął się w pokoju, który jeszcze nie tak dawno dzielił ze starszym bratem. Przez dłuższy czas leżał na łóżku i wpatrywał się bezmyślnie w prawie ukończony model galeonu z drewna balsa. Potem wstał i cisnął modelem o podłogę. Okręt roztrzaskał się, a potem przez wiele dni Leon doprowadzał go do pierwotnego stanu. Ale model nigdy nie został dokończony.

Nie miał pretensji do ojca, że ciągle porównuje go z Zygmuntem. Nie mówił więc, że Zygmunt wcale nie był kryształowy, że też od czasu do czasu wpadał na jednego do któregoś ze śródmiejskich lokali, że jeszcze w gimnazjum dawał młodszemu bratu popalić skręta, że zdarzało mu się przeklinać i splunąć na ulicy, że był po prostu żywym człowiekiem, a nie ikoną, jaką próbowali teraz z niego zrobić rodzice. Leon nie miał o to do nich pretensji i nie zamierzał wcale burzyć ich złudzeń, bo od zawsze czuł się od Zygmunta gorszy. Nie był ani tak uzdolniony, ani tak przystojny jak on i nic nie szło mu tak gładko jak „naszemu Zygmuśowi”. Do pewnego wieku starał się rywalizować ze starszym bratem o względy rodziców, ale przestał, kiedy zdał sobie sprawę, że to beznadziejne staranie. Nie, nie czuł do starych żalu ani tym bardziej złości. Z wiekiem zrozumiał, że miłość to nie chleb i nie można obdzielać nią wszystkich po równo. Poza tym za bardzo kochał brata, żeby zatruwać sobie sumienie kainową zazdrością.

A jednak były momenty, tak jak teraz przy śniadaniu, kiedy miał ochotę wypalić staremu: „Ale to ja, ten gorszy, przeżyłem, a ten lepszy zginął gdzieś w błotnistych, cuchnących okopach. Więc to ja, a nie on, okazałem się lepszy!”. Miał to już na końcu języka niejednokrotnie. Tylko że prawda była inna: tak jak gorszy pieniądz wypiera ten lepszy, tak gorszy brat zastąpił tego lepszego.

Na kredensie w kuchni czekała paczka z drugim śniadaniem. Ubrany już Leon włożył ją do teczki i na moment przystanął przy ojcu, który wciąż jeszcze siedział przy stole i nieuważnie przeglądał gazetę, w której wiele miejsca zajmowały relacje

z poniedziałkowego przekazania przez Niemców kluczy do miasta nowym, polskim władzom oraz szczegółowe omówienie uroczystości powitania polskich wojsk.

— Był tata na Rynku? — zapytał Leon.

— Nie. Robiłem przy gołębiach — odparł zrezygnowanym głosem Józef Gajewski.

Od śmierci Zygmunta nienawidził wszystkiego, co wiązało się z wojną i wojskiem, nawet gdyby to miało być wojsko, w którym Polak nie będzie już musiał na rozkaz strzelać do innego Polaka.

Leon wyszedł na ulicę. Miał sporo czasu, zdecydował więc, że przejdzie się do ratusza. Liczył na to, że ostre powietrze poranka wywietrzy jego organizm z resztek kaca. Pod jedną z sąsiednich kamienic stał wóz konny do przewozu mebli. Robotnicy ładowali na niego sprzęty z mieszkania pewnego Niemca, którego Leon znał tylko z widzenia. Żona mężczyzny stała teraz na trotuarze i co chwilę podnosiła rękę w geście przestrogi, obawiając się, że robotnicy zniszczą któryś z bezcennych dla niej mebli, porcelanowych aniołków lub obrazów przedstawiających sceny biblijne. Jeden, dużego formatu, był ułożony tak, że Leon, przechodząc, zwrócił nań uwagę. Płótno, a raczej jego papierowa imitacja pod szkłem, przedstawiało pokutę Marii Magdaleny. Półnaga postać czytająca księgę w pieczarze rozświetlonej jedynie światłem zachodu, wpadającym przez niewielką szczelinę, zdawała się nie przejmować przeprowadzką swych właścicieli. Wkrótce zresztą zawiśnie w Berlinie, Breslau czy innym niemieckim mieście i będzie niemym świadkiem wspomnień swych właścicieli o bezpowrotnie utraconym kawałku życia, spędzonym w „klein Berlin”.

Gdy wyszedł na szeroką Berlinerstrasse, zobaczył, że wiele okien i balkonów przystrojonych jest biało-czerwonymi flagami i zielenią. Tu i ówdzie pojawiał się transparent z napisem na cześć polskiego oręża. Leon miał wrażenie że przechodnie, z wyjątkiem miejskiej biedoty, byli ubrani jakby bardziej odświętnie. On sam też, mimo że był to dla niego normalny dzień pracy, włożył mniej znoszony garnitur i staranniej niż zwykle wyglansowane lakierki. Odświeżył kapelusz i płaszcz, choć z laseczki zrezygnował, uznając, że w jego wieku to mimo wszystko przesadna elegancja.

Wokół jednego ze słupów ogłoszeniowych, na wysokości cmentarza Świętej Trójcy, stała grupka przechodniów. Wszyscy czytali odezwę komisarycznego prezydenta,

mecenasa Iwaszki. Leon też się zatrzymał i przebiegł wzrokiem utrzymany w uroczystym tonie tekst. Dwa ostatnie akapity przeczytał jednak uważniej, jakby kierowane były właśnie do niego:

„W dzisiejszych przełomowych historycznych czasach zachowajmy wszyscy spokój i rozwagę, miejmy do siebie zaufanie, szanujmy uczucia drugich, załatwiamy wszystko z taktem.

Wspólnym naszym celem jest dobro naszego pięknego miasta i jego pracowitych obywateli. Do tego celu dążmy zważając siłami. Od nas zawisło, jaki gmach stanie, od nas zależy przyszłość nasza”.

Leon nagle zdał sobie sprawę, że od rozwiązania sprawy „Annelise” zależy jego przyszłość, a kto wie, może nawet jego rodziców i wszystkiego, na czym zbudowany był ich świat.

— Niemcy pokonane, ale bolszewia od wschodu naciera. Jak to teraz będzie, panie szanowny? — usłyszał przy sobie głos jakiegoś ubogo odzianego staruszka. Mężczyzna patrzył na niego małymi oczkami, jakby oczekując przepowiedni przyszłości. Najwidoczniej dystygowany wygląd Gajewskiego mówił mu, że ma do czynienia z kimś ważnym.

— Jak będzie trzeba, pokonamy i bolszewię — odpowiedział Leon i szybko odszedł, nie miał bowiem ochoty wdawać się w dyskusje polityczne z samego rana. Poza tym ząb znowu dawał o sobie znać.

Wywiadowca postanowił wstąpić na chwilę do Świętej Trójcy. W kościele modliło się zaledwie parę babć. Leon uklęknął w ławce, zamknął oczy i... stwierdził, że jedyne, co czuł, to złość. Na świat, na Niemców, na bolszewię, na mordercę Blochów, ale przede wszystkim — na siebie samego.

„Zawsze byłem ten drugi, gorszy. I taki już będę do końca. Choćbym nie wiem jak się starał, to i tak Zygmus będzie górą. Wspaniały, mądry, piękny Zygmus. Nie mam o to do Ciebie pretensji, Boże. Może miałeś w tym jakiś plan. Może... Tylko błagam, nie daj mi go nienawidzić. Nie daj mi nienawidzić mojego ukochanego, jedyne go brata...”

Łzy popłynęły z przymkniętych oczu Leona. Nie dbał o to, pogrążony w wewnętrznej rozmowie. Przeprószył jeszcze za wczorajsze pijaństwo, pomodlił się o zdrowie dla najbliższych i dla siebie, o powodzenie sprawy z Klarcją, a na koniec zostawił sobie

prośbę specjalną:

— I proszę Cię, Panie Boże, daj nam rozwikłać zagadkę śmierci rodziny Blochów. Aby Twojej sprawiedliwości stało się zadość.

Przeżegnał się i różnym krokiem wyszedł z kościoła. Miasto nabierało obrotów. W Bydgoszczy zaczynał się drugi dzień nowej Polski.

W gabinecie prezydenta komisarycznego miasta, na pierwszym piętrze ratusza, panowało zamieszanie. Ktoś podniesionym głosem próbował coś wytłumaczyć powstrzymującemu go kanceliście w ciemnych załokietnikach.

— Nazywam się Simon Schendel, prowadzę uczciwy interes przy placu Fryderykowskim. Proszę mi pozwolić przekazać panu prezydentowi moje oświadczenie! — Natręt wyciągnął z kieszeni płaszcza nieco wymiętą kartkę i zaczął głośno czytać z silnym niemieckim akcentem: — „Niniejszym przestrzegam każdego o rozszerzaniu pogłosek, jakobym ja pożyczył piłę do zrzynania drągów do dekoracji miasta na przyjęcie wojsk polskich. Oświadczam, że ani ja, ni żaden z mego personelu coś podobnego nie uczynił. Każdego, który rozszerzać będzie tę zmyśloną bajkę, ścigać będę sędownie”.

— Proszę szanownego pana o opuszczenie gabinetu, bo wezwę porządkowych — powiedział spokojnie sekretarz.

— Panie, co ja mam robić? — zwrócił się Simon Schendel do Gajewskiego, który właśnie wszedł do gabinetu.

— Niech pan to da do gazety — odparł Gajewski, a kupiec spojrzał na niego z wdzięcznością.

— Do gazety! No tak! Już ja im porozpowiadam bajki — mruzczał mężczyzna, wychodząc z urzędowego pomieszczenia bez pożegnania.

— Skaranie boskie z tymi ludźmi — westchnął sekretarz, po czym zmieniając nagle ton, zapytał Gajewskiego, w jakiej przyszedł sprawie.

— Jestem umówiony na odprawę u pana mecenasa Iwaszki — wyjaśnił, pokazując swoją legitymację.

— Proszę. Panowie już są — odrzekł poważnie sekretarz i otworzył przed Leonem masywne drzwi gabinetu mecenasa Iwaszki.

Pomieszczenie wypełniały kłęby papierosowego dymu. Przy długim stole, u którego szczytu zajmował miejsce prezydent komisaryczny Iwaszko, siedziało dość spore grono panów w ciemnych, urzędowych ubraniach. Większość paliła papierosy bądź cygara. Gajewski odnalazł wzrokiem Eckerta, ten przedstawił go pozostałym i Leon usiadł obok niego na wolnym miejscu, które szef dla niego trzymał. Panowie szybko przestali zwracać na niego uwagę. Iwaszko przystąpił do zagajenia. Podkreślił znaczenie śledztwa i zastrzegł, że wszystko, co padnie na tym spotkaniu, ma klauzulę ścisłej tajności pod rygorem sankcji karnych.

Gajewski dyskretnie przyglądał się twarzom obecnych. Część z nich już znał, poza Iwaszką i Eckertem na spotkanie przybyli komendant Dolatowski, sędzia śledczy Bojarski, doktor Hoffmann i daktyloskop Orłowski, ale pozostali byli mu zupełnie obcy. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza niemłody, choć trzymający się prosto mężczyzna o rzymskim profilu i prezencji śpiewaka operowego. Jego zaczesane ku tyłowi, długie i siwe włosy błyszczącą falą pokrywały szlachetnie sklepioną czaszkę, a jego usta wciąż były w ruchu — wargi układały się bądź w okrągły ciup, bądź zagryzały jedna drugą. Na moment nieznajomy uchwycił spojrzenie Gajewskiego i niemalże na wylot przewiercił komisarza chłodem swoich wąskich, czarnych oczu. Leon szybko przeniósł wzrok gdzie indziej, ale po chwili stwierdził, że tamten wciąż mu się przygląda. „Co to za dziad?” — pomyślał o nieznajomym z niechęcią.

Tymczasem nadkomisarz Eckert przedstawił zebrany dotychczasowe ustalenia śledztwa i rysujące się hipotezy.

— Sprawa jest trudna, a nam brakuje ludzi. Nie mam kogo wysłać w miasto...

— ...a ci, których wysyłacie, lądują w domu schadzek — wetknął szpilę Iwaszko. Eckertowi stężała twarz.

— To jednostkowy przypadek, więc proszę nie uogólniać, mecenasie Iwaszko. Chcę powiedzieć, że nie mogę zagwarantować szybkiego zakończenia śledztwa. O ile w ogóle uda nam się znaleźć sprawcę — podsumował nadkomisarz, którego zmarszczki zrobiły się jeszcze głębsze.

— A co to za defetyzm u niedawnego legionisty, panie nadkomisarzu! — zawołał, siląc się na dowcipny ton, Iwaszko.

— To nie defetyzm, tylko realia.

— Realia są takie, że na razie musimy sobie radzić z tym, co mamy. Zresztą przysłali wam pomoc z Warszawy. — Prezydent wskazał ręką Orłowskiego. — No, co tam u pana?

Orłowski wziął głęboki oddech. On też nie miał raczej dobrych wieści.

— Porównanie pobranych odcisków linii papilarnych z katalogiem pozostawionym przez policyjne władze niemieckie nie przyniosło żadnych rezultatów. Wysłałem materiał do Warszawy, gdzie zostanie skonfrontowany ze znacznie większym zbiorem. Ale jeśli mam być szczerzy, nie liczyłbym na sensację.

— Liczymy na sprawcę, nie na sensację — zdenerwował się sędzia Bojarski.

— Wiele wskazuje na to, że sprawca nie był dotąd notowany — zauważył Gajewski.

— Wy ten nowy, tak? — Iwaszko zaczął wertować jakieś akta leżące przed nim. Czytał głośno: „Przerwane studia w gdańskiej Królewsko-Pruskiej Wyższej Szkole Technicznej, udział w walkach na froncie francuskim i rosyjskim. W 1917 ranny pod Pińskiem. Odznaczony Krzyżem Żelaznym za męstwo na polu walki”. No, panie Gajewski, mam nadzieję, że z równym męstwem będzie pan służyć Polsce, jak Rzeszy.

— A ja mam nadzieję, że odrodzona Polska nie będzie dzielić obywateli na swoich i obcych — odparł Leon, który znowu napotkał wzrok siwowłosego mężczyzny. Tym razem wzrok ten wyrażał uznanie.

— Tak, tak, tak... — Komendant Dolatowski usiłował rozładować sytuację, ale nie bardzo wiedział jak, więc zdobył się tylko na głośnie westchnienie.

Wreszcie głos postanowił zabrać milczący dotąd „śpiewak operowy”.

— Panowie pozwolą, nazywam się Władysław Ginter. Przez „te-e”.

Jego głos był niski i nieco nosowy; wydobywał się jakby z głębokiego ukrycia.

— Profesor Ginter jest psychiatrą, wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Zgodził się również objąć naszą komendę nieodpłatną opieką psychologiczną — pospieszył z wyjaśnieniem Dolatowski.

— Rozumiem, że to pan inspektor zaprosił pana profesora do współpracy z nami? Myślałem, że dochodzenia prowadzą policjanci, a nie psychiatrzy, ale mogę się mylić — wycedził, zaciskając zęby, Eckert, który nienawidził, jak do roboty policyjnej czy wojskowej wtrącają się cywile. Świącie wierzył, że nic dobrego nigdy z tego nie

wynika.

— Niepotrzebna ironia, Eckert — powiedział mecenas Iwaszko. — Jako specjalista powinniście wiedzieć, że profesor Ginter trafnie sporządził już wiele portretów psychologicznych sprawców, choćby mordercy prezesa Banku Rolnego w Dreźnie. Dla naszego miasta to zaszczyt, że zechciał je wybrać na miejsce swego zamieszkania.

— Po okropnościach wojny nie mogłem wymarzyć sobie lepszego miejsca do życia — odparł kurtuazyjnie Ginter. — Ale do rzeczy!

Profesor podszedł do przykrytego czarnym płótnem prostokąta, a gdy je zdjął, oczom obecnych ukazała się tablica pokryta drobnym, równym pismem i niezrozumiałymi diagramami.

— Portret psychologiczny bazuje tylko i wyłącznie na tym, co zostawił nam sprawca — kontynuował Ginter. — A ponieważ każdy zbrodniarz należy do określonego typu bądź podtypu, jesteśmy w stanie z dużym przybliżeniem określić, kim jest poszukiwany przez nas osobnik. Pytanie, jakie sobie stawiamy, brzmi: KTO zrobił TO w TAKI sposób? — Wskazał ręką na zdanie na górze tablicy. Od każdego z podkreślonych słów odchodziły strzałki, te z kolei rozgałęziały się na inne.

— Rzecz jasna w grę może wchodzić działanie więcej niż jednej osoby, musimy jednak uznać za pewnik, że nawet jeśli tak było, to jedna z nich odgrywała rolę wiodącą. Pozostałe wykonywały polecenia „mózgu” całej operacji. I na charakterystyce mózgu się skupmy.

Profesor Ginter szczegółowo omówił wygląd zwłok i miejsca zbrodni, a także wszechstronnie scharakteryzował ofiary. Następnie prelegent przeszedł do omówienia *modus operandi* sprawcy. Panowie słuchali, ale z wyraźnie zmniejszającą się uwagą. Dopiero przy wnioskach końcowych towarzystwo na nowo się ożywiło. W ruch poszły papierosnice i zapalniczki.

— Zabójca znał swoje ofiary. Pozostawał z nimi w zażyłych relacjach, może nawet seksualnych. Dysponował znaczną siłą. Posiadał co najmniej podstawy wiedzy z zakresu anatomii. Może mieć dostęp do narzędzi chirurgicznych. Ustawienie Blocha jako centralnej postaci w kompozycji świadczy o tym, że sprawca prawdopodobnie wychował się w rodzinie katolickiej o dominującej pozycji ojca. Zna łacinę w stopniu co najmniej podstawowym. Jeszcze jedno. Pragnie zwrócić na siebie uwagę otoczenia.

Dlatego jego czyn ma charakter tak spektakularny. Sprawca może mieć lub mógł mieć do czynienia ze sztuką — malarstwem, rzeźbiarstwem bądź teatrem.

— Jeśli pragnie zwrócić na siebie uwagę, to dlaczego pozostaje w ukryciu? Może przecież równie dobrze oddać się w ręce władz i cieszyć się zainteresowaniem prasy — zauważył Gajewski.

— To przyczynek do jeszcze jednego rysu naszego „iksa” — podchwycił wątek profesor Ginter. — Oddanie się w ręce władz byłoby dla niego zbyt łatwe. Wydaje mi się, że on chce się sprawdzić. Niedobór akceptacji ze strony otoczenia rekompensuje sobie poczuciem wyższości wobec prowadzących śledztwo. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że dyskretnie obserwuje nasze poczynania...

Raptem rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł sekretarz i pochylił się nad Iwaszką, kładąc mu na biurku egzemplarz niemieckiej lokalnej gazety „Deutsche Rundschau”. Asystent dyskretnie opuścił pomieszczenie, a Iwaszko zagłębił się w lekturze. Jego twarz przy tym nabierała coraz głębszego odcienia purpury. Wreszcie cisnął gazetą o stół i ryknął:

— Przeklęte fryce!!! A obiecywali, że nie puszczą pary z ust!!!

Mężczyźni zaczęli po kolei czytać artykuł, który tak rozzłościł prezydenta komisarycznego.

KRWAWA ŁAŻNIA NA BARCE „ANNELISE”

CZY NIEMCY MOGĄ CZUĆ SIĘ BEZPIECZNIE W POLSKIEJ BYDGOSZCZY?

W noc po wkroczeniu Wojska Polskiego do Bydgoszczy na barce „Annelise”, cumującej przy Fischmarkt, doszło do makabrycznego mordu. Z rąk zwyrodniałego sadysty zginęło okrutną śmiercią czworo niewinnych obywateli Rzeszy.

Zagłada rodziny Blochów kładzie się cieniem na stosunki między niemieckimi i polskimi sąsiadami w Bydgoszczy. Polskie władze śledcze zapewniają o szybkim ujęciu i przykładowym ukaraniu sprawcy mordu, ale czy można dać wiarę tym zapewnieniom? Buta nowych polskich gospodarzy zdaje się zadawać temu kłam.

Mamy jednak nadzieję, że Polska jest krajem cywilizowanym na tyle, że zrozumie, iż nawet pozałowania godny traktat wersalski gwarantuje prawa niemieckich obywateli ziem zajmowanych przez polską administrację.

Ze źródeł nieoficjalnych wiemy, że stosowne władze niemieckie zamierzają wystąpić ze stanowczą notą w tej sprawie do swoich polskich odpowiedników. (gj)

— No to mamy skandal dyplomatyczny. Jeszcze tego nam brakowało... — Iwaszko chwycił się za głowę.

— Dobrze chociaż, że nie dali tego na pierwszej stronie — zauważył trzeźwo Gajewski.

— Ta zbrodnia nie miała nic wspólnego z kwestią narodowościową — rzekł poważnie profesor Ginter. — Ale trudno będzie to wytłumaczyć opinii publicznej...

W Komisariacie Głównym przy Wilhelmowskiej atmosfera była już nie gorąca, ale wręcz w stanie wrzenia. Komendant Dolatowski zamknął się w gabinecie i zajmował się głównie odbieraniem telefonów. Z każdą kolejną rozmową zdawał się coraz mniej panować nad sytuacją. Około ósmej wezwał do siebie swoich śledczych i oznajmił im:

— Dają nam czas do końca tygodnia, żeby samodzielnie uporać się ze sprawą. Jeśli nie damy rady, śledztwo przejmuje centrala. Póki co przysyłają nam kogoś z kontrwywiadu wojskowego. Uważają, że to mogła być niemiecka prowokacja. Panowie, znaleźliśmy się w samym środku niezłego gówna — zakończył Dolatowski.

— Tak czy siak robimy swoje. Ale tylko głupiec mógłby dać gwarancję, że sprawę uda się zamknąć w sześć dni — odparł ze spokojem Eckert.

— Głupiec... albo człowiek na tyle sprytny, żeby nie podłożyć się tym na górze. — Dolatowski bawił się przyciskiem do papieru w kształcie miniatury Wieży Bismarcka.

— Coś pan sugeruje, komendancie? — Eckert spojrzał na niego posępnie.

— Bolszewicy mają takie powiedzenie: dajcie nam człowieka, a i paragraf na niego się znajdzie. My paragraf już mamy. Trzeba tylko znaleźć odpowiedniego człowieka. Portret psychologiczny już macie. Czy wyrażam się wystarczająco jasno? — Dolatowski przeniósł wzrok z przycisku do papieru na Eckerta i pozostałych.

Tajniacy czekali na odpowiedź swojego bezpośredniego szefa. W końcu Eckert wycedził powoli:

— Zapomina pan o jednym szczególe. My nie bolszewicy. Jest jeszcze coś takiego jak prawda.

— Prawda! A kogo ona obchodzi?! Potrzebny jest sprawca, i to szybko! Ludzie muszą widzieć, że zło zostaje ukarane. Po tylu latach niewoli i wojen jesteśmy im to winni!!! — krzyknął Dolatowski, aż zadrżały szybki regału, za którymi rzędami stały oprowiane w skórę kodeksy i tekturowe teczki. — Panowie — ściszył nagle głos, robiąc zatroskaną minę. — Służba wymaga ofiar. Złożmy więc nasze umiłowanie prawdy na ołtarzu czegoś znacznie ważniejszego, na ołtarzu silnego państwa. W przeciwnym razie na ołtarzu tym wylądują nasze głowy... Codziennie o tej porze oczekuję szczegółowego raportu, Eckert. Odmaszerować.

— Inaczej wyobrażałem sobie silne państwo — mruknął Eckert, kiedy byli na korytarzu.

— Nie ma co się żołądkować, szefie. W razie czego jesteśmy z panem, nie, Leon? — Krawczyk zwrócił się do Gajewskiego, ale ten był jakby nieobecny.

— Ma się rozumieć — odparł po chwili, walcząc z narastającym bólem zęba.

Przed drzwiami pokoju śledczych stał Jacyna. Na widok Eckerta spuścił głowę. Miał na sobie odświeżone ubranie i wyglansowane buty. Z daleka pachniało od niego wodą kolońską.

— Co to, na wesele się wybieracie, Jacyna? — zaczął Eckert.

— Nie, panie nadkomisarzu. Do raportu — odparł Jacyna.

— Dobra, udzielam wam upomnienia z wpisem do akt. A teraz do roboty! — wrzasnął Eckert, aż przechodząca korytarzem maszynistka jęknęła przelękniona.

Na ulicach prowadzących do Starego Rynku, zwanego jeszcze wciąż placem Fryderykowskim, kłębił się tłum ludzi zajętych swoimi sprawami. Dwa dni wcześniej przyszli tu oczekiwać na wjazd polskiego wojska. Gajewski także tam był. Wziął Klarę, chciał razem z nią spędzić ten wyjątkowy, a pewnie i jedyny taki w ich życiu dzień. Na samym Rynku panował niemiłosierny ścisk. Wstęp na plac miały tylko osoby

z ostemplowanymi legitymacjami Rady Ludowej. Porządkowi z biało-czerwonymi opaskami na rękawach z trudem wydzielali szpalery dla oddziałów konnych i pieszych, które wkrótce miały nadejść. Panował nastrój wyczekiwania. Wyfraczeni panowie w lśniących cylindrach stali w miejscu dla oficjeli, nieco dalej tłoczyli się przedstawiciele polskich organizacji zawodowych, społecznych i politycznych, ponad głowami wznosiły się liczne transparenty i proporce, bo każdy cech, każda korporacja, każde koło śpiewacze i każda parafia chciała tego dnia pokazać, że istnieje i że wita przybywających żołnierzy z orzełkami na mundurach. Domy były odświętnie udekorowane, podobnie jak na Boże Ciało. Niemal wszystkie okna na trasie przejazdu wojsk i w czworoboku Rynku były pootwierane. Stali w nich mieszczanie, na ogół narodowości niemieckiej, którzy bądź z przyzwyczajenia szanując polecenia władz, jakiegokolwiek by były, bądź z czystej ciekawości, przypatrywali się zgromadzeniu, jakiego Bydgoszcz nie widziała od wielu, wielu lat.

Szynki, składy i kramy były tego dnia zamknięte. Na ulicach uwijali się tylko mali gazeciarze w przydużych kaszkietach, którzy rozprawdzali wśród tłumu świeże wydania miejscowych gazet. Pracowali też kupcy handlujący żywnością. Ludzie stojący na mrozie mogli więc posilić się gorącymi kiełbaskami z chrzanem czy miską parującej grochówki prosto z kotła.

Około godziny dziesiątej na budynkach załopotały biało-czerwone flagi. Rozległy się wiwaty. Ludzie rozumieli ten znak: niemiecka załoga wojskowa opuściła już miasto.

Wreszcie od strony Kujawskiej do uszu czekających na Rynku dobiegł odgłos niesamowitej wrzawy. Wkrótce potem usłyszeli stukot końskich kopyt o bruk i ujrzeli kilkunastoosobowy oddział zwiadowców 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich. Leon poczuł silniejszy uścisk dłoni Klary na swoim ramieniu. Gdy na nią spojrzał, zobaczył łzy w jej pięknych oczach.

„Żółci ułani” byli pierwszymi polskimi żołnierzami, jacy wkroczyli do miasta po 148 latach pruskiej niewoli. Wraz z nimi na płytę Rynku wszedł 60. Pułk Piechoty Wielkopolskiej, ułani 3. Pułku oraz pododdziały saperów i artylerii. W samo południe, przy wtórze kościelnych dzwonów, w imieniu mieszkańców żołnierzy powitali doktor Jan Biziel i ksiądz Antoni Tyrakowski. Po przemowach nad dawnym placem

Fryderykowskim rozległo się potężne, śpiewane przez tysiące gardeł *Boże, coś Polskę*, a potem tłum zaintonował *Rotę*. Wielu ludzi nie mogło powstrzymać łez.

I polscy, i niemieccy obywatele zdawali sobie sprawę, że Bydgoszcz zaczyna zupełnie nowy etap w swoich dziejach.

Wywiadowcy kryminalni miasta Bydgoszczy nie mieli wtedy pojęcia, że ktoś w tym czasie wydał wyrok śmierci na mieszkańców barki „Annelise”, że kiedy tysiące mieszkańców radośnie świętowało obrót kołowrotu dziejów, ktoś szlachtował rodzinę Blochów.

Jeszcze rano z Gdańska przyszedł telegram, który mógł (choć nie musiał, jak zresztą każda informacja) popchnąć śledztwo na nowe tory. Tamtejsze władze powiadamiały, że Ernst Bloch był notowany za przemyt alkoholu, złota, wyrobów tytoniowych, a także opium, za co dostał nawet dwa lata ciężkich robót. Okazało się też, że palacz z „Gustava”, Horst Musiał, w noc zabójstwa przebywał z Olgą Cukierek, co potwierdziła nie tylko prostytutka, lecz także alfons, dla którego pracowała. Policjanci nie mieli powodu, aby mu nie wierzyć — od lat pozostawał na policyjnym żołdzie jako płatny informator.

Bolesław Eckert, który nie przepadał za bieganią po mieście, za to uwielbiał ślęczenie nad papierzyskami, w magistrackim archiwum wygrzebał dane właścicieli wszystkich automobili w Bydgoszczy. Nie było ich wielu, zaledwie pięćdziesiąt parę osób, głównie bogaci kupcy i bankierzy. Nadkomisarz porównał tę listę z danymi osób notowanych za przestępstwa seksualne, ale żadne z nazwisk się nie powtarzało. Stary legionista zaklął siarczyście i napełnił fajkę nową porcją tytoniu. Eckert liczył na to, że na tych „kresach zachodnich” odpocznie wreszcie po wojennej tułaczce, gniciu w okopach i więzieniach zaborców. Bydgoszcz oferowała świetne warunki życiowe — wolnych, wygodnych mieszkań po Niemcach nie brakowało, zaopatrzenie było lepsze, a żywność tańsza niż w innych dzielnicach kraju. Nic dziwnego, że bez wahania porzucił prowincjonalny, galicyjski Rzeszów dla pełnej zachodniego sznytu Bydgoszczy. Teraz zaczynał żałować tej decyzji. Morderca śmiał im się w twarz, a oni biegali po całym mieście jak pieski szukające kości.

Każdy z wywiadowców miał meldować się telefonicznie, w miarę możliwości co

godzinę. Leon, kiedy skontaktowawszy się z Eckertem, usłyszał najnowsze wieści, przypomniał sobie o zaproszeniu na jutrzejszy wernisaż u Waldemara Lassoty. Podzielił się z detektywem informacją o rzekomej morfinicznej przypadłości artysty. Nie wspominał jednak, skąd ma tę wieść. Nie chciał wplątywać Klary w swoje policyjne sprawy.

— Jeśli to prawda, to gdzieś musi się zaopatrywać. Wybierz się na ten wernisaż, tylko nie pij! Trzeba będzie poobserwować trochę tego malarza — powiedział Eckert i się rozłączył.

Gajewski odłożył na widełki słuchawkę telefonu, przytwierdzonego do obitej kwiecistą wykładziną ściany holu mieszkania doktora Johanna Makowskiego, specjalisty od chorób wenerycznych. Było tajemnicą poliszyneła, że to ulubiony lekarz miejscowej elity, zapewniający pełną dyskrecję, a przy tym niezwykle doświadczony w zwalczaniu tego rodzaju przypadłości.

Makowski zajmował obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze niedawno wybudowanej kamienicy przy Lessingstrasse, na północno-zachodnich peryferiach Bydgoszczy. Tutejsze kwartały zabudowane były okazałymi kamienicami z obszernymi loggiami, wykuszami i wielkimi ogrodami na tyłach, a także mniejszymi — od ulicy. Były to zdecydowanie „dobre adresy”, w ostatnich miesiącach coraz częściej zajmowane przez polską inteligencję. Jednak niemieccy obywatele wciąż stanowili tutaj spory odsetek mieszkańców.

W poczekalni oprócz Gajewskiego siedział jeszcze jakiś wystraszony młody człowiek — zapewne gimnazjalista, o czym świadczył trądzik, którym obficie pokryta była jego twarz. Sądząc po nerwowych ruchach dłoni, przygnało go tu nieznośne swędzenie wstydlivej okolicy ciała, połączone ze szpetną wysypką. Teraz biedaczyna siedział skulony na niewygodnym, drewnianym krześle, unikając wzroku Gajewskiego. Naraz drzwi gabinetu otworzyły się i wyszła z niego kobieta okryta czarną woalką spływającą z szerokiego kapelusza. Wyglądała bardziej na wdowę niż pacjentkę wenerologa. „Każdy sposób na ukrycie wstydu jest dobry” — pomyślał Gajewski i bezceremonialnie, nie bacząc na to, że kolej była na gimnazjalistę, wszedł do gabinetu.

Doktor Makowski, ujrawszy blachę wydziału kryminalnego, grzecznie wskazał

policjantowi krzesło (tym razem już obite miękką, skórzaną tapicerką) i nie mniej grzecznie zapytał, w czym może pomóc.

Był to rosły, kościsty mężczyzna o dużej głowie, pokrytej szczecina krótkich, ciemnych, choć mocno siwiejących włosów, które srebrzyły się w świetle padającym z wysokiego okna, umieszczonego za jego plecami.

— Ma pan wyborny widok na ogród botaniczny — zauważył Leon. Istotnie, po drugiej stronie Lessingstrasse rozciągała się sporej powierzchni połać starannie utrzymanej egzotycznej roślinności, poprzecinanej krętymi alejkami, ozdobionymi licznymi posązkami antycznych bożków i alegorii.

— O tej porze roku ten widok bardziej mnie przygnębia, niż raduje — odparł Makowski.

— No tak, całkiem jak w tym wierszu:

*Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurym, na piersi zwieszonym szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem...*

— Słucham?

— Przypomniałem sobie strofę polskiego poety Staffa.

— Pan wybaczy, ale chyba nie przyszedł tu pan rozmawiać ze mną o polskiej poezji?

— Istotnie, nie. Przyszedłem porozmawiać o tej dziewczynie.

Zdjęcie martwej Eleonore Bloch nie zrobiło na Makowskim najmniejszego wrażenia.

— Zna ją pan? Leczyła się u pana? — zapytał Gajewski.

— Nie przypominam sobie.

— Kim są pana pacjenci?

— Nie rozumiem.

— Sądząc po cenniku wizyt, nie przychodzą do pana biedacy, którym zdarzyło się złapać trypra w jednym z zapluskwionych lupanarów w Śródmieściu.

— Nie interesuje mnie status społeczny moich pacjentów ani historia ich zarażenia. Ale owszem, tak się składa, że są to na ogół przedstawiciele wysokiej socjety.

— Mają jakieś nietypowe zainteresowania?

— To znaczy?

— Dziewczynki i chłopcy. Mniej więcej w wieku tej tutaj.

— Proszę pana!

— A jednak będę musiał prosić pana doktora o kartoteki wszystkich pacjentów.

— Pan mnie zmusza do złamania tajemnicy lekarskiej. Ja się poskarżę u najwyższych władz!

Gajewski, nie zważając na oburzenie doktora Makowskiego, zaczął przetrząsać dokumentację medyczną. Po jakimś kwadransie na jego twarzy zagościł uśmiech zadowolenia. Wreszcie miał to, czego szukał. Julius Gamrath, do niedawna radca miejski, na początku roku złożył wizytę w gabinecie doktora Johanna Makowskiego.

— Co sprowadziło pana radcę? — zapytał Gajewski, który nie był w stanie rozszyfrować niekaligraficznej łaciny wenerologa.

— Zwykła wizyta kontrolna. Wypisałem receptę...

— Na co?

— *Condylomata acuminata*... Kłykciny kończyste, jeśli to coś panu wyjaśni. Ma pan to, czego pan chciał?

— Jeszcze nie. Chciałbym skorzystać z telefonu.

Gajewski wykręcił numer lekarza medycyny sądowej, doktora Hoffmanna. Odebrał on sam.

— Panie doktorze, czy choroba, którą stwierdził pan u Eleonore Bloch, to... con-dy-lo-ma-ta acu-mi -nata? — przesyłabizował Gajewski.

— Proszę chwilę poczekać... W rzeczy samej. Kłykciny kończyste. Charakterystyczne kalafiorowate zgrubienia. A dlaczego pan...

Hoffmann nie dokończył pytania, bo Leon cisnął słuchawkę na widełki i ruszył do wyjścia.

— Bardzo mi pan pomógł, doktorze! I bardzo polecam panu Staffa, to wielki poeta! — rzucił od progu i zniknął w ciemnym korytarzu. W drzwiach gabinetu ukazał się wystraszony gimnazjalista, który widząc wściekłą minę Makowskiego, stropił się

jeszcze bardziej.

Ślad był wprawdzie nikły, ale Gajewski miał zamiar wykorzystać szansę i odpowiednio przycisnąć pana radcę. Urzędnik mieszkał niedaleko stąd, przy Goethestrasse, nieopodal budynku Starostwa Powiatowego. Okolica była przepiękna i spokojna. Ulica Goethego przylegała do parku, który o tej porze był licznie odwiedzany przez bony nadzorujące dzieci, które biegały po zrudziałych trawnikach i wdrapywały się na drewniane urządzenia do zabaw, nie bacząc na upomnienia opiekunek. Kobiety czyniły to z obowiązku, bardziej bowiem zajęte były plotkowaniem między sobą.

Przed domem, w którym mieszkał radca Gamrath, stał czarny, kryty opel. Leon poczuł przypływ nadziei, że może nareszcie puzzle zaczynają układać się w sensowną całość. Przypomniawszy sobie jednak też radę Eckerta, który kazał być do końca nieufnym wobec najbardziej nawet oczywistych faktów. Stary lis wiedział, co mówi, w końcu w austriackiej policji pracował jeszcze przed wielką wojną. Mimo wszystko Gajewski nie potrafił trzymać emocji na wodzy. Przyłapał się na tym, że po wizycie u Makowskiego nawet nie zapiął płaszcza, chociaż mróz się wzmógł, a niskie, szarobure chmury zwiastowały rychły śnieg.

Na schodach natknął się na Krawczyka, który zdążył już złożyć wizytę w domu Gamratha.

— Nie ma go. Służąca mówi, że wyjechał nad ranem bez słowa wyjaśnienia.

— To nie jego automobil?

— Najwidoczniej nie.

Gajewski skarcił się w myślach za zbyt pochopne wyciąganie wniosków. Rzeczywistość była bardziej złożona i nie tak logiczna, jakby tego chciał jego umysł. Musiał nauczyć się wobec niej pokory.

— Przeszukałeś mieszkanie Gamratha? — spytał Krawczyka.

— No jak? Bez nakazu?

— Nie pamiętasz, co mówił Iwaszko? Mamy całkowicie wolną rękę. Nakaz załatwi się później. Wracamy tam.

Stara, zasuszona służąca zdziwiła się, widząc policjanta w towarzystwie kolegi.

— Panowie znaleźli pana? — zapytała z niepokojem.

— Nie, ale mamy nadzieję go znaleźć. Chcemy rozejrzeć się po mieszkaniu — powiedział Gajewski i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

— Pan radca często tak znika? — rzucił Leon, rozglądając się uważnie po przedpokoju.

— Często? Nie wiem... nie pamiętam... — Kobieta była wyraźnie zmieszana, co nie uszło uwagi policjantów.

— Chcemy obejrzyć gabinet pana radcy — powiedział Gajewski.

— Oj, pan radca nikomu nie pozwala tam wchodzić — odparła zatroskana o los gabinetu służąca.

— Rozumiemy. Ale my tam musimy wejść. Więc jak, da nam pani klucze do gabinetu? — Leon powiedział to uprzejmie, ale z wyraźnym naciskiem. Starowina pogrzebała chwilę w przepastnej kieszeni fartucha i wyjęła z niej klucz. Gajewski wziął go bez słowa i otworzył gabinet Juliusa Gamratha. Wywiadowca aż gwizdnął z wrażenia.

Gabinet miał jedno okno wychodzące na północ, panował więc tutaj półmrok i chłód. Na ścianie, nad fotelem przysuniętym do masywnego biurka, wisiało godło Prus — czarny orzeł z tarczą herbową Królestwa Prus na piersi, a obok niego portrety kanclerza Ottona von Bismarcka i ostatniego cesarza Wilhelma II. „Państwowemu” charakterowi pomieszczenia zdawały się jednak przeczyć ustawione na marmurowych kolumnach posągi, przedstawiające nagie kobiece i męskie ciała, a także trzymane pod szkłem japońskie ryciny, prezentujące różnorakie konfiguracje damsko-męskie. Sporym szokiem dla policjantów przeszukujących pokój był przycisk do papieru — odlana w brązie miniatura fallicznego totemu, czegoś takiego nigdy w życiu nie widzieli. Szuflady biurka były zamknięte na klucz, którego jednak wywiadowcy nigdzie nie dostrzegli.

— Mogłaby nam pani zrobić po filizance kawy? Jesteśmy na służbie od wczesnego ranka i bardzośmy zmarzli — powiedział słodkim tonem Leon, a kobieta z nawyku dygnęła i odeszła przyrządzić kawę. Było kilka minut na to, aby dostać się do wnętrza biurka.

Leon rozejrzał się i dostrzegł nożyk do papieru, leżący na zielonej, skórzanej macie

na biurku. Wziął ostry przyrząd i zaczął nim manipulować przy mosiężnym zamku. Po chwili zamek ustąpił i podkomisarz wysunął szufladę. Były w niej odręczne notatki, pisma urzędowe, stare bilety na spektakle teatralne i przedawnione rachunki z pralni.

W drugiej szufladzie znalazł teczkę z wycinkami prasowymi na temat pracy Rady Miejskiej, a radcy Gamratha w szczególności.

Ale dopiero w trzeciej, najniższej szufladzie natrafił na prawdziwą bombę. W blaszanym pudełku po herbatnikach radca Gamrath trzymał pokaźną kolekcję pornograficznych fotografii. Przedstawiały na ogół kobiece akty z modelkami upozowanymi na odaliski, erotyczne zabawy damsko-damskie lub damsko-męskie, ale było też kilka fotografii nieletnich efebów, których jedynymi okryciami były wieńce laurowe na głowach, a w jednym przypadku — starożytna lira. Chłopiec trzymający lirę przypominał z twarzy Karla Blocha, ale był kilka lat młodszy od niego. Na jednym ze zdjęć otyła matrona trzymała na kolanach może dwunastoletnią dziewczynkę — w rysach twarzy małej można było doszukać się podobieństwa do Eleonore Bloch.

Było coś, co łączyło wszystkie zdjęcia — na ich odwrocie widniał ten sam znak — odwrócony trójkąt z wpisanym w nim, ozdobnie zawiniętym znakiem zapytania.

W czasie gdy Leon penetrował biurko, Krawczyk przetrząsał książki z regału. Z jednej z nich wysypały się banknoty dolarowe, w sumie niezła jak na te czasy sumka stu zielonych. Krawczyk, trzymając banknoty w ręku, zapytał Leona wzrokiem, co zrobić z tym znaleziskiem. Gajewski machnął ręką na znak, żeby schować z powrotem. Krawczyk zrobił to, choć przez moment zaswędziała go ręka, żeby co nieco z tej kwoty sobie skubnąć. W chwili, gdy odkładał książkę na półkę, zauważył, że za rzędem tomów powieści i słowników znajduje się okrągła mosiężna klamka. Krawczyk przekręcił ją i wtedy cały regał ruszył w jego stronę, po czym nagle skręcił w prawo. Był umieszczony na zmyślnej prowadnicy. Po jego odsunięciu oczom policjantów ukazała się niezbyt głęboka wnęka, rodzaj szafy ściennej, wypełnionej akcesoriami, które na pierwszy rzut oka kojarzyły się z wyposażeniem teatralnej garderoby. Wisiał tam trójgraniasty kapelusz obszyty złotą nicią, pod nim czarna wenecka maska, niżej długa aksamitna peleryna, a pod nią zaś stały skórzane buty z wysokimi cholewami i ostrogami. Wszystko było w smolistoczarnym kolorze.

— Casanova, jak babcię Kocham — powiedział zdumiony Krawczyk, którego dwie

trzecie twarzy przykrywała teraz czarna, wenecka maska, zdjęta z wieszaka we wnęce.

Naraz rozległ się brzęk filiżanek stojących na metalowej tacy, więc Krawczyk zerwał z twarzy maskę, a Leon błyskawicznie powsuwał z powrotem szuflady i schował w wewnętrznej kieszeni płaszcza plik fotografii.

— Miałbym do pani jeszcze jedną prośbę. Chciałbym skorzystać z telefonu — powiedział Leon, upijając spory łyk czarnej kawy i odstawiając filiżankę z powrotem na tacę, wciąż trzymaną przez służącą, która stała w progu. Nie wiedziała bowiem, czy może przeszkadzać panom policjantom.

Gajewski wypowiedział kilka szybkich słów do telefonu, po czym rozkazał Krawczykowi, żeby czekał na przybycie wywiadowców, którzy dokładniej przetrząsną mieszkanie Gamratha. Sam zamierzał dowiedzieć się — i to szybko — kto i gdzie wykonał sprośne fotografie.

Krawczyk również posmakował czarnego płynu, po czym ukłonił się szarmancko i rzekł:

— Pan radca Gamrath ma w domu prawdziwy skarb!

Dopiero teraz, kiedy kobieta weszła do pokoju i zobaczyła w całej krasie tajemną szafę swego pracodawcy, srebrna taca wraz z miśnieńską porcelaną wypadła jej z rąk.

Leon jeszcze raz przekonał się, że doskonała pamięć wzrokowa bardzo przydaje się w jego fachu. Zwykle nie miał problemu z odtworzeniem raz zobaczonej części modelu okrętu. Wystarczyło jedynie przyjąć odpowiednią skalę. Symbol z fotografii znalezionych u Gamratha wydał mu się również znajomy, choć uświadomił to sobie dopiero po dłuższej chwili, dokładnie w momencie, gdy zobaczył Krawczyka w czarnej masce. Kiedy był jeszcze chłopakiem, oglądał z kolegami podobne zdjęcia w gimnazjalnej toalecie, gdzie zamykali się na dużej przerwie, aby wymieniać się tego rodzaju „asortymentem” i bardziej lub mniej fikcyjnymi doświadczeniami erotycznymi. Lepiące się fotografie wędrowały z rąk do rąk, a na twarzach kilkunastoletnich chłopców wykwiwały niezdrowe rumieńce. Leon już nie pamiętał, kto przynosił te zdjęcia, może ten gruby Franz Rohlke, zwany Świńskim Karkiem, którego ojciec był komiwojażerem i zdarzało się, że przywoził z podróży różne suweniry.

Komisarz zapamiętał jednak ten znaczek — odwrócony trójkąt z węzowatym

pytajnikiem wydawał mu się wtedy symbolem tajemnej wiedzy, którą bardzo chciał posiadać, a dzisiaj — kiedy ta wiedza nie miała już w sobie takiego waloru tajemniczości co w czasach szczeniackich — kolejnym ponurym rebusem niewidzialnego reżysera, rebusem, który należało rozgryźć jak karalucha. Gajewski skrzywił się na samą myśl o rozgryzaniu karalucha. Jego wyobraźnia coraz bardziej ogniskowała się wokół tego, co ohydne, była jak magnes, który przyciąga tylko zło i brzydotę.

Jadąc tramwajem w stronę centrum, wyteżał pamięć, żeby dokładnie odtworzyć moment, kiedy wraz z kolegami rozszyfrowali tajemny znaczek z pornograficznych odbitek. Dochodzili do tego poprzez ciąg skojarzeń. Odwrócony trójkąt — kobiece łono, zawijas pytajnika — wąż z odrąbaną głową. Kobiece łono — pramatka Ewa, wąż z odrąbaną głową — szatan, diabeł. Ewa, głowa, wąż — Eva Rohrkopf. Ewa, człowiek, diabeł — Eva Manteufel.

Przeglądając książkę adresową miasta Bydgoszczy na Poczcie Głównej przy Wilhelmowskiej, Gajewski nie znalazł żadnej z tych osób. A może wcale nie rozszyfrowali wtedy tego rebusu? Niewykluczone, że wystarczyło im to, że mogą bawić się w odkrywców. Dzisiejszy Leon Gajewski nie był już niewinnym odkrywcą skarbów na bezludnej wyspie. Jeśli zaś zostało mu coś z odkrywcy, to wyspą było miasto — nie tak cnotliwe, na jakie wyglądało, a skarbem — prawda, która — jak cynicznie, choć szczerze stwierdził Dolatowski — nikogo tu nie obchodziła.

Leon przewertował strony z adresami i reklamami atelier fotograficznych. Było jedno na Berlinerstrasse, co pasowałoby do symbolu trójkąta. Ale Gajewski, który robił tam sobie zdjęcia legitymacyjne od czasów szkolnych, znał jego właściciela Eugeniusza Ziuzio. Pan Genio był zatwardziałym kawalerem, a jedynym „grzechem”, na jaki sobie pozwalał, był niedzielny kufel piwa w restauracji „Parkhaus” nad kanałem.

Nagle w przestronnym holu pocztowym rozniosło się głośne plaśnięcie. To Leon Gajewski z całej siły pacnął się otwartą dłonią w czoło.

— Kręta! — powiedział głośno, zwracając uwagę młodej dziewczyny, która wypisywała kartkę imieninową, stojąc przy wysokim pulpicie.

Leon przypomniał sobie, że przy ulicy Krętej, po niemiecku Krumme Gasse, stał czerwonoceglasty budynek z charakterystycznym rzygaczem przypominającym głowę

węza. Gajewski wyszedł z poczty bocznymi drzwiami od strony krótkiej Löwestrasse, która łagodnie opadała w stronę Brdy. Skręcił w prawo i znalazł się na szerokim nabrzeżu Hermanna Frankego, przez Polaków zwanym Starym Portem. Parowy dźwig przeładowywał worki z ziemniakami z barki na platformę, zaprzęzoną w parę koni. Robotnicy z innej barki, zgięci pod ciężarem worków z mąką, nosili je na wóz, obok którego stał wąsaty woźnica i rozmawiał wesoło z młodą kwiaciarką. Od strony mostu Gdańskiego dobiegł dzwonek tramwaju, niewielki holownik przeciągłym buczeniem syreny dawał znak, że zamierza przybić do przystani na Rybim Rynku. Barka „Annelise” stała bez ruchu, opuszczona przez swoich gospodarzy. Przy trapie kręcił się tylko znudzony policjant, ale nikt już nie zwracał specjalnie uwagi na to miejsce.

Chmury snuły się nisko od wschodu, od strony Fordonu, a przenikliwy wiatr dawał się we znaki przechodniom. Na ulicach było mnóstwo wojska, po oficjalnych uroczystościach na Rynku część żołnierzy udała się do koszar na Londynku, przy Szubińskiej albo pod Lasem Gdańskim, ale wielu mundurowych czas wolny postanowiło spędzić w mieście, odwiedzając knajpy, kabarety, kina, a także lupanary, które pracowały pełną parą.

Leon musiał ostrożnie stąpać, bo kocie łby trotuaru były oblodzone, a nie wszyscy dozorczy pamiętali o posypaniu ich popiołem. Gdy znalazł się po drugiej stronie mostu Gdańskiego, przez chwilę zastanowił się, czy nie wstąpić do knajpy „Pod Złotym Łososiem”, ale uznał, że o tej porze będzie tam zbyt duży tłok. Z zadowoleniem stwierdził jednak, że w restauracji „Fryderykowskiej” obok spichrzy, vis-à-vis „Bristolki”, nie ma zbyt dużego ruchu. Wszedł więc i zamówił obiad złożony z golonki i kapusty, do czego — mając na względzie przestrogi Eckerta — wziął butelkę lemoniady. Po chwili kelner postawił przed nim dymiący półmisek z okazałym pościem tłustej golonki i kopą młodziutkiej kapusty. Leon zaczął pałaszować, delektując się harmonią smaku soczystego mięsiwa, przypieczonego tłuszczu i kwaskowato-słodkiej kapusty. Kiedy nie było akurat pod ręką gazety, w której lubił zatopić się podczas jedzenia, zwykł podsłuchiwać ludzi przy sąsiednich stolikach. Przy jednym z nich właśnie wyniknął spór na temat: czy zabójstwa na „Annelise” dokonano na tle politycznym, czy jakimś innym. Stroną optującą za tym pierwszym motywem był — sądząc po akcencie — bydgoski Niemiec, z którym nijak nie chciał zgodzić się

miejscowy Polak. Posługiwali się specyficzną i mało zrozumiałą mieszanką niemiecką i dialektu wielkopolskiego, ale w niczym nie przeszkadzało im to we wspólnym wznoszeniu kolejnych toastów sznapsem.

— Ty, Jorg, od kiedy ty się znosz na polityce? Jo żem myślał, że ty się ino znosz na handlu... Tamci z barki to pewnie jakoś sekta, masony albo inne szataństwo.

— Ja, ich na stolarce się znam, ale swój rozum też mam. Warum tyłu Niemców wyjeżdża tera z Brombergu? Boją się. O to właśnie w tym wszystkim chodziło. Bromberg ma być ein Deutschefrei Stadt!

— Ty, ze szramą, co się tak gapisz?!

Leon nie odpowiedział na zaczepną uwagę Polaka i szybko skierował wzrok w przeciwną stronę.

— Pytałem o coś czy nie? — Znowu usłyszał ten sam głos. Otyły Polak stał przy jego stoliku, lekko chwiejąc się na nogach. Wypity od rana sznaps pałał w jego przekrwionych oczach.

— Siadaj na miejsce albo twój świński ryj wylądaje w talerzu — wycedził spokojnie Gajewski.

Grubas chwycił go oburącz za ubranie, ale był to jedyny chwyt, na jaki było go stać. Leon jednym szybkim ruchem podbił jego ręce i w chwili, gdy zdumiony pijaczek miał ponownie ruszyć na niego, policjant złapał go za włosy i gwałtownie pociągnął w dół. Twarz grubaska trzasnęła w blat stołu, naczynia podskoczyły z brzękiem, ale się nie stłukły. Trzymając zakrwawioną twarz Polaka mocno przy blacie, drugą ręką Leon wysypał na jego głowę resztki jedzenia. Pojawił się wielki, gruby ober pełniący tu również funkcję ochrony.

— Ten pan właśnie miał wychodzić. — Leon mruknął porozumiewawczo do mężczyzny, który wprawnie złapał półprzytomnego gościa pod rękę i dyskretnie mu ją wykręcając, wyprowadził go na tyły lokalu, gdzie potężnym kopniakiem dał mu do zrozumienia, że restauracja „Fryderykowska” nie toleruje chamstwa.

Leon dopił lemoniadę, zapłacił i wyszedł, odprowadzony nieprzyjaznym spojrzeniem Niemca, który właśnie stracił rozmówcę i — co najważniejsze — sponsora.

Pomalowane czarnym pokostem drewniane drzwi czerwonoceglastego budynku na Krumme Gasse były zamknięte. Leon jeszcze raz szarpnął stalowym rygłem i naparł na nie całym ciałem, ale trzymały się mocno. Przerdzewiały rzygacz z blachy cynkowej zwieszał się nad rynsztokiem z wysokości jakichś dwóch metrów. Światło prześwitywało przez otwory, które wyżarła korozja.

— I przyjdzie niepokalana dziewica, i zetrze głowę węża — mruknął Gajewski, zastanawiając się, czy wiernie cytuje biblijne proroctwo.

Budynek był jednopiętrowy. Okno na parterze było zakratowane i od środka zabite dyktą. Mniejsze okienka na poddaszu wyposażone były w matowe, w wielu miejscach powybijane szybki. Całość wyglądała na jakiś magazyn. „Gdzieś tu musi być drugie wyjście” — pomyślał Leon i ruszył w kierunku krótkiej i wypełnionej kramami koszykarskimi Scharrenstrasse, czyli ulicy Jatki. Wszedł pod niską powalę parterowego budynku, przytulonego do czerwonoceglastego magazynu, i znalazł się w ciemnym, zatechłym wnętrzu wypełnionym wiklinowymi koszami różnej wielkości, kuframi, łódeczkami i wózkami dziecięcymi, krzesłami i stolikami. Siedzący na niskim stołku mężczyzna w roboczym fartuchu spojrzał na niego obojętnie i wrócił do wyplatania kosza. Leon popchnął niskie, krzywo wiszące w zawiasach drzwi, które otworzyły się na wybrukowane kocimi łbami ciasne podwórko. Piętrzyły się tu stosy powiązanych w grube pęki wiklinowych witek, a na trzepaku bawiła się umorusana dziewczynka. Mała znieruchomiała, siedząc na metalowej poprzeczce trzepaka, i wbiła w obcego przybysza ciekawe spojrzenie wielkich oczu.

— Powiedz mi, czy tutaj ktoś jest? — zapytał ją Gajewski, wskazując czerwonoceglasty budynek. Był on z tej strony wyposażony w rampę, ale szerokie wrota były lekko uchylone.

Dziewczynka nie odpowiedziała na pytanie, zeskoczyła z trzepaka i wbiegła do sieni, skąd po chwili dobył się skrzekliwy kobiecy głos:

— Idź no po wyngiel do piwnicy, zimno tu jak w psiarni...

Leon nie przysłuchiwał się dłużej odgłosom życia domowego, tylko zajął się wrotami do magazynu. Wnętrze wyglądało na opuszczone. Nikłe światło padające od drzwi i przez szpary w oknach pozwalało dostrzec stare maszyny stolarskie: piły,

heble, tokarki, pokryte grubą warstwą kurzu wymieszanego ze smarem, obleczone welonami pajęczyn, na których światło układało się w fantazyjne łuki, sklepienia i nagłe urwiska.

Starając się nie robić hałasu, Gajewski torował sobie drogę wśród resztek desek, listew i wiórów. Wreszcie dotarł do schodów prowadzących na piętro. Nagle zamarł — dobiegła go stamtąd muzyka z patefonu. Nie był wielkim sympatykiem opery, ale w męskim zawodzącym głosie rozpoznał samego Caruso, śpiewającego arię Nadira z *Poławiaczy pereł* Bizeta. Muzyka była coraz głośniejsza. Wreszcie Leon zatrzymał się przed ścianką działową, oddzielającą przeznaczone na magazyn poddasze od czegoś w rodzaju pakamery. W ścianie był niewielki prostokątny otwór zasłonięty sztywną skórzaną kotarą. Wydostawało się spod niej jaskrawe światło. Leon ostrożnie odchylił kotarę i zajrzał do wnętrza pomieszczenia. Było znacznie większe, niż się spodziewał. Z reflektorów ustawionych na stojakach w dwóch rogach pokoju biło ostre światło. Padało na szerokie łóże, na którym nagi, na oko trzydziestoparoletni mężczyzna zabawiał się z dwiema dziewczynami. Były również nagie, ale znacznie od niego młodsze. Mogłyby być jego córkami. „Aktorzy” trzęśli się z zimna, bo w pomieszczeniu nie było żadnego ogrzewania, poza tym pochodzącym od lamp. Naprzeciw nich, przy aparacie fotograficznym umieszczonym na statywie, uwijał się niewysoki mężczyzna w rozpiętej koszuli i spodniach na szelkach. Stał odwrócony tyłem do Leona. Wydawał osobom na łóżku krótkie polecenia, po czym przykrywał głowę czarną płachtą i naciskał migawkę aparatu.

Leon stał dłuższą chwilę jak zauroczony, wpatrując się w „gimnastykę” uprawianą przez trójkę na łóżku. Musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie widział na żywo kochających się ludzi, a co dopiero od razu trójkę! W końcu jednak przypomniał sobie, że jest policjantem, i na wszelki wypadek odpiął pistolet w kaburze. Już miał wkroczyć do środka, kiedy usłyszał za sobą kroki, a gdy się odwrócił — ujrzał tuż przed sobą człowieka przypominającego olbrzyma z bajki o Wyrwidębie, którą dawno temu czytała mu matka.

Był to ostatni obraz, jaki zarejestrował jego mózg, zanim pogrążył się w odmiennym stanie świadomości. Kułak wielkości pulchnej szneci z glancem uderzył w twarz Gajewskiego z taką siłą, że policjant wleciał do atelier, zrywając po drodze zasłonę

z wejścia, i upadł do stóp zupełnie zdębiałego fotografa. Widział, a może tylko śnił, że ktoś pochyła się nad nim, sprawdza jego dokumenty i co gorsza zabiera służbową broń, a on próbuje stawiać opór, ale jego członki nie chcą go słuchać — leżą bezwładnie na podłodze z surowych desek uwalanej olejami technicznymi i wieloletnim kurzem. Świat wiruje wokół jego głowy, pochylone nad nim twarze zlewają się w jedno maźnięcie. Zapada w ciemność wypełnioną jednostajnym szumem, a potem nie czuje już nic.

Gdy odzyskał przytomność, zdumiało go, że leży w jakimś wyziębionym, obskurnym pomieszczeniu, którego jedynym wyposażeniem było łóżko z baldachimem, posłane zużytą aż do szarości pościelą. Przez szparę między dyktą a brzegiem okna wpadało słabe światło, zbyt blade, aby mogło być światłem dnia.

Leon Gajewski usiłował przypomnieć sobie, dlaczego znalazł się w tym miejscu. Stopniowo z magmy obolałego mózgu zaczęły napływać wspomnienia, które po jakimś czasie ułożyły się w miarę logiczny ciąg. Dotknął dłonią twarzy — ból pulsował od opuchniętego i gorącego jak piec nosa, z którego zwisały zaschnięte jęczory krwi. Wargi były sklezione jakąś stwardniałą substancją, prawdopodobnie również krwią, a oczy — zwężone jak u Kałmuka, za sprawą opuchniętych powiek.

Gajewski wstał z podłogi, co było dobrym znakiem — poza zmasakrowaną twarzą nie miał innych obrażeń. W głowie mu huczało sto tysięcy silników parowych pracujących na maksymalnych obrotach. Wymacał ręką portfel — dokumenty były w komplecie, brakowało jednak gotówki. Pusta była także kabura od rewolweru. „Eckert mnie zabije” — pomyślał Leon, chwytając się za pękającą z bólu głowę.

Zwłóknął się po schodach na podwórko, które teraz tonęło w ciemnościach. Przedostając się przez warsztat koszykarski, wpadł w jakieś nieukończone wyroby wikliniarskie i boleśnie pokaleczył się w ramiona o wystające końcówki wiklinowych witek. Zaklął siarczyście, a w głębi sieni otworzyły się drzwi i jakiś mężczyzna krzyknął z nich:

— Pójdiesz mi stąd, pijoku! Chcesz, żebym zawołał policję?!

— Ja jestem z policji — powiedział słabym głosem Gajewski, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie wiązaną najplugawszych przekleństw.

Pomyślał, że mimo wszystko musi jak najszybciej skontaktować się z Eckertem.

Postanowił wstąpić do „Fryderykowskiej”, żeby zatelefonować. Ale u wylotu Mostowej natknął się na patrol Straży Obywatelskiej, która z braku odpowiedniej liczby prawdziwych policjantów pełniła służbę w mieście. Starszy jegomość z opaską na rękawie płaszcza z futrzanymi wyłogami i w wysłużonym kapeluszu, oglądając Gajewskiego w świetle gazowej latarni, zapytał, gdzie się tak zaprawił.

— To długa historia. Muszę skontaktować się z nadkomisarzem Eckertem z policji kryminalnej — próbował przekonać porządkowych Leon.

— A ja muszę rozmówić się z Naczelnikiem Piłsudskim! — zażartował starszy i już znacznie groźniejszym tonem zażądał: — Dokumenty!

Gdy dokładnie obejrzał papiery Gajewskiego, przez chwilę szeptem naradzał się z kolegą, po czym oznajmił wywiadowcy:

— Sam pan tak nie może chodzić po nocy. Odstawimy pana na miejsce.

Jego kolega poszedł na pobliski postój dorożek na Rynku i po chwili władowali nie do końca jeszcze przytomnego Gajewskiego na kanapę. Sami usiedli po jego obu stronach, jakby konwojowali skazańca. Leon zresztą czuł się nie lepiej niż skazaniec.

— Kurwa, Gajewski, gdzieżeście się tak urządzili!?! — ryknął Eckert, widząc Leona wprowadzanego przez dwóch funkcjonariuszy Straży Obywatelskiej do jego gabinetu.

— Melduję, że znaleźliśmy go na rogu Krętej i Mostowej — wyjaśnił starszy, po czym Eckert podziękował im i pozwolił się odmeldować.

Nadkomisarz podszedł do siedzącego na krześle przesłuchiwanego Leona i pochylił się nad nim, pociągając kilkakrotnie nosem.

— Nie piliście. To dlaczego wyglądacie, jakbyście dopiero co stoczyli walkę z Jackiem Dempseyem! — Ryk Eckerta wzmaczał ból rozsadzający głowę Gajewskiego.

Nadkomisarz otworzył drzwi i krzyknął na dyżurnego, żeby sprowadził kogoś z ambulatorium do rannego. Przychodnia przy pobliskiej Grünstrasse przeznaczona było wprawdzie dla prostytutek podejrzanych o nosicielstwo chorób wenerycznych, ale korzystali z niej od czasu do czasu również sami policjanci.

— No więc, co się stało? — zapytał łagodniej Eckert, zapalając swoją fajkę. Gajewski ze złością stwierdził, że zwinęli mu też papierośnicę i zapalniczkę, wziął sobie więc papierosa z okrągłego zasobnika, stojącego na biurku szefa, i przypalił go

jego zapalkami.

Leon zaciągnął się najgłębiej, jak tylko mógł. Poczł klucie dymu w płucach, ale jego mózg zaczął pracować nieco sprawniej, pobudzony dawką tego wspomagacza. Opowieść Gajewskiego nieco się rwała, ale Eckert słuchał jej z uwagą. Gdy Leon skończył, końcówka papierosa była tuż przy jego palcach. Zdusił go w mosiężnej popielniczce i czekał na reakcję szefa. Eckert już nabierał powietrza w płuca, żeby coś powiedzieć, ale do gabinetu wszedł felczer w niedbale zapiętym białym fartuchu i bez słowa przystąpił do opatrywania Gajewskiego. Kiedy namoczoną w wodzie utlenionej gazą dotknął nosa, policjant krzyknął z bólu.

— Złamany — orzekł spokojnie felczer i kontynuował swoją pracę. Po jej zakończeniu twarz Gajewskiego wyglądała osobliwie — na nos miał założony opatrunek, a ponieważ białka jego zwężonych oczu zalane były krwią z popękanych naczyń krwionośnych, upodobił się do postaci z niemieckich filmów grozy, które w tym czasie cieszyły się sporą popularnością.

— Robić zimne okłady i nie pokazywać się na mieście, żeby dzieci nie straszyć — zaśmiał się sanitariusz, zanim wyszedł z gabinetu.

— Spieprzyłeś to na całego — powiedział Eckert. — Jedyne, co mamy na Gamratha, to jakieś obrazki, czyli nic. Atelier z Krumme Gasse zniknęło pewnie już na dobre i być może nigdy nie dowiemy się, kto je prowadził. A ty dałeś się podejść jak gówniarz, że o mało cię nie załatwili na amen. Niezły wynik jak na dwa dni sprawy. I jak ja teraz wyjaśnię Dolatowskiemu, co zrobiłeś z bronią?! Właściwie powinienem cię wywalić... Może w komisariacie na prowincji nauczyłybyś się trochę pokory.

Leonowi było głupio. Zagrał chojraka, zapomniał, że w policji liczy się robota zespołowa. Nie mówiąc o tym, że jego twarz nabrała teraz kolejnej cechy twarzy rasowego bandyty. Pierwszą zdobył w marcu 1917 roku na froncie wschodnim. Jego oddział tkwił w okopach gdzieś pod Pińskiem na Białorusi. Wiosenne roztopy zamieniły ziemię w lepiącą się, czarną breję; błoto było wszędzie — na rękach, twarzach, włosach, w oczach i w myślach. Czarne, błotniste myśli dokuczały bardziej niż wszy i niegojące się rany. Kapral Leon Gajewski próbował je przeganiać w sposób, który uznawał za najlepszy w tej sytuacji — pijąc na umór. Ze zdobyciem alkoholu nie było kłopotu — prawie w każdym z okolicznych domostw pędzono

samogon, szary jak mydliny i mocny jak kopniak w podbrzusze. Już po paru łykach palącego gardło płynu błotniste myśli o śmierci zaczynały rozpadać się na części pierwsze, oddziały rosyjskich maruderów dokonujących rzezi na okolicznej ludności i bandyckich wypadów w głąb pozycji niemieckich były tylko odległymi echemi, a zdająca się nie mieć początku i końca wojna — zabawą obłąkanych chłopców. W niejedną noc ochrypli śmiech kaprala Gajewskiego i jego równie urzęniętych kolegów niósł się po błotnistej równinie.

W jedną z takich pijackich nocy kapralowi Gajewskiemu przyszło zagrać niechcianą rolę bohatera wojennego. Gnili w okopach pełnych cuchnącej wody, a z wieży pobliskiego drewnianego kościółka nękał ich ogniem niemiecki snajper. Dowódca ich oddziału, strachliwy Saksończyk, nie miał pomysłu, jak pokonać tę przeszkodę, a tym samym dostać się do reszty ich wojsk, od których zostali odcięci. Więc pewnej pijanej nocy Gajewski postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zabrał kanister z benzyną, pod osłoną ciemności i mgły zakradł się pod kościół, następnie oblał go paliwem i podpalił. Mała cerkiew spłonęła razem z niemieckim strzelcem. Gajewski poparzył się przy tym, niezbyt groźnie, ale na tyle poważnie, że został odesłany do domu. Razem z Krzyżem Żelaznym za męstwo na polu walki.

— Idź do domu i wracaj do roboty, jak zaczniesz trochę przypominać człowieka — powiedział po ojcowsku Bolesław Eckert. Sam nie miał najmniejszej ochoty wracać do swojego pustego mieszkania przy Viktoriastrasse. Zamierzał popracować jeszcze trochę nad papierami sprawy, która od prawie czterdziestu ośmiu godzin była dla niego dogodnym wytłumaczeniem bezsenności, mimo że tak naprawdę nie mógł spać już od niemal miesiąca.

Kiedy drzwi zamknęły się za Gajewskim, zaczął wertować dokumenty znalezione w mieszkaniu Juliusa Gamratha. Odłożył na bok napawające go autentycznym wstrętem fotografie, zostawione przez komisarza. Wziął w rękę niewielki, prostokątny kartonik z wypukło wydrukowanym napisem: „Towarzystwo Literackie »Requiem Aeternam«. Karta członkowska nr 43”. Stary policyjny nos podpowiadał Eckertowi, że za tym kawałkiem papieru może kryć się trop wiodący prosto do wyjaśnienia tajemnicy śmierci rodziny Blochów. Nadkomisarz przypomniał sobie słowa profesora Gintera.

Sprawca mógł mieć coś wspólnego ze środowiskiem artystycznym. Zdobyć chirurgicznego narzędzia nie powinno przysparzać trudności człowiekowi, który ma znajomych lekarzy. Pozasłużbowe, by tak rzec, zainteresowania pana radcy również pasują do profilu psychologicznego. Motywem mogła być na przykład groźba ujawnienia przez Blochów niezdrowych fascynacji Juliusa G. „A więc... ale gdzie do cholery ulotnił się Gamrath?!” — z niecierpliwością pomyślał Eckert. Miał nadzieję, że jego dwa psy gończe, Krawczyk i Jacyna, szybko uporają się z odpowiedzią na to pytanie.

Po wyjściu z budynku Komisariatu Głównego nadkomisarz Eckert kazał szoferowi zawieźć się nie jak zawsze, na Viktoriastrasse, ale pod Bibliotekę Miejską przy Rynku. Powtarzając w myślach dwa słowa: „requiem aeternam”, wszedł do klasycystycznego gmachu miejskiej ksiąźnicy. Pokazując portierowi legitymację policyjną, zażądał, aby zaprowadził go prosto do czytelní. W obszernym pomieszczeniu nie było już żywej duszy. Eckert włączył światło i jednym spojrzeniem ogarnął wysokie regały z księgozbiorem.

— Możecie odejść. Klucz oddam, jak skończę — powiedział sucho do portiera, który szurając obcasami o kamienną posadzkę, oddalił się do swojej komórki.

Nad Bydgoszczą zapadł wczesny zmierzch. Gazowe latarnie rozsnuwały wokół siebie kokony światła. Ulicami przetaczał się tłum ludzi, którzy nie bacząc na ziąb, postanowili spędzić ten karnawałowy wieczór wspólnie z innymi. Wydawało się, że w takie wieczory nawet dzwonki tramwajów brzmią uroczyściej.

Nagle w górę strzeliły świetlne race, rozsypując wokół iskry niczym rozpadające się komety. Powietrze wypełniło się hukami petard i zapachem karbidu. Na tle ciemnognatowego nieba powstawały i ginęły gwiazdne konstelacje, minigalaktyki rozplýwały się w ciemności, a w dole, na placach i skwerach rozbrzmiewał ludzki gwar. Bydgoszczanie wkraczali na „nową drogę życia”, a razem z nimi — ich miasto.

Ale pewien przechodzień wolał tego wieczoru unikać ludzkich spojrzeń i uciekał przed atmosferą karnawału wyzwolenia. Przemykał chyłkiem pod murami, z pochyloną nisko głową i wysoko postawionym kołnierzem, z twarzą ukrytą w mroku, z rękami w kieszeniach i z myślami kręcącymi się wokół jednego: jak odzyskać zaufanie

kolegów i jak odzyskać szacunek do samego siebie?

Przechodniem tym był wywiadowca kryminalny Leon Gajewski, który drepcząc ulicą Wilhelmowską w kierunku Okola i licząc, że złapie jakiś tramwaj, wyobrażał sobie reakcję swoich rodziców, kiedy zobaczą go w tym stanie w domu. Wyobrażał sobie gderanie ojca i pełne bólu spojrzenie matki. Wyobrażał sobie, że znowu zobaczą w nim jedynie gorszą wersję Zygmunta, a on z tego powodu znowu poczuje do nich żal i przeklnie w myślach swojego brata, który nawet po śmierci nie daje mu zapomnieć, kto tu jest prymusem. „Szkoda, że nie ma Teresy!” — westchnął Leon na myśl o młodszej siostrze. Była powiernicą jego tajemnic, odkąd zauważył, że wyrosła już z wieku, w którym dziewczynki trzymają z dziewczynkami, a chłopcy z chłopcami. Ale mieszkała w Berlinie, dokąd wyjechała jeszcze w czasie wojny za pewnym przystojnym oficerem niemieckiego garnizonu, którego ściągnięto z Bydgoszczy. W wieku dwudziestu jeden lat wyszła za niego i zamieszkała w ogromnym apartamencie przy Unter den Linden. Teresa von Bockenheim brzmiało całkiem nieźle, ale dziewczyna utrzymywała z polską rodziną kontakty dość luźne. Leon podejrzewał, że stoi za tym niechęć jej męża do polskich powinowatych. Wiedział tylko, że niedawno urodziła chłopczyka, któremu dała na imię Sigmund.

Przez moment Leon rozważał możliwość zatrzymania się u Klary do czasu, aż z jego twarzy zejdzie szpetna opuchlizna. Ale nie chciał stawiać dziewczyny w niezręcznej sytuacji wobec właściciela kamienicy, od którego wynajmowała mieszkanie. Leon wiedział, że gdyby przyjęła go pod swój dach, byłaby tam (i nie tylko tam) skończona jako dziewczyna o porządnej opinii. Bydgoszcz była piękna i kosmopolityczna, ale nade wszystko była mieszczańska i konserwatywna. Zdarzało się przecież, że obywatele żądali, aby zakrywać posąg nagiej „Łucniczki” na czas mijającej go procesji Bożego Ciała.

Leon uznał, że najlepszym rozwiązaniem w jego sytuacji byłoby wynajęcie jakiejś kawalerki, która zapewniłaby mu dyskrecję i niezależność. Postanowił, że zajmie się tym, kiedy tylko znajdzie czas. Czyli — kiedy w końcu złapią zabójcę z „Annelise”. Póki co stwierdził, że w imię niezaogniania stosunków z rodzicami wróci grzecznie do domu i w miarę możliwości wślizgnie się do swojego pokoju, nie strasząc starych swoją facjatą.

Przechodząc koło bramy jednej z kamienic, mniej więcej naprzeciw Odwachu Głównego, usłyszał jakiś jęk. Przystanął i zbliżył się do przymkniętych, podgryzionych przez korniki wrót bramy. Pchnął wycięte w nich niewielkie drzwi i zobaczył, że w sieni prowadzącej na podwórze dwóch nieletnich oprychów obrabia pijanego w sztok faceta. Jego kapelusz leżał na wyszczerbionej posadzce, a on sam ledwie trzymał się na nogach. Podczas gdy jeden z młodocianych doliniarzy przytrzymywał pijaczka, szarpiąc go i grożąc użyciem noża, drugi szybkimi ruchami opróżnił jego kieszenie. Pierwsza myśl Leona — iść dalej. Zrobił już nawet ruch w przeciwnym kierunku, ale po raz kolejny górę wziął impuls, któremu Gajewski zawdzięczał swoje przezwisko. Chcąc wykorzystać element zaskoczenia, bezszelestnie wsunął się do sieni i dopiero wtedy z impetem ruszył na rabusiów. Ten, który okradał faceta, dostał szybki i precyzyjny cios podbródkowy, po którym bezwładnie osunął się na posadzkę. Drugi próbował dać dyla na podwórko, ale tym razem szczęście było po stronie Gajewskiego. Drzwi po przeciwległej stronie dziedzińca były zamknięte i nieletni bandyta kopnięciem w krocze został zmuszony spełnić żądanie policjanta, żeby nie próbował żadnych sztuczek. Leon dobrze opanowanym chwytem wykręcił mu rękę i poprowadził do kolegi, który próbował pozbierać się po niedawnym nokaucie. Obu chłopakom kazał oprzeć się rękami o mur i stać z szeroko rozstawionymi nogami. Opróżnił kieszenie znokautowanego z pieniędzy i przedmiotów, które zwędził facetowi, oraz rozbroił z noża sprężynowego. Drugiemu też zrobił rewizję, zabierając sprężynowiec. Postanowił przy najbliższej okazji wyrzucić obie „kosi” do rzeki. Strzelił zapalniczką i jej płomieniem na chwilę oświetlił twarze zatrzymanych. Znał ich ze Szwederowa, trudnili się drobnymi kradzieżami i doliniarstwem, ale najwidoczniej to im już nie wystarczało i przerzucili się na rozboje. Dzisiaj, korzystając z panującego w mieście rozprężenia, zdecydowali się na „gościnne występy” w Śródmieściu.

— No i co mam z wami zrobić? — zapytał i nie czekając na ich odpowiedź, zablefował: — Już wiem, skuję was, zostawię tutaj i pójdę po miejscowych chłopaków, żeby sobie z wami pogadali. Co wy na to?

— Panie władza, my nie chcielibyśmy mu nic zrobić, ino kieszenie wytrzepać — odezwał się ten, który próbował uciekać.

Jego kolega stał w milczeniu, wypluwając krew.

— Pan nas nie zostawia, obiecuję, że to się już nie powtórzy — zapewniał szwederowski cwaniak.

— Dzisiaj was puszczę, bo nie chce mi się patrzeć na wasze gęby. Ale jak jeszcze raz mi podpadniecie, to marny wasz los — zachrypiał Gajewski i na pożegnanie wymierzył każdemu z nich po soczystym kopniaku w tyłek.

Podszedł do chrapiącego w najlepsze pijaczka. Przejrzał jego dokumenty i stwierdził, że facet mieszka pod tym adresem.

— Idź pan spać — powiedział, podnosząc faceta z posadzki.

Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się niezrozumiały bełkot.

— No idź pan, pókim dobry! — huknął na niego, ale uznał, że to bezcelowe, bo facet sam do domu nie trafi. Chwycił go więc wpół, a jego lewą rękę zarzucił sobie na szyję i w ten sposób odholował birbanta pod drzwi mieszkania, zza których dochodziły krzyki dzieci i próbującej je uciszyć kobiety. Gajewski kilkakrotnie przekreślił „motylek” dzwonka i zostawił chwiejącego się gościa pod drzwiami. Nie miał ochoty tłumaczyć zdenerwowanej żonie, co się stało z jej mężem.

Na wypadek, gdyby łobuzom przyszło do głowy wrócić, odczekał jeszcze kilka minut w bramie, wypalając papierosa. Gdy już zamierzał wyjść na ulicę, wydało mu się, że ktoś przygląda mu się z głębi sieni, z wnęki w murze, gdzie mrok był gęstszy niż wokół.

— Jest tu kto?! — krzyknął w tamtą stronę, ale nikt mu nie odpowiedział. Mimo to czuł teraz jeszcze wyraźniej, że jest obserwowany. Zaczął iść w kierunku tamtego mrocznego miejsca. Serce waliło mu całkiem tak jak na wojnie, kiedy szli do ataku pod gęstym ostrzałem nieprzyjaciela. Wreszcie dotarł do wnęki w murze. Niczego tam nie było. Dla pewności jeszcze poświecił sobie zapalniczką, ale poza niedopałkami i ciemnymi zaciekami moczu nie znalazł nic. Wtedy usłyszał, że za jego plecami skrzypnęły drzwi, zupełnie jakby ktoś wymknął się na ulicę. Dopadł bramy i wyjrzał — na Wilhelmowskiej wciąż panował wzmożony ruch, choć nieco już mniejszy niż jeszcze kilkanaście minut temu. Karnawał karnawałem, wyzwolenie wyzwoleniem, ale rano trzeba wstać do roboty, tak jak wstawało się za Niemca. Na to jeszcze nikt rady nie wymyślił.

To pewnie jakiś kocur — w chwili, gdy Gajewski to pomyślał, zauważył wśród przechodniów po drugiej stronie ulicy ciemną, szybko oddalającą się sylwetkę. W pewnym momencie odwróciła się jakby w jego stronę, ale z tej odległości nie był nawet w stanie określić płci tej osoby. Nie zastanawiając się wiele, ruszył w poprzek ulicy, o mało nie wpadając pod konny zaprzęg. Woźnica zwymyślał go wulgarnie, ale on nie zwracał na niego uwagi — wbijał wzrok w jeden punkt. Mimo że biegł, potracając przechodniów, którzy złorzeczyli mu na czym świat stoi, wkrótce ciemna postać zniknęła mu z oczu, rozplynęła się w miejskim ruchu. Był skłonny nawet uznać, że wszystko to było tylko wytworem jego chorej wyobraźni.

Nie wiedzieć kiedy znalazł się na Rybim Rynku, całkiem blisko barki „Annelise”. Okolica była już opustoszała, jedynie z rzadka przechodził tędy jakiś zapóźniony przechodzień. Policjant podszedł do trapu prowadzącego na barcę, na której widok wrażenia dwóch ostatnich dni nabrały ostrości. Łajba nieznacznie kołysała się na falach Brdy, płynącej w głębokim kamiennym korycie jak wielki, czarny wąż, połyskujący miliardami łusek. Leon zdjął łańcuch zagrządzający wejście i wszedł na wilgotny i śliski pokład. Mózg zaczął wyświetlać szybkie, pojedyncze migawki. Stos nagich skrwawionych ciał. Niemy grymas bólu na twarzy Eleonore. Siny język psa wysunięty z rozwartego pyska.

Leon znalazł lampę naftową. Zapalił ją i wszedł do części mieszkalnej barki. Na suficie wciąż widniał wielki, czerwono-brunatny napis: „Aufer a nobis, quaesumus, Domine, iniquitates nostras...”. Policjant zaczął rozglądać się po zakamarkach pomieszczeń. Podnosił, oglądał w świetle lampy, a następnie odkładał na miejsce wszystkie przedmioty, jakie nawinęły mu się pod rękę: wazonik ze zwiędłym kwiatem, rodzinną fotografię w drewnianej oprawce, kubek z resztką czarnej herbaty, starą gazetę, szmacianą lalkę z jednym okiem — guzikiem, lunetę na skórzanym pasku — to wszystko jeszcze niedawno miało swoich właścicieli i swoje codzienne zastosowanie. Dzisiaj zaś przedmioty te stanowiły już tylko niepotrzebne wyposażenie umarłej rekwizytorni. Gajewski swoim zwyczajem uruchomił wyobraźnię, usiłując zobaczyć jej oczami, jak wyglądało życie Blochów na barce, próbował wyobrazić sobie ich głosy, śmiech, płacz, a w końcu jęki, a może błagania o życie, kiedy konali mordowani przez bezlitosnego mordercę. Wzdrygnął się na myśl o ostatnich, koszmarnych chwilach tej

czwórki.

Nagle, będąc w kajucie zajmowanej kiedyś przez młodych Blochów, potknął się. Jedna z desek podłogowych zapadła się pod jego ciężarem, unosząc drugi koniec i odkrywając coś, na widok czego oczy Gajewskiego zrobiły się wielkie jak dwie monety dwudziestofenigowe. We wnęce pod podłogą leżała wenecka maska — taka sama albo bardzo podobna do tej, jaką z Krawczykiem znaleźli w mieszkaniu Juliusa Gamratha. Leon podniósł ją za gumkę i przyjrzał się jej z bliska. Na wewnętrznej stronie maski widniał słupek cyfr, który na pierwszy rzut oka wyglądał na jakieś rachunki. Policjant dostrzegł niewielkie lustro wiszące na ścianie kajuty. Nigdy jeszcze nie miał na twarzy takiej maski, więc z ciekawości ją przymierzył i przejrzał się w lustrze. Pozbawione uczuć, białe oblicze miało w sobie coś demonicznego.

— Policja! Ręce do góry! — rozległo się nagle tuż za nim. Mógłby przysiąc, że głos należy do Eckerta.

— To ja!

Maska zsunęła się z twarzy wywiadowcy.

— Skąd się tu wzięliście, Gajewski?

— A pan skąd się tu wziął?

— Przejeżdżałem i zauważyłem światło na pokładzie. Teraz czekam na wasze wyjaśnienia. Mieliście być w domu.

— Głupio to zabrzmiało, szefie, ale coś mnie tu zaprowadziło. Jakaś siła.

— Rzeczywiście zabrzmiało to głupio. Co to za przebieranki? Czy to nie maska Gamratha?

— Właśnie nie. Znalazłem ją tutaj. A może miałem ją znaleźć... Szefie! Ten napis na suficie jest skierowany do nas! On chce, żebyśmy zegrali w jego grę.

— Tylko nie twórzcie mi tu psychologicznych teorii! Pokażcie no tę maskę...

Głos Eckerta należał do człowieka zmęczonego, ale i zaniepokojonego stanem psychicznym podwładnego. Doświadczony policjant nie chciał jednak zdradzić się z ojcowskimi uczuciami, którymi zaczynał obdarzać tego nieopierzonego młokosa z problemami.

Eckert również zwrócił uwagę na cyfry na odwrocie maski.

— Jakieś obliczenia? A może numery telefonów? To by nawet pasowało. Każda

z tych liczb składa się z trzech cyfr... Trzeba sprawdzić w Urzędzie Telegrafów i Telefonów. Ale to już jutro. Chodźcie, Gajewski, odwiozę was. Chcę mieć pewność, że trafiliście do domu.

Zgaszona naftówka wróciła na swoje miejsce. Dwaj mężczyźni zeszli z trapu na stały ląd. Jeden z nich nerwowo oglądał się za siebie. Miał wrażenie, że z ciemnych zakamarków malarycznego nabrzeża patrzą na niego niewidzialne oczy.

W tym samym czasie w przedziale osobowym wojskowego pociągu specjalnego z Warszawy do Bydgoszczy major Roman Rzydenko z Wydziału Informacyjnego Sztabu Generalnego z uwagą studiował akta sprawy o kryptonimie „Annelise”, nadesłane mu jeszcze poprzedniego dnia pocztą kurierską z Bydgoszczy. Ponieważ major był perfekcjonistą, przed jutrzejszą poranną odprawą z miejscowymi śledczymi chciał jeszcze raz odświeżyć sobie zgromadzoną dotąd wiedzę. Ponadto w pociągach zwykle przychodziły mu do głowy najlepsze pomysły. Teraz także miał w myślach rozpisaną całą hipotezę na temat tej sprawy. Na podstawie zebranego materiału dowodowego, a także własnego doświadczenia w służbie kontrwywiadowczej, był niemal w stu procentach przekonany o tym, że nie było to zwykłe zabójstwo, ale prowokacja wymierzona nie tyle w polskie władze Bydgoszczy, ile w państwo polskie w ogóle. Jego zdaniem wystarczyło tu zastosować starą rzymską zasadę „cui bono”, czyli odpowiedzieć na pytanie „komu to służy?”, aby zacieśnić krąg podejrzanych.

Żywioł niemiecki w Bydgoszczy był wciąż niezwykle silny, nic więc dziwnego, że służby specjalne młodego państwa z dużą uwagą traktowały ten ośrodek jako miejsce dogodnie do infiltracji środowisk niemieckich przez defensywę, czyli kontrwywiad, ale również jako swoisty punkt wypadowy do akcji wywiadowczych kierowanych w głąb terytorium Rzeszy.

Szefostwo Wydziału Informacyjnego miało świadomość, że rząd niemiecki, który nigdy do końca nie pogodził się z postanowieniami traktatu wersalskiego, będzie dążył do utrzymania w Bydgoszczy silnej i zwartej agentury, ukrywającej się pod pozorami podejmowania różnych form działalności społecznej czy kulturalnej. Okres przejściowy, który właśnie nastał w Bydgoszczy, charakteryzujący się — jak to zwykle zresztą bywa — pewną dozą chaosu w funkcjonowaniu struktur państwowych, stanowił doskonałą okazję dla wszelkich elementów wywrotowych do wywołania społecznego

fermentu. Brutalne, rytualne wręcz zabójstwo niemieckiej rodziny w sercu miasta przejmowanego przez Polaków nosiło zewnętrzne znamiona zemsty dotychczasowych poddanych na dotychczasowych panach tej ziemi. Podjęta bezpośrednio po tym zdarzeniu akcja niemieckojęzycznej prasy bydgoskiej umiejętnie podsyciała ten wątek, całkowicie odsuwając w cień kwestię uwikłania Blochów w niejasne interesy i nierząd. Uaktywniła się niemiecka dyplomacja, która między słowami zaczęła dawać do zrozumienia sojusznikom Polski, że rząd uformowany przez Naczelnika Państwa nie dorósł do wzięcia odpowiedzialności za scalenie terytoriów trzech zaborców. Znowu zaczęły budzić się głosy kwestionujące moralne prawo nieokrzyszanych Polaków do ziem zachodnich.

Nie można było dłużej tego tolerować!

Najlepszym sposobem na natychmiastowe ucięcie tych szkodliwych spekulacji było pokazanie światu prawdziwych sprawców zbrodni. Tych zaś należało szukać w niemieckim życiu społeczno-politycznym, co nie znaczy, że wyłącznie wśród osób narodowości niemieckiej. Ponieważ w każdej zbiorowości trafia się czarna owca, także wśród miejscowych Polaków mógł znaleźć się renegat lub renegaci, gotowi dla paru srebrników wykonać antypolską robotę. Tak czy inaczej, major Rzydenko poprzysiągł sobie, że nie wyjedzie z Bydgoszczy, dopóki nie dorwie całej szajki, która ukartowała tę prowokację, od jej pomysłodawców i sponsorów po bezpośrednich wykonawców.

Mieli mu w tym pomóc jego dwaj najlepsi i sprawdzeni w boju ludzie: funkcjonariusze kontrwywiadu do specjalnych poruczeń Herman i Siedlecki. Siedzieli teraz w przedziale i grali w karty cicho jak duchy. Wiedzieli, że jak szef myśli, to nawet oddychać nie można zbyt głośno. Mieli jasno określone zadanie: spenetrować możliwie głęboko niemiecki żywioł w mieście: organizacje społeczne, kulturalne, sportowe i paramilitarne, krótko mówiąc — mieli mieć oko na wszystko, co robią w Bydgoszczy jej dotychczasowi gospodarze.

Major Rzydenko tymczasem zatrzasnął teczkę z papierami i wychylił się przez okno, poddając twarz działaniu lodowatego wiatru. Pociąg zbliżał się do stacji Bydgoszcz Główna.

— No, panowie, od teraz jesteście przedsiębiorcami z Królewca, którzy przyjechali

do Bydgoszczy w interesach. Wszystkie papiery w porządku? Broń sprawdzona? — dopytywał się właściwie tylko pro forma; wiedział, że ma do czynienia z profesjonalistami wysokiej klasy, a więc ludźmi zdyscyplinowanymi, szybko się uczącymi, a przede wszystkim całkowicie oddanymi „firmie”.

— Ta Bydgoszcz jest większa, niż się spodziewałem. Automobil czeka w warsztacie na ulicy... — Rzydenko sprawdził coś w swoich zapiskach — Blumenstrasse. Tu macie adres. — Podał Siedleckiemu kartkę. — Jeszcze coś? — zapytał, a gdy zaprzeczyli milcząco, gestem kazał im opuścić przedział.

Jedno tylko nie dawało majorowi spokoju — prowadzący śledztwo z ramienia policji nadkomisarz Bolesław Eckert, z którym miał pewne niewyrównane rachunki. Zdążył się jednak zorientować w stosunkach panujących w miejscowej policji i z satysfakcją stwierdził, że Eckert nie cieszy się sympatią komendanta Dolatowskiego. Roman Rzydenko uznał to za dobry prognostyk.

Pociąg przeraźliwie zapisał hamulcami i zatrzymał się na peronie. Rzydenko poczekał, aż jego ludzie opuszczą przedział, po czym sam wysiadł z wagonu. Herman z Siedleckim wsiedli do tramwaju i pojechali do hotelu Pod Orłem, gdzie czekały na nich pokoje zarezerwowane przez spółkę handlu zbożem Krohn i S-ka na fikcyjne nazwiska. Major tymczasem pieszo udał się niedaleko dworca, na Karlstrasse, do lokalu kontaktowego. Tam spotkał się ze swoim „uchem”, czyli miejscowym rezydentem kontrwywiadu, a jednocześnie funkcjonariuszem policji, przodownikiem Jacyną.

Major Rzydenko był przekonany, że informatorów zdobywa się tylko na dwa sposoby: pieniędzmi i strachem. Przodownik Jacyna na wtykę kontrwywiadu w policji nadawał się świetnie. Jego dwie największe pasje — hazard i dziwki — wymagały ciągłego przyływu gotówki. Oczywiście kontrwywiad nie zamierzał rozpuszczać swego rezydenta, więc oprócz tego, że od czasu do czasu regulowano długi Jacyny, zastosowano również wobec niego element strachu. Wystarczyła groźba, że policyjni przełożeni dowiedzą się o jego długach u miejscowych szulerów, a Jacyna stał się jednym z najlepszych donosicieli, jakich kontrwywiad miał na tym terenie.

Rzydenko wysłuchał uważnie raportu swojego „ucha”, zadając mu tylko co jakiś czas zdawkowe pytania. Interesował się głównie tym, jak radzi sobie Eckert.

— Stary nie jest zachwycony, że przydzielili mu tę sprawę. Chyba chce już tylko doczekać emeryturki. Dla odmiany mamy w wydziale faceta, co za Chiny nie odpuści. To Leon Gajewski. Ksywka „Dziki”, bo najpierw bije w mordę, a dopiero potem zadaje pytania. Ale Eckert go lubi. Ludzie mówią, że chce z niego zrobić swojego następcę...

— Przecież Gajewski to gówniarz. Dopiero co skończył dwadzieścia cztery lata.

— Gówniarz, ale strzela najlepiej w całym garnizonie. No i mówią, że uczciwy do bólu. Ma posłuch u bandytów.

Jacyna zerknął na swojego rozmówcę. Rzydenko nie okazywał jednak żadnych emocji. Nauczył się, że w tym fachu to podstawa. Nakreślona przez informatora charakterystyka tego żółtodzioba, asystenta nie mniej niezłomnego Eckerta, wydała mu się tak świetlana, że aż nierzeczywista. Odczuwał niechęć do ludzi twardego charakteru i wcale się z tym nie krył. Uważał, że każdego można złamać, trzeba tylko znaleźć odpowiednie miejsce, w które należy precyzyjnie i mocno uderzyć. Każdy ma takie miejsce. On, młody oficer Legionów Roman Rzydenko też je... kiedyś miał. Jego słabym punktem było pochodzenie. Matka urodziła go jako dziecko nieślubne i następnie porzuciła u dalekich krewnych w podkrakowskiej wsi. Wyrastał we wrogim, a w najlepszym wypadku obojętnym otoczeniu. Nikt nigdy o niego nie dbał, nikt nigdy go nie chwalił, za to nie szczędzono mu upokorzeń. Zostałby klasyczną ofiarą losu, jedną z tych, które zapełniają wszystkie miasta świata, gdyby nie pewne zdarzenie u progu wielkiej wojny, kiedy rozpoczął służbę w Legionach. Poznał wówczas Bolesława Eckerta, o całe dziesięć lat starszego Galicjanina jak i on. Byli równi szarżą i służyli w jednym oddziale. Spędzali wspólnie dużo czasu, w polu walki i poza nim. Rzydenko wydawało się, że wreszcie odnalazł przyjaciela, bratnią duszę, która pomoże zatrzeć złe wspomnienia z dzieciństwa, wyprowadzi na prostą, przywróci wiarę w ludzi.

Jednak przełożeni uznali, że to Eckertowi należy się dowództwo oddziału. I to Eckert zaczął szybko awansować w strukturach zawiązującego się polskiego wojska, to na Eckerta spływały splendory — Rzydenko pozostał szarym podoficerem, wykonującym z coraz większym zniechęceniem rozkazy, pozbawionym całkowicie poczucia celowości swojego życia. Szczerze znienawidził Eckerta, chociaż pozornie

między nimi niewiele się zmieniło: nadal spotykali się prywatnie, może nie tak często jak dotąd, ale Bolesław starał się nie dawać przyjacielowi odczuć, że jest od niego wyżej w hierarchii służbowej. Tyle że Rzydenko owo staranie odebrał jako przejaw litości, a on przecież nie oczekiwał litości, oczekiwał docenienia jego starań, zrozumienia, że bękarcie pochodzenie nie przesądza przecież o czyichś uzdolnieniach i charakterze. Ponieważ nie mógł doczekać się sprawiedliwości od przełożonych, uknuł intrygę, która miała położyć kres karierze kapitana Bolesława Eckerta. Wszedł w kontakt z lumpami, których przekonał, że włamanie do magazynu koszar to świetny interes, który ustawi ich do końca życia. Włamanie miało miejsce, Eckerta, jako odpowiedzialnego wówczas między innymi za magazyny garnizonowe, usunięto z funkcji i zdegradowano. Rzydenko tryumfował. Nie na długo jednak. Po ujęciu sprawców włamania jego intryga wyszła na jaw. Upadł, ale powstał. Zastosowano wobec niego niezwykle skuteczną metodę „hakową”, którą potem przejął jako swoją: dano do zrozumienia, że jego grzechy pójdą w zapomnienie, jeśli będzie wykonywał polecenia. Nareszcie znalazł pana, który go docenił i rzucił nie tylko suchy gną, ale od czasu do czasu też soczysty befszytk. Rzydenko za daną mu szansę ekspiacji odpłacał się wiernością i zajadłością w ściganiu wrogów państwa. Prawdziwych i nie tylko. Modlił się, żeby los nie zetknął go już więcej z Bolesławem Eckertem. Teraz, kiedy jego modlitwy nie zostały wysłuchane, uznał to za znak Opatrzności: najwidoczniej musiał ostatecznie rozwiązać problem Eckerta.

Jacyna rzecz jasna nie wiedział o tym wszystkim. Wiedział tylko i aż, że godząc się na współpracę z informacją wojskową, wdepnął w gówno po same uszy. Nie miał jednak pomysłu, jak przerwać błędne koło: policja — kontrwywiad — hazard.

— Zbierz mi dossier tego Gajewskiego. Gdzie mieszka, z kim śpi, a nawet czy papier toaletowy odwija nasię- czy podsiębiernie — powiedział sucho Rzydenko. Jacyna nie zrozumiał.

— To mam wchodzić z nim do klopa?

Rzydenko tracił niekiedy cierpliwość do tego prostego policjanta.

— Masz przynieść mi go w zębach, rozumiałeś?!

— Zrozumiałem. W zębach.

Rzydenko machnął ręką i wyszedł z lokalu. Jacyna opuścił budynek po kilku

minutach. Nikt ich nie niepokoił, z tej prostej przyczyny, że jedynym lokatorem niewielkiego budynku był niemy zegarmistrz, którego stary i z rzadka uczęszczany zakład był o tej porze już od kilku godzin zamknięty. Nie bez znaczenia był fakt, że i zegarmistrz pozostawał na żołdzie informacji wojskowej, jako dysponent lokalu.

Podczas gdy Jacyna staczał walkę wewnętrzną, czy nocować w domu, czy też udać się do jednej z bydgoskich szulerskich spelun, major Rzydenko wsiadł do tramwaju na Dworcowej i podjechał niewielki odcinek. Zameldował się w hotelu Pod Orłem, podając nie swoje nazwisko, jako inżynier od śluz i kanałów, który przyjechał z Poznania na inspekcję bydgoskich dróg wodnych.

Zasnął bardzo szybko, w pachnącej świeżością pościeli, na szerokim łożu o drewnianych, misternie giętych na secesyjną modłę burtach.

Ale nie wszyscy spali tej nocy tak dobrze. Kilka kilometrów na zachód, w swoim pokoju przy Friedenstrasse komisarz Leon Gajewski znowu śnił o martwej Eleonore Bloch, która tym razem weszła do jego pokoju, żeby własną krwią wymalować na jego ciele napis „Zgładź nieprawości nasze”. Kiedy obudził się około trzeciej w nocy, był pewien, że nie jest w pokoju sam. Dopiero po zapaleniu nocnej lampki przekonał się, że wyobraźnia znowu spletała mu figła. Namoczył ręcznik zimną wodą i przyłożył okład do obolałego nosa. Zamknął oczy, ale na wszelki wypadek nie gasił światła.

PIĄTEK, 23 STYCZNIA 1920 ROKU

Emerytowany śluzant Georg Jortschik odpiął z łańcucha swoją łódź, którą cumował na południowym cyplu podłużnej wyspy w Brahemünde, o niemożliwej do wypowiedzenia polskiej nazwie „Brdujście”. Wyspę od stałego lądu niejako odcinało stare koryto Brdy, łączące się z zakręcającą tu ostro na wschód Wisłą. Z drugiej strony ten wrzecionowaty kawałek ziemi zamknięty był torem regatowym, ciągnącym się przez dobre dwa kilometry — od grobli, którą przebiegała szosa na Toruń, aż do śluzy w Brahemünde.

Okolica była odludna, a jedynymi odgłosami, jakie dochodziły do uszu Georga Jortschika, był szum pobliskiego jazu walcowego oraz buczenie syren na holownikach, które odzywały się, kiedy jednostki podpływały do śluzy. Blisko siedemdziesięcioletni Jortschik znał te sygnały na pamięć. Słuchał ich przez pięćdziesiąt lat swojej służby na śluzach. Ostatnią była ta na Brdujściu. Starcowi zdarzało się myśleć o tym miejscu jak o symbolicznym zakończeniu swej drogi. Oto za tą śluzą, ostatnią na Brdzie, była już tylko szeroko rozlana i nieprzyzwoicie nieuregulowana rzeka Weichsel — po polsku Wisła — wpadająca do nieskończonego w swej potędze morza, niby do wieczności.

Póki co jednak staruszek trzymał się nieźle, mieszkał z żoną w domku z klinkierowej cegły przy śluzie, od czasu do czasu pomagał obecnemu śluzantowi i jego niezbyt rozzarniętemu pomocnikowi, ale przede wszystkim oddawał się pasji, na którą nigdy dotąd nie miał dość czasu — wędkowaniu.

Dlatego jeśli tylko zdrowie dopisywało, skoro świt wsiadał objuczony wędkarskim sprzętem na rower i jechał ze swojego domku na cypel, gdzie czekała na niego łódź. Teraz ułożył w niej cały swój ekwipunek, a następnie zepchnął z brzegu na wodę, stękając przy tym jak stary parowiec. Zamierzał powędkować trochę przy jazie walcowym, po tej stronie wyspy. Dzień zapowiadał się mroźno, ale wiatr rozpędzał chmury, więc raczej nie należało spodziewać się opadów śniegu. Georg Jortschik powiosłował na środek akwenu, tam gdzie mógł poczuć się odseparowany od trosk tego świata, który w jego mniemaniu zmierzał do nieuchronnej katastrofy. Dopiero co przecież Niemcy przegrali wojnę, a teraz jeszcze zaczęli panoszyć się tutaj Polacy.

Jortschik był przekonany, że lud tak niezorganizowany i leniwy jak oni szybko doprowadzi do upadku tego, co zbudowali tutaj Niemcy. Staruszek wyciągnął z podbitej baranim futrem kurtki fajkę i tytoń, po czym rozpalił solidnie w cybuchu, aż poczuł w ustach i nozdrzach kwaśny smak tytoniu. Założył przynętę na haczyk i zarzucił wędkę. Po chwili, kilkanaście metrów od łodzi, z wody wyskoczył korkowy spławik pomalowany na jaskrawoczerwono-biało. Jortschika wypełnił spokój i błogość, jakiej nie czuł nigdy ani w domu, ani w pracy. Wprawiała go w ten nastrój jedynie gładka albo pomarszczona, albo rozhuśtana, gdy szedł szkwał, powierzchnia wody, oblewająca go zewsząd. Myśli układały się w głowie jak cegły w murze odgradzającym od powszednich trosk, takich jak choćby małżeństwo jedyne syna Hansa z Polką czy coraz większe zniedołężnienie żony, od lat chorującej na nogi.

Wzmógł się zimny wiatr; starzec głębiej wcisnął na głowę czapkę z nausznikami. Uznał, że nadeszła pora, żeby pokrzepić się odrobiną rumu. Wydobył z bocznej kieszeni kurtki metalową piersiówkę i pociągnął z niej spory łyk. Jortschik o mało co nie zakrztusił się płynem, w tej samej chwili poczuł bowiem silne szarpnięcie żyłki. Szybko schował piersiówkę i podkręcił trochę kołowrotek. Znowu szarpnęło.

— Jakaś grubsza sztuka — wymamrotał z radością Jortschik.

Ale gdy wędkarz do minimum zmniejszył długość żyłki, zamarł z przerażenia. Na haczyku zamiast dużej ryby wisiała ręka. Woda była tu stosunkowo płytka, bo prąd rzeki usypywał w tym miejscu łachę. Jortschik mógł więc dostrzec, że oprócz samej ręki złapał na wędkę całego topielca, którego bezwładne ciało wystawało z na wpół odchylonej szyby auto mobilu.

Przepływający w oddali holownik zabuczał przeciągle syreną pokładową. Georg Jortschik gorączkowo wiosłował do brzegu.

Automobil Komisariatu Głównego Policji Państwowej przejechał po grobli oddzielającej tor regatowy od sztucznego zbiornika w kształcie nieregularnego czworoboku, następnie skręcił w lewo i zjechał na szutrową dróżkę prowadzącą do budynków jazu walcowego. Nad brzegiem rozlewiska stała już sprowadzona z portu rzecznej potężna parowa wciągarka na samochodowej platformie, jedyne tego typu urządzenie w Bydgoszczy i całym dawnym okręgu nadnoteckim. W miejscu znalezienia

wraku widać było teraz łódź, na której krzątali się nurkowie. Ich zadanie polegało na takim zaczepieniu zatopionego samochodu, aby nie tylko wyciągnąć go na brzeg, ale przede wszystkim — żeby zrobić to, nie czyniąc żadnych poważnych szkód. Każda bowiem mogła zatrzeć ważne ślady.

Z auta, które zatrzymało się nad porośniętym suchą trzcina brzegiem, wysiedli Eckert, Jacyna i Krawczyk. Ten ostatni zadbał o to, żeby gapie znaleźli się w odpowiedniej odległości od brzegu, po czym zajął się rozpytywaniem. Jacyna, z twarzą nisko przy ziemi, rozglądał się za jakimikolwiek śladami. Nadkomisarz stanął przy wodzie, patrząc to na brzeg, to na miejsce znalezienia wraku. Wyglądał, jakby przeprowadzał w myślach jakieś obliczenia.

Bez wątplenia dwie głębokie, podłużne bruzdy w ziemi ze śladami bieżnikowania należały do samochodu. Ponieważ prowadziły mniej więcej z tego samego kierunku, skąd przyjechali policjanci, i znikwały w wodzie, można było przyjąć za niemal pewne, że auto stamtąd wjechało do wody. Sądząc po odległości dzielącej je obecnie od brzegu, musiało jechać ze znaczną prędkością.

— Samobójstwo? — rzucił Krawczyk, który poza zeznaniami Georga Jortschika nie miał nic.

— Niczego nie można wykluczyć — odparł Eckert.

Ludzie na łodzi dali znak. Zazgrzytał mechanizm wciągarki, stalowa lina napięła się jak struna. Podpórki platformy, na której obracał się blok napędzany silnikiem parowym, wbiły się głęboko w zmrożoną glebę. W miarę jak lina nawijała się na blok, oczy obecnych na brzegu ludzi coraz uważniej wpatrywały się w miejsce, w którym sztywny stalowy wąż ginął w wodzie.

Raptem spod jej ciemnej powierzchni wyłonił się czarny dach samochodu, po czym stopniowo ukazywały się kolejne fragmenty wraku. Opięty grubymi, parcianymi pasami, do których przymocowana była stalowa lina, powoli zbliżał się do brzegu. Gdy woda odsłoniła zwłoki mężczyzny, przewieszane przez półodchyloną szybę drzwi, rozległo się głośnie zbiorowe westchnienie. Widok był upiorny. Wyglądało to tak, jakby nieszczęśnik próbował wydostać się na zewnątrz, ale utknął w zbyt ciasnej szczelinie. Krawędź szyby wbijała się w ciało niczym ostrze gilotyny. Głowa z mierzwą mokrych włosów, szeroko otwartymi oczami i językiem wysuniętym z sinych ust, a także ramiona

zwieszały się bezwładnie, zwrócone na zewnątrz, podczas gdy pozostała część ciała, mniej więcej od pasa w dół, spoczywała wewnątrz samochodu. Odbarwiona skóra twarzy i dłoni nosiła ślady działania wody. Wokół oczu trupa utworzyły się sinoczerwone „okulary”.

Gdy wrak był już na brzegu, do pracy przystąpiła ekipa doktora Hoffmanna, która w tym czasie dotarła na miejsce. Jeden z asystentów lekarza sądowego robił zdjęcia, pozostali otworzyli drzwi pojazdu, co udało się z niemałym trudem. Na zewnątrz wylał się strumień brudnozielonej wody. Dopiero teraz można było wydobyć ciało topielca z pułapki. Wreszcie zwłoki ułożono na trawie. Obstąpili je policjanci w towarzystwie lekarza sądowego. Ubiór — elegancki garnitur i lakierki — świadczył o tym, że denat był osobą z dobrego towarzystwa. Ale przede wszystkim, mimo pierwszych zmian rozkładowych, rozpoznawalne pozostawały jeszcze rysy twarzy denata. Był nim bez wątplenia radca miejski Julius Gamrath, co ostatecznie potwierdziły dokumenty tożsamości, znalezione w kieszeni marynarki. Stwierdzenie zgonu było tylko formalnością.

— Klasyczne utonięcie — powiedział Hoffmann.

— Raczej ekstrawaganckie utonięcie — zwrócił uwagę Eckert.

— Jednego tylko nie rozumiem, szefie — wtrącił się Krawczyk.

— No?

— Skoro chciał się zabić, to czemu próbował wyleźć z tej pułapki?

— Myślę o tym samym, ale nic nie mogę wymyślić.

— Tu nie ma nad czym myśleć, nadkomisarzu Eckert!

Policjanci i doktor Hoffmann odwrócili się. Stał przy nich postawny mężczyzna o wyglądzie zamożnego przedsiębiorcy. Eckert poznał Rzydenkę od razu. Pozostali widzieli go pierwszy raz w życiu. Nie zaszczylił ich przedstawieniem się. Za to poprosił na bok Eckerta.

— Cieszę się, że to ty, to znaczy pan prowadzi to śledztwo...

— Doprawdy?

— Tak! Jest pan z pewnością świetnym oficerem śledczym. Ale brak panu szerszego spojrzenia na sprawę. Dlatego właśnie tutaj jestem. Przysłano mnie, żebym panu pomógł wyjaśnić sprawę do końca, a jednocześnie... jak by to powiedzieć? Umieścić

ją we właściwym kontekście.

— Może pan mówić jaśniej, poruczniku Rzydenko?

— Majorze.

— O, nie przypuszczałem, że tak szybko awansujecie.

— A jednak! No, ale do rzeczy. Postaram się to ująć po żołniersku. Wasze śledztwo za bardzo się ślimaczy. Chwytnie za dużo wątków, z których nic nie wynika. A przecież sprawa jest w sumie klarowna! Czworo Niemców zostaje brutalnie zamordowanych. Dwa dni później mamy piątego trupa, też Niemca, i to wysoko postawionego. Popełnił samobójstwo, kiedy okazało się, że jego zbrodnia została zdemaskowana. Ot i cała sprawa. Dla was pochwała, a kto wie, może i awans, a dla nas — zadanie do wykonania.

— Jakich was? Jakie zadanie?

— A więc pan nie wie. Otóż nie odszedłem z wojska, choć może was to rozczaruje. Zostałem po prostu skierowany na inny, bardziej zakamuflowany odcinek. Jestem oficerem kontrwywiadu i przyjechałem do was zrobić porządek z niemiecką dywersją! Czy teraz wyrażam się jasno?

— Nie mamy dowodów na niemiecką dywersję.

— Może wy nie macie. Ale my ich mamy pod dostatkiem. Dysponujemy listą obywateli Bydgoszczy niemieckiej narodowości, których dalszy pobyt w naszym kraju jest nie tylko niepożądany, ale również niebezpieczny! Julius Gamrath zajmuje na tej liście wysokie miejsce. Uczestniczył w spisku wymierzonym w polskie władze, a obliczonym na wywołanie międzynarodowego skandalu. Ale już nasza w tym głowa, żeby pokrzyżować im plany. Z waszą pomocą czy bez, Eckert.

— Nie ma pewności, że to samobójstwo. Nie ma pewności, że Julius Gamrath miał związek ze śmiercią Blochów. Nie ma pewności, że brał udział w jakimkolwiek spisku. Co wy mi tutaj za bajki tworzycie, Rzydenko?!

— Tylko nie tym tonem. Bawicie się w Sherlocków Holmesów, a pod waszymi nosami fryce robią, co chcą! Dostyc tego, Eckert! Nie zamierzam tolerować waszej indolencji. Nasz kraj pozostaje w stanie wojny, a na wojnie nie ma miejsca dla Hamletów. I jeszcze jedno. Nie próbujcie mi robić koło pióra, bo tym razem nie dacie rady. Gwarantuję to wam.

— Skończyłeś, Rzydenko? To teraz ty mnie posłuchaj. Przyjechałeś tu w gości, więc zachowuj się jak na gościa przystało albo przestanę być dla ciebie delikatny. Kur z tobą szczać nie prowadzałem i szczerze mówiąc, myślałem, że nie będę już musiał oglądać twojej gęby. Ale skoro już muszę, to powiem ci wprost. Sram na twoje osobiste urazy, ale jak zobaczę, że znowu wykorzystujesz stanowisko do prywatnych rozgrywek, to daję słowo, zgnoję cię dokumentnie. W przeciwieństwie do ciebie mam szacunek u pewnych ludzi.

Rzydenko milczał przez chwilę, mieląc w sobie wulgarne odpowiedzi, które cisnęły mu się na usta. Ale opamiętał się, zacisnął zęby i wycedził spokojnie:

— Gdzie ty żyjesz, Eckert? Myślisz, że twoje przeszłe zasługi są dzisiaj dla kogokolwiek ważne? Gdyby tak było, nie zrobiliby cię jakimś popychadłem na prowincji. Ale myśl sobie, jak chcesz. Pamiętaj tylko w razie czego, że dawałem ci szansę.

Rzydenko odwrócił się i powoli, jakby celebrując każdy krok, odszedł do eleganckiego samochodu zaparkowanego z dala od brzegu. Kiedy pojazd zniknął za zakrętem, Krawczyk zapytał Eckerta, co się stało. Nadkomisarz był błydy i wyglądał na niezdrowego. W istocie, rozmowa z Rzydenką sporo kosztowała Eckerta.

— Nic się nie stało. Jeszcze jeden, któremu się wydaje, że złapał Pana Boga za nogi. Macie coś?

— Facet z obsługi jazu mówi, że wczoraj w nocy około dwudziestej drugiej słyszał jakiś dziwny odgłos, jakby ryk silnika i plusk wody, ale nic nie widział, bo panowały egipskie ciemności — odparł Krawczyk.

— Dziwne. Z jednej strony Gamrath wybiera spektakularny rodzaj śmierci, z drugiej strony gasi światła w wozie, żeby go nikt nie zobaczył. Z jednej strony z impetem wjeżdża do wody, a z drugiej — próbuje się uratować. Nie zostawia żadnego listu pożegnalnego, nie robi też nic, żeby prawda o jego drugim życiu nie wyszła na jaw.

— Może było mu już wszystko jedno. Nie miał tu rodziny, więc nie dbał o dobre imię — stwierdził Krawczyk.

— Może rzeczywiście czekał na karę, na to, „żebyśmy zgładzili jego nieprawości”, i kiedy się nie doczekał, postanowił sam sobie wymierzyć sprawiedliwość? Czyżby

nasze śledztwo właśnie dobiegło końca?

— Myślę, że to nie koniec, szefie. — Głos Jacyny brzmiał jakoś dziwnie.

— A to dlaczego? — zapytał Eckert, nieco zaskoczony, choć sam miał wątpliwości.

— Może to głupstwo, ale spójrzcie na lusterko wsteczne. Zostało odwrócone. Jakby Gamrath zobaczył w nim coś, czego nie chciał widzieć — odparł Jacyna.

— Brawo za spostrzegawczość, ale to jeszcze nie dowód. Chociaż... pozostaje jeszcze ta przekłeta maska z liczbami! — powiedział jakby sam do siebie Eckert.

— Wzór taki jak maska Gamratha, ale nie pasuje do tamtej. Wygląda, jakby robiono je na miarę — powiedział Krawczyk.

— Panie doktorze! — zwrócił się Eckert do lekarza sądowego, który pomału zbierał się do odjazdu.

— Czy ciała Blochów zostały już pochowane?

— Dzisiaj miał się nimi zająć zakład pogrzebowy.

— Proszę wstrzymać pochówek. Musimy jeszcze coś sprawdzić. Krawczyk, ustaliliście już, kto produkuje takie maski?

— Jest tylko jeden producent w mieście. Nazywa się Gabriel Oszuścik. Prowadzi manufakturę przy Schleinitzstrasse.

— Dobrze. Jedziemy po tego Oszuścika. Mam nadzieję, że nie zemdleje, kiedy usłyszy nasze zlecenie.

Leon czuł ból całego ciała. Rwał go nos, mięśnie ramion, nóg, czuł łupanie w krzyżu. Nie mówiąc o przekętym zębie. „Starzejesz się, kolego” — pomyślał nie bez niepokoju. To śledztwo wyjątkowo mocno dawało mu się we znaki. Po prawdzie podobny wycisk dostawał dotąd tylko na wojnie. Ale tam przeciwnik był wiadomy, choć też nie zawsze widoczny. Tutaj przeciwnik atakował z ukrycia, zachodził od tyłu albo uderzał w miejsca, które dotąd uważano za bezpieczne.

Co gorsza, Gajewski spotykał go także w swoich snach, które w ciągu ostatnich nocy nachodziły go regularnie, powodując, że nie wysypiał się i rano jego wygląd zwracał uwagę zaniepokojonej matki.

— Wykończysz się, synku — powiedziała z troską pani Marianna, kiedy tego ranka wszedł do kuchni. Zamierzał zrobić tak, jak radził mu Eckert, i zaaplikować sobie

porządną dawkę relaksu. Chciał wypocząć do wieczora, kiedy czekało go spotkanie z Klarą i jej przyjaciółmi artystami. Był ich ciekaw nie tylko z powodu swojej słabości do świata sztuki.

Wlał do wielkiego żeliwnego kotła wody i nałożył węgla do pieca. Kiedy woda zawrzała, przelał ją do cynkowej balii, którą wcześniej postawił na drewnianej podłodze kuchni. Operację powtarzał kilkakrotnie, aż balia w dwóch trzecich wypełniła się gorącą wodą. Matka dyskretnie wyszła do swojego pokoju, a Leon rozebrał się i wszedł do wody. Tego właśnie było mu trzeba. Spokoju i wyciszenia. Czuł, jak zbolące mięśnie i stawy odzyskują dawną sprawność, a ciało nabiera sił. Przymknął oczy i pozwolił obrazom przepływać swobodnie pod powiekami. Stale powtarzała się w nich Eleonore Bloch, której piękne ciało wywarło na Leonie niezatarte wrażenie. Ze wstydem przyłapał się na tym, że czuje pożądanie do tej dziewczyny, mimo że od czterech prawie dni pozostawała martwa, a jej ciało nie ulegało rozkładowi tylko dlatego, że trzymane je w prosektoryjnej chłodni.

— Dosyć! — powiedział głośno, jakby chcąc przepędzić grzeszne myśli. Starał się skupić na Klarze, na wspólnej z nią przyszłości. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby została jego... chociaż uważał, że trochę jeszcze za wcześnie na wiązanie się na śmierć i życie. Przekłęta wojna kosztowała go kilka najlepszych lat. Zamiast poznawać piękne strony życia, także erotycznego, spędził je, kosztując co najwyżej smaku płatnej miłości świadczonej przez garnizonowe kurwy. Nie pamiętał ich twarzy, zamazały się w jedno nieczytelne oblicze, choć niekiedy miał wrażenie, że wręcz namacalnie przypomina sobie pewne chwile z nimi spędzone. Wzdrygnął się na samą myśl o tamtym okresie swojego życia. Został mu po nim grób brata w dalekiej Francji, niezaleczony ból rodziców i... Krzyż Żelazny. I jeszcze jedno. Niepohamowana nienawiść do wszystkiego, co brudne, upadłe i grzeszne. Może dlatego nazywali go Dziki, że nie potrafił opamiętać się, gdy widział zło, krzywdę i niesprawiedliwość. Z pewnością ten rys jego charakteru nie był pomocny w robieniu policyjnej kariery, gdzie — jak zdążył się zorientować — premiowane są raczej takie cechy, jak posłuszeństwo, a wręcz asekurantwo. To, że niejako z biegu, z munduru niemieckiego żołnierza przebrał się w uniform polskiego wywiadowcy, wynikało nie tyle z przypadku, ile z jego świadomych działań. Po powrocie z wojny w 1917 roku kilka miesięcy spędził

w szpitalu, gdzie poznał człowieka, który w Bydgoszczy organizował zbrojny opór przeciwko pruskiemu zaborcy. Rozwinął się z tego paramilitarny oddział, który odbywał regularne, zakamuflowane ćwiczenia wojskowe w lasach pod miastem. Nadszedł listopad roku 1918, kiedy Polska nareszcie stała się rzeczywistością. Dobrze wyszkoleni i obeznani z bronią ludzie byli na wagę złota. Rwali się do roboty państwowej, ale Bydgoszcz wciąż pozostawała w rękach niemieckich. Dopiero kiedy wybuchło powstanie wielkopolskie w 1919 roku, bydgoskie chłopaki ruszyły na pomoc Wielkopolanom. Biły się pod Łabiszynem i pod Brzozą i wybiły się — na niepodległość! Władze polskie w Poznaniu zleciły oddziałowi bydgoskiemu zadania zbliżone do zadań policji. Mieli pilnować, żeby Niemcy nie wywozili majątku z fabryk, nie robili sabotażu, a przede wszystkim — mieli dbać o ład i porządek w mieście, które przechodząc z rąk do rąk, mogło się w każdej chwili wymknąć spod kontroli. Kilkumiesięczna służba w komisariacie pozwoliła Gajewskiemu przekonać się, że ludzie są tylko ludźmi, niezależnie od chwili historycznej. Tak samo kradną, biją, gwałcą i kłamią do protokołu. To była świetna, choć przyspieszona szkoła, i musiała wystarczyć nowemu funkcjonariuszowi służby kryminalnej miasta Bydgoszczy, wywiadowcy Leonowi Gajewskiemu. Resztę lekcji miał dopiero pobrać.

— Leoś, list dostałeś! — Głos matki wyrwał go z głębokiego zamyślenia.

— Mama przyniesie!

Kobieta, odwracając głowę w drugą stronę, podała synowi zaklejoną błękitną kopertę z jego imieniem i nazwiskiem wypisanymi atramentem, drukowanymi literami. Leon otworzył kopertę i wyciągnął z niej kartkę złożoną na pół. Rozłożył ją — to, co przeczytał, sprawiło, że jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Na kartce brunatnym atramentem było napisane:

KAT CHODZI BEZ MASKI

Leon wyskoczył z balii, owinał się ręcznikiem i... pacnął jak długi na podłogę, poślizgnąwszy się na mokrej powierzchni.

— Jezus Maria! Połamiesz się! — zawodziła matka, ale on był już na klatce schodowej. Patrząc z góry, spostrzegł, że do sieni wychodzi jakiś chłopiec. Wrzasnął

za nim, aż pootwierało się kilkoro drzwi na różnych piętrach i zaniepokojeni sąsiedzi obserwowali ze swoich szpar, co się dzieje w ich spokojnej dotąd kamienicy.

Chłopiec nie miał zamiaru się zatrzymać, więc Leon ruszył za nim, nie zważając na to, że „ubrany” jest tylko w ręcznik zwisający z bioder. Nie na darmo przecież nazywali go Dziki. Kiedy już widział przed sobą cel, parł do niego jak parowy pchacz na Brdzie.

Chłopaka dorwał dopiero na ulicy. Biedaczek nie spodziewał się, że jego pojawienie się w kamienicy wzbudzi u kogoś aż takie zainteresowanie.

— Ty przyniosłeś list na trzecie piętro tego domu? — zapytał Leon, wskazując swoją czynszówkę. Wzbudzał niemałe zainteresowanie przechodniów. Grupa dzieci, idąca chyba na jakąś wycieczkę, głośnym śmiechem dała mu odczuć, że powinien czym prędzej schować się przed ludzkim wzrokiem.

— Tak, a bo co? — odparł szczeniak. Miał śmiałe spojrzenie i z tuzin piegów na zadartym nosie.

— Kto ci dał ten list? — zapytał Gajewski, coraz bardziej dygocząc z zimna.

— Nie widziałem.

— Jak to?

— Bo siedział w czarnym samochodzie i tylko trochę odsunął szybę. Powiedział, że bym oddał do rąk własnych, znaczy panu, panie władzo.

Chłopiec patrzył zadziornie. Gajewskiemu wydawało się, że jeszcze moment, a zmieni się w sople lodu. Jego całe ciało ogarnęły dreszcze.

— Leon, wracaj do domu, bo się zaziębisz! — zawołała go matka z okna.

— Nic więcej sobie nie przypominasz? — zapytał, szcękając zębami.

— Jest coś. Ten facet... miał na twarzy maskę. Czarną maskę — to powiedziawszy, chłopak wyrwał się Gajewskiemu i puścił pędem w dół ulicy. Wkrótce zniknął za rogiem. Leon wrócił do siebie. Długo siedział w swoim pokoju, mocząc nogi w gorącej wodzie i przyglądając się listowi.

Potem szybko wstał, ubrał się w byle co i zszedł do dozorczy zadzwonić na komisariat. Po dwudziestu minutach zjawił się u niego goniec, któremu Gajewski wręczył zaklejoną kopertę z liścikiem, który dostał, i z wiadomością dla Eckerta.

— Dostarcz to jak najszybciej nadkomisarzowi Eckertowi — polecił chłopakowi,

który wyglądał na bystrego.

— Tak jest, panie wywiadowco kryminalny! — odparł tamten.

— Jesteś nowy? — zainteresował się Gajewski.

— Tak, dopiero co przyjechałem spod Łowicza.

— Co cię tu sprowadza?

— Mówili, że Bydgoszcz ładne miasto i dobrze się tu żyje.

— I co?

— I wszystko się zgadza, panie wywiadowco kryminalny! Mogę się już odmeldować?

— Zmykaj — powiedział Gajewski i z sympatią odprowadził wzrokiem gońca.

Gabriel Oszuścik był otyłym i niewysokim mężczyzną w zabrudzonym fartuchu, narzuconym na zwykłe domowe ubranie. Krzątał się po warsztaciku w oficynie, do której wchodziło się przez mroczną bramę od strony Schleinitzstrasse. Kiedy usłyszał, co ma mu do powiedzenia nadkomisarz Eckert, który przyjechał do niego z dwoma wywiadowcami, rzemieślnik nie zemdlał, ale jego różowa, nalana twarz wyraźnie zbladła.

— Czy dobrze rozumiem? Mam zrobić maski dla trupów? — zapytał, patrząc uważnie na Eckerta. Ten skinął głową, jakby chodziło co najwyżej o zawiązanie sznurowadła.

— Mogę wiedzieć dlaczego? — dopytywał się grubas.

— W zasadzie nie powinno to pana obchodzić, ale powiem panu. Potrzebujemy materiału porównawczego. Pojedzie pan z nami, ale przedtem poproszę o parę informacji.

— Jeśli tylko będę umiał pomóc...

— Nie ma dwóch takich samych masek? — spytał Eckert.

— Tak jak nie ma dwóch takich samych twarzy. No, chyba że chodzi o bliźniaków, ale nawet wtedy występują drobne różnice. Na około sto masek, jakie do tej pory wykonałem, nie znajdzie pan dwóch identycznych. To jest to, co mnie różni od całej reszty tej... masowej tandety. Nieskromnie, ale zgodnie z prawdą powiem, że jestem artystą w swoim fachu. — Słuchając Oszuścika można było dojść do wniosku, że to, co

robi, jest jego prawdziwą pasją.

— Nie przeczę. Niech pan zabierze, co potrzebne do tej pańskiej sztuki — zarządził Eckert. Jego dwaj podwładni zdążyli już dokładnie rozejrzeć się „po rejonie”. Przejrzeli też papiery rzemieślnika. Był pedantem, dlatego bez trudu znaleźli adresy i niekiedy również numery telefonów zleceńodawców. W segregatorach figurowały rachunki za wykonane zlecenia. W ostatnim czasie Oszuścik miał więcej pracy niż zwykle.

— Tylko w grudniu miał pan z pięćdziesiąt zleceń — zauważył Jacyna.

— Nagle zapanowała w mieście moda na maskowanie się? — zapytał Krawczyk.

— To nie moda, to karnawał. Pierwszy karnawał w niepodległej Polsce, panie. Ludzie chcą się bawić, i bardzo dobrze! — odparł grubas, który był zajęty pakowaniem do kuferka wszelkich niezbędnych narzędzi i materiałów.

— Tak, bardzo dobrze... — zadudnił po swojemu Eckert.

Pół godziny później byli w prosektorium. Jacyna z Krawczykiem trzymali się z daleka, choć w polu widzenia szefa. Okazało się, że Gabriela Oszuścika postawiono przed nie lada trudnym zadaniem. Mężczyzna długo nie mógł opanować torsji, kiedy odkryto twarze pięciu zwłok leżących obok siebie na stołach sekcyjnych — rodziny Blochów oraz radcy miejskiego Gamratha.

— A, to panowie. Dobrze, że was widzę, bo muszę wam coś powiedzieć o radcy Gamracie — powiedział doktor Hoffmann, który cicho jak duch wszedł do pomieszczenia ze swojego umieszczonego na tyłach kantorku.

Policjanci nadstawili uszu.

— Tak jak przypuszczałem, przyczyną śmierci było utonięcie, o czym świadczy obecność wody w płucach, ale... jest coś jeszcze. Niech panowie spojrzą na jego dłonie i przeguby. — Hoffmann odsłonił obie dłonie denata. Chwycił jedną z nich i uniósł, aby zaprezentować funkcjonariuszom swoje odkrycie. Gabriel Oszuścik spojrział tylko raz i musiał się oddalić, bo dostał ataku mdłości. Zza węgła słychać było przeraźliwe postękiwania. Hoffmann zrobił krótką pauzę i kontynuował wywód:

— Liczne zasinienia na częściach miękkich dłoni, podbiegnięcia krwawe w okolicach stawów. Naderwane ścięgna. Palce i przeguby wyglądają tak, jakby ktoś

próbował je wyrwać...

— Ktoś? — zapytał podejrzliwie Eckert.

— Tak, to mało prawdopodobne, bo po co ktoś najpierw wrywałby mu stawy, a potem kazał wjechać automobilem do wody? Dlatego użyłem słowa „jakby”.

— Więc próbował je wyrwać sobie sam? — dociekał Eckert.

— Myślę, że zadziałały tu dwie sprzeczne siły. Z jednej strony Gamrath kurczowo zaciskał dłonie na kierownicy, ale jednocześnie chciał ją puścić. Stąd ślady podobne do tych, które powstałyby, gdyby poddano go torturom. W zasadzie były to tortury, tyle że zadane sobie samemu.

— Facet cierpiał na rozdwojenie jaźni? — zachnął się Eckert.

— To pytanie wykracza poza moją specjalizację, ale gdybym chciał pobawić się w snucie hipotez, to mógłbym zaryzykować odpowiedź twierdzącą — odparł doktor Hoffmann, przykrywając posiniaczone dłonie Gamratha.

— Czy *condylomata acuminata* mogły mieć wpływ na jego psyche? Wiadomo, że syfilis daje pewne objawy nerwowe — odezwał się Eckert, czym zwrócił uwagę pozostałych policjantów. Również doktor Hoffmann spojrzał na niego z wyrazem uznania.

— Kłykciny kończyste nie mają takiego przebiegu jak kiła. Choć już same, dość opłakane objawy tej choroby mogły znacząco pogorszyć stan psychiczny denata. Ale to jeszcze nie jest rozdwojenie jaźni. A teraz panowie wybaczą. — Hoffmann pożegnał się i zostawił ich samych w prosektorium.

— Kolejna zagadka — westchnął Eckert i zawołał Oszuścika.

— Jezus, nie dam rady... — powiedział ten płacząco, gdy tylko próbował zbliżyć się do twarzy Karla Blocha. Ona sama była teraz maską, białą i zimną jak stężały wosk.

— To tylko trupy. Niczego nam nie zrobią. Ale my możemy wiele zrobić dla nich. Na przykład złapać ich mordercę. Poznaje pan któregoś z nich? — zapytał Eckert, patrząc Oszuścikowi w oczy.

Mężczyzna po kolei pochylał się nad każdym z ciał i przez dłuższą chwilę przypatrywał się martwym twarzom, z trudem powstrzymując mdłości i od czasu do czasu głośno kaszląc, na pograniczu torsji.

— Nie znam ich — powiedział, kiedy odwrócił się w stronę policjantów.

— Na pewno? — zapytał zaczepnie Jacyna. Eckert zwrócił uwagę, że jego wywiadowca jest dziś zdenerwowany bardziej niż zwykle.

— Mam pamięć do twarzy. Takie skrzywienie zawodowe — powiedział Oszuścik.

— Bardzo przydatne „skrzywienie”, panie Oszuścik. Czy to możliwe, aby wykonał pan maskę bez zdejmowania miary z modelu? — Eckert mocniej podparł się na lasce. Odezwała się rwa kulszowa, pamiątka z wilgotnych okopów.

— Klient nasz pan. Wszystko jest możliwe. Najważniejsze, żeby klient był zadowolony...

— Mamy dwie wykonane przez pana maski. Podejrzewamy, że mogły należeć do dwóch spośród leżących tutaj osób. Mówią coś panu nazwiska Bloch i Gamrath?

— Nnnie... nie pamiętam...

— Może ktoś w ich imieniu zlecał panu zrobienie takich masek?

— Przecież mówię, że nie pamiętam!

— Niech pan zabiera się do roboty — zakomenderował zimno Eckert.

Oszuścik przystąpił do zdejmowania masek pośmiertnych z twarzy rodziny Blochów. Pracował „wedle starszeństwa”, zaczynając od Ernsta, potem zajął się jego żoną Hildegardę, a następnie dziećmi — Karlem i Eleonore. Dziewczyna nie straciła nic ze swojej urody. Jej twarz, mimo że była już od dawna martwa i stężała, miała niezwykle regularne rysy i malował się na niej jakiś niebiański spokój. Wydawało się, jakby za chwilę miała otworzyć oczy i omieść spojrzeniem mężczyzn, którzy jej teraz towarzyszyli.

Następnie rzemieślnik zajął się Juliušem Gamrathem. Musiał zetrzeć bawełnianą chusteczką z wnętrza zmarszczek jego twarzy resztki wody, które wciąż tam były. Chusteczkę początkowo chciał odruchowo schować do kieszeni spodni, ale zreflektował się i ze wstrętem odrzucił ją w bok, na podłogę.

Nie tylko Oszuścik przeżywał stres. Także Jacyna był niespokojny, co nie uszło uwagi Eckerta. Nic nie mówił, ale dyskretnie przyglądał się młodemu policjantowi. Młody policjant zaś przestępował z nogi na nogę i co chwila przeciągał dłonią po nieogolonych policzkach, co — jak zdążył zauważyć spostrzegawczy nadkomisarz — robił zawsze, kiedy coś nie dawało mu spokoju. W pewnym momencie Jacyna zauważył utkwione w siebie spojrzenie szefa i bardzo się speszył. Eckert wiedział, że

coś dręczy jego człowieka. Po minie Jacyny było widać, że nawet niespecjalnie zamierza maskować się ze swoją zморą.

„Maskować się...” — Eckert nieznacznie uśmiechnął się do swojej myśli, ale zaraz na jego twarz wrócił ten co zawsze ponury mrok.

Oszuścik tymczasem sporządził gipsowe odlewy pięciu twarzy. Gdy dobrze wyschły, otulił je pakułami i umieścił w skórzanej torbie.

— Teraz można zrobić maski, tak jak pan sobie życzył. Będą gotowe jutro z rana...

— Potrzebuję ich jeszcze dziś — wtrącił Eckert.

— Za kogo pan mnie ma? — zachnął się grubas.

— Za znakomitego fachowca i solidnego obywatela, który nie odmawia, kiedy policja państwowa prosi o pomoc — odparł Eckert, wyraźnie podkreślając słowo „prosi”.

— No dobrze, będzie pan miał te maski jeszcze dziś. Ale tym już zajmę się u siebie, tutaj nie mam swoich maszyn. No i rzygać mi się chce, do jasnej cholery!

— Rzemieślnik o mało nie wybuchł płaczem. Eckert dobrotliwie poklepał go po plecach.

— Bardzo pan nam pomógł, panie Oszuścik. Polskie władze panu tego nie zapomną, proszę mi wierzyć — powiedział komisarz do pakującego się grubasa. Kątem oka zauważył, że Jacyna szybko wychodzi z piwnicznej sali. — Krawczyk, odwieź pana do domu! — rzucił podwładnemu i szybko ruszył za Jacyną.

Major Rzydenko niespokojnie kręcił się po lokalu kontaktowym przy Karlstrasse. Co chwila zatrzymywał się przy oknie i dyskretnie odchyłał firankę, wyglądając na ulicę. Z prawej strony widział neobarokowy kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, świątynię niemieckich katolików. Do kościoła przylegał Elisabethmarkt, pełny spacerujących mieszczan, którzy ubrali się jak na niedzielę, bo choć były to dni powszednie, to nie miały w sobie nic z powszedniości. W powietrzu czuło się, że nastąpiło coś ważnego, nie tylko dla miasta jako całości, ale dla każdego mieszkańca z osobna. Nawet pijaczkowie, którzy zwykle szpecili krajobraz swoimi umęczonymi facjatami, w te dni również stanęli na wysokości zadania i upijali się uroczyściej i godniej.

— Co ja tu, kurwa, robię? — zapytał szeptem Rzydenko, kiedy spojrzął na zegarek i stwierdził, że Jacyna spóźnia się już dobre pół godziny. Major pomyślał, że zamiast włączyć się po kresowych zadaniach, powinien już wycierać posadzki jakiegoś ministerstwa w Warszawie. Wyobraził sobie, jak go awansują, a potem jak świętuje w wytwornym towarzystwie w stołecznej „Astorii”, jak piękne kobiety obdarzają go pełnymi podziwu spojrzeniami i jak mężczyźni ślą mu ukradkiem zazdrosne spojrzenia. A on zamiast tego gnije w jakiejś Bydgoszczy! „To znacznie poniżej moich kwalifikacji” — pomyślał z goryczą Rzydenko. Choć z drugiej strony... kto wie, czy właśnie nie tutaj, na kresach zachodnich, nie rozgrywa się najważniejsza batalia o polskość, czyli o przyszłość tych ziem.

Rzydenko wypalił jeszcze jednego papierosa i zgasił go w pełnej niedopałków kryształowej popielniczce. Był zdeterminowany załatwić bydgoską sprawę szybko i całkowicie po swojej myśli. Ale najpierw tak da popalić temu niedołądze Jacynie, że ten pożałuje, że w ogóle się urodził!

Eckert szedł ulicą Gdańską, podpierając się laską. Na wysokości hotelu Pod Orłem skręcił w Dworcową. Tutaj zawsze panował gwar, rozbrzmiewały gwizdki policjantów kierujących ruchem i dzwonki tramwajów. „Prawdziwe serce miasta, od dzisiaj polskie serce” — pomyślał stary legionista. Kilkadziesiąt metrów przed nim szedł Jacyna. „Gdzie ci tak spieszo, szczeniaku, co?” — zastanawiał się nadkomisarz, patrząc, jak jego podwładny niemal biegiem kieruje się w górę ulicy Dworcowej, skręcającej lekkim łukiem w prawo, a potem „prostującej się” aż do samego Dworca Głównego. Eckert pochwalił się w myślach za to, że nie zatrzymał Jacyny od razu i nie zapytał, co mu strzeliło do głowy. Górę wzięła policyjna podejrzliwość.

Jacyna, omijając przechodniów, a czasem ich potrącając, przyspieszał kroku. Eckert dyszał ciężko i klął Jacynę i papierosy, od których nie mógł się uwolnić, choć wyraźnie odbierały mu siły i zdrowie. Starszy policjant nie zgubił jednak podwładnego, który z Dworcowej skręcił w krótką ulicę Vorwerkstrasse. U zbiegu z Karlstrasse zatrzymał się na moment i rozejrzał, sprawdzając, czy nie jest śledzony. Eckert zdołał ukryć się za rogiem. Rychło w czas sprawdzasz, czy nie masz ogona. „Oj, Jacyna, Jacyna...” — skarcił w myślach podwładnego.

Po prawej stronie widać było kościół ewangelicko -augsburski pod wezwaniem

Chrystusa Pana. Właśnie wychodzili z niego wierni, którzy uczestniczyli we mszy w intencji ojczyzny — Polacy i Niemcy. Oddzielony od swojego katolickiego sąsiada zaledwie kilkoma domami, górował smukłą wieżą nad całą dzielnicą Bocianowo. Eckert bywał tu kiedyś z żoną — protestantką — ale teraz ani myślał o modłach. Jacyna bowiem skręcił w prawo, w Karlstrasse, i po chwili wszedł do niewysokiej kamienicy. Eckert podążył w ślad za nim, ale nie wkroczył na schody, żeby nie robić hałasu, tylko z sieni obserwował Jacynę. Ten zapukał do drzwi na pierwszym piętrze, wystukując jakby pierwsze takty *V Symfonii* Beethovena i nie czekając, aż ktoś je otworzy, wszedł do środka. Eckert myślał intensywnie, co robić dalej. Postanowił jednak, że nie będzie urządził „kotła” w niesprawdzonym mieszkaniu, ryzykując przede wszystkim, że spłoszy osobę (lub osoby), z którymi Jacyna ma „schatzkę”. „Może to zwykła dziwka?” — myślał Eckert z nadzieją. Wolałby, żeby tak było. Ale miał inne, znacznie gorsze przecucia. Podpowiadało mu je jego wieloletnie doświadczenie, najpierw żołnierza, potem policjanta. Życie nauczyło go, że jeśli istnieje choćby promil prawdopodobieństwa zdrady, to zdrada zawsze nastąpi. Nie miał złudzeń co do ludzi.

Upewnił się, że z kamienicy nie ma drugiego wyjścia, po czym wyszedł na ulicę i obserwował budynek z bezpiecznej odległości. Nie minął kwadrans, kiedy z kamienicy wyszedł Jacyna. Szedł teraz powoli, w górę Karlstrasse, która na wysokości kościoła Serca Jezusowego łamała się, przechodząc w Elisabethstrasse, równoległą i pod względem znaczenia konkurencyjną dla Dworcowej. Eckert odprowadził Jacynę wzrokiem, ale nie ruszył się z miejsca. Wiedział, że po chwili z budynku powinna wyjść „druga strona” schadzki Jacyny. Nie mylił się. Jakieś dziesięć minut po policjancie z kamienicy wyłonił się sztywny jak manekin major Rzydenko, ubrany w cywilny strój i sprawiający wrażenie bardzo czymś zajętego. „Kogo tym razem grasz, Rzydenko?” — pomyślał Eckert, patrząc, jak major kontrwywiadu wojskowego rusza w tę samą stronę, w którą wcześniej odszedł Jacyna.

Nadkomisarz poczuł się nagle bardzo samotny i zmęczony. Na Dworcowej wsiadł do tramwaju, miał jeszcze masę spraw do załatwienia w komendzie.

W tym samym momencie tajniak Siedlecki obserwował, kto wchodzi i wychodzi z siedziby Deutsches Haus na tyłach teatru Elysium przy Gdańskiej. Panował tam spory ruch, wielu Niemców decydowało się na wyjazd do Rzeszy i załatwiali niezbędne

sprawy urzędowe. Z kolei Herman zajął dogodny punkt obserwacyjny w pobliżu siedziby niemieckiej gazety „Deutsche Rundschau” przy Dworcowej. Rzydenko uznał te dwa punkty za najbardziej newralgiczne w potencjalnie wywrotowej działalności Niemców.

Wywiadowca kryminalny Leon Gajewski dochodził do siebie w swoim pokoju. Matka robiła mu okłady z lodu, więc jego twarz sama stężała jak lodowa kostka. Ale dzięki temu przynajmniej nie czuł bólu. Kiedy zwłókł się z łóżka i stanął przed lustrem, stwierdził, że opuchlizna zniknęła, zmieniając się jednak w prawdziwą feerię barw, które pojawiły się pod jego oczodołami. „W sam raz na wernisaż malarstwa!” — pomyślał i zerknął na zegarek. Do wieczornego spotkania u tego pacykarza, ale przede wszystkim do spotkania z Klarą, pozostało już niewiele czasu. Musiał czym prędzej znaleźć coś, co sprawi, że znowu zacznie wyglądać mniej więcej jak człowiek.

Stał przed otwartą szafą, zastanawiając się, co na siebie włożyć, kiedy do pokoju wszedł ojciec.

— Wychodzisz? — zapytał Józef Gajewski, siadając przy stole. Palił papierosa, strzepując popiół do metalowej popielniczki, zrobionej z łuski artyleryjskiej — pamiątki z frontu.

— Tak, idę na otwarcie wystawy malarstwa — odparł Leon.

— Od kiedy interesujesz się malarstwem?

„Od kiedy interesujesz się mną?” — miał zamiar odpowiedzieć Leon, ale powstrzymał się. Ojciec wyglądał na zmęczonego i najwyraźniej nie miał na celu wszczynania awantury, jak to wcześniej wielokrotnie bywało.

— Wiem, że się starasz, synu. Doceniam to — powiedział do Leona, który na te słowa z wrażenia aż usiadł przy stole, naprzeciw ojca.

— Doceniasz to... Ale jakoś dotąd słabo to okazywałeś, tato. — Leon poczęstował się papierosem z paczki ojca. Doszedł do wniosku, że chyba jeszcze nigdy ze sobą tak nie siedzieli. I nie rozmawiali. Z sąsiedniego pokoju słychać było terkotanie maszyny do szycia, przy której pracowała matka.

— Wiem, ale... to już minęło. Nie dlatego, że pogodziłem się ze śmiercią Zygmunta, bo nigdy się z nią nie pogodzę. Ale dlatego, że tylko ty mi zostałeś na świecie.

— A matka? A Teresa? — zapytał Leon. Ale ojciec jakby go nie słyszał.

— Obiecuj mi, że nie dasz się zabić. Ty musisz żyć, musisz dać nam wnuki, przedłużyć nasz ród...

Leon poczuł, że palce starego wbijają się w jego dłoń. Zaciskają się na niej. Ojciec miał już swoje lata, ale dłońmi starego kolejarza mógłby łupać włoskie orzechy. Zresztą lubił to robić.

— Wiesz, że w moim fachu nie mogę ci tego obiecać — powiedział Leon.

— Obiecujesz? — Stary wbił w niego niemalże błagalne spojrzenie.

— Obiecuję. — Leon zauważył dwie duże łzy wypływające z oczu ojca. Stary Gajewski wyszedł z pokoju, zostawiając syna sam na sam z kołowrotem myśli. Pojawiła się wśród nich ta o rzuceniu dopiero co rozpoczętej pracy w policji. „Na co mi to” — myślał Leon. Poszukam innego fachu, ożenię się z Klarą, wyprowadzę od rodziców, zacznę normalnie żyć... Ale zaraz potem zobaczył Bolesława Eckerta, który ze zgnębiłą miną pochyła się nad zabitą rodziną Blochów, i poczuł, że jeśli zostawi komisarza samego z tą sprawą, nigdy nie będzie mógł spojrzeć spokojnie w lustro. „Pójdźmy na kompromis” — dumął. „Kończymy tę sprawę, a potem odchodzę z policji do spokojniejszego fachu”. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie ten ząb, który znowu dał o sobie znać. Leon stanął przed lustrem i otworzył szeroko usta. Wielka dziura czerniała w dolnej prawej szóstce, najpaskudniejsza próchnica pod słońcem. Nigdy nie miał mocnych zębów. W przeciwieństwie do Zygmunta, który szczycił się kompletnym, śnieżnobiałym uzębieniem. Leon ze wstydem przyznał przed sobą, że i wacka jego starszy brat miał większego niż on. Skarcił się w myślach za to przypomnienie, ale nic nie mógł poradzić na to, że Zygmunt stał się dla niego i dla jego rodziny kimś w rodzaju mitologicznego herosa, a im dalej było od jego śmierci, tym ten mit był silniejszy.

Rzydenko wysiadł z tramwaju na Gdańskiej, ale zamiast wejść do obszernego westybulu hotelu Pod Orłem, postanowił zaczerpnąć powietrza po trudnej rozmowie z tym kretyńcem, jak nazywał Jacynę. Major udał się do Parku Miejskiego, aby zobaczyć słynną fontannę, o której słyszał już w Warszawie. Znajdowała się na tyłach ewangelickiej kirchy Świętego Pawła, zasłonięta od ulicy przez jej ceglana, równie rozlazłą co zgrabną bryłę. „Co za marnotrawstwo szlachetnych metali” — pomyślał ze

zgrozą praktyczny do bólu major Rzydenko. I automatycznie zaczął szacować wagę postumentu oraz ile można by wytopić z niego armat. Szybko jednak porzucił te jałowe rozważania, żeby oddać się analizie sprawy, nad którą pracował. Jacyna wprawdzie niechętnie, ale wydukał mu wszystkie istotne szczegóły śledztwa, także te, o których milczał ten uparty Eckert.

Śledztwo niebezpiecznie zbaczało z pożądanego kursu i szło w kierunku jakichś nieokreślonych rojeń, pełnych ezoterycznych symboli i mglistych wizji. Typowe dla Galicjoków, oni ciągle by jeszcze tańczyli ten swój chocholi taniec. Czarne maski, łacińskie sentencje, tajne przysiężenia, literatura! To dobre dla pensjonarek, ale nie dla poważnego kontrwywiadu poważnego państwa, które po blisko 150 latach wróciło na należne mu miejsce na arenie dziejowej!

Konspekt śledztwa tymczasem jest, a przynajmniej powinien być jasny od samego początku. Niemiecka dywersja jest oczywista i co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości. „Cui bono?” — to jedyna łacińska sentencja przydatna w tej sytuacji. „Jeśli dobrze wszystko rozegram, to na początku przyszłego tygodnia przedstawię w Warszawie raport zgodny z oczekiwaniami polskiej racji stanu” — kombinował Rzydenko. Jeśli... tylko że mamy tu problem w postaci Eckerta i jego nadambitnego pomagiera Gajewskiego. Chcą poznać prawdę... A cóż to jest prawda?!

— Wyglądasz na zmartwionego, Roman. — Z głębokiego zamyślenia wyrwał majora głos nie kogo innego, ale właśnie starego lisa Eckerta. Usiadł na ławce obok Rzydenki, ale ani przez moment nie spojrzął na niego. Rzydenko też, poza pierwszym spojrzeniem, kontynuował rozmowę, nie kierując wzroku na sąsiada. Z zewnątrz wyglądali jak dwaj obcy ludzie, którzy przypadkowo przysiedli na tej samej ławce.

— Ty mnie martwisz, Bolesław — odparł Rzydenko. — I to bardzo. Zresztą martwisz nie tylko mnie, ale wielu ludzi stojących nade mną. Zrozum, obaj jesteśmy tylko trybikami w wielkiej maszynie. Ta maszyna nazywa się państwo i jeśli któryś trybik nie pracuje jak należy, trzeba go wymienić. Wiesz, co mam na myśli.

— Odkąd pojawiłeś się w Bydgoszczy, węszysz tu jak pies. Rozumiem, to twoja robota, ale utrudniasz nam śledztwo, ot i cała rzecz. Można by to nawet nazwać sabotażem. Tak, to dobre określenie.

— Nie rozśmieszaj mnie. Obaj wiemy, w co gramy, ale tylko jeden z nas rozumie

sens tej gry. Jej szerszy kontekst.

— Nie wyjeżdżaj mi znowu ze swoim pragmatyzmem. Niebezpiecznie mu blisko do skurwysyństwa.

— Mocne słowo, nadkomisarzu Eckert. Proszę uważać na słowa, bo one potrafią wracać ze zdwojoną mocą.

— Grozisz mi, Rzydenko? Ty mi grozisz? Słuchaj, ja cię mogę...

Głos Eckerta zdrzął ze zdenerwowania. Rzydenko poczuł satysfakcję, że zdołał wyprowadzić z równowagi starego wojaka. Eckert też zdał sobie z tego sprawę i z miejsca się zreflektował. Odchrząknął.

— Wybacz. To nerwy. Rozejrzyj się. Widzisz, jakie to piękne miasto? Jedno z najpiękniejszych, jakie mamy w Polsce. Prawie jak Warszawa, Wilno, Lwów. A może nawet wcale nie „prawie”. Zżyłem się z tym miastem. Pochowałem tu żonę...

— Tak, słyszałem, moje kondolencje...

— ...i chcę położyć się obok niej. Ale zanim spocznę, zrobię wszystko, żeby to miasto nie zmieniło się w kloakę.

— Pięknie powiedziane, Bolesław, naprawdę jestem pod wrażeniem twojej weny poetyckiej.

— Nie kpij... To dotyczy też ciebie. Nie chcę, żebyś na moim terenie urządził wojnę. Wojna się skończyła. Ludzie chcą żyć, pracować, wychowywać dzieci. Niepotrzebny mi tu jakiś nowy front walki z Niemcami. Nie zapominaj, że oni też zbudowali to miasto. Mają do niego takie samo prawo, jak my.

Rzydenko zaśmiał się, po czym głęboko nabrał powietrza.

— Ty... romantyku. Chcesz Polski od morza do morza, ale nie widzisz, że pod nosem rośnie ci śmiertelny wróg. Chcesz Polski od morza do morza, ale z twoją krótkowzrocznością możesz stracić ten skrawek, jaki ledwie co odzyskaliśmy. Tak, oficjalnie wojna się skończyła, ale w rzeczywistości toczymy ją każdego dnia. Wiesz tak samo jak ja, że Niemcy nigdy nie zaakceptują traktatu wersalskiego. Całą swoją politykę podporządkują jego obaleniu. Nie potraficie zapanować nad podpitymi żołdakami Grenzschtzu, którzy latają po mieście z pałaszami i giwerami, a co dopiero z dobrze zorganizowaną dywersją!

Eckert wyjął z kieszeni płaszcza egzemplarz „Dziennika Bydgoskiego”.

— Takich rzeczy nie da się uniknąć w okresie przejściowym. Zresztą pismacy zawsze wszystko wyolbrzymiają. Szybko opanowaliśmy sytuację, a winni już siedzą. To nie Niemcy nam zagrażają, oni są w rozsypce. Przeczytaj, to mała wzmianka, ale ważna. O, tu.

Rzydenko wziął gazetę z rąk Eckerta i mrużąc oczy, przeczytał na głos informację wydrukowaną *petitem*:

— „Indianapolis, 18 stycznia. Telegram iskrowy donosi, że Trocki oświadczył, iż najpierwszym zadaniem bolszewickich sił bojowych będzie napad na Polskę i państwa bałtyckie”. Musimy mieć zabezpieczone obie flanki — powiedział major, oddając dziennik policjantowi. — Dlatego proponuję ci współpracę — kontynuował. — Oferuję daleko idącą pomoc, a w zamian oczekuję finału, który zadowoli nas wszystkich. Powiem krótko i węzłowato: można podać opinii publicznej, że winny jest Julius Gamrath, który po dokonaniu potwornej zbrodni popełnił samobójstwo, a niemieckie czynniki usiłowały te pożałowania godne zajścia wykorzystać w politycznej rozróbce. Czy to jest jasne?

— A co, jeśli po finale okaże się, że morderca nadal jest na wolności i zaatakuje znowu?

— To wtedy my znowu adekwatnie odpowiemy. Ta wojna nigdy się nie kończy, Bolesław!

— Zastanowię się. Ale póki co, odwołaj swoje psy, niech nie łażą po mieście, bo Niemcy robią się nerwowi. Nie ma dnia, żebyśmy nie dostawali skarg na „krzywdy”, jakich tu rzekomo doznają.

— A ty uważaj, z kim pracujesz. Ten Gajewski... Służba w armii kajzera, Krzyż Żelazny i siostra w Berlinie, która wyszła za niemieckiego oficera. Coś za dużo jak na jednego „dobrego policjanta”.

— Nie mam powodów, żeby mu nie ufać. Staraj się nie popadać w paranoję.

— Połączmy siły. W imię dawnych czasów. Właściwie nie tak dawnych.

Eckert po raz pierwszy spojrzął na Rzydenkę.

— Krótką masz pamięć, Rzydenko.

— Czasy się zmieniają, wszyscy dorastamy. Obaj jesteśmy...

— Polakami.

— Cieszę się, że rozumiesz.

— Wiesz co?

Eckert zawiesił głos i Rzydenko aż musiał spojrzeć na niego.

— Właśnie to jest najgorsze.

— Rozumiesz, że drugiej takiej szansy nie dostaniesz?

Eckert ciężko wstał i odszedł w głąb parku. Zbliżała się pora odwiedzin grobu żony. Stary ewangelicki cmentarz znajdował się niedaleko. Rzydenko odprowadził wzrokiem nadkomisarza, po czym szybkim i sprężystym krokiem skierował się do hotelu. Miał do załatwienia kilka spraw niecierpiących zwłoki.

Jeszcze tego samego popołudnia Eckert wszedł do swojego gabinetu przy Wilhelmowskiej. Na biurku czekała na niego przesyłka od Gajewskiego. Otworzył ją i najpierw przeczytał liścik podwładnego z dokładnymi informacjami o okolicznościach otrzymania wiadomości. Następnie przyjrzał się kopercie. Poza imieniem i nazwiskiem komisarza nie nosiła żadnych nadruków czy znaków. Policjant wyjął z niej kartkę.

„Kat chodzi bez maski” — Eckert dłuższą chwilę wpatrywał się w drukowane litery. Papier był stary, lekko pożółkły, ale napis wydawał się świeży. Policjant podniósł kartkę i spojrział pod światło — był tam jakiś znak wodny. Wyciągnął z szuflady lupę i odcyfrował napis: „Blumenthal”. Taki sklep papierniczy istniał kiedyś na rogu Friedrichstrasse i Hofstrasse. Ale teraz w tym miejscu mieściła się redakcja „Dziennika Bydgoskiego”. Papeteria musiała być więc kupiona dawno, pewnie jeszcze przed wojną, a zatem jej posiadacz prawdopodobnie mieszka w Bydgoszczy od dłuższego czasu. Eckert przypomniał sobie słowa Rzydenki o niemieckiej dywersji. Czyżby miał rację?

Śledczy otworzył jedną z teczek i wyjął z niej zdjęcia przedstawiające napis z kajuty „Annelise”. Położył je obok listu. Litery wydawały się podobne, ich krój, lekkie pochylenie w lewą stronę. Eckert podniósł słuchawkę i wezwał Orłowskiego, daktyloskopa z Warszawy. Policjant zjawił się bardzo szybko i z satysfakcją stwierdził, że Eckert potrzebuje jego pomocy. Dotąd czuł się trochę jak piąte koło u wozu.

— Oczywiście dotykaliście listu? — zapytał Orłowski.

— No tak...

— Na szczęście mam już wasze odciski, więc będzie można je wyeliminować. Ten atrament wydaje się dziwny... — Orłowski zmarszczył brwi.

— Co z nim? — zaciekawiał się Eckert.

— Kiedyś jako chłopiec zawarłem z najlepszym kolegą pakt o wiecznej przyjaźni. Nacięliśmy palce nożykiem i „podpisaliśmy się” odciskami krwi.

— To nie było mądre — zauważył Eckert.

— Owszem, ale po wyschnięciu krew wyglądała dokładnie tak jak ten napis — odparł Orłowski. — Oczywiście trzeba to potwierdzić badaniami. Niestety, to trochę potrwa. Musiałbym wszystko wysłać do laboratorium w Warszawie i poczekać na wyniki.

Orłowski patrzył pytająco na Eckerta, czekając na jego zgodę. Stary potarł twarz obiema dłońmi. Był zmęczony i niewyspany, ale i zdeterminowany, żeby doprowadzić śledztwo do końca. Spakował kopertę i list i wręczył Orłowskiemu.

— W Bydgoszczy też mamy laboratorium. Mam nadzieję, że na coś się przydadacie — powiedział i pozwolił policjantowi się odmeldować.

Teraz Eckert zapalił fajkę i zagłębił się w listę zleceńodawców fabrykanta masek Oszuścika. To że nie było na niej żadnego z Blochów oraz Gamratha mogło świadczyć o dwóch rzeczach — o tym, że ktoś zlecił wykonanie masek dla nich, być może w prezencie, i o tym, że Oszuścik nie mówi całej prawdy.

Eckert usłyszał ciche pukanie do drzwi gabinetu.

— Wejść! — powiedział, nie odwracając głowy.

Do pokoju wszedł Jacyna. Nieświeży, skacowany i zgnębiony. Eckert bez słowa kazał mu usiąść, poczęstował też papierosem, choć w pierwszej chwili miał ochotę walnąć go popielniczką w zapitą twarz. Powstrzymał się jednak.

— Dziwki, wóda, karty, ruletka. Coś pominąłem? — zaczął Eckert.

— To już ostatni raz, szefie, ja naprawdę... — wydukał Jacyna.

— To wszystko musi cholernie dużo kosztować. Skąd masz pieniądze, no bo na pewno nie z tego lichego żołdu?

— Zapożyczam się...

— Zapożyczasz się. A u kogo tak się zapożyczasz, co? — W głosie Eckerta było

coraz większe napięcie.

— U lichwiarzy, szefie. Ale ja z tym skończę, słowo honoru.

— Dobrze, że wspomniałeś o honorze, Jacyna. Rozumiesz, co to znaczy „honor”?

— Ma się rozumieć, że rozumiem, szefie.

— A mnie się wydaje, że nie rozumiesz. I że nie odróżniasz honoru od dawania dupy.

Jacyna spojrział na Eckerta, marszcząc brwi.

— Ja nie daję dupy — wycedził przez zęby.

— Ależ dajesz, i to za pieniądze.

— Pan trochę za daleko się posuwa, szefie...

— Za daleko? A zdrada tajemnicy śledztwa to nie jest za daleko?! A branie pieniędzy za informacje to nie jest za daleko? A nielojalność wobec mnie i kolegów to nie jest za daleko?!!!

Eckert dyszał ze zdenerwowania. Jacyna nerwowo zaciągał się papierosem. Już drugim od początku tej rozmowy.

— Wiem o wszystkim, Jacyna.

— O wszystkim? — powtórzył z niepokojem wywiadowca.

— Rzydenko cię podszedł, bo wiedział, że masz słaby punkt, a raczej całą masę słabych punktów. Tylko dlaczego z tym nie przyszedłeś do mnie?

— Powiedział, że jak pisnę słowo, to kula w łeb... Jak na wojnie. No to co miałem zrobić?! — Po raz pierwszy to Jacyna podniósł głos. Był rozklejony, ręce trzęsły mu się jak w ataku delirium, a oczy napełniły się łzami.

— Nie bądź baba. Miałeś odwagę donosić na kolegów, to teraz miej odwagę wypić to piwo, którego nawarzyłeś.

— Panie majorze, ja nie wiem, co tam między wami jest, ale on strasznie na pana cięty. Na pana miejscu bałbym się o stołek...

— Już ty się o mnie nie martw, Jacyna. Lepiej martw się o siebie.

Eckert przyglądał się podwładnemu spode łba. Jacyna odwrócił wzrok.

— Co ja mam robić? — zapytał bezradnie.

— Słuchać moich poleceń. Tylko tyle i aż tyle — odparł spokojnie Eckert. Jacyna spojrział na niego pytająco.

— On mnie zabije... — powiedział cicho.

— A gównu tam zabije! Zawsze był mocny w gębie, a słaby w... no, w innych częściach ciała. Powiem tak — Eckert na chwilę zawiesił głos — między tobą a nim będzie jak do tej pory, ale chcę, żebyś o wszystkim mi meldował. Jasne?

— Niby mam grać na dwa fortepiany?

— Sameś sobie na te fortepiany zapracował. Możesz też oczywiście zostać wylany dyscyplinarnie ze służby. Z wilczym biletem. Wybór należy do ciebie.

— Wybór... — powtórzył jak echo Jacyna.

— Tak właśnie — wybór.

— Zgoda, szefie.

— No, może jeszcze będą z ciebie ludzie.

Jacyna wstał i odmeldował się. Eckertowi spadł z serca sporej wielkości kamień.

Major Roman Rzydenko zjadł dość ciężki obiad w restauracji hotelu Pod Orłem, złożony z soczystego schabowego z kością, ziemniaków i zasmażanej kapusty. Popił to wyborym bydgoskim piwem. Więc teraz, leżąc w koszuli i rozpiętych spodniach na łóżku, w swoim pokoju na trzecim piętrze z oknem na Dworcową, czuł błogą sytość i senność. Pozwolił obrazom swobodnie płynąć pod zamkniętymi powiekami. Myślał o żonie i małym dziecku czekających na niego w stolicy i o awansach, o samochodzie z szoferem i o willi z ogrodem, a przede wszystkim — o powszechnym uznaniu dla Romana Rzydenki, bękarta, który okazał się lepszy od niejednego dobrze urodzonego cwaniaka. Bydgoszcz była pierwszym krokiem, jeśli tu sprawi się jak należy, otworzą się dla niego szeroko drzwi kariery. Ale żeby to nastąpiło, musiał usunąć przeszkodę.

Rzydenko otworzył oczy, zapiął spodnie, usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę telefonu stojącego na stoliku. Kazał telefonistce połączyć się z Warszawą. Podał numer swojego bezpośredniego przełożonego. Po chwili uzyskał połączenie.

— Śluzy sprawdzone. Są pewne uszkodzenia, spowodowane przez dość twardą i starą kłodę. Co z nią zrobić? — powiedział do słuchawki Rzydenko.

Przez chwilę w wielkim skupieniu słuchał instrukcji swojego rozmówcy, po czym powtórzył po wojskowemu:

— Mogę zapytać, co znaczy „przywrócić przepustowość”?

Znowu wysłuchał odpowiedzi i zakończył rozmowę krótkim:

— Tak jest!

Odłożył słuchawkę na widełki i zaczął szykować się do spotkania z podwładnymi: Hermanem i Siedleckim.

Leon Gajewski włożył to, co miał najlepszego: czarny garnitur, białą koszulę, do tego muchę. Pożyczył od ojca flakon z wodą kolońską i naciskając gumową gruszkę, spryskał się obficie. W zasadzie nigdy tego nie robił, ale... Klara lubiła, kiedy ładnie pachniał. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że robi dla niej i przez nią to, czego wcześniej nie zrobiłby dla nikogo innego. „Może robię to też dla siebie?” — zastanawiał się, gładząc wierzchem dłoni gładko ogolone policzki. Klara nie lubiła, gdy ją drapał podczas całowania.

Na nogach lśniły mu świeżo wyglansowane lakierki, a na głowie pysznił się odświeżony (przez matkę, a jakżeby inaczej!) kapelusz. Do tego jeszcze nieznoszony paltocik, szalik, skórzane rękawiczki i był gotowy do wyjścia. Wszystko byłoby w idealnym porządku, gdyby nie jego twarz, która wciąż nosiła liczne ślady ostatnich wydarzeń.

Wernisaż miał zacząć się dopiero za dwie godziny, ale Leon zamierzał jeszcze spotkać się z Klarą. Z mieszaniną ekscytacji i zgrozy stwierdził, że kiedy jej dłużej nie widzi, „czegoś mu braknie, kogoś widzieć żąda”. Dylematu „czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie” jeszcze nie rozstrzygnął i wcale nie miał takiego zamiaru. Postanowił zdać się na to, co przyniesie los.

— Z Bogiem! — Leon rzucił w stronę kuchni, gdzie do podwieczorku szykowali się już matka i ojciec, i wyszedł na ciemną klatkę schodową.

Kiedy znalazł się na schodach, w jego nozdrza wpłynęła doskonale mu znana mieszanina zapachów: suszącego się prania, gotowanych ziemniaków i kapusty, przypalonego tłuszczu i czegoś, czego nie umiał nazwać, ale co mogło być duszą tego starego domu.

Na klatce schodowej panował półmrok, bo popołudnie było mroczne, a światło z dworu wpadało przez grube, witrażowe szybki okna na półpiętrze. Był już piętro niżej, gdy usłyszał ojca, który przywołał go po imieniu. Chcąc nie chcąc, Leon wrócił na górę.

— Jak jesteś już na nogach, to skocz do piwnicy po węgiel. Muszę napalić w kuchni — powiedział stary i wręczył Leonowi klucze oraz blaszaną węglarkę ze skrzypiącym uchwytem.

— Mogłeś wcześniej mi to powiedzieć, a nie kiedy jestem wyrychtowany do wyjścia — powiedział z wyrzutem młody człowiek, biorąc z rąk ojca pojemnik.

— Aha, i weź od razu słoik kiszonych ogórków — dodał niewzruszony ojciec i zamknął za sobą drzwi mieszkania.

Leon, mrucząc pod nosem, podreptał do piwnicy. Mieściła się za drewnianymi, trochę koślawymi oraz zatłuszczonymi sadzą drzwiami. Mężczyzna przekręcił włącznik i żarówka oświetliła strome, ceglane schody z wgłębieniami od stąpających po niej obcasów. Na dole, w pomieszczeniu z lewej strony znajdowała się pralnia, w której robiono większe przepierki, a w podgrzewanym kotle krochmalono bieliznę. Piwnica Gajewskich znajdowała się dalej, za narożnikiem korytarza zwieńczonego półkolistymi, ceglanymi sklepieniami. Gdy Leon zapalił kolejną lampkę, usłyszał pisk nietoperza, który zwisał z łukowatego sklepienia w połowie długości korytarza. Policjant wzdrygnął się na widok czarnego stworzenia. Przekręcił klucz w kłódce, zdjął rygiel i otworzył piwniczną komórkę. Ojciec potrafił zagospodarować niewielką jej przestrzeń. Na wprost znajdowały się dwa boksy oddzielone przepierzeniem z desek — w jednym rodzina trzymała węgiel, w drugim ziemniaki. Oba były przezornie wypełnione niemal po brzegi. Mimo ogólnych trudności z aprowizacją rodzinom kolejarskim powodziło się nie najgorzej. Ścianę po lewej wypełniały regały z zaprawami: od powideł śliwkowych, musu jabłkowego, przez kiszone ogórki, marynowane rydze i borowiki, aż po skórki pomarańczy kandyzowane w cukrowej zalewie. Przy prawej ścianie stała stara szafa kuchenna wypełniona z kolei sokami oraz kompotami w słoikach z pokrywkami zabezpieczonymi dodatkowo bawełnianymi chusteczkami i gumkami. Soki malinowe sąsiadowały z wiśniowymi, a w wielkich wekach pyszniły się gotowe do spożycia kompoty truskawkowe, jabłkowe, gruszkowe, wiśniowe i ulubione przez Leona — czereśniowe. Kochana mama, od najmłodszych lat przyzwyczaiła ich, że zimą zajadają to, co nagotowała w pracowitym lecie i na jesieni.

Leon chwycił szufłę i pogwizdując, naładował węgiel do pojemnika. I nagle, gdy był jeszcze schylony i odwrócony tyłem do drzwi, wyczuł czyjąś obecność. Zamilkł;

cały zeszywniał, jego kark stał się twardy i poczuł, jak skóra na głowie ściąga się i włosy stają dęba. Ale wtedy stało się coś, co sprawiło, że poczuł się jak w dzieciństwie, kiedy chorował i miał gorączkę — wydawało mu się wtedy, a właściwie był pewien, że jest ostatnim człowiekiem w całym kosmosie.

Światło zgasło i jednocześnie drzwi do komórki się zatrzasnęły. Ogarnęła go ciemność. Do środka wpadała tylko nikła poświata przez szparę pomiędzy krawędzią otworu okiennego a dyktą, którą ojciec wstawił na zimę.

Leon poczuł wyraźnie czyjąś obecność, jakąś skumulowaną, zgęstniałą energię, która od strony drzwi zbliżała się do niego. Nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, jak w dzieciństwie, kiedy obudził się pewnej nocy i zobaczył dziadka schylającego się nad nim. I choć wiedział, że dziadek zmarł tydzień wcześniej, wiedział też, że to on, i nie mógł, choć rozpaczliwie chciał, wydobyć z siebie nawet najżałośniejszej skargi. Tkwił w strachu jak skamieniały. Jak umarły.

To coś było już blisko, czuł to, ale nie mógł zdobyć się na żaden ruch. Serce biło mu jak oszalałe, w skroniach szumiało, a dłonie pokryły się kropelkami potu. Dłonie, tak, nadal trzymał w nich drewniany trzonek szufli. Musi to zrobić, teraz albo nigdy, teraz albo na zawsze pograży się w tym lęku.

Ręce Leona Gajewskiego mocniej zacisnęły się na drewnie, jednym ruchem zamachnął się łopata i uderzył za siebie. Ale trafił w powietrze. Otworzył oczy i spojrzał wreszcie w to miejsce — widział tylko ciemność.

— Hej, bawisz się ze mną?! — huknął w przestrzeń.

Nic mu nie odpowiedziało. A jednak nadal to coś tu było. Patrzyło mu prosto w oczy. Szeroko otwarte oczy człowieka, który tracił rozum. Odrzucił łopata i chwycił się oburącz za głowę; zaczęła go boleć jednocześnie z zębem, nie wiedział, co boli bardziej i gdzie jest epicentrum bólu.

— Przeeeeestaaań!!! — wrzasnął z wszystkich sił w płucach, aż usłyszał czyjeś kroki. Dopadł do drzwi i otworzył je, gotowy rzucić się na intruza bez względu na konsekwencje. Ale natknął się na panią Modracką, otyłą i schorowaną wdowę z parteru.

— Co tobie, Leoś? — zapytała z troską, gdy zobaczyła bladego i spoconego mężczyznę.

— Nic, pani Modracka, zgrzałem się... — odparł zachrypniętym głosem.

— Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. — Kobieta omiotła go uważnym, matczynym wzrokiem.

— Nikogo tu nie ma. — Odwrócił się w stronę komórki i powtórzył: — Nikogo nie ma...

Kobieta ciężko poczłapała do swojej piwnicy, Leon wziął co trzeba, zamknął pomieszczenie i poszedł na górę. Nad żeliwną umywalką odświeżył się, w przedpokoju ponownie przeczyścił szmatką przybrudzone buty.

Gdy wyszedł na ulicę, wiew mroźnego powietrza przyniósł mu błogosławioną ulgę. Spojrzał na zegarek; robiło się późno, a on chciał zrobić niespodziankę Klarze. Doszedł na róg Friedenstrasse i Berlinerstrasse i dostrzegł nadjeżdżający tramwaj. Wsiadł, gdy pojazd zatrzymał się na pobliskim przystanku, i ruszył w stronę centrum. Miasto wyglądało niby tak samo jak zawsze, ale jednak było odmienione. To nie był już Bromberg, „klein Berlin”, ale Bydgoszcz. Niejeden Niemiec łamał sobie język na tej trudnej nazwie, ale wszyscy musieli się jej teraz nauczyć. Na wielu domach wisały biało-czerwone proporce, choć niektóre drzewce od flag były połamane. Niemcy stanowili zdecydowaną większość w polskiej Bydgoszczy, liczebnie i ekonomicznie. Trudno było im się pogodzić nie tylko z nowymi zasadami wymowy, ale i z całym obrotem koła historii.

Jednak i Polacy musieli nauczyć się żyć w nowych warunkach. I uczyli się szybko. Kto miał głowę na karku, ten zwietrzył interes na powrocie do macierzy. Jak grzyby po deszczu powstawały warsztaty, przerabiające maszyny do pisania z niemieckiej czcionki na polską. Pełną parą ruszały drukarnie, nowe sklepy i punkty usługowe, zakładane głównie przez polskich przybyszów spoza Bydgoszczy. Napływali urzędnicy z Galicji, Wielkopolski i innych regionów Rzeczypospolitej. Niemiecka fala wycofywała się z miasta.

Gajewski wyskoczył z tramwaju na Rynku, wciąż jeszcze świątecznie udekorowanym, choć miejsce żołnierzy i wiwatujących obywateli na powrót zajęły stragany handlarzy i przekupek. U jednej z nich Leon kupił bukiet margerytek, u innej papierosy i prędko ruszył w kierunku Dworcowej. Miał szczęście, bo po drodze złapał

tramwaj jadący na dworzec; wskoczył na tylną platformę i po chwili był przed bramą kamienicy Klary. Poprawił garderobę i pchnął ciężkie drzwi, po czym z brukowanego dziedzińca wszedł do sieni. W wejściu lekko potrącił go schodzący z góry niewysoki i krępy mężczyzna w kaszkiecie nisko nasuniętym na czoło. Facet, nie odwracając się, powiedział po niemiecku „przepraszam” i szybko się oddalił.

„A tobie gdzie tak spieszo, frycku?” — pomyślał Gajewski i ruszył na piętro. Już po chwili tulił w objęciach Klarę. W przedpokoju było ciemno. Dziewczyna ucieszyła się na widok kwiatów, ale Gajewski zwrócił uwagę, że odbierała od niego bukiet z roztargnieniem, jakby nie do końca obecna.

— Nie spodziewałam się ciebie tutaj, myślałam...

— Nie myśl tyle — przerwał jej Leon i pocałował w usta. Poczuł przypływ pożądania.

— Przestań, jestem jeszcze nieubrana. — Klara odepchnęła go ze śmiechem.

— To się doskonale składa. — Leon nie tracił dobrego humoru. Znowu przyciągnął do siebie dziewczynę. Tym razem musiała poczuć jego podniecenie.

— Ach, ty wariacie... — Nie opierała się już tak bardzo. Czuł przez materiał, jak szybciej zaczyna bić jej serce.

— A wiesz, że w wojsku mówili na mnie Dziki? — zapytał, przerwawszy na moment całowanie jej cudownie gładkiej szyi.

— Z tego powodu? — zapytała zalotnie Klara.

— O nie, wtedy jeszcze nie znałem kobiet — odparł nieszczerze.

— I tak ci nie wierzę, ale niech ci będzie. Czego się napijesz? Mam świetny koniak. Dostałam po wczorajszym wieczorze patriotycznym.

Leon usłyszał w jej głosie nutkę wyrzutu.

— A właśnie, jak poszło? — zapytał pospiesznie.

Klara odwróciła się i poszła do pokoju gościnnego, gdzie zajęła się nalewaniem koniaku. Leon poszedł za nią.

— Miło, że pytasz... Było trochę sztywno, jak to na akademiach, ale w pewnym momencie czułam, że płynę, rozumiesz? Płynę niesiona wierszem...

I zaczęła deklamować...

Kiedyś — gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,
Umilknie, światu swobodę obwieści,
Gdy orły nasze lotem błyskawicy
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Gdy ciał podjedzą i krwią całe spłyną,
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną —
Wtenczas, dęborem liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siądą rozbrojeni
Rycerze nasi! Zechcą słuchać pieni!
Gdy świat obecnej doli pozazdrości,
Będą czas mieli słuchać o przeszłości!
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami
I wtenczas łza ta ich lica nie splami ¹.

Gdy odwróciła się do Leona, trzymając w obu dłoniach kieliszki z koniakiem, szła o mało nie wypadły jej z rąk.

— O Boże! Co się stało z twoją twarzą? — zapytała dramatycznie.

— W wolnych chwilach lubię sobie poboksować z kolegami. Trafiłem na trudnego sparingpartnera. Cudnie deklamowałaś. Na pewno miałaś owację na stojąco — odparł Leon.

— Nie zmieniaj tematu, Leon. Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego. Ja tak naprawdę nic o tobie nie wiem.

— Wiesz więcej, niż myślisz. Czasem wiesz o mnie więcej niż ja sam...

— Znowu mówisz zagadkami. Nie lubię tego. Jeśli nie chcesz mnie stracić, musisz być ze mną szczery...

Leon spochmurniał. Nie mógł pozwolić na to, żeby ta dziewczyna zawładnęła nim bez reszty. Jednym haustem wypił koniak. Klara odstawiła swój kieliszek nietknięty. Boczyła się.

— Trzeba to zapudrować. Nie możesz na wernisazu wyglądać jak bandyta —

powiedziała i po chwili pokrywała twarz Leona grubą warstwą pudru ze swojego podręcznego pudrera. Gajewski patrzył na jej skupioną, dobrą twarz i po raz pierwszy, odkąd się poznali, bardzo wyraźnie poczuł, że ją kocha.

— Pewnie cię to boli — zauważyła jego nieznaczny grymas, gdy pudrowała mu lekko zapuchnięty nos.

— Wcale nie boli — skłamał, bo czuł już nie tylko rwanie zęba, ale i pieczenie całej twarzy.

— Mam coś, co powinno uśmierzyć ból.

Wyszła do sypialni, a po chwili wróciła z niej, trzymając pudełko z błyszczącej stali nierdzewnej, podobne do tych używanych przez lekarzy. Po jego otwarciu okazało się, że w środku jest profesjonalny zestaw do robienia zastrzyków, łącznie z gumową opaską uciskową, oraz dwie fiołki bezbarwnego płynu. Klara bez słowa zabrała się do napełniania strzykawki.

— Co to jest? — zapytał.

— Morfina. — Klara powiedziała to tak, jakby chodziło o cukierka.

— Skąd to masz?

— A co, z policji jesteś?

Leon zmieszał się, ale Klara na szczęście nie była w bojowym nastroju.

— No wiesz, my artyści mamy swoje dojścia — powiedziała z tajemniczym uśmiechem. Leon uśmiechnął się z niejakim wysiłkiem.

— No, podciągnij rękaw — zakomenderowała.

— Nie chcę. Wiem, jak to działa, w armii widziałem kolegów, którzy nie mogli z tym skończyć. Wariowali — mówiąc to, napotkał litościwe spojrzenie Klary.

— Uwierz mi, wiem, co robię. Sama to zażywam i bardzo mi to pomaga na treść. Jeśli wiesz, jaka dawka jest dla ciebie dobra, morfina będzie twoim sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. Podciągasz ten rękaw czy nie?

Była dziwnie rozgorączkowana. A jego znowu strasznie zaboląło.

— Masz ochotę, to sobie wstrzyknij.

— Już to zrobiłam przed twoim przyjściem.

— Ale masz ochotę.

— Może i mam, ale potrafię to kontrolować.

— Dobrze, wstrzyknij mi to. — Leon złamał się tylko dlatego, że nie chciał, żeby dziewczyna znowu ładowała sobie w żyły gotową dawkę.

Klara nacisnęła tłok strzykawki i morfina wpłynęła do krwiobiegu wywiadowcy Gajewskiego. Nie od razu poczuł jej działanie, ale wkrótce z satysfakcją stwierdził, że bóle ustały, choć był bardziej senny i spowolniały.

— Widzisz, głuptasku, to działa! — powiedziała Klara. Stała przed lustrem i zrzuciła z siebie podomkę. Stała teraz zupełnie naga, piękna, młoda i bezwstydną.

— Jeszcze jak! — Gajewski nie mógł się powstrzymać, żeby nie podejść do dziewczyny i przyciągnąć do siebie. — Aleś ty piękna!

Zaczął obcałowywać ją całą, od stóp do głów, nie panował już nad tym, raz kozie śmierć. Co z tego, że znowu da plamę przed Eckertem, jeszcze nigdy nie miał takiej panny jak ta, czystej, a przy tym znającej arkana sztuki kochania i do tego utalentowanej artystycznie, co ty bredzisz, baba zawróciła ci w głowie i tyle, myślisz wackiem zamiast mózgiem. Ale na nic upomnienia samego siebie, usta i ręce Gajewskiego wędrowały niżej, przywarł twarzą do pachnącego mydłem toaletowym łona Klary i wplótł palce w ciemne kędziorki. Językiem delikatnie rozchyłał płatki jej kobiecości, wilgotne i nabrzmiące, pragnące go przyjąć.

Leon zrzucił z siebie ubranie, tak żmudnie niedawno przyszykowane, i oboje rzucili się na łóżko, nad którym na zdjęciu uśmiechała się Klara w swoim debiucie teatralnym — rolą Anny w *Warszawiance* Wyspiańskiego.

Ale gdy miał już w nią wejść, dziewczyna stanowczo zaproponowała.

— Mam prezerwatywy — powiedział chrapliwie Leon, któremu zostało jeszcze parę paczek niemieckich gumek z wojennego przydziału. Korzystał z nich także w czasach pokoju i jak dotąd nie było na nie skarg.

— Nie o to chodzi. Nie wiem, czy chcę to z tobą zrobić. Nie jestem gotowa... — tłumaczyła, gdy Leon położył się obok.

— I teraz mi to mówisz? — powiedział z wyrzutem.

— Przepraszam, to stało się tak nagle. Obiecuję, że ci to wynagrodzę, jeśli będziesz dla mnie dobry.

— A co z nim? — Ruchem głowy wskazał na sterczące przyrodzenie.

Klara pogładziła je dłonią, co tylko wzmogło pożądanie Leona.

— Co ty ze mną wyczyniasz? — zapytał żałośnie.

Przez chwilę pomyślał, że powinien wziąć ją bez tego gadania, ale Klara go wyręczyła. Usiadła na nim i zaczęli kołysać się we wspólnym rytmie. Leon czuł się tak, jakby robili to nie pierwszy raz. Zgrani z sobą jak para znająca się od dawna.

Gdy skończyli, zmęczeni leżeli przytuleni do siebie. Leon zapalił papierosa i wydmuchiwał dym tak, by nie trafił w twarz Klary. Ona patrzyła gdzieś w nieokreślony punkt przestrzeni.

— No to stało się. Teraz pewnie mnie rzucisz — powiedziała matowym tonem.

— Dlaczego miałbym cię rzucić? — zapytał.

— Wszyscy tak robili. A ja wychodziłam na tę „łatwą”. Wiadomo, aktoreczka, zabawka...

— Wyjdiesz za mnie? — Sam się zdziwił, że wypowiedział to pytanie i że przyszło mu to z taką łatwością.

Klara wzięła od niego papierosa, zaciągnęła się i wypuściła mu dym w twarz.

— Nie wiem.

Atelier artysty Waldemara Lassoty mieściło się na ostatniej kondygnacji narożnej kamienicy przy Gdańskiej 30. Na parterze znajdowała się najszynniejsza kwiaciarnia w mieście, należąca do rodziny Stössel. Studio miało formę narożnej nadbudówki, wpiętej w połąć dachu. Niezabudowaną jego część stanowił taras, wykorzystywany chętnie podczas przyjęć.

Gdy weszli na górę, atelier było już pełne gości. Leon znał z widzenia tylko jedną z osób, reportera „Dziennika Bydgoskiego” Mariana Wilczyńskiego. Mężczyzna pracowicie zapisywał coś w swoim notesiku. Ludzie pili wino i w ożywiony sposób rozmawiali, słuchając muzyki z patefonu. Był to jazz, nowy gatunek zza oceanu. Leonowi od razu się spodobał. Klara też rażno podrygiwała, gdy już zaopatrzyli się w kieliszki z winem.

Na środku obszernego pomieszczenia stał szereg sztalug przykrytych jasnym, gdzieśgdzie poplamionym farbami płótnem.

— Żałuję, że jutro rano będę musiał wrócić do pracy — powiedział policjant, znowu mijając się z prawdą, bo pobyt na wernisażu był wszak elementem jego roboty.

— Cały czas mam wrażenie, że coś cię gryzie. — Nic nie mogło ująć uwagi Klary.

— Ząb.

— Umówię cię z dentystą.

— Masz takie proste recepty na wszystko...

— Życia nie wolno dodatkowo komplikować. I tak jest wystarczająco pokręcone.

Roześmiali się i wypili wino. Tymczasem zza kulis atelier wyłonił się bohater, artysta malarz Waldemar Lassota, około trzydziestoletni, chudy i wysoki człowiek z gęstą czupryną czarnych włosów oraz takimże wąsem i z hiszpańska przyciętą bródką. Klara szybko wyjaśniła, że na chleb zarabia jako nauczyciel rysunku w Szkole Rzemiosł Artystycznych oraz daniem korepetycji, jego *idée fixe* jest zaś stworzenie „nowej sztuki narodowej”.

Lassota zaczął mówić. Mówił rozwlekłe, chaotycznie i robiąc nieznośnie długie pauzy, które jego zdaniem miały wzmacniać napięcie, a wzmacniały jedynie zniecierpliwienie audytorium.

— Nowe czasy nakładają na nas, ludzi sztuki, nowe powinności. Tak, powinności, bo czym jest talent, czym jest artyzm, który nie służy sprawie wyższej od siebie samego, sprawie, bez której byłby jedynie cyrkową sztuczką? Podstawową powinnością artysty polskiego jest dołożyć wszelkich wysiłków, by z półtorawiekowej otchłani, z gruzów i niespełnionych żywotów zrodziła się Polska Sztuka Narodowa. Każdy z nas, artystów polskich, ma do wykonania zadanie na swoim odcinku. Moim odcinkiem jest Bydgoszcz, prastare polskie miasto, wyrwane dopiero co z prusackiej niewoli. Chciałem powiązać to, co było, z tym, co jest, i z tym, co będzie. Wywieść z tradycji nowoczesność, polską nowoczesność. Pracowałem nad tym ponad rok. Wyszła z tego najpierw seria szkiców, a potem obrazów olejnych. Oto one.

To powiedziawszy, odsłonił sztalugi. Rozległy się nieśmiałe, pojedyncze brawa. Oczom zebranych ukazała się seria obrazów przedstawiających to samo: fontannę „Potop”, ale przedstawiających za każdym razem inaczej. Pierwszy był wiernym i raczej akademickim ujęciem tej bryły, drugi ukazywał ją w stylu przypominającym impresjonizm, na trzecim „Potop” zdawał się rozpadać, poddany jakiejś sile odśrodkowej, choć jeszcze stanowił całość; czwarty obraz ukazywał już stan po rozpadzie „Potopu” — były to kubistycznie rozrzucone jego elementy — wreszcie na

ostatnim płótnie goście wernisażu zobaczyli coś, co Lassota nazwał „nową syntezą”. Był to ni mniej, ni więcej, projekt nowego „Potopu”, w którym polski rycerz ratuje niewiastę i jej dziecko przed germańską czarownicą.

— Noc Kupały kontra Noc Walpurgii albo coś w tym rodzaju. — Leon usłyszał fragment czyjejs rozmowy. Czuł się już zmęczony teoretycznymi wywodami Lassoty, choć zachowanie artysty było dlań osobliwe: malarz błąkał się wśród gości, tu zamienił z kimś kilka zdań, tam jedynie nadstawił uszu z grzeczności dla interlokutora. Ale sprawiał wrażenie człowieka nie do końca przytomnego.

— Waldemarze, to właśnie mój nowy znajomy, o którym ci mówiłam — powiedziała Klara, kiedy Lassota znalazł się przy nich. Malarz skierował na Leona bardzo niebieskie, wręcz wodniste oczy.

— Leon Gajewski, dziękuję za możliwość obcowania z polską sztuką narodową — przywitał się z Lassotą komisarz.

— To ja dziękuję, że ktoś spoza tego cyrku docenia moją robotę. Bo ja właśnie dla takich jak pan tworzę, nie dla krytyków... — powiedział Lassota na tyle głośno, że usłyszał go stojący obok redaktor Wilczyński, mniej więcej rówieśnik Gajewskiego, mający opinię wszędobyłskiego reportera. Ten poczuł się widać w obowiązku zareagować, bo dość bezceremonialnie wtrącił się do rozmowy.

— Za pozwoleniem, ale ta pańska sztuka narodowa jest popłuczyną po niemieckim akademizmie. Ferdinand Lepcke byłby dumny z takiego ucznia. Jak artysta polski może w ogóle wzorować się na pruskim schemacie??? Dlaczego nie sięgnął pan do skarbnicy naszej, polskiej kultury? Właściwie to, co nam pan dzisiaj pokazał, można skwitować jednym słowem: skandal — powiedział Wilczyński.

— Czy pan już skończył? — zapytał Lassota, siląc się na grzeczność.

— Nie skończyłem, zakończenie przeczyta pan w mojej relacji z tego... żalosego wybryku — odparł rozeźlony reporter.

— Kiedyś w pamiętniku napiszę: „Żyliśmy w czasach, w których »Dziennik Bydgoski« wybornie znał się na sztuce” — ripostował Lassota.

— A ja w swoim zanotuję: „Żyliśmy w czasach, w których plewy udawały ziarna, ale żarna czasu zdemaskowały ich nicość” — nie dawał za wygraną reporter.

— Panowie, bardzo miło słuchało się waszej interesującej dyskusji, ale niestety, na

nas już czas — powiedział Gajewski, próbując ewakuować się z tej niewygodnej sytuacji.

— Ależ w żadnym wypadku was nie puszczę. Pan redaktor właśnie wychodził.

Lassota nieprzytomnym wzrokiem spojrzął na Wilczyńskiego, a ten, obrażony, ale chyba jeszcze bardziej znudzony wernisażem, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

— No, to recenzję mam już z głowy... — westchnął artysta. — Ale nic to, byleby tylko nazwiska nie pomylili! A teraz — bawmy się! Wszak jest karnawał!

Lassota ponownie nastawił patefon, wyłączony na czas *exposé*. Z tuby popłynął ochryply głos jakiegoś amerykańskiego Murzyna, śpiewającego o nieszczęśliwej miłości do Katty, Amy, a może Betty. Atmosfera stawała się coraz swobodniejsza. Panie podochocone winem śmiały się w głos, a panowie sączyli im do uszek kolejne dowcipy o wysokim stopniu sprośności. Towarzystwo stopniowo rozdzielało się na mniejsze grupki. Niektórzy wychodzili. Klara nie zamierzała opuszczać imprezy. W pewnym momencie Lassota zniknął za cienkim przepierzeniem. Po chwili Gajewski poczuł zapach jakiegoś dziwnego dymu. Klara pociągnęła go w tamtą stronę.

— Oho, zaczęło się na dobre! — powiedziała, znikając za przepierzeniem. — No chodź! — zachęciła Leona.

Za parawanem w wielkim fotelu siedział w tureckim fezie na głowie Lassota i palił fajkę, która do złudzenia przypominała róg myśliwski. Wykonana była w rzeczy samej z bawolego rogu, a ozdobiona drewnianymi i metalowymi detalami, zakończona zaś misternie rzeźbioną głową smoka. Teraz, gdy pociągał z niej Lassota, smok wypuszczał z paszczy kłęby egzotycznego dymu.

— Proszę, częstujcie się! To pierwszorzędne opium! Sprowadzane prosto z Afganistanu! Doskonała jakość! — zachwycił się „smakosz” Lassota.

Klara ochoczo pociągnęła z fajki, nabierając dym do płuc i dopiero po dłuższej chwili go wypuszczając. Wyjaśniła Leonowi, że przez to opium lepiej działa.

Gajewski nie wierzył własnym oczom i uszom. Najpierw morfina, a teraz palarnia opium w centrum nobliwej Bydgoszczy! A on w samym gnieździe zepsucia, częstowany nielegalnym produktem!

— To za dużo, nawet jak na mnie — powiedział, dziękując za poczęstunek. — Ty też już nie powinnaś...

Klara spojrzała na niego rozbawiona i senna. Odwróciła się do Lassoty, mówiąc:

— Jest urzędnikiem i musi się dobrze prowadzić, choć nie zawsze mu to wychodzi. Moja morfina na przykład dziś mu pasowała. Twoje opium już nie...

— Morfina to, że tak powiem, bardziej wyrafinowane opium. A ja cenię sobie tradycję — wycharczał Lassota, który ponownie przyssał się do bawolego rogu.

— Będę już szedł — powiedział Leon, licząc na to, że Klara wyjdzie z nim.

— Naprawdę już musisz? — rzuciła obojętnie.

— Ty też powinnaś...

— Ślubu jeszcze nie braliśmy, panie Gajewski. Jestem wolnym ptakiem i chcę dziś fruwać! — zawołała filuternie spoza chmury opiumowego dymu. Leona szczypały już oczy i gryzło w gardle.

— Jak chcesz — powiedział i ruszył do wyjścia.

— Ja ci dam fruwanie! — warczał, zapalając papierosa na tarasie. Był tam sam, bo z powodu zimna goście wernisażu chowali się we wnętrzu atelier. Rozciągał się stąd obszerny widok na wieczorną Bydgoszcz. Gdańska ciągnęła się długo w kierunku północnym, aż niknęła w mrocznym masywie Lasu Gdańskiego. Z lewej strony widać było zasypiającą już Elisabethstrasse, z obu stron zamkniętą jak głęboki kanion pierzejami kamienic, zaróżowionych teraz przez łunę zachodu. W przeciwnym kierunku rozciągał się stąd widok na słabo zabudowany, zielony obszar — Bielawy. Leon wyobraził sobie, że buduje gdzieś tam z Klarą duży dom z ogrodem i razem dochowują się gromadki dzieci, i żyją długo i szczęśliwie z dala od brudów i mętów.

Po chwili Gajewski usłyszał za sobą głos Klary.

— A kuku!

Spotkali się wzrokiem.

— Nie bądź zły na mnie — poprosiła cicho.

— Nie jestem — skłamał.

— To, co mi dziś powiedziałaś... muszę się dobrze nad wszystkim zastanowić. Wiesz, wczoraj po występie podszedł do mnie jeden facet. Okazał się reżyserem filmowym z Warszawy. Szuka nowych twarzy. Spodobałam mu się. Wiesz, co to znaczy?

— Kariera stoi przed tobą otworem... — powiedział Leon, starając się, by nie

zabrzmiało to żałobnie.

— Moja kariera nie musi być dla nas przeszkodą. Ale nie możesz mnie trzymać w klatce. Kiedy się spotkamy?

— Kiedy tylko chcesz.

— Kiepsko wyglądasz. Znowu boli?

Skinął głową.

— Będę miała dla ciebie tę morfinę. Mam solidnego dostawcę.

— Wolałbym sam się z nim umówić. Po co masz sobie robić problemy.

— O nie, on jest bardzo nieufny. Załatwię to jutro z samego rana. Bądź w południe w mojej garderobie.

— Dużo to kosztuje?

— Powiedzmy, że to prezent... Od kapryśnej aktoreczki dla wyrozumiałego kawalera.

Odwróciła się i weszła do atelier. Wyglądała zjawiskowo w sukience ciasno opinającej pupę.

Gajewski z pobliskiej knajpy połączył się z Eckertem. Powiedział mu, żeby na wszelki wypadek postawił kogoś na noc przed domem Klary.

— Skoro świt sam przejmę obserwację. Będę też potrzebował Jacyny i Krawczyka. Zgarniemy dostawcę — powiedział Gajewski i się rozłączył. Poczuł, jak wypity alkohol podchodzi mu do gardła. Jeszcze nigdy nie czuł do siebie takiego wstrętu.

Dworcową powlókł się w kierunku Okola. Po drodze natknął się na chłopców przebranych za kolędników. Uśmiechnął się na ich widok szeroko. Jeden był diabłem z twarzą wysmarowaną sadzą, w czarnym futrze, z rogami i widłami z kartonu. Drugi dla równowagi był aniołem, w białej komeżce i ze skrzydłami zrobionymi z bibuły, naciągniętej na druciany szkielet. Ten trzymał małą szopkę z drewnianymi figurkami. Trzeci, najwyższy, robił za Heroda — miał na sobie jakiś strasznie długi płaszcz, przepasany wojskowym pasem, i wysoką czapkę na głowie.

— Zaśpiewacie mi kolędę? — zapytał Leon.

— A da pan pięćdziesiąt fenigów? — zapytał najwyższy.

— A dam nawet markę, jak ładnie zaśpiewacie — odparł policjant.

Chłopcy zaczęli śpiewać *Wśród nocnej ciszy*. Fałszowali przy tym i gubili słowa, ale po zakończonym występie wzruszony Gajewski wręczył każdemu po pół marki. Chłopcy podziękowali i poszli w stronę Bocianowa. Tam musiało być ich „Betlejem”.

— Tylko nie kołędujcie za długo! — zawołał za nimi Gajewski. Sam zniknął w ciemności i mgle, która zaczęła się podnosić. Skręcił z Dworcowej w Viktoriastrasse i biegnącą już po drugiej stronie Brdy Prinzenstrasse i udał się pieszo w stronę domu.

Pół godziny później Eckert energicznie zapukał do drzwi warsztatu Gabriela Oszuścika przy ulicy Schleinitza. Tuż za komisarzem stał Krawczyk, trzymając skórzaną teczkę. Jacyna został w samochodzie na ulicy. Eckert nie zlecał mu na razie ważniejszych zadań.

Na podwórku panował mrok. Światło ulicznej latarni tutaj nie dosięgało. Drzwi otworzyły się po dłuższej chwili.

— A, to pan... — powiedział ponuro grubas i bez słowa wycofał się do warsztatu. Eckert z Krawczykiem weszli do słabo oświetlonego pomieszczenia.

— Ma pan, czego chciał. Każdą na odwrocie podpisałem imieniem i nazwiskiem. — Oszuścik wskazał ręką duży drewniany blat. Na nim leżało pięć czarnych masek.

— Krawczyk — rzucił Eckert i podwładny wyjął z teczki dwie maski: tę znalezioną na barce i tę z mieszkania Gamratha.

Nadkomisarz po kolei przykładał jedną, a potem drugą maskę do tych wykonanych na zlecenie policji. Po kilku sprawdzeniach wybrał dwie, które były identyczne z pierwowzorami. Miał już pewność. Należały do Karla Blocha i Juliusa Gamratha. Odwrócił maskę Karla i pokazał Oszuścikowi.

— Wie pan, co to za numery? — zapytał.

— Nie mam pojęcia.

— I tak bardzo pan nam pomógł, panie Oszuścik.

— „Policja panu tego nie zapomni” — odparł rzemieślnik.

— Słucham? — nie zrozumiał Eckert.

— To pana własne słowa...

— A, tak... — zreflektował się Eckert i wyjął z portfela plik marek. Płacił ze swoich pieniędzy, miejska policja nie dysponowała jeszcze żadnym funduszem na tego

typu wydatki.

— Wystarczy? — zapytał zimno.

— Może być — powiedział oschle Oszuścik i schował pieniądze za fartuch.

Eckert z Krawczykiem skierowali się do drzwi wyjściowych. Na progu stary odwrócił się, mówiąc:

— Jeszcze jedno. Przypomniał już pan sobie, kto panu zlecał te maski?

Oszuścik zmieszał się.

— Niestety, jeszcze nie, ale jak tylko sobie przypomnę, to dam znać — odparł.

— Koniecznie — powiedział Eckert i wyszedł.

Oszuścik otarł pot z czoła. Źle się czuł, jakby coś zaciskało się na jego piersiach i na szyi, uniemożliwiając swobodne oddychanie. Chwytał łapczywie powietrze, ale opanowywał go coraz większy zamęt. Przysiadł przy stole i odruchowo otworzył szufladę. Wśród narzędzi wypatrzył ostry nożyk do cięcia tektury, wykorzystywany w produkcji masek. Chwycił go, choć nie wiedział dlaczego. Tak samo jak nie wiedział, dlaczego wycina ostrzem na blacie słowa: „Aufer a nobis, quaesumus, Domine, iniquitates nostras!”, choć nie znał łaciny. Nie wiedział wreszcie, co każe mu przeciągnąć nożem po swojej szyi od lewej do prawej strony.

Gabriel Oszuścik z poderżniętym gardłem opadł ciężko głową na blat stołu. Krew płynęła z rany szerokim, tętniącym strumieniem. Przez chwilę jeszcze słychać było charczenie umierającego, aż w końcu wszystko ogarnęła cisza.

Gajewski zauważył stojących przed jego kamienicą dwóch mężczyzn. Gdy zbliżył się do nich, energicznie chwycili go pod ręce i wrzucili do stojącego nieopodal samochodu. Więc to tak się odbędzie? — taka myśl przemknęła przez głowę Gajewskiego. Ale samochód nie ruszał. Goryle usiedli po jego obu stronach, natomiast siedzący z przodu na miejscu pasażera mężczyzna powiedział:

— Żarty się skończyły, Gajewski. Mam już ustalone z Warszawą i z tym waszym komendantem Dolatowskim, że winnym zabójstwa na „Annelise” jest Julius Gamrath. Polakożerca i zбочeniec seksualny, a w dodatku martwy, więc niczego już nie powie. Idealne połączenie. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby uznać to za oczywiste. Jedyнным problemem jest Eckert. Pytanie do ciebie, czy idziesz na dno razem z nim, czy ze mną, w przeciwną stronę?

Leon milczał. W lusterku nad kierownicą dostrzegł błysk oczu obcego mężczyzny.

— No, decyduj się chłopie, bo jeszcze dziś kończymy tę zabawę!

— Kim pan właściwie jest? — zapytał Gajewski.

— Major Rzydenko, Wydział Informacyjny Sztabu Generalnego — odparł tamten.

— Więc?

— Więc zdecydowałem już dawno, w okopach pod Pińskiem, że nigdy nie dam się ześwinić, choćby mi sypali złoto do koryta.

— To wszystko?

— Tak jest.

— To wypierdalaj.

— Z przyjemnością, panie majorze. — Gajewski zrobił ruch, jakby zamierzał wysiąść, ale wstrzymał się. — Jeszcze jedno. Tak się składa, że lubię Eckerta, to najlepszy policjant w tym mieście. Jeśli ktoś robi mu krzywdę, to tak jakby krzywdził mnie. Dlatego proszę pana po dobroci, wracaj pan do Warszawy. Nic tu po panu. Po pana łapsach też.

Rzydenko poczerwieniał.

— Ty mi z groźbami nie wyjeżdżaj, bo za krótki na to jesteś. Na jutro szykujemy wam niespodziankę.

— Wprost nie mogę się doczekać — odparł Gajewski z ironicznym uśmieszkiem i wysiadł z samochodu.

Herman z Siedleckim odwrócili głowy w ślad za oddalającym się policjantem.

— Na co się tak gapicie, kretyni?! Do roboty!!!

Ryk Rzydenki słychać było na końcu Friedenstrasse.

SOBOTA, 24 STYCZNIA 1920 ROKU

Na porannej odprawie u Dolatowskiego panował podły nastrój. Przez uchylone okno dolatywały dzwonki tramwajów, pojedyncze klaksony automobilów i stukot końskich kopyt o bruk.

— Powiedz mi, Eckert, jak to się, kurwa, stało?! — zapytał Dolatowski, którego twarz była szara od potwornych ilości wypalanych papierosów.

— Został znaleziony przez listonosza. Poderżnięte gardło, zakrwawiony nożyk w dłoni. Samobójstwo... — Gdy tylko Eckert wypowiedział to słowo, Rzydenko głośno się zaśmiał.

Dolatowski posłał mu smętne spojrzenie.

— Coś za dużo tych samobójstw, jak na mój nos — powiedział.

— Ale to dowody przemawiają, a nie nos — zauważył Eckert, choć bez wielkiego przekonania. Gajewski widział zmęczenie szefa.

— Gamrath — samobójstwo, Oszućcik — samobójstwo. Obaj mieli związek ze sprawą, nie do końca jasny, ale mieli. Może byli niewygodnymi świadkami i ktoś ich do samobójstwa zmusił? Takie rzeczy się zdarzają. — Gajewski rozejrzał się po obecnych. Rzydenko z tajemniczym uśmiechem oglądał sobie paznokcie, za to Dolatowski kipiał.

— Zdarzają się właśnie tu i właśnie teraz! Jak na zawołanie! To muszą być jakieś czary, Gajewski. — Twarz komendanta zmieniła się. — Dość tego. Odsuwam was od śledztwa. Od teraz podlegacie bezpośrednio majorowi Rzydence.

Rzydenko nawet nie spojrzał na Eckerta i Gajewskiego.

— Mówisz to poważnie, Franek? — zapytał Eckert.

— Nie mam wyboru. To już nie jest zwykła sprawa kryminalna — odparł Dolatowski.

— Nasz poseł w Berlinie został wczoraj wezwany w trybie pilnym do tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych. Wręczono mu notę protestacyjną przeciwko, jak to określono, zbrodniczej nagonce na niemiecką ludność Bydgoszczy. Szwabę twierdzą, że Blochów i Gamratha zabiła „antyniemiecka atmosfera”! — powiedział tonem

oburzenia Rzydenko.

— Oszuścik był Polakiem. Oberwał rykoszetem? — odparł Eckert.

— Zarządziłem już wzmocnienie inwigilacji najważniejszych niemieckich ośrodków w mieście. Trzeba też energiczniej zachęcać Niemców do wyjazdów, a jednocześnie bardziej wspierać polskie osadnictwo.

— Co to ma wspólnego z naszym śledztwem? — zapytał Eckert.

— Eckert, to już nie jest wasze śledztwo. To jest moje śledztwo.

Eckert wstał i wolnym krokiem skierował się do drzwi. Gajewski nie wiedział, co robić. Z opresji uratował go telefon, który zaterkotał na biurku Dolatowskiego.

— Eckert, to do was!

Eckert przejął słuchawkę, chwilę potrzymał ją przy uchu i odłożył. Bez słowa ruszył do wyjścia.

— Dokąd to, Eckert?! — zawołał za nim Rzydenko.

— Do roboty, już i tak za dużo czasu straciłem na te pierdoły — powiedział i wyszedł z pokoju.

W ślad za nim wymknął się Gajewski, nie zważając na wołanie Dolatowskiego i Rzydenki. Już na schodach Eckert szybko wyjaśnił mu sytuację: Klara Szelachowska wyszła rano z domu, na placu Teatralnym wsiadła do tramwaju i pojechała na ostatni przystanek — na Wilczak, przy V Śluzie. Właśnie stamtąd, z restauracji Karla Rasmusa, zadzwonił Krawczyk, który z Jacyną śledzi dziewczynę.

— Mam nadzieję, że nie zrobią żadnego głupstwa — powiedział Gajewski. Ale Eckert go nie słuchał, bo pędził już do samochodu. Nie chciał, żeby Rzydenko mu przeszkodził. Leon nie przypuszczał, że nadkomisarz jest tak dobrym kierowcą. Ruszył jak na rajdzie, a zakręty brał sportowo, na granicy wywrotki.

Chwilę później spod Komisariatu Głównego odjechał drugi samochód, w którym siedzieli Rzydenko, Herman i Siedlecki. Herman szybko nawiązał kontakt wzrokowy z samochodem policjantów. Eckert zauważył jadącego za nim czarnego fiata. Oba pojazdy z dużą prędkością sunęły w stronę Wilczaka. Ale Eckert, który miasto znał lepiej niż Herman, miał nad nim przewagę. Szybko przeciął most Wilhelma na Brdzie i usytuowany zaraz za nim most Portowy na jej odnodze — Młynówce, przejechał koło

II Śluzy i na pełnej szybkości skręcił dość ostro w lewo, w Hippelstrasse, następnie w Berlinerstrasse i w jej przedłużeniu — Nakielską. Tutaj zgubił Hermana, który pojechał Hippelstrasse prosto, aż na plac Poznański, od którego odchodziło siedem ulic. Niestety, funkcjonariusze kontrwywiadu na żadnej z nich nie dostrzegli samochodu podobnego do tego, którym poruszali się ich bydgoscy koledzy.

— No i gdzie teraz? — zapytał wściekły Rzydenko.

— Może tam. — Herman ruchem głowy wskazał przed siebie.

— Nie, mnie się wydaje, że jednak tam, w przeciwnym kierunku — powiedział Siedlecki.

— Zawracaj — rozkazał Rzydenko, któremu zaświtało w głowie, gdzie mogli zgubić policjantów. Manewrujący na środku ruchliwego placu samochód wzbudził niemałą sensację wśród licznych przechodniów.

Eckert z Gajewskim mknęli w tym czasie Nakielską, wzdłuż Kanału Bydgoskiego, na wysokości III Śluzy, nad którą wznosił się masyw wysokich drzew. Pod nisko zwieszonymi gałęziami mignął domek dozorczy śluzy. Szosa biegła niemal na poziomie kanału i zdawało się, że woda lada moment wyleje się szeroką falą. Tutaj już kończyło się miasto, a zaczynał podmiejski Prinzenthal, czyli Wilczak, zabudowany niewysokimi kamienicami i wolno stojącymi domami ze spadzistymi dachami, otoczonymi dużymi ogrodami, pustymi teraz i cichymi, pełnymi słomianych chochołów otulających owocowe drzewka.

Nie mieli jednak czasu na kontemplowanie krajobrazu, liczyła się każda sekunda. Dostawca morfiny mógł być uzbrojony i gotowy na wszystko. Ale była tam też Klara i dlatego Gajewski modlił się po cichu o to, żeby dziewczyna zdążyła się stamtąd ulotnić, kiedy zacznie się robić gorąco. Zamierzał w każdym razie zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby jej w to nie mieszać. Wiedział, że w tej sprawie mógł liczyć na zrozumienie starego, ale Rzydenko...

— Uwaga! — zawołał nagle, widząc, że auto z ogromną prędkością zbliża się do dziewczynki niosącej włoszczyznę w wiklinowym koszu, która podskakując, przechodziła przez jezdnię na wysokości stromo wznoszącej się Ziegeleistrasse. Ale Eckert spokojnie odbił w prawo, omijając dziewczynkę w odległości około metra.

Dopiero gdy automobil śmignął dalej w górę kanału, mała wypuściła z rąk kosz i na brukową nawierzchnię Nakielskiej wysypały się pęczki porów, pietruszki, marchwi, kopru i bulwy selera.

Minęli jeszcze strzelistą wieżę ewangelickiego zboru zu Prinzenthal po prawej stronie oraz parterowy budynek strzelnicy po przeciwnej stronie Nakielskiej, gdy zauważyli automobil zaparkowany w pobliżu końcowego przystanku tramwajowego. Siedział w nim znudzony Jacyna. Minęli go i dopiero jakieś sto metrów dalej Eckert zatrzymał pojazd. Gajewski wysiadł i ruszył wolnym krokiem w kierunku Jacyny. Znalazłszy się przy samochodzie, ukucnął, żeby zawiązać but i odebrał krótki raport: dziewczyna poszła do restauracji Karla Rasmusa przy V Śluzie, gdzie „opiekuje się” nią Krawczyk, który miał też pilnować dojścia do knajpy od strony Okola. Dostawca jeszcze nie dotarł.

— Czekaj tu i nie rób niczego bez wyraźnego rozkazu starego — powiedział Gajewski, podnosząc się z przykłąku, po czym poszedł dalej. Eckert również opuścił automobil i skierował się w stronę kanału. Po chwili dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach i kapeluszach skręcili z Nakielskiej w dość wąską, choć dobrze utrzymaną gruntową drogę dojazdową do V Śluzy.

— Szefie, ja tu zostanę — oznajmił Gajewski, gdy znaleźli się przed drewnianym szyldem z napisem: RESTAURANT & CAFFE, 5. Schleuse, Carl Rasmus.

Eckert zrozumiał.

— Bądź w pobliżu. Chodzi nam o dostawcę, nie o dziewczynę — odparł uspokajająco.

Komisarz wszedł na teren ogródka restauracyjnego. Gajewski tymczasem zaczął powoli spacerować w pobliżu.

Pamiętał to miejsce jeszcze z dzieciństwa. Przyjeżdżał tu czasem w niedzielę z rodzicami i siostrą na lody i lemoniadę. Ojciec zawsze zamawiał wielki kufel piwa. Siedzieli zwykle przy jednym ze stolików ogrodu letniego, słuchając orkiestry grającej walczyki i polki. W niedziele panował tu ruch niezależnie od pogody, zresztą w razie deszczu czy zimna można było schronić się w restauracyjnym budynku. Kiedy ojciec skończył piwo i zgarnął spod nosa białą piankę, szli do parku przy śluzie, aby pobawić się nad strugą Flis, a potem popatrzeć na wodne ptactwo na Wyspie Łabędziej. Na

kanale w ciepłe dni roiło się od kajaków i żaglówek, a zakochani na łódkach szukali chwili zapomnienia z dala od ludzi. Nad zielonymi brzegami nieraz można było natknąć się na pary, które oddawały się mniej lub bardziej śmiałym miłosnym igraszkom. Ale mały Leoś najbardziej lubił przyglądać się pracy flisaków, którzy śluzowali ogromne sągi drewna spławianego do portu rzeczno. Gdy flis był spławiony, z drugiej strony śluzy do pokonania stopnia wodnego szykowała się załoga barki załadowanej węglem. I tak przez cały boży dzień, od świtu do zmierzchu. Leoś z podziwem patrzył na śluzantów, potężnych mężczyzn w koszulach i kapeluszach z szerokimi rondami, którzy siłą swych mięśni otwierali i zamykali wrota śluzy, a pomiędzy jedną a drugą robotą jedli kanapki, popijając kawą z butelki, palili mocne papierosy albo grali w karty, głośno przy tym licytując.

Ale dziś było tu spokojnie. Od czasu do czasu ciszę przerywał tylko gwizd lokomotyw z pobliskiej linii do Piły oraz małej kolejki do Koronowa, a także odgłosy kaczek i łabędzi, które zimowały w tym zacisznym uroczysku.

Po drugiej stronie kanału spacerował Krawczyk. Spotkali się wzrokiem. Bez słowa, nieznacznymi gestami, wymienili się informacjami, że nic się nie dzieje. Gajewski zapragnął zobaczyć Klarę, więc poszedł wzdłuż ogrodzenia ogrodu restauracyjnego, odgarniając cienkie witki rosnących tu olch i leszczyny. Klara siedziała sama przy stoliku nakrytym białym obrusem i piła kawę. Eckert zajął miejsce z dala od niej, ale w taki sposób, że widział cały ogród. Gdy przechodził obok dziewczyny, spojrzała na niego, ale szybko pogrążyła się we własnych myślach. Była piękna, ubrana w ciepły kożuszek i kapelusik. Zdjęła z dłoni długą rękawicę, żeby zapalić papierosa. Skinęła na kelnera, który pospieszył do niej z zapalniczką. Wypuściła w mroźne powietrze błękitnawy dym i nagle odwróciła się w stronę Gajewskiego, bo pod jego butem pękła sucha gałąź. Leon zdążył w porę skryć się za pniem olchy i przywarł do niego niemal bez oddechu, ale Klara wydawała się coraz bardziej zdenerwowana.

Uspokoila się dopiero, kiedy od strony Nakielskiej nadszedł niewysoki, krępy mężczyzna w krótkim, ciemnopopielatym płaszczu i kaszkiecie nisko nasuniętym na czoło. Gajewski nieznacznie wychylił się zza pnia i od razu go rozpoznał: poprzedniego popołudnia minął się z nim w bramie kamienicy Klary. Czyżby oni...?

Mężczyzna przywitał się z Klarą jak stary dobry znajomy. Ręką przywołał kelnera,

który po krótkim czasie przyniósł mu mały kufel piwa. Rozmawiali, co jakiś czas się śmiejąc. Wyglądało na to, że są w doskonałej komitywie, co wzbudzało w Gajewskim coraz większą złość. Dostrzegł Eckerta, który ledwie dostrzegalnym gestem głowy dał mu znać, żeby spokojnie czekał na rozwój wypadków.

Mężczyzna w kaszkiecie szybko dopił piwo i zza pazuchy wyjął podłużne pudełko, które z daleka wyglądało jak bombonierka. Klara szybko schowała je do torebki i nieco zbyt nerwowo rozejrzała się na boki. Mężczyzna położył dłoń na jej dłoni, uśmiechnął się i wstał. Klara się nie ruszyła. Najwyraźniej zamierzał odejść sam. Gdy skierował się do bramy wejściowej, Eckert wstał również i ruszył za nim. Starał się wykonywać wszystkie ruchy spokojnie, ale dostawca był wyczulony na najmniejsze choćby niepokojące oznaki, dlatego po wyjściu z ogródka restauracyjnego puścił się biegiem w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybył.

— Zatrzymaj się! — krzyknął Gajewski, który wyskoczył przed niego na ścieżkę, ale uciekający mężczyzna z rozpędu przewrócił go i pobiegł dalej, w stronę linii kolejowej. Biegnącego dostrzegł Krawczyk, który również próbował go zatrzymać, rzucając się na niego zwinnym szczupakiem, ale dostawca okazał się nad wyraz silny: jednym mocnym uderzeniem z łokcia odebrał na moment Krawczykowi oddech, czym zyskał czas, by mu się wyrwać. Biegł teraz na przełaj, to ginąc, to pojawiając się między drzewami zarastającymi północny brzeg kanału powyżej V Śluzy.

— Stój! — zawołał za nim Gajewski, dysząc i krzywiąc się z bólu po upadku. Tuż za nim ciężko oddychał Krawczyk.

Mężczyzna w kaszkiecie sięgnął pod połę płaszcza i dobył pistolet. Strzelił z biodra, nie zwalniając biegu, nieznacznie się tylko odwracając. Kula świsnęła blisko głowy Gajewskiego, zdzierając bruzdę kory z drzewa. Leon, a zaraz za nim Krawczyk, dopadli ziemi.

— Kurwa, on ma broń! — krzyknął Krawczyk.

— No i co? My też mamy! Rozdzielamy się, ja wzdłuż brzegu, a ty wyżej, może uda się przeciąć mu drogę!

Obaj wyciągnęli swoje pistolety i odbezpieczyli je. Uciekinier nieco osłabł, bo zdolali zbliżyć się do niego na odległość jakichś dwudziestu kroków.

— Stój, bo strzelam! — krzyknął za nim Gajewski, ale tamten ani myślał się poddać

— znowu huknął do nich z biodra. Policjanci odpowiedzieli salwami.

— Co tam się, kurwa, dzieje? — denerwował się Eckert, który nie dość, że nie wiedział, co z jego ludźmi, to jeszcze musiał radzić sobie z histeryzującą Klarą Szlachowską.

— Niechże się pani uspokoi, albo będę musiał panią skuć! — powiedział ostro, trzymając ją mocno za obie dłonie.

— Czego ode mnie chcecie?! Ludzie, pomocy, napadli mnie bandyci! — zawodziła teatralnie. Z restauracji wybiegło kilka osób — kucharki i kelnerzy. Wyszedł nawet właściciel lokalu, Rasmus. Gdy ludzie się zbliżyli, Eckert wyciągnął legitymację i podniósł wysoko, by wszyscy ją zobaczyli.

— Policja kryminalna miasta Bydgoszczy! Wykonujemy obowiązki służbowe! Wracajcie do pracy! — zawołał. Personel nie był skory do wykonania jego polecenia.

— Raus, słuchać, co pan nadkomisarz każe! — ryknął po niemiecku Jacyna, którym tymczasem nadbiegł od strony Nakielskiej, zaniepokojony odgłosami strzelaniny.

— Zajmij się nią, ja pójdę zobaczyć, co z chłopakami. Jak będzie fikać, załóż kajdanki — polecił Eckert. Oddał roztrzęsioną Klarę w ręce Jacyny, a sam truchtem ruszył w stronę pościgu.

Mężczyzna biegł tuż nad brzegiem kanału, raz po raz ostrzeliwując się. Gajewski starał się trafić go w nogi, jednak gęsto zadrzewiony, nierówny teren nie sprzyjał celności strzałów. Krawczyk natomiast coraz bardziej skupiał się na walce ze sobą zamiast na gonieniu przestępcy. Wreszcie umordowany, zasapany, czerwony i spocony jak po saunie dał za wygraną.

— Nie mogę... no nie mogę — dyszał oparty o drzewo. Po chwili minął go Eckert, który oddychał ciężko, ale parł przed siebie jak parowóz.

Wreszcie Gajewski znalazł dogodne miejsce do oddania strzału. Rosło tu mniej drzew. Przystanął na szeroko rozstawionych nogach, starając się uspokoić oddech i... zobaczył, że facet w kaszkiecie skacze na sągi drewna, spławiane przez dwóch starszych flisaków. Leon zdjął palec z cyngla, nie chcąc ryzykować postrzału przypadkowej osoby.

— A to skurwiel... — zamruczał ze złością i z odrobiną podziwu dla determinacji

uciekiniera. Po chwili rozległ się plusk — tuż przed wiaduktem kolejowym facet skoczył z drewnianych bali do wody. Flisacy wołali za nim, że jest idiotą i że dostanie zapalenia płuc, ale on już płynął kraulem na przeciwny brzeg kanału. Na wodzie przez chwilę unosił się zgubiony przez niego kaszkiet, ale gdy materiał nabrał wody, poszedł na dno.

— Magik, jak Boga kocham — zamruczał znowu Gajewski, do którego zdążył dobiec, a raczej dokuśtykać Eckert.

— Przez Szóstą Służę na drugi brzeg! — rzucił krótko Eckert i Gajewski już po chwili przebiegał pod wiaduktem kolejowym, przez który przejeżdżał właśnie skład osobowy do Poznania. Z okien wagonów na tę dziwną scenę spoglądali zaciekawieni podróżni. Gajewski gnał co sił w nogach, wiedząc, że tamten ma nad nim przewagę. Uciekinier nie przewidział jednak, że dno kanału będzie grząskie i wydostanie się na brzeg sprawi mu nie lada problem. Eckert zatrzymał się po drugiej stronie, czekając, aż tamten stanie na równe nogi. Nie chciał strzelać do bezbronnego. W końcu jednak mężczyzna wygramolił się z wody.

— Stój! — zawołał do niego Eckert, celując z mauzera. Przeciwnik szybko skoczył szczupakiem do przodu i w momencie, gdy Eckert strzelił, po prostu zniknął mu z oczu. Stary zaklął siarczyście, ale po prawdzie miał nadzieję, że nie trafił.

Gajewski ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, zbliżył się do przejścia dla pieszych pod nasypem kolejowym, po południowej stronie kanału. Wszedł pod ceglany łuk z bronią gotową do strzału. Nagle za sobą usłyszał jakieś poruszenie. I już wiedział, co się stało.

— Dałeś się podejść, psie — powiedział po niemiecku mężczyzna, celując w Gajewskiego z pistoletu. Zmoczony, dygotał z zimna, ale jego twarz wyrażała jedno: radość z rychłego wysłania na tamten świat polskiego policaję.

— Rzuć broń i łapy do góry! — rozkazał tamten.

Gajewski posłusznie spełnił prośbę.

— A teraz zmów ostatnią modlitwę, Polaczku — powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej. Jego nieogolona twarz przypominała odwrócony trójkąt. Czarne oczy błysnęły. Gajewski spojrzał na palec mężczyzny spoczywający na spuście.

„Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między

niewiastami...” Palec pociągnął za spust.

Ale zamoczona broń zawiodła.

— O kurwa! — charknął mężczyzna i w tym samym momencie Gajewski kopnięciem wytrącił mu pistolet z ręki. Drugim kopnięciem w krocze spowodował, że tamten uklęknął, a z jego ust wydobyło się coś na kształt nieartykułowanej skargi na cały ból istnienia.

— ...i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus — dokończył już na głos modlitwę Gajewski i przystąpił do skuwania uciekiniera kajdankami. Stał za plecami mężczyzny, powalił go twarzą do dołu, po czym przyciskając pojmanego kolanem, zapiął mu na przegubach kajdanki tak mocno, że Niemiec zawył z bólu.

— To za „Polaczka” — powiedział Leon. Po chwili prowadził zatrzymanego w dół kanału. Wkrótce dogonił tę dwójkę Eckert, a na końcu doczłapał się do nich Krawczyk.

— Ale mnie nastraszył ten sukinsyn — stwierdził Eckert, z lubością zaciągając się papierosem Gajewskiego.

Krawczyk też się poczęstował, a facet z kajdankami zaciśniętymi na przegubach popatrzył z nadzieją na papierośnicę.

— Poczekaj, gnoju, już my ci damy popalić — powiedział Eckert, patrząc na dygoczącego Niemca.

Kiedy doszli do restauracji, czekali tam już na nich Jacyna z dziewczyną oraz Rzydenko z tajniakami. Rzydenko trzymał bombonierkę. Klara miała na rękach kajdanki. Gdy zobaczyła Leona, jej oczy zrobiły się szklane, ale nie powiedziała nic. Grała, jakby był dla niej obcą osobą.

— Rozkuj ją — powiedział Eckert, widząc wzburzenie Gajewskiego.

— Nie zapominaj, że ja tu wydaję rozkazy — rzucił Rzydenko.

Jacyna patrzył to na niego, to na Eckerta.

— Słyszałeś, co szef powiedział? Rozkuj panią! — powiedział Gajewski, patrząc hardo w oczy Rzydence. Szarpnął przy tym mocniej Niemca, który syknął z bólu.

— Wykonać — zakomenderował sucho major.

— Musiałem to zrobić, wrywna jak nie wiem co — powiedział Jacyna i zdjął Klarze kajdanki. Potarła dłońmi lekko zaczerwienione przeguby. Nawet nie spojrzała

na Gajewskiego. Miał ochotę dopaść do jej dłoni i wszystko wyjaśnić. Ale nie zrobił żadnego ruchu.

— To znaczy, że jestem już wolna? — zapytała.

— Musimy zatrzymać pani paszport. I proszę nie wyjeżdżać z miasta. Mój człowiek podwiezie panią do domu — powiedział Rzydenko.

— Nie, dziękuję, poradzę sobie sama — odparła Klara.

— Nalegam. — Głos majora zabrzmiał twardo.

Herman lekko chwycił Klarę za łokieć i poprowadził w stronę ulicy. Przechodząc koło Gajewskiego, posłała mu spojrzenie, w którym było wszystko. Wiedział, że to koniec. Ale jednocześnie naiwnie wierzył, że uda mu się ją przeprosić, przebłagać. Odruchowo puścił zatrzymanego i podbiegł kilka kroków, chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

— Zrozum, ja musiałem. To moja praca. Musisz zrozumieć... — powiedział szeptem.

Z oczu dziewczyny popłynęły łzy.

— Nie mam panu już nic do powiedzenia... żegnam pana... — wydukała, z trudem powstrzymując się przed wybuchem płaczu.

— Klara! — zawołał za nią, ale szła już szybko do samochodu. Idący z nią Herman odwrócił się i złośliwie uśmiechnął się do osłupiałego Leona.

— Wzruszająca scena — powiedział Rzydenko. — Ale nie powinien pan zostawiać zatrzymanego. Sprawy sercowe zostawiamy przed progiem pracy. Zrozumiano?

Rzydenko wpatrywał się w niego zimnobłękitnymi oczami.

— Tak jest... — odparł matowo Gajewski i chcąc nie chcąc, wrócił między żywych.

— Doceniam wasze zaangażowanie, panowie, ale następnym razem proszę, żeby mnie uprzedzać o takich akcjach jak ta.

— Gdybyś znał miasto, Rzydenko, moglibyśmy lepiej zabezpieczyć miejsce przerzutu towaru — powiedział Eckert.

— À propos — podchwycił major i otworzył pudełko. — W środku leżały dwa rządki kapsułek z bezbarwnym płynem. — Służba kontrwywiadu wojskowego zabezpiecza ten dowód rzeczowy. Koniec z samowolką. Od dziś wszystkie wasze

pomysły najpierw trafiają na moje biurko. Codziennie chcę mieć dwa raporty z waszych działań, poranny i popołudniowy. Ty będziesz za to odpowiedzialny, Eckert. A teraz do roboty. Trzeba wycisnąć z tego szkopa, co się da.

Czarny automobil z piątką funkcjonariuszy w środku odjechał ulicą Nakielską w kierunku Śródmieścia. Oberżysta Karl Rasmus jeszcze długo próbował sobie wyjaśnić, co właściwie zaszło w jego spokojnej i urokliwej restauracji.

Tego ranka na nowym cmentarzu ewangelickim, na tyłach koszar artyleryjskich przy Gdańskiej, wiał przenikliwy wiatr. Gałęzie drzew rosnących przy cmentarnym ogrodzeniu kołysały się, wydając złowieszcze skrzypnięcia. Wrony, jak czarne plamy na tle bladoszarego nieba, krakaniem ogłaszały światu, że to ich odwieczna siedziba.

Gdy cztery trumny niesione przez pracowników zakładu pogrzebowego wyprowadzono z kaplicy, nadkomisarz Bolesław Eckert poprawił wysoki kołnierz, by choć trochę osłonić się przed lodowatym wiatrem, i dołączył do konduktu. Z trudem przekonał Rzydenkę, że powinien uczestniczyć w pogrzebie, a raczej nie tyle uczestniczyć, co się rozejrzeć. Rzydenko był zdania, że to strata czasu i Eckert bardziej przyda się, choćby przerzucając papierki, ostatecznie jednak machnął ręką i dał nawet Eckertowi automobil.

Nadkomisarz szedł w tyle. Kondukt pogrzebowy rodziny Blochów liczył zaledwie kilka osób. Wbrew nadziei Eckerta, nie pojawił się nikt z rodziny, poza grabarzami obecni byli tylko: pastor, ministrant, urzędnik z magistratu i on, policjant, który szukał sprawcy tego pogrzebu. Dół był już wykopany; znajdował się przy murze, w dość odległej części nekropolii. Ponieważ szerokość dołu nie pozwalała na ułożenie trumien obok siebie, grabarze złożyli najpierw ciała rodziców, a na nich — młodych Blochów.

— Boże, przez wzgląd na miłosierdzie swoje, przyjmij do siebie dusze Ernsta, Hildegarde, Karla i Eleonore, by w pokoju oczekiwali zmartwychwstania, przez Chrystusa Pana Naszego. Amen — powiedział pastor, który pokropił trumny. Ziemia uderzyła głucho w tanie, sosnowe drewno.

Eckert wpatrywał się w czerń grobu. Nie płakał, kiedy jego żona konała w długich męczarniach, pokonana przez nowotwór. Nie płakał, kiedy ją pochował ani kiedy odwiedzał ją regularnie na cmentarzu. Teraz, nad mogiłą obcych, ale w jakiś sposób

bliskich mu ludzi, jego oczy znowu były suche.

Tymczasem pastor z ministrantem i grabarzami wracali szybko do kaplicy, bo tam już czekało na pochówek kolejne ciało — radcy miejskiego Juliusa Gamratha. Jego pogrzeb zgromadził dość liczne grono przedstawicieli niemieckiej socjety, a więc dotychczasowych radców miejskich, kupców, przemysłowców. Przybyła także z Breslau wdowa po radcy Gamracie, z którym jednakże w ostatnim czasie przebywała w separacji. Towarzyszyła jej kilkunastoletnia panna. Obie niewiasty były w czerni. Dodatkowo twarz Frau Gamrath spowijał czarny woal. Eckert, który stanął nieopodal grupy żałobników, zwrócił uwagę, że dziewczyna obok wdowy wpatruje się w niego. Opuścił wzrok. I wtedy ktoś stojący za nim powiedział:

— Pogrzeb za pogrzebem. Kiedy to się skończy?

Był to profesor psychiatrii Władysław Ginter. Gdy Eckert odwrócił się do niego, mężczyzna uchylił czarnego kapelusza z aksamitną wstążką. Dopasował cały ubiór do sytuacji — miał na sobie eleganckie czarne trzewiki, spodnie z grubego materiału oraz płaszcz z wielbłądziej wełny. Policjant zwrócił uwagę też na czarne rękawiczki profesora, wykonane z niezwykle delikatnej skórki. Dało się dostrzec pod nią zarys sygnetu, jaki Ginter nosił na serdecznym palcu lewej dłoni. Eckert zauważył w prawej dłoni profesora nieco sfatygowaną skórzaną teczkę.

— Nie spodziewałem się pana tutaj... — powiedział Eckert.

— A ja pana owszem. Jest pan, jeśli mogę tak powiedzieć, rasowym śledczym — odparł uprzejmie Ginter.

— Szczerze mówiąc, nie wierzę w bajki, w których zbrodniarz przychodzi na pogrzeb swoich ofiar...

Na te słowa Eckerta Ginter uśmiechnął się i rzekł:

— Prawda, jakie to literackie? Jednak ludzie pragną takich bajek i nawet tak poważni funkcjonariusze państwowi jak pan w jakiś sposób ich w tej naiwnej wierze utrzymują.

— A co pana tu sprowadza? — zapytał policjant.

Ginter przez chwilę zatrzymał wzrok na Eckercie, ale szybko przeniósł go na grupę czarnych postaci skupionych wokół świeżej mogiły radcy miejskiego Gamratha.

— Szczerze mówiąc, byłem pewien, że tu pana spotkam — powiedział lekkim

tonem. — Chciałem z panem pomówić z dala od... różnych czynników.

— Czynników? — zdziwił się Eckert.

— Doskonale obaj wiemy, że śledztwo znalazło się w krytycznej fazie i to nie tylko ze względu na sam swój charakter, ale również ze względu na pański konflikt z majorem Rzydenką...

— Nie powinno to pana obchodzić, profesorze Ginter! — Głos Eckerta zabrzmiał ostro.

— Ależ to mnie bardzo obchodzi! Nic na to nie poradzę, widzi pan, to jedno z moich „skrzywień zawodowych”. Fascynuje mnie obserwacja międzyludzkich układów i tego, co z nich wynika. — Ginter zupełnie nie tracił pewności siebie.

— I o tym chciał pan ze mną pomówić? — Eckert zmierzył go wzrokiem pełnym ironii.

— Jestem po pańskiej stronie, komisarzy. Chcę, żeby pan to wiedział.

— Dziękuję, ale pańskie wsparcie jest zbyt cenne. Widzi pan, z problemami zwykłem sobie radzić bez kółka wzajemnej pomocy.

— Nie może pan pozwolić, żeby Rzydenko skierował śledztwo na niewłaściwe tory. Jemu nie chodzi o oczyszczenie Bydgoszczy z niemieckiej dywersji, ale o własne dobro.

— A cóż w tym dziwnego? Czyż każdy z nas, nawet robiąc wiele dla innych, nie dba przede wszystkim o siebie?

— Cenię pańską wspaniałomyślność, nadkomisarzu, to piękna cecha. Ale całkowicie nieprzydatna w obecnych warunkach.

— Myli pan wspaniałomyślność z racjonalizmem. Nie mogę wykluczyć, że to właśnie Rzydenko ma rację.

— A jak tam postępy śledztwa? — zmienił temat Ginter.

Eckert się zasepił. Ta mała wciąż wbijała w niego wzrok.

— Ach, rozumiem, tajemnica śledztwa, ale spieszę pana uspokoić: jestem nią związany tak samo jak pan, a nawet bardziej, bo wiąże mnie też tajemnica zawodowa — dodał zapobiegliwie Ginter.

Na twarzy Eckerta pojawił się grymas, który mógł być zarówno skrzywieniem warg, jak i uśmiechem.

— Jeśli mam być szczery, to drepczemy w miejscu. Wiemy, że mógł to być ktoś o zainteresowaniach artystycznych, a jednocześnie anatomicznych, wielbiciel masek weneckich, sprośnych fotografii i zabaw z nieletnimi, a dodatkowo, być może, morfinista. Aha, mamy też ślad literacki. Jak sam pan widzi, strasznie dużo i jednocześnie żałośnie mało...

— Towarzystwo Literackie „Requiem Aeternam”. Niewiele o nim wiem, ale ta nazwa jest identyczna z tytułem dzieła Stanisława Przybyszewskiego.

— Przybyszewski... przed wojną coś czytałem... mętne i ciężkostrawne...

— Ale ma on wielu wielbicieli, nie tylko w Polsce, lecz także w Niemczech. Podobno były plany, żeby osiadł w Bydgoszczy, ale ostatecznie ma zamieszkać w Gdańsku.

— A co z napisem w kabinie? — zapytał Eckert, zniecierpliwiony pogadanką o literacie.

— To jak podpis, wiadomość. Sprawca wymyka się, myli tropy, ale zarazem chce być złapany. Czerpie z tego satysfakcję zbliżoną do tej seksualnej. To dość typowe dla seryjnych zabójców... — odparł Ginter.

— Seryjnych? Na razie mamy jedno poczwórne morderstwo.

— Ach, więc śmierć Gamratha uznał pan za samobójstwo...

— Podobnie jak Oszuścika. Pana zdaniem tak nie było?

— Moje zdanie jest tu nieistotne. Ważne, co pan myśli.

— Myślę, profesorze Ginter, że każdy z nas powinien skupić się na własnej robocie. Coś jeszcze?

— Zgadza się z panem, dlatego zostawiam panu mój referat sporządzony na podstawie dotychczasowych ustaleń śledztwa.

Ginter wyjął ze skórzanej aktówki tekturową tekę i wręczył Eckertowi.

— Proszę się z nim zapoznać. Nawet jeśli panu nie pomoże, to z pewnością nie zaszkodzi... Do zobaczenia, panie nadkomisarzu. — Profesor ukłonił się z galanterią i odszedł. Po chwili nie było go już widać pomiędzy nagrobkami.

Eckert otworzył teczkę; była wypełniona plikiem kartek pokrytych drobnym, kaligraficznym pismem ręcznym. „Portret psychologiczny sprawcy mordu na barce »Annelise«, Bydgoszcz, w styczniu 1920 roku” — brzmiał nagłówek. Eckert jął

przeglądać zapiski, zatrzymując wzrok na fragmentach, które dawały mu do myślenia. Wiele do myślenia. Nagle znowu poczuł na sobie czyjś wzrok. Dziewczyna w czerni stała przed nim. Była sama. Reszta żałobników wychodziła już z cmentarza po zakończonej uroczystości.

— Dowie się pan, dlaczego mój papa musiał umrzeć? Dowie się pan, prawda?
— zapytała cicho, lecz z naciskiem. Patrzyła na niego wyczekująco. Eckert zatrzasnął tekę.

— Dowiem się — odrzekł zachrypniętym głosem.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, odwróciła na pięcie i pobiegła ku cmentarnej bramie.

Rzydenko kazał napalić w piecu w pokoju przesłuchań Komisariatu Głównego policji kryminalnej przy Wilhelmowskiej.

— Rozbieraj się! — rzucił do zatrzymanego Niemca, który zachowywał się, jakby nie słyszał, co się do niego mówi. — No, zrzucaj te mokre łachy!

Mężczyzna, szcękając zębami, zdjął z siebie ubranie i stał przed policjantami nagusieńki, dłońmi przykrywając wstydlive miejsce.

— Dajcie mu jakiś koc! — rozkazał major i po chwili chłopiec na posyłki przyniósł szary, gruby koc z wołoku, którym Niemiec się okrył.

Gajewski na znak Rzydenki przystąpił do przeszukania zmoczonej garderoby Niemca. Znalazł scyzoryk, zapalniczkę, rozmokłą paczkę papierosów oraz spięty gumką skórzany portfel. Było w nim sporo gotówki oraz dokumenty na nazwisko Heinrich Gettka. Zameldowany na stałe w Culm, po polsku Chełmnie. Gajewski podał papiery Rzydence.

— To twoje prawdziwe nazwisko? — zapytał major.

Zatrzymany milcząco przytaknął.

— Co robisz w Bydgoszczy? — drążył Rzydenko dalej.

— Pracuję.

— Gdzie?

— Odpowiadaj, jak cię pytają! — groźnie huknął Gajewski.

Na Gettce ten wybuch nie zrobił wrażenia.

— Jestem bojem w hotelu Rio. Mieszkam tam w służbowce. Możecie sprawdzić.

— Bądź pewny, że sprawdzimy — powiedział Gajewski.

Rzydenko spojrział na Leona i przejął przesłuchanie.

— Słuchaj, Heinrich, mogę tak do ciebie mówić? Przyłapaliśmy cię, jak przekazujesz pewnej pani niezbyt legalny towar. Nasz człowiek właśnie go sprawdza, ale coś nam mówi, że to morfina. Możesz nam wyjaśnić, skąd ją masz? — Rzydenko mówił łagodnie, jak zwykli mówić nauczyciele do pierwszych klas.

— Dostałem — mruknął Gettka.

— Dostałeś — powtórzył Rzydenko. — A od kogo?

— Nie wiem, jestem tylko kurierem — odpowiedział szybko zatrzymany.

— Chcesz powiedzieć, że dostałeś towar, ale nie wiesz, od kogo. I ja mam w to uwierzyć? Jak myślicie, komisarzu, możemy uwierzyć Heinrichowi? — zwrócił się Rzydenko do Gajewskiego. Ten podszedł do Gettki i pochylił się nad nim. Jego twarz znalazła się tuż przed twarzą Niemca.

— Kłamie. Ale kiedy posiedzi na golasa w lodowatym karczerze, na pewno sobie przypomni, kto mu dostarcza towar. — Gajewski odwrócił się i krzyknął w stronę drzwi:

— Zaprowadzić więźnia do izolatki w piwnicy, wiecie, tej najzimniejszej!

Drzwi otworzyły się i stanęli w nich Krawczyk z Jacyną.

— Czy to konieczne, komisarzu? Ostatnio wynieśliśmy stamtąd zatrzymanego nogami do przodu. Paskudne zapalenie płuc, lekarz nic nie mógł zrobić... — Major podjął grę.

— Heinrich niestety nie daje nam wyboru. — Gajewski rozłożył ręce.

— Nie możecie tego zrobić... — powiedział zdenerwowany Gettka.

— Oczywiście, że możemy. Wyprowadzić! A koc zostawić! — huknął Gajewski, a Krawczyk i Jacyna chwycili Heinricha pod pachy.

— Zaczekajcie! — zawołał rozpaczliwie Gettka.

Wywiadowcy zatrzymali się.

— O co chodzi, Gettka? — zapytał obojętnie Gajewski.

— To Bloch... — wymamrotał Niemiec.

— Możesz powtórzyć? — Gajewski ożywił się i skinął na wywiadowców, żeby

wyszli.

W oczach Gettki było zmęczenie. Usiadł bezwładnie na krześle i opuścił głowę. Zaczął mówić:

— Towar mam od Ernsta Blocha. To on był moim dostawcą. Ale to była już resztką z ostatniej dostawy, właśnie miałem z tym skończyć, gdy się napatoczyliście... Podejrzewacie mnie o to morderstwo, tak?

Gajewski z Rzydenką wymienili się krótkimi spojrzeniami.

— To my zadajemy pytania. Od kiedy znałeś Blocha? — odparł Gajewski.

— Odkąd mieszkam w Brombergu, jakiś rok, może trochę dłużej. Przyjechałem tu po wojnie, nie miałem co ze sobą zrobić, szukałem roboty. Spotkałem Blocha w jednej spelunie nad rzeką. Od słowa do słowa zgadaliśmy się, że możemy zrobić interes. Powiedział mi, że przywozi z Gdańska różne nieoclone rzeczy. Miał taką skrytkę w kajucie... Na początku brałem wszystko jak leci — wódkę, papierosy, cygara, tytoń, potem doszła morfina, czasem opium. Ale morfina to był strzał w dziesiątkę. Ludzie chcą się znieczulać... Odtąd zajmowałem się już tylko tym. Blochowi musiałem oddawać procent z zysku...

— Ile? — zapytał Rzydenko.

— Połowę.

— Kto kupował od ciebie morfinę? — kontynuował Gajewski.

Gettka milczał.

— Kto kupował morfinę? — powtórzył policjant.

— Różni — odpowiedział po dłuższej chwili przesłuchiwany. Najwyraźniej nie miał ochoty na dalsze zwierzenia.

— „Różni” to dość ogólne określenie, sam przyznasz, Heinrich? — wtrącił łagodnie Rzydenko. Gajewski nie mógł uwierzyć, że to ten sam Rzydenko, który chwilę wcześniej omal nie doprowadził go do szału.

— Nazwiska, Gettka! — Leon kontynuował grę w dobrego i złego policjanta.

Niemiec spojrział na niego rozpaczliwym wzrokiem, jakby błagał, żeby nie zmuszać go do dalszych zeznań.

— Nie zmuszaj nas do robienia ci krzywdy, Heinrich — powiedział cicho Rzydenko.

— Tracimy czas, on gra z nami w kotka i myszkę — stwierdził Gajewski.

— Niestety, chyba masz rację. Więc nie chcesz sobie pomóc? — Rzydenko zwrócił się wprost do Gettki. Oczy tamtego zrobiły się szkliste, ręce mu drżały. Ale już nie z zimna.

— Gamratha i tę Klarę już znacie. Brali też inni, większości nie znam z nazwiska. Zresztą transakcje odbywały się przez pośredników. Ci ludzie... — Gettka przerwał na chwilę, jakby szukając właściwych słów. — Ci ludzie cenią sobie dyskrecję.

Rzydenko z Gajewskim wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami. Obaj byli pewni, że Niemiec coś przed nimi ukrywa.

— Czego się boisz, Heinrich? — zapytał Rzydenko.

Przesłuchiwany mężczyzna zwrócił twarz w podłogę, gdzieś obok krzesła, na którym siedział, jakby chcąc uciec od tego pytania.

— Możemy ci zapewnić ochronę pod warunkiem, że będziesz z nami szczery — dodał Rzydenko.

Gettka spojrzał na niego ironicznie.

— Ochronę? — zapytał retorycznie i jego ciałem wstrząsnął śmiech. Obu policjantom po plecach przebiegły dreszcze od tego dźwięku. Tak śmieją się ludzie obarczeni wiedzą niedostępną dla innych.

— A ja myślę, że to ty ich zabiłeś. Pokłóciłeś się z Blochem o pieniądze. Niewykluczone, że cię oszwabił. Stary Ernst miał spore wydatki. W nocy przyszedłeś na barkę i dokonałeś rewanzu. Tylko co złego zrobili ci Frau Bloch i jej dzieci? Nie darowałaś życia nawet tej biednej dziewczynie...

— Łżesz! Nie zrobiłem tego! Nie zrobiłem!!! — Heinrich wybuchnął.

— Zawiśniesz, Gettka, zawiśniesz za poczwórne morderstwo, ale możesz ocalić skórę, jeśli pójdziesz z nami na współpracę — ciągnął Gajewski.

Heinrich znowu zaczął się śmiać. Zmienność jego nastrojów niepokoiła przesłuchujących. Gajewski miał niejasne wrażenie, że Gettka momentami nie jest sobą. Teraz, kiedy Niemcem wstrząsały spazmy demonicznego śmiechu, przecucie policjanta graniczyło z pewnością.

— Wyprowadzić! — krzyknął Rzydenko i po chwili dwaj wywiadowcy chwycili Gettkę. Ten odwrócił się w drzwiach, trzymany z obu stron przez policjantów,

i powiedział:

— Mnie już nie jest potrzebna ochrona, ale wam, owszem.

Jego śmiech słychać było jeszcze przez dłuższą chwilę.

— Co pan o tym myśli, majorze? — zapytał Gajewski, częstując się papierosem podanym przez Rzydenkę.

— Co ja myślę, nie jest ważne. Ważne jest, co ukrywa ten cwaniaczek. Układanka wciąż nie chce się domknąć.

— Jeszcze niedawno był pan przekonany, że wszystkie kawałki są na swoich miejscach — zauważył Gajewski.

— Moich przekonań nie zmieniam. Ten Gettka jest tylko trybikiem w większej całości. Musimy go przycisnąć, żeby zaczął śpiewać. To nam otworzy całkiem nową perspektywę śledczą — odparł Rzydenko.

— Ładnie powiedziane, majorze. Nową perspektywę śledczą.

— Nie o słówka chodzi, panie wywiadowco, ale o skuteczne zneutralizowanie niemieckiego żywołu — powiedział ze śmiertelną powagą major.

A Gajewski wciąż nie mógł rozstrzygnąć, czy to tylko gra ze strony Rzydenki, czy też jako oficer kontrwywiadu ma on podstawy, by takie przekonania głosić.

— Przyciśniemy go, panie majorze. Posiedzi parę godzin w zimnie i ciemności, to zmieni zdanie... — powiedział Gajewski, choć wcale nie był tego pewien.

— Ta wasza... Klara... — Rzydenko ostrożnie zmienił temat. — To coś poważnego?

Leon nie spodziewał się takiego pytania z ust służbisty Rzydenki.

— Nie musicie odpowiadać. Pytam, bo nie chciałbym, żeby wasze osobiste sprawy rzutowały na śledztwo — dodał major.

— Do dziś myślałem, że to nic poważnego — odparł Gajewski zdziwiony swoją szczerością przed obcym człowiekiem. — Ale nie mieszam pracy z życiem prywatnym.

Rzydenko uśmiechnął się.

— Obaj dobrze wiemy, że naszej pracy nie da się oddzielić od życia prywatnego. Jesteście zdolnym śledczym i nie chcę się was pozbywać, dlatego radzę wam po dobroci, skończcie to czym prędzej.

— Co? — zapytał z głupia frant Gajewski.

— Tego kwiatu jest pół świata, Gajewski! To aktorka, raz tu, raz tam, nie myślicie chyba, że zechce resztę życia spędzić w tej dziurze?! Nie marnujcie sobie na nią życia. Tyle wam powiem.

Gajewski pomyślał przez chwilę, że major Rzydenko może być zazdrosny o Klarę. Wprawilo go to jednocześnie we wściekłość, ale i w dumę. „Nie dla psa kiełbasa” — pomyślał ze szczeniacką satysfakcją. Choć z drugiej strony — jakie miał argumenty w sprawie z Klarą? Wszystko wskazywało na to, że ta sprawa właśnie dobiegła końca. Czyżby Rzydenko poczuł samczy zew krwi? Pewnie chętnie by ją sobie przygruchał po powrocie do Warszawy...

— Klara się panu podoba... — stwierdził ponuro Gajewski.

— Co to, melodramat mi tu odgrywacie? — zachnął się major.

— Tak mi się wyrwało... — odparł niby to obojętnie Leon, ale serce biło mu jak oszalałe. Z wściekłości i żalu. I z tęsknoty za Klarą. — Czy mogę się odmeldować? — zapytał.

— Na razie tak, sprawdźcie tego Gettkę i wróćcie na piątą po południu. Przesłuchamy go znowu, może tym razem coś powie.

Rzydenko nie patrzył już na Gajewskiego, tylko pograżył się w przeglądaniu papierów. Leon wyszedł z gmachu na ruchliwą ulicę. Musiał kilka razy zaczerpnąć zimnego powietrza, zanim się jako tako uspokoił.

Nadkomisarz Bolesław Eckert spędzał ostatnio sporo czasu w czytelni Biblioteki Miejskiej przy placu Fryderykowskim, a raczej już Starym Rynku, jako że pomnik Fryderyka II zniknął z placu jeszcze w lipcu poprzedniego roku.

Eckert siedział przy dużym, zakrytym zielonym płótnem stole, na którym stała włączona lampa elektryczna oraz piętrzyły się książki i czasopisma. Nadkomisarz znajdował się tu już od ponad półtorej godziny, ale nie odczuwał zupełnie upływu czasu. Mniej więcej co kwadrans tylko przerywał lekturę, żeby w holu bibliotecznym zapalić papierosa. Pograżał się wtedy nie tylko w obłokach gryzącego dymu, ale i w myślach, które to układały się w jasną całość, to znów rozsypywały się jak domek z kart. Gasił papierosa w popielniczce i rozeźlony wracał do zawalonego bibliotecznymi szpargałami stołu.

Swoje poszukiwania Eckert rozpoczął od materiałów na temat fontanny „Potop”. Stała w Bydgoszczy od 1904 roku, a była efektem konkursu ogłoszonego siedem lat wcześniej przez Krajową Komisję dla Popierania Sztuki Plastycznej w Poznaniu. Konkurs wygrał berliński rzeźbiarz Ferdinand Lepcke. W 1908 roku wykonał też posąg „Łuczniczki”, który stanął przy Teatrze Miejskim. Lepcke już w wieku trzydziestu jeden lat został profesorem berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych i wszedł w skład elitarnej grupy Berliner Kunstverein. Niestety, nie dane mu było długo cieszyć się sławą i powodzeniem, biedak zmarł na zapalenie płuc zaledwie pięć lat po odsłonięciu „Potopu”. Nie doczekał nawet odsłonięcia „Łuczniczki”. Klasyczny życiorys artysty. Krótki, ale intensywny.

No i dał Bydgoszczy dwa symbole, niemieckie z ducha i formy. „Potop” przedstawiał scenę, w której giną ludzie i zwierzęta, bo nie znalazły miejsca na arce Noego. Żywi i umarli wśród bezkresu wodnej pustyni. Czy przetrwają kataklizm na niewielkiej, nagiej skale? Eckert nie był krytykiem sztuki, ale odniósł wrażenie, że po wielkiej wojnie „Potop” nabrał dodatkowego znaczenia. „Czyż nie był wyrazem końca pewnego świata, niemieckiego świata, wśród odradzającego się polskiego żywiołu? Taka analiza byłaby w smak Rzydence” — pomyślał Eckert. „Ale co, do jasnej cholery, ma wspólnego dzieło rzeźbiarskie nieboszczyka Ferdinanda z upiorną kompozycją złożoną z martwych ciał?”

Idąc tropem swoich notatek, Eckert zagłębił się następnie w tematykę żywych obrazów, o których wspomniał swego czasu ten dziwak Ginter. Dawno temu we Lwowie, stolicy Galicji, Eckert widywał tego typu pokazy. Bywało, że po zakończonym spektaklu teatralnym aktorzy zamierali na tle opadającej kurtyny w żywy obraz. Miało to być naśladowanie scen z malarstwa lub rzeźbiarstwa. Popularne były pocztówki z fotografiami takich rekonstrukcji. Pierwsze żywe obrazy przypisywano Madame de Genlis, wychowawczyni dzieci księcia Orleanu. Ale prawdziwą sławę zapewniła tym praktykom niemiecka aktorka Olga Desmond. Gdy Eckert poprosił bibliotekarkę o więcej materiałów na jej temat, kobieta zapłonęła wstydliwym rumieńcem. Po chwili jednak przyniosła czasopisma z pierwszej dekady wieku, zawierające relacje z występów pani Desmond. Każdy bez wyjątku kończył się skandalem. Piękna Olga miała bowiem w zwyczaju występować na scenie nago,

naśladować postaci antyczne. Oglądając fotografie jej kształtnego i proporcjonalnie zbudowanego ciała, Eckert pomyślał, że być może nudystka zawróciła w głowie Lepckemu, kiedy ten pracował nad rzeźbą „Łucniczki”...

— Jak tak dalej pójdzie, stanę się historykiem sztuk wszelakich... — mruzczał pod nosem policjant, wzbudzając zainteresowanie osób przy sąsiednich stołach. Ale on nie zwracał uwagi na otoczenie — pogrążony w lekturze szedł tropem mglistych dociekań, coraz bardziej przekonany, że ktoś bawi się nim i całą policją kryminalną miasta Bydgoszczy.

Jeśli postawić obok siebie „Potop”, zabita rodzinę Blochów i żywe obrazy, to co je łączy? Ludzkie ciało, żywe lub martwe, ale wystawione na widok publiczny, na sprzedaż bez mała.

„Na początku była chuć. Nic prócz niej, a wszystko w niej”. Eckert otworzył niewielki tom o nazwie *Requiem aeternam*, takiej samej jako owo Towarzystwo Literackie, które rzekomo działało w Bydgoszczy, choć nikt nie wiedział, jak to działanie się przejawiało.

„Chuć to prasiły życia, rękojmia wiecznego rozwoju, wiecznego odchodzenia, wiecznego powrotu, jedyna istota bytu”. Tyle słów, żeby powiedzieć to, co ludzie okazują zwykle nie słowami? Stanisław Przybyszewski, „genialny Polak”, „smutny szatan”. „Oj, była w nim chuć — dumął Eckert, wertując biografię pisarza — a zostawiał za sobą porzucone kobiety i dzieci. I śmierć. Jedna żona — będąc w ciąży, popełniła samobójstwo. Druga — zastrzelona przez szalonego wielbiciela. Wystarczająco dużo tego »potopu« jak na jedno życie. A czy on, Bolesław Eckert, ma prawo do sądenia innych? Czy nie zdradzał żony, nazywając te zdrady na własny użytek »wypadkami miłosnymi«? Czy nie zdradził jej nawet wtedy, gdy stwierdzono u niej nieuleczalny nowotwór? Ejże, marny człowieku, kim jesteś, że uważasz się za lepszego od tego tu »smutnego szatana«? Jesteś »ramieniem sprawiedliwości«, ale to ramię czarny robak toczy od środka. Myślisz, że skoroś po śmierci żony ślubował, że już nigdy nie zbliżysz się do żadnej innej, to czyni cię lepszym, niż jesteś? Myślisz, że jeśli znajdziesz i wyślesz przed sąd mordercę z barki »Annelise«, to zmażesz zło, któreś sam uczynił?”

— Musimy zamykać, proszę pana. — Z zamyślenia wyrwała Eckerta bibliotekarka,

młoda, szara myszka w owalnych okularach na małym nosku. Nadkomisarz uśmiechnął się do niej i pomyślał, że gdyby życie ułożyło mu się inaczej, miałby dziś córkę albo syna w jej wieku.

— Już, już — westchnął i bezradnie ogarnął wzrokiem zwały książek, czasopism i kartek, które znaczyły jego kilkugodzinną obecność w czytelni.

— Znalazł pan to, czego szukał? — Myszka prześwidrowała go swoimi niebieskimi oczętami.

— Nie, ale za to wiem, co zgubiłem — odparł, ukłonił się z galanterią i skierował szybko do wyjścia. Coś go jednak tknęło, więc nagle zawrócił i zapytał bibliotekarkę:

— Mogłaby mi pani podać adres Towarzystwa Literackiego „Requiem Aeternam”? Kolega zaprosił mnie na odczyt, ale gdzieś zgubiłem wizytówkę...

Dziewczyna nie wydawała się zaskoczona tą nazwą. Nie była też wcale taka szara, jak początkowo Eckert myślał. Miał nawet wrażenie, że w jej oczach zabłyśły dwa chochliki.

— Nie jesteśmy biurem adresowym, proszę pana — odparła grzecznie, choć stanowczo bibliotekarka.

— To prawda. Jesteście czymś znacznie więcej — ripostował niezrażony odmową Eckert.

— Kolega, który pana zaprosił, z pewnością poda panu adres.

— Kiedy kolega wyjechał i nie mam z nim żadnego kontaktu...

— I błądzi pan jak dziecko we mgle.

— Gorzej. Jak rozbitek na wodnej pustyni.

— Proszę uważać na lektury, bo zaczyna pan być manierystyczny.

— Marnuje się pani w tej czytelni.

— Doprawdy, panie władzo?

Coraz bardziej zaskakiwała go ta smarkula.

— Skąd wiem? — uprzedziła jego pytanie. — Nie zachowuje się pan jak pasjonat, a poza tym też czytam gazety. Może rzeczywiście marnuję się w tej czytelni?

— Przydałaby się nam pani — powiedział żartem, ale był pełen uznania dla bystrości jej umysłu.

— Bardziej przydam się tutaj — odparła z uśmiechem. Po czym napisała na kartce

słowo „Mackensenplatz”.

Eckert nie znał tego adresu.

— To nowe osiedle, a właściwie kilka domów na tyłach starego cmentarza ewangelickiego.

Teraz Eckert zdał sobie sprawę, że przechadzał się tam niekiedy przy okazji wizyt na grobie żony. Nowe, okazałe wille z wysokimi, witrażowymi oknami i świetlikami, półkolistymi werandami i, co było całkowitą nowością, garażami na automobile, otoczone zadbaną zielenią ogrodów. Z pewnością musieli je zamieszkiwać ludzie zamożni i ustosunkowani.

— Skąd pani zna ten adres? — zapytał Eckert.

— Nie tylko pan interesuje się przybyszewszczyzną. Bydgoszcz to miasto, w którym takie rzeczy od razu rzucają się w oczy — odparła rezolutnie dziewczyna.

— Wie pani, który to dokładnie dom? — zapytał jeszcze, trochę z ciekawości, a trochę, żeby przedłużyć rozmowę z dziewczyną.

— Nigdy tam nie byłam, ale to pan jest policjantem, więc ustalenie tego nie powinno być dla pana trudne — uśmiechnęła się.

— Nigdy wcześniej tu pani nie widziałem.

— Dopiero zaczynam moją karierę biblioteczną.

— Jak na debiutantkę sporo pani wie.

— Jestem ambitna, pracowita i podobno zdolna.

Oddaliła się i wróciła do swoich zajęć.

Głupia, nieznośna myśl przysłała nadkomisarzowi do głowy: a gdyby tak jeszcze raz spróbować ułożyć sobie z kimś życie, może właśnie z tą szarą myszą biblioteczną? Od razu skarcił się w duchu za tę chwilę zapomnienia. Jednak rozmowa z dziewczyną jeszcze długo nie dawała mu spokoju. Wcześniej żadna z osób w bibliotece pytana o „Requiem Aeternam” nie kojarzyła tych słów z niczym, poza twórczością Przybyszewskiego. Dopiero ta smarkuła... posłanniczka... Eckert nie wiedział, skąd w jego głowie pojawiło się to słowo. Posłanniczka.

Gajewski stał z bukietem kwiatów przed drzwiami mieszkania Klary i czekał na jakikolwiek ruch z drugiej strony. Już trzy razy zadzwonił „motylkiem” umieszczonym

przy drzwiach, zaopatrzonych w mosiężną tabliczkę z imieniem i nazwiskiem aktorki. Jego obecność zwróciła uwagę babinki mieszkającej naprzeciwko — jej siwa głowa i pełna zmarszczek twarz ukazała się w wąskiej szparze między drzwiami a futryną, a zmrużone oczy staruszki długo badały, co to za delikwent dobija się do panny Klary. Gajewski uśmiechnął się do babci z zakłopotaniem, ale ta nie spuszczała z niego czujnego wzroku.

— Niech pani już zamknie, bo panią przewieje! — powiedział w końcu i drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Ale wiedział, że sąsiadka nadal obserwuje go przez wizjer. „Szkoda, że Blochowcie nie mieli takiego cerbera” — pomyślał.

Jeszcze raz zadzwonił, a potem zapukał. Dopiero wtedy usłyszał, że ktoś podchodzi do drzwi.

— Nie rób sobie nadziei — usłyszał jej głos.

— Nie robię — odparł matowo. — Chciałem cię tylko zobaczyć.

— Po co?

— Będziemy rozmawiać przez zamknięte drzwi?

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Klara...

— Odejdź, bo zadzwonię na policję, że mnie nachodzisz.

— Dobrze, jak chcesz.

Położył kwiaty na progu i zszedł po drewnianych schodach. Szedł bardzo powoli, licząc na to, że uda mu się zobaczyć Klarę. Ale ona nie otworzyła drzwi. Kiedy Leon był już na dole, oparta o nie osunęła się na podłogę i opuściwszy głowę na piersi, rozplakała się.

Leon stał jeszcze przez chwilę pod jej oknem, wpatrując się w pobłyskujące płaszczyzny szyb, za którymi widać było jasne firanki. Ale i one pozostawały nieporuszone. Miał ochotę się napić i nawet pomyślał, czy nie wstąpić do jakiejś knajpki na Gdańskiej, ale powstrzymał się. Zawalił jedną sprawę, jeśli zawali i drugą, nie będzie miał już czego szukać w tym mieście.

Powlókł się pieszo Gdańską, potem przez plac Teatralny i Mostową, na ukos przeciął Rynek, na którym toczył się już właściwy dla tego miejsca żywiłowy handel. Z Rynku wszedł w Poststrasse, króciutką przecnicę prowadzącą do Friedrichstrasse.

Na rogu Pocztowej i Fryderykowskiej mieścił się hotel Rio.

Była to dwupiętrowa kamienica, jak większość domów przy Fryderykowskiej stara, bo ponad stuletnia. Miała dwa wejścia, od obu ulic przysłonięte wysłużonymi markizami. Jedno z wejść prowadziło do sklepu bławatnego, a drugie do restauracji. Oba lokale zajmowały parter pokrytego brudnożółtym tynkiem budynku. Na wysokości wejść widniały wypisane białą farbą reklamy. Pokoje gościnne hotelu mieściły się na piętrach kamienicy. Recepcję stanowiło mikroskopijne pomieszczenie na parterze, będące jednocześnie szatnią i wciśnięte między drewniany, pomalowany ciemną farbą olejną kontuar a wyłożoną ciemnozielonymi tapetami wnękę. Za kontuarem siedziała tęga, około pięćdziesięcioletnia kobieta z posiwiałym kokiem na głowie, ubrana w wyświechtaną sukienkę z szarego płótna, na którą miała założony ciemniejszy fartuszek. Zajęta była wyszywaniem haftu krzyżykowego, rozpiętego na drewnianym tamborku. Niedokończony jeszcze wzór przedstawiał typową scenkę rodzajową — parę zakochanych siedzących nad strumykiem i zachodzące za nimi słońce.

— Ładne — ocenił Gajewski. Kobieta podniosła na niego wzrok, poprawiając binokle zsuwające się jej z perkatego nosa.

— Restauracja dziś nieczynna. Mamy stypę — powiedziała niepytana recepcjonistka.

— O, to przykre — odparł Gajewski, który ciągle walczył z chęcią wypicia setki wódki.

— Panie, to cała tragedia. Syn kupca bławatnego Hübschmanna strzelił sobie w łeb.

— Hübschmanna? — powtórzył jak echo Gajewski; nazwisko to nic mu nie mówiło.

— Samuela Hübschmanna. Dobry był chłopak, ale naiwny, że niech Pan Bóg broni. Zakochał się w córce kominiarza, uważasz pan. Na dodatek Polce. Ojciec miał dla niego już upatrzoną inną dziewczuchę, oczywiście Żydówkę, córkę rzeźnika Julię Schlesinger, nieładną, ale za to z ładnym posagiem. A ten szczeniak się uparł, że nie. Uciekł z tamtą, ale kominiarska córka szybko się opamiętała i wróciła do domu. A ten którejś nocy zakradł się do gabinetu starego, wyjął z szuflady rewolwer i strzelił sobie w skroń, panie. Tragedia...

— To prawda, z uczuciami jest jak z pieniędzmi. Jak je źle ulokujesz, to zostajesz goły... — odrzekł sentencjonalnie Gajewski. — Ale ja nie do restauracji, tylko do

hotelu. Muszę obejrzeć pokój Heinricha Gettki.

Teraz Leon pokazał kobiecie legitymację policyjną, którą obejrzała sobie dokładnie przez binokle, podnosząc do światła.

— A ten łobuz co znowu zmalował? — zapytała rozeźlona.

— Nieważne. Da mi pani klucz od jego służbówki? — odparł urzędowo Leon.

Na twarz kobiety wrócił ten sam znudzony wyraz, który Gajewski zobaczył, wchodząc. Podała mu klucz, mówiąc:

— Drugie piętro, ostatnie drzwi na lewo.

Klatka schodowa była mroczna i przydałby się jej remont, ocenił Gajewski, wdrapując się na drugie piętro po skrzypiących schodach. W narożnikach między ścianami a sufitem kłębiły się pajęczyny, a kurz był wszechobecny. Korytarz był wyłożony długim czerwonym dywanem, który miał przydawać hotelowi splendoru, ale było to dawno, bo od tego czasu wykładzina mocno podniszczała. Na ścianach wisiało kilka obrazków w ramkach; przedstawiały bydgoskie widoczki, nie mogło więc zabraknąć wśród nich „Potopu”. Gajewski westchnął głęboko i przekręcił klucz w zamku drzwi.

Pokój był urządzony bardzo skromnie — tylko łóżko, stół, krzesło, niewielka szafa i stojak z miednicą. Okno wychodziło na podwórze. Na widok składała się głównie ściana oficyny z gołej, wyłobionej działaniem deszczu i słońca cegły. Za zasłonę robiła zwykła gaza przybita gwoździkami na stałe do ram okiennych. Gajewski przystąpił do rewizji pomieszczenia.

Szafa nie zawierała niczego poza kilkoma sztukami garderoby, raczej nie najlepszej jakości. Na szafie Leon znalazł kilka pudełek z papierosami egipskimi i zapalki. Na stole stała pełna niedopałków blaszana popielniczka. Gettki najwyraźniej dużo palił.

Z pewnym obrzydzeniem Gajewski odkrył narzutę na łóżku. Nie bez powodu, bo pościel była szara od długiego niewymieniania. Wywiadowca „wyklepał” pierzynę i poduszkę, dokładnie zbadał też zawartość zagłówek wypchanego sianem, ale nie znalazł niczego. Zajrzał także pod łóżko. Leżała tam tekturowa waliza. Wysunął ją na środek pokoju i otworzył. Były w niej tylko stare bilety kolejowe wsunięte w jedną z przegródek i brudna bielizna.

— Czyścioch to z ciebie nie jest, Heinrich... — mruknął Gajewski. Upewnił się

jeszcze, czy w ściankach walizy nie znajdują się jakieś ukryte schowki, i wsunął ją z powrotem. Ale waliza zahaczyła o wystającą deskę podłogową.

— Co u licha... — Gajewski odsunął łóżko i przyjrzał się temu bliżej. Deska była luźna. Podniósł ją i zobaczył niewielki karton po butach, wsunięty w szparę w podłodze. Wydobył go i położył na stole. Wewnątrz był zawiązany wstążką plik listów. Gajewski przejrzał je pobieżnie. Na wszystkich kopertach znajdowała się adnotacja urzędu pocztowego, że przesyłka została zwrócona z powodu nieodebrania przez adresata. Listy nadawano na poste restante Poczty Głównej przy Wilhelmstrasse. Kopert nie otwierano.

Adresatką była Eleonore Bloch.

Gajewski zapalił papierosa i otworzył pierwszą kopertę. Na kartce kulfoniastymi literami, po niemiecku, napisany był list miłosny do Eleonore, podpisany „Heini”. Więc i on nie oparł się urokowi tej ślicznotki. Ale na co liczył? Tak jak ten głupiec Horst, myślał o ucieczce za ocean, uwiciu przytulnego gniazdka z Fräulein Bloch na jakimś Brooklynie czy Coney Island? Leon otwierał kolejne koperty i w miarę czytania poznawał coraz bardziej psychikę Heinricha Gettki, boja z hotelu Rio.

Moja Droga Eleonore,

kiedym Cię pierwszy raz ujrzał, tom od razu wiedział, że będziemy razem.

Moje życie było takie smutne, nim Ciebie spotkałem. Miłości życia mego, znaleziona na wschodnich kresach naszej ojczyzny! Daj mi szansę...

Kochana Noro,

tęsknię za Tobą tak bardzo, że tracę rozum, myślę tylko o Tobie, nie śpię w nocy i wyobrażam sobie nasze wspólne chwile.

Mój Najpiękniejszy Kwiatuszku! Nawet w najgorszych chwilach, kiedy gnilem w okopach tej cholernej, przegranej wojny albo kiedy patrzyłem na śmierć moich kolegów, to zawsze wtedy myślałem, że to wszystko ma jakiś sens. Że kiedyś spotkam kobietę, która pomoże mi zapomnieć to piekło.

Musiałem przeżyć wojnę, żeby Cię znaleźć, to było nam pisanie, rozumiesz?!!!

Kochanie, Najdroższy Skarbie!

Dlaczego nie odpowiadasz na moje listy? Wystarczy choć parę słów. Czy to tak trudno zdobyć się na odrobinę czułości dla człowieka, który oddałby dla Ciebie wszystko?

Bez Ciebie moje życie nie ma sensu, włóczę się po ulicach jak upiór, nie mogę nigdzie znaleźć sobie miejsca, wszyscy wydają mi się tacy obcy!

Kiedy jest mi źle, idę na most, żeby z daleka popatrzeć na Waszą barkę. Dziś w nocy byłem tam znowu. Stałem długo, patrzyłem na to małe okienko, za którym pewnie spałaś.

Moje Biedactwo! Wiem, że może być nam trudno, ale miłość zwycięży wszystkie przeciwności. Tylko mi zaufaj...

Droga Noro,

doprawdy nie rozumiem Twojego stosunku do mnie. Miałem chyba prawo sądzić, że nie traktujesz mnie tylko jako przelotnej przygody. Jeśli chodzi o mnie, to skończyłem z dziwkami i włóczęniem się po spelunach. Jestem wierny Tobie... a raczej czekaniu na Ciebie. Dziś w nocy napisałem dla Ciebie wiersz.

*Twoje imię jest jak kwiat nocy,
Który rozchyła się w świetle księżyca.
Po Twoich płatkach spływają łzy rosy,
Proszę, pozwól, bym je spił suchymi wargami.
Spragniony rozbitek na wodnej pustyni...*

Mam nadzieję, że Ci się spodobał...

„Wodnej pustyni? Skąd ten prosty chłopak znał takie określenia?” — zastanawiał się Gajewski. W pokoju nie było żadnych książek, a już tym bardziej tomików poezji. Zresztą już przy pierwszym bezpośrednim kontakcie Heinrich sprawiał wrażenie raczej buca niż konesera literatury. Ale może pod wpływem morfiny budziły się w nim skrywane zdolności?

Ostatnie listy były utrzymane w ponurej tonacji, pełne skarg i złorzeczeń.

Eleonore,

bawisz się ze mną. Rozumiem, że nie jestem jedynym, który stara się o Twoje względy, ale mogłem chyba mieć nadzieję, że nie będę dla Ciebie tylko zabawką.

Dlaczego, Kochana?

Jeśli nie spotkasz się ze mną, źle to wszystko się skończy...

Ostatni raz proszę o spotkanie, chcę wyjaśnić wszystkie nieporozumienia. Daj mi jedną szansę, błagam!!!...

Kolejna bezsenna noc. Miasto śpi i tylko ja wpatruję się w sufit, żeby wyświetlić sobie na nim Twoją świętą twarz. Eleonore, moja piękna Księżniczko, mój cudowny Kwiecie, moja Ziemi Obiecana. Modlę się do Ciebie, bo tylko w Ciebie wierzę. W Ciebie u mojego boku.

Dziś zrozumiałem. Jeśli nie jest nam pisane być razem na tym padole, to połączyć nas musi śmierć. Ona jest sprawiedliwym sędzią. Innych, szczęśliwych tutaj, na ziemi, rozdziela, a nas — nieszczęśliwych — połączy w wiecznym szczęściu w zaświatach...

Tak nie pisze boj hotelowy! Zupełnie jakby... ktoś mu to podyktował. Gajewski znowu przeszukiwał gorączkowo pomieszczenie, mając nadzieję, że znajdzie coś, co potwierdzi jego przypuszczenia. Ponownie zajrzał do skrytki pod łóżkiem. Intuicja go nie zawiodła. W dziurze, wciśnięte w głąb schowka, znajdowało się jeszcze jedno zawiniątko. Zawierało plik zielonych banknotów. Gajewski pobieżnie przeliczył. Kilkaset dolarów. „Zbierał na wyjazd do Ameryki. Ziemia obiecana, kurwa ich mać” — z pogardą myślał Gajewski, który takie pieniądze widział pierwszy raz w życiu.

„Trzeba porównać pismo Gettki z tymi listami. Koniecznie. Ale nawet jeśli okaże się, że to nie jego pismo, to co te listy robią tutaj? Musiał je wysłać Heinrich! Napić się, koniecznie się napić, setka wódki na skołatane nerwy to wszystko, czego mi trzeba” — przemknęło przez głowę wywiadowcy, gdy pakował listy i pieniądze do kieszeni płaszcza i wychodził z nimi z pokoju. Na korytarzu zgasło tymczasem światło i policjant znalazł się w całkowitej ciemności. Przekręcił klucz w zamku i ruszył

w stronę klatki schodowej. „To nic, to twoje nerwy, za tobą nie ma nikogo, nie odwracaj się, jeśli się odwrócisz, potwierdzisz tylko, że się boisz, nie możesz dać się strachowi, tam nie ma nikogo, nie ma” — uspokajał samego siebie Gajewski. Ale coś, jakaś siła, która znowu dała o sobie znać, zmusiła Leona, żeby odwrócił się i wbił wzrok w gęstą ciemność korytarza za nim.

— Ach! — wrzasnął nagle i całym ciężarem ciała runął w tamtą stronę, wymachując pięściami w nadziei, że pogruchocze kości swemu prześladowcy.

Ale jego ręce napotkały pustkę. Doszedł aż do końcowej ściany korytarza i oparł o nią głowę. Dyszał rozgrzany, słuchając dudnienia w skroniach. Jedne z drzwi otworzyły się i na korytarz wyjrzał niewysoki, łysy mężczyzna z czarnym wąsem.

— Co to za hałasy?! — zapytał tamten z niepokojem.

— Do budy! — Gajewski ruszył szybko w jego stronę i gdyby łysy błyskawicznie nie zatrzasnął drzwi, policjant roztrzaskałby mu twarz.

— Jezu, co się ze mną dzieje? — mówił do siebie, gdy schodził na parter. Położył klucz na kontuarze, a kobieta z kokiem bez słowa powiesiła go na haczyku. Gdy jednak spojrzała na Gajewskiego, za pytała:

— Heinrich coś nabroił, tak?

— Czy ktoś go tu odwiedzał? — odpowiedział pytaniem komisarz.

— Nie przypominam sobie.

— Mówił pani o sobie, zwierzał się ze swoich planów?

— A jakie on mógł mieć plany? Bez grosza przy duszy, sierota. Źle tu nie miał, dach nad głową, wikt i opierunek...

— No tak... a dziewczyny?

— Co pan myśli, że to burdel? Tu nie było, nie ma i nie będzie żadnych dziewczyn!

— Miałem na myśli sympatię. Miłość. Kto jak kto, ale kobieta takie sprawy wyczuje.

— Co on narobił, panie policjancie?

— Jest podejrzany o morderstwo.

— Jezusie...

Tamborek oraz igła z nitką wypadły kobiecie z rąk.

— Co to się dzieje na tym świecie... — westchnęła recepcjonistka, ale Gajewski

był już na ulicy i rozglądał się za jakąś spokojną knajpą. Musiał koniecznie uporządkować myśli. Ale przede wszystkim musiał się napić.

Kilkadziesiąt metrów dalej, przy tejże samej Fryderykowskiej, mieściła się piwiarnia „Falstaff”, która stwarzała warunki do nieskrępowanego oddawania się własnym problemom. Gajewski zszedł po kamiennych schodkach i u szynkarza poprosił o kieliszek wódki, kufelek piwa, a do tego parzoną kiełbasę z musztardą i chlebem.

Usiadł w głębi dość ciemnej sali, przy stole z grubego drewna. Kiedy kelner postawił przed nim wypełnione płynami naczynia, a następnie talerz z parującym jedzeniem, twarz Leona zajaśniała. Zmoczył usta zimnym piwem i zabrał się za pałaszowanie kiełbasy, suto smarując ją musztardą. W pewnej chwili ugryzł twardą chrząstkę i niemal zawył z bólu. Nerwy w dziurawym zębie zostały urażone, prąd przeszedł po twarzy Gajewskiego, który odłożył sztućce i wypluł na talerz nieszczęsną chrząstkę. Była na niej krew. „Cholera — pomyślał — czas najwyższy do dentysty”. Popił wódką w nadziei, że alkohol uśmierzy ból. Stało się tak, ale na krótko. Jadł teraz półgębkiem i już bez apetytu, który ulotnił się wraz z powrotem bólu.

Ktoś stanął przy jego stoliku, kiedy Gajewski sięgał po kufel.

— Leon Gajewski, pogromca bydgoskiego półświatka — powiedział stojący nad nim mężczyzna. Leon od razu rozpoznał Mariana Wilczyńskiego, reportera „Dziennika Bydgoskiego”. Żurnalista był już pod dobrą datą, a w ręku trzymał dwa kieliszki wódki.

— Redaktor Wilczyński, pogromca sztuki narodowej — odparł Gajewski.

— Da się pan zaprosić na jednego? — zapytał Wilczyński i nie pytając, usiadł naprzeciw wywiadowcy.

— To będzie już mój drugi. Jestem na służbie.

— Tacy jak my zawsze są na służbie, nieprawdaż, panie śledczy? No, niechże się pan nie da prosić. Wypijmy jak Polak z Polakiem.

Wilczyński wychylił za jednym razem swoją wódkę, Gajewski przez chwilę się wahał, ale także wprowadził do organizmu kolejną porcję alkoholu.

— To niezła melina, lubię tu wpadać, żeby uspokoić nerwy i pomyśleć nad tematami do kolejnego numeru — powiedział Wilczyński, przyglądając jasny wąs. Jego nieco nalana twarz przybrała teraz kolor niemal purpurowy. A może tylko niedobór światła

w pomieszczeniu dawał taki efekt. Leon milczał, zajęty analizowaniem zmian w natężeniu i charakterze bólu zębowego.

— Nigdy tu pana wcześniej nie widziałem — ciągnął rozmowę Wilczyński.

— Bo jestem tu pierwszy raz...

— I od razu natknął się pan na mnie! To się nazywa przeznaczenie!

— Zwyczajny przypadek.

— Zostaję przy swoim. Od razu jak pana zobaczyłem, pomyślałem, że coś pana trapi.

— Tak, cholerny ząb mnie boli.

— A ja myślę, że nie tylko ząb.

— Panie Wilczyński, nic pan ode mnie nie wyciągnie.

Gajewski uśmiechnął się kwaśno. Wilczyński odpowiedział tym samym.

— Stoicie w miejscu ze sprawą „Annelise”.

— Już powiedziałem...

— Stoicie w miejscu i nie macie pomysłu, jak ruszyć dalej. Prasa niemiecka szaleje, zarzuca Polakom łamanie konwencji i inne takie. Ale przede wszystkim — nieudolność organów ścigania. Może pan nad tym spokojnie przejść do porządku dziennego?

— Prasa jest od tego, żeby pisać różne rzeczy.

— Prasa może zaszkodzić. Ale może też pomóc.

Gajewski na te słowa roześmiał się głośno, ale ponowny atak bólu sprawił, że śmiech ugrzązł mu w gardle.

— Czego pan chce? — zapytał, a Wilczyński czekał na to pytanie.

— Tego, czego i pan. — Reporter nachylił się nad stołem, a jego duża twarz zbliżyła się do Gajewskiego, który poczuł ostrą woń alkoholu. — Złapać drania. — Po chwili dodał: — To nie jest zwykły rzezimieszek, dlatego trzeba zastosować przeciw niemu nietypowe metody. Mógłbym wam pomóc urządzić na niego zasadzkę — zapalił się reporter.

— Zasadzkę? Naczytał się pan za dużo powieści w odcinkach. Ten typ nie da się w ten sposób podejść.

— A jednak warto spróbować. Niech pan posłucha. Napiszę, że macie sprawcę, że rozwiązaliście sprawę, a wtedy on będzie chciał wam pokazać, że jesteście w błędzie.

I się odkryje. Wtedy będziecie mogli go schwytać na gorącym uczynku.

— Przecież to szaleństwo. Teraz pan to wymyślił?

— Szaleństwem jest przypuszczenie, że złapiecie go własnymi siłami. Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że ktoś uznał, że na wolności morderca będzie bardziej przydatny...

— Nie interesują mnie teorie spiskowe.

— Niech się pan nie oszukuje, Gajewski! Ten major Rzydenko czy jak mu tam... pewnie co rano dziękuje losowi, że zesłał mu tę sprawę i że wampir z „Annelise” krąży gdzieś po mieście. Bo gdyby trafił za kratki, cała legenda o krwiożerczych Germanach mogłaby się nagle rozsypać. Nie oszukujmy się, w naszym interesie jest podtrzymywanie antyniemieckiej hysterii.

— Niech to pan wydrukuje, a ja chętnie powieszę to sobie na gwoździu w wychodku.

— Miło z pana strony. Ale ja też mam gdzieś interesy, mnie interesuje wyłącznie prawda.

— I nakład gazety.

— I nakład gazety. Uczciwie stawiam sprawę. Zarzucam sieci na wampira, a wy go łapiecie.

— Czego chce pan w zamian?

— Wyłącznie na informacje. Chcę być pierwszym reporterem, który zada mu pytanie, dlaczego to zrobił. Chcę mu spojrzeć w oczy.

— Naprawdę uważa pan, że usłyszysz od niego prawdę? Nawet jeśli założymy, że pan z nim porozmawia?

— A czymże jest prawda?

Gajewski odsunął naczynia i teraz to on nachylił się ku swemu rozmówcy.

— Mam to w dupie. Jestem policjantem. Ja tu tylko sprzątam.

— Jesteśmy po tej samej stronie.

— Nie, nie jesteśmy, ale przemyślę twoją propozycję. Bądźmy w kontakcie.

Gajewski skrzywił się; przekłety ból świdrował jego szczękę aż do mózgu.

— Mogę panu polecić dobrego dentystę, niedawno u niego byłem — powiedział Wilczyński i podsunął Gajewskiemu mały kartonik z adresem. Półprzytomny

wywiadowca tylko machnął dłonią, więc reporter się oddalił.

— No, co tam macie, Orłowski? — Major Rzydenko rozparł się w fotelu w swoim nowym gabinecie, który odstąpił mu Eckert.

Specjalista daktyloskopii Kazimierz Orłowski wyglądał na zmartwionego. W obu dłoniach trzymał rękojeść podręcznej walizeczki.

— Nie wiadomo, czyje to odciski palców, bo nie macie ich w swojej kartotece — odpowiedział za niego Rzydenko.

— To skuteczna metoda, ale żeby przyniosła rezultaty, musimy być cierpliwi. Dysponujemy wciąż za małym materiałem porównawczym. Zebrałem już od wszystkich aktualnie zatrzymanych oraz pracowników komisariatu. Proponuję też, żeby odtąd od każdego zatrzymanego zbierać odciski palców. Mogę przeszkolić waszych ludzi, Warszawa dośle potrzebny sprzęt...

Rzydenko z rosnącym zniecierpliwieniem słuchał pasjonata daktyloskopii.

— Wiecie co, Orłowski? Wracajcie do Warszawy... Nic tu po was.

— Gdybym mógł zebrać odciski od szerszego kręgu osób, szanse trafienia znacznie by wzrosły, panie majorze... — mówił Orłowski, ale Rzydenko już go nie słuchał.

— Coś jeszcze? — zapytał obojętnie, kiedy daktyloskop umilkł.

— W zasadzie nie, ale... nie mam jeszcze odcisków linii papilarnych pana i pańskich ludzi. Mam nawet przy sobie potrzebne przybory, to zajmie tylko chwilę.

— Chcesz powiedzieć, że jestem w kręgu podejrzanych? — zapytał wściekle Rzydenko.

— Nie, ale trzeba ponad wszelką wątpliwość wykluczyć... mam takie polecenie z komendy głównej... — próbował tłumaczyć Orłowski. Ale było za późno — twarz majora nabrała ciemnopurpurowej barwy, a oczy nabiegły krwią. Trzymany przez niego w dłoniach ołówek złamał się z trzaskiem.

— Wiecie, gdzie ja mam wasze polecenia z komendy głównej? Dokładnie tam, gdzie wasze zakichane odciski!!!

Ryk Rzydenki jeszcze nie zdążył wybrzmieć, gdy do jego gabinetu wszedł Eckert. Spojrzał na zgnębioną twarz wychodzącego Orłowskiego i zamknął drzwi.

— Nie panujesz nad sobą, Roman — powiedział tonem niemalże ojcowskiej

przygany.

— Co masz? — uciął rozmowę Rzydenko.

— Towarzystwo Literackie „Requiem Aeternam”, Mackensenplatz, trzeba tam założyć całodobową obserwację.

— Po co? — niechętnie zapytał major.

— Tam mogą spotykać się miłośnicy czarnych masek. Być może nie tylko masek.

— „Mogą”, „być może”, Eckert! Ja chcę mieć fakty, a nie domysły!

— Cyfry z wewnętrznej strony maski z barki „Annelise”. Odpowiadają numerom skrzytek pocztowych w Bydgoszczy.

— Ktoś z barki mógł odbierać coś z tych skrzytek. Uważasz, że dostawcę tego czegoś możemy znaleźć na... Mackensenplatz?

— Teraz to ty snujesz domysły, Rzydenko.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Znali się na tyle długo, że nie musieli wobec siebie używać zbyt wielu słów.

— Coś jeszcze? — zapytał major, widząc, że Eckert coś w sobie kisi.

— Ty... znałeś moją żonę? — Eckert spojrział na majora świdrującym wzrokiem.

— Przecież sam nas poznałeś. W którym to było roku? — Rzydenko zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć.

— W tym samym, w którym próbowałeś mnie zrobić w tamto włamanie...

— Wiedziałem, że to w końcu wróci.

— To nigdy nie odeszło.

— Odeszło, czasy się zmieniły i my jesteśmy dziś inni.

— Doprawdy?

— Każdy z nas popełnia błędy, Bolesław. Muszę ci to mówić, towarzyszu walki i innych zajęć?

Ostatnie słowa Rzydenko wypowiedział z naciskiem. Eckert spojrział na niego czujnie.

— Próbujesz zajrzeć mi w duszę? Nic ci do niej. — Jego głos zabrzmiał ostro i nieprzyjaźnie.

— Ty sam rozdrapujesz te rany, nie ja.

— Dobrze, miejmy to za sobą. Czy ty i moja żona... czy ona...

— Była piękna.

— Tak czy nie?

— Nie. Nigdy.

Odpowiedź zabrzmiała szczerze. Eckert poczuł lekką ulgę.

— Ale wolałbyś, żeby tak się stało, co? Miałbyś wtedy alibi dla własnej zdrady.

— Miałbym wtedy powód, żeby cię zabić.

— O, jakie mocne słowa. Ale mnie nie jest tak łatwo zabić, Eckert. Ja jestem jak wspomnienie, które nie chce odejść, i jak zły sen, który wraca.

Nadkomisarz Bolesław Eckert wstał, podszedł do drzwi i rzekł od progu:

— Albo ty, albo ja. O jednego z nas za dużo.

I wyszedł. Działał teraz jak w nie tak dawnych, żołnierskich czasach. Udał się do rozmównicy miejskiej w gmachu Poczty Głównej i poprosił telefonistkę o połączenie go z warszawskim numerem. Nie korzystał z niego jeszcze nigdy, odkąd opuścił szeregi Legionów i osiadł w Bydgoszczy. Kobieta zbladła, kiedy usłyszała głos po drugiej stronie.

— Belweder na linii... — powiedziała, jakby informowała o zesłaniu Ducha Świętego.

— Dziękuję — odparł Eckert i zatrzasnął drzwi kabiny. Za szybą widać było, jak mówi dość długo do słuchawki, a potem słucha uważnie. W pewnej chwili na twarzy policjanta pojawił się uśmiech, potem jednak zagościło na niej coś w rodzaju smutnej satysfakcji.

Niebo nad Bydgoszczą było białe — słońce rozlewało się równomiernie po cienkiej powłoce chmur. Miejscami, tam gdzie powłoka była cieńsza, błyszczały jaskrawe prześwity. Wiatr nieco się uspokoił, ale mróz panował dotkliwy. Na Brdzie, nieopodal Młynów Rothera na Wyspie Młyńskiej, pojawili się pierwsi śmiałkowie z łyżwami przyczepionymi do butów. Lód nie był jeszcze zbyt mocny, ale przy brzegu dawał możliwość poślizgania się bez dużego ryzyka przymusowej kąpieli w zimnej wodzie. Barki stały unieruchomione lodowymi okowami. Z kominów mieszkalnych kabin snuły się smugi szarego dymu. Ziąb nie przeszkadzał kobietom w robieniu prania — kilka z nich przy brzegu mozolnie tarło mokre, namydlone rzeczy o drewniane tarki, po czym

płukało je w lodowatych przerębłach.

— Ino nie za daleko! Wracaj! — wołały raz po raz do harcujących na lodzie dzieciaków. Pakowały wyżęte pranie do wiklinowych koszy i wracały na barki, na których rozwieszały łąchy na linkach. Duże stado wron krążyło nad wyspą jak czarna chmura, przysiadając od czasu do czasu to na dachu magazynów, to na którymś ze starych, wysokich drzew.

Spokój tego zakątka udzielał się Leonowi, który przyszedł tu ochłonąć nieco po piwno-wódczано-kiełbasianym posiedzeniu. „Wsiąść na jedną z tych kryp i ruszyć w dół rzeki — myślał — żyć jak Pan Bóg przykazał, zgodnie z odwiecznymi zasadami natury, nie bić się o nic i o nikogo, być samemu dla siebie sterem, żeglarzem, okrętem...” Naiwność tych rojeń w zderzeniu z twardą rzeczywistością rozżłościła go. Splunął w ciemną wodę i patrzył, jak ślina uchodzi wraz z prądem rzeki. Klara też od niego odeszła i nigdy nie wróci. Klara... Eleonore... Ludzkie marzenia są do siebie w gruncie rzeczy żałośnie podobne. Wyjechać, uciec, zacząć wszystko od nowa. Zbudować kolejny zamek z piasku, a potem patrzeć bezsilnie, jak podmywają go fale...

Z zamyślenia wyrwał policjanta przeraźliwy krzyk, a raczej pisk. Łód załamał się pod jednym z dzieci. Malec rozpaczliwie wymachiwał rączkami i wołał, ale woda raz po raz zakrywała mu twarz.

— Jezu! Ratunku!!! Ludzie, pomocy!!! — zawodziła kobieta na barce. Stojący obok niej mężczyzna drapał się po głowie w odruchu bezradności.

Leon zrozumiał w mig: każda sekunda zawahania może zdecydować o losie dziecka. Zrzucił buty, kapelusz, płaszcz i skoczył do lodowatej wody. Strzałką popłynął w kierunku ginącego już z powierzchni chłopca. Nurt był bardzo silny, a na domiar złego pchał dziecko i Leona w kierunku lodowej łąchy. Gdyby wcisnęło ich pod nią, mogliby już nigdy nie wydostać się na brzeg.

— Lina!!! — wrzasnął w kierunku barek. — Rzućcie linę!!!

Sam zdołał podplłynąć do topiącego się dziecka, które całkowicie opadło z sił. Jego twarz była biała, a usta sine z zimna. Leon chwycił je obiema rękami pod pachy i próbował wyciągnąć w stronę brzegu. Ale rzeka nie dawała za wygraną — coraz bardziej spychała go w kierunku ostrej krawędzi lodu, uniemożliwiając odbicie się od czegokolwiek. Dno było muliste. Haust wody wlał się do ust Leona, który poczuł

w sobie rosące zimno. Jeszcze chwila i pójdzie na dno razem z tym malcem...

Nagle poczuł, że coś uderzyło go w głowę. To była końcówka liny rzuconej mu z brzegu, na którym zebrała się tymczasem spora grupa gapiów. Zdołał chwycić końcówkę sznura i nawinąć ją sobie na przegub. Teraz opasał liną dziecko i dał znak, żeby ludzie na brzegu ciągnęli. Linę szarpnęło, ale jednocześnie Leon stracił równowagę i znalazł się pod wodą. Stracił z oczu chłopca. Kiedy wypłynął na powierzchnię, zobaczył, że malec zaczepił się o powalony konar. Dawał już bardzo słabe oznaki życia. Ostre końcówki drzewa poraniły chłopca w twarz. Tkwił między nimi, przytrzymywany na powierzchni jedynie naprężoną liną. Leon dał ludziom znak, żeby trochę ją poluźnili, i wydostał malca z pułapki. Teraz upewnił się, że wiązanie jest mocne, i zawołał:

— Ciągnijcie!

Chłopiec powoli zbliżał się do brzegu. Mężczyźni szybko wyciągnęli go na ziemię i zaczęli niezdarnie cucić. Tymczasem Leon Gajewski staczał jeszcze jedną rozpaczliwą walkę o wydostanie się z lodowatej toni. Słabł coraz bardziej, ale centymetr po centymetrze osiągnął w końcu brzeg, kilkadziesiąt metrów w dół od grupy gapiów. Ledwo żywy pozbierał z ziemi porzucone części garderoby, a następnie dobiegł do ludzi, odepchnął mężczyzn pochylonych nad nieprzytomnym dzieckiem i przystąpił do masażu serca oraz sztucznego oddychania. Po chwili chłopiec zacharczał i zwymiotował brudnozieloną zawartość żołądka. Dostrzegł pochylonych nad sobą ludzi i wtedy się rozplakał.

— Nie wiemy, jak panu dziękować — powiedział ojciec chłopca, kiedy siedzieli już przy gorącej herbacie w kajucie mieszkalnej barki. Na niewielkim stoliku, poza naczyniami z herbatą, stała lampa naftowa. Gajewski miał na sobie koszulę i spodnie gospodarza domu, a ponadto był owinięty grubym kocem. Nogi zaś trzymał w miednicy z gorącą wodą, którą pani domu nagotowała na piecyku. W pomieszczeniu było parno — wilgoć w połączeniu z wysoką temperaturą musiała dać taki efekt.

Kobieta nacierała chłopca olejkiem kamforowym na rozgrzewkę i wewnątrz wypełniał charakterystyczny aromat. Następnie przykryła go pierzyną i nakazała, by nie wychylał spod niej nosa.

— Przydałoby się wezwać doktora, żeby go obejrzał — stwierdził Leon.

— Nic mu nie będzie. Poza tym nie stać nas — powiedział mężczyzna. Był to jeden z tych twardych barkarzy, którzy od wczesnej wiosny do późnej jesieni kursowali między Bydgoszczą, Berlinem i Gdańskiem. Na barkach pracowali, żyli i umierali. W srogie zimy, kiedy śluz unieruchamiał lód, szukali sposobu na przetrwanie. Łowili ryby w przerębłach, targali z lasu chrust na opał, dłubali nieustannie przy takielunku i maszynierii łodzi, a kiedy wszystko im brzydło, szli w cug. Żadna z nadbrzeżnych szynkowni nie miała przed nimi tajemnic i niejednego rano wydostawała z takiej nory dopiero rozeźlona małżonka albo matka.

— Pana dokumenty... trochę się pomoczyły, ale dało się je uratować — powiedział mężczyzna, widząc, że Gajewski przygląda się papierom suszącym się na gazecie przy piecu.

— Pan policjant... — rzucił w przestrzeń barkarz.

Leon skinął głową.

— A ta „Annelise” to pewnie pójdzie na żyłki — dodał od niechcienia mężczyzna.

— Dlaczego? — zainteresował się Gajewski.

— Nikt nie chce na niej pływać. Mówią, że przeklęta.

— Pan też tak myśli?

— Ja jestem prosty człowiek. Ale swoje wiem. I powiem panu, że to się musiało tak skończyć. Kto raz wpuszcza zarazę za próg swojego domostwa, ten sam zaczyna zarażać. I nie ma już dla takiego domu ratunku.

— Co pan ma na myśli?

— Pan uratował życie mojemu synowi. Jestem pana dłużnikiem. Przywiozę panu zamorskie owoce, irlandzką whisky, hawańskie cygara, co pan chcesz, ale niech pan mnie już nie ciągnie za język.

Mężczyzna patrzył na niego zaszklonymi oczami. Leon spojrzął na chłopca leżącego pod grubą pierzyną. Matka pochylała się nad nim, karmiąc gorącym bulionem. Zrozumiał. Ci ludzie się bali.

— To powinno wystarczyć na lekarza i nie tylko — powiedział Gajewski, kładąc na stole studolarowy banknot. Barkarz rzucił na niego krótkie spojrzenie, po czym przeniósł czujny wzrok na policjanta.

— Ale skąd pan...? — Mężczyzna urwał w pół zdania, widząc, że Gajewski daje mu ręką znak, by milczał. Policjant wyszedł z kajuty. Barkarz usłyszał jego kroki na drewnianym trapie. Kobieta zobaczyła banknot pozostawiony na stole i upadła na kolana. Przeżegnała się i cicho zaczęła szeptać dziękczynną modlitwę.

Major Roman Rzydenko stąpił w dół dębowych schodów w gmachu Komisariatu Głównego Policji Miasta Bydgoszczy. Odgłos jego kroków tłumili czerwone dywany, ale i tak wydawało mu się, że robi za dużo hałasu. Gdy Gajewski pokazał mu listy Gettki, postanowił, że zakończy to w swoim stylu. Odesłał wywiadowcę do pomocy Eckertowi, niech się zajmą śledzeniem literatów.

„Nie dam sobie wyrwać tej sprawy” — obiecywał sobie w myślach, układając w głowie scenariusz najbliższych godzin i dni. Zamknie śledztwo i pojedzie do Warszawy z pięknym, lśniącym raportem o zdławieniu niemieckiej dywersji na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Stanie wyprężony przed szefem i zamelduje, że major Rzydenko wykonał zadanie. A wtedy, mój Boże, wtedy nie będzie już przed nim niemożliwego. „Pokażę wam, dranie, do czego może dojść bękart! I niech nikt nie waży się powiedzieć, ba! pomyśleć o mnie z brakiem szacunku! Jestem Roman Rzydenko, człowiek, który do wszystkiego doszedł o własnych siłach, bez NICZYJEJ pomocy! A każdy, kto stanie mi na drodze — myślał gorączkowo — poczuje na własnej skórze, co znaczy gniew Rzydenki. Nie podoba się wam brzmienie mojego nazwiska? Wy... parszywe psy, macie herby w papierach, ale we łbach siano. Za to ja, bękart, podrzutek o podłym nazwisku, nie mam do stracenia nic, a do zyskania wszystko”.

W piwnicy budynku, gdzie mieściły się cele dla aresztantów, panował ziąb i wilgoć. Dyżurny, który pilnował więźniów, musiał nieustannie chodzić w tę i z powrotem nie dlatego, że istniała jakakolwiek groźba ucieczki, ale dlatego, żeby nie skostnieć dokumentnie, choć miał do dyspozycji krzesło i stół z lampką na końcu korytarza.

Na widok Rzydenki dyżurny wyprężył się jak struna, a major polecił mu udać się na piętnastominutowy fajrant.

— Ale... — próbował oponować strażnik.

— Wykonać. Zawołam was, jak skończę. A, i dajcie mi klucze do celi tego Gettki.

Strażnik posłusznie wykonał polecenie i Rzydenko został w piwnicy sam, nie licząc

zamkniętych w celach złodziejasków, pijanych awanturników, alfonsów, a także dwóch kurewek z Kongresówki, które nie były w stanie wylegitymować się sensownymi papierami.

Idąc korytarzem, czuł, że przez judasze przyglądają mu się więźniowie.

— Panie oficyjerze, panie oficyjerze, prosimy, nie pożałuje pan oficyjer, zajmiemy się panem od stópek do główki. — Usłyszał zza drzwi ochrypły kobiecy głos, a potem już dwa — kurewki roześmiały się lubieżnie.

— Pan tu jest szefem?! To słuchaj pan, jestem niewinny, uważasz pan, niewinny! To ta suka nagadała wam na mnie bzdur. Ją zamknijcie albo nie, lepiej mnie do niej puśćcie, to już sobie z nią pogadam, słyszysz, kurwo?!!! Już ja z tobą pogadam!!!

Po korytarzu rozniósł się wrzask i stukot metalowych przedmiotów. Po chwili jednak ucichło. Rzydenko stanął przed drzwiami ciemnicy, jak nazywano celę na końcu korytarza. Naprzeciw niej mieściła się komórka z narzędziami do utrzymywania porządku w budynku i wokół niego. Major zajrzał przez judasza — wewnątrz celi było zupełnie ciemno, ale była ona zaopatrzona w światło elektryczne. Zza obitych blachą drzwi dobiegał ledwie słyszalny głos. Gettka śpiewał:

War das'ne große Freude,
Als ihn der Herrgott schuf, ja schuf
ein Kerl, wie Samt une Seide,
nur schade, daß er suff, ja suff
ein Kerl, wie Samt une Seide,
nur schade, daß er suff.

(To była wielka radość,
Gdy go stworzył Pan Bóg
Facet, jak aksamit i jedwab,
Szkoda tylko, że pijak, tak pijak
Facet, jak aksamit i jedwab,
Szkoda tylko, że pijak).

Heidi, heido, heida
Heidi, heido, heida
Heidi, heido, heido hahaha
Heidi, heido, heida
Heili heilo heila
Heili heilo heila.

— Gettka! — powiedział głośno Rzydenko i przekręcił włącznik światła. Boj hotelowy z hotelu Rio zasłonił oczy, ale śpiewał jeszcze głośniej:

Heidi, heido, heida
Heidi, heido, heida
Heidi, heido, heido hahaha
Heidi, heido, heida
Heili heilo heila
Heili heilo heila...

— Stul mordę, szwabskie ścierwo! Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy! Polski my naród, polski lud, królewski szczep piastowy! — zanucił męski głos, ten „niewinny”. Również w sąsiednich celach zrobił się rumor, dobiegały stamtąd wrzaski, głucho uderzenia pięści w ścianę i metaliczny dźwięk misek, którymi więźniowie trzaskali w podłogę. Rzydenko zatrzasnął za sobą drzwi. Gettka siedział z podkulonymi nogami na twardej pryczy, której jedyne nakrycie stanowił zwilgotniały koc.

— No, koniec tego koncertu, Gettka.

— Czego pan chce?

Więzień był zaniepokojony. Major usiadł przy nim na taborecie.

— Pytanie, czego ty chcesz, chłopcze — powiedział, wypuszczając powietrze. W celi cuchnęło pleśnią i ekskrementami.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz. No to ja ci wytłumaczę. Otóż masz dwa wyjścia. Przyznajesz się

do morderstwa na „Annelise” i możesz wtedy liczyć na naszą wspaniałomyślność. Dostaniesz góra piętnaście lat ciężkiego więzienia. Albo idziesz w zaparte i dostajesz...

Rzydenko zrobił dłonią wymowny gest przy szyi.

— Co wybierasz?

— Gówno.

Silny cios otwartej dłoni spadł na głowę Heinricha.

— Co wybierasz?

— Ja tego nie zrobiłem.

— Mamy twoje listy.

Major wyciągnął zza poły munduru plik kopert.

— Oddawaj! Nie macie prawa... — Heinrich rzucił się w kierunku Rzydenki, ale ten się uchylił.

— To jakby przyznanie się do winy, Heini. Opowiedz, jak to zrobiłeś, jak przyszedłeś nocą na barkę „Annelise” i jak wymierzyłeś sprawiedliwość jej mieszkańcom. Opowiedz, jak ich mordowałeś ostrym jak brzytwa nożem, a potem jak ich układałeś, jedno po drugim, na wzór „Potopu”. Ciężka robota, co, Heini?! Ciężka, ale w imię sprawiedliwości trzeba umieć ponosić największe ciężary!

— To nie ja!

— Opowiedz, jak napisałeś na suficie kajuty ten łaciński napis, no powiedz, czy wtedy poczułeś się jak Anioł Zagłady, który przychodzi do upadłego miasta?!

Gettka był roztrzęsiony, podkurczył kolana pod sam podbródek, uszy zakrył dłońmi, jakby chciał się ukryć, zniknąć. A Rzydenko mówił dalej:

— Zgładź nieprawości nasze, prosimy, Panie, abyśmy do przybytku najświętszego z czystym sercem zasłużyli. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Celę wypełnił przeraźliwy krzyk Heinricha Gettki. W tym samym momencie Rzydenko zobaczył, że z ust więźnia chlusnęła krew. W gęstej, ciemnoczerwonej kałuży na kamiennej podłodze celi major dostrzegł kawałek mięsa. Był to odgryziony język.

— Wiem, że to ty! Wiem, że to ty!!! — krzyczał Rzydenko, potrząsając więźniem.

Z szeroko otwartych, wypełnionych krwią ust Gettki wydobył się upiorny śmiech.

NIEDZIELA, 25 STYCZNIA 1920 ROKU

Po złym dniu przyszła jeszcze gorsza noc.

Komisarz Leon Gajewski wrócił do mieszkania, kiedy wszyscy już spali, a z pokoju rodziców dochodziło ich miarowe chrapanie. Nie zrzucając ubrania, zwałił się na łóżko. Zamknął oczy i pod powiekami momentalnie zaczęły przesuwac się obrazy.

Okaleczony Gettka, prowadzony przez sanitariuszy do ambulansu, który wywiózł go do szpitala psychiatrycznego w Świeciu nad Wisłą. Nierozumiejący niczego Rzydenko, szukający w twarzach otaczających go osób jakiegokolwiek potwierdzenia, że to, co zrobił, było słuszne. Ale najbardziej w pamięci Gajewskiego utkwiała twarz Eckerta. Była zimna i całkowicie obojętna, kiedy Rzydenko próbował tłumaczyć, że chciał tylko „zmiękczyć” świadka przed właściwym przesłuchaniem, że w zasadzie uzyskał jego przyznanie się do winy, a stan psychiczny podejrzanego nie zmienia niczego w ustaleniach śledztwa. Eckert zrobił wtedy coś, czego Gajewski nie mógł zrozumieć. Podszedł do Rzydenki i włożył mu do kieszeni munduru lniane zawiniątko. Na jasnym płótnie była plama krwi. Kiedy Rzydenko je wyjął i odwinął, okazało się, że w środku jest język, który Gettka sobie odgryzł. Nikt nie wiedział, w jaki sposób Eckert znalazł się w posiadaniu tego... czegoś. Być może wykorzystał zamieszanie, jakie nastąpiło po samookaleczeniu się Niemca, i po prostu zabrał sobie fragment jego języka. A teraz stał przed osłupiałym Rzydenką i mówił:

— Zabierz to ze sobą do Warszawy, zalej formaliną i postaw na biurku jako trofeum. Obok zdjęcia mojej żony...

Rzydenko bez słowa wyszedł z pokoju i zamknął się w swoim gabinecie. Wtedy Eckert... on po prostu zaczął płakać. Nikt tego nie rozumiał, nawet Dolatowski, który znał go najdłużej, był bezradny. To było takie... żenujące i cholernie, cholernie smutne widzieć Eckerta w takim stanie. „Staliśmy tam — odtwarzał sobie w pamięci Gajewski — i patrzyliśmy na krwawy ochłap leżący na podłodze. Dopiero po chwili ktoś z nas, nie, to była sekretarka Dolatowskiego, przyszła z szufelką i pogrzebaczem i zgarnęła to z posadzki”.

— Co mam z tym zrobić? — Jej pytanie zawisło w powietrzu.

— Najlepiej wrzucić do pieca — zaproponował Jacyna.

— A zróbcie z tym, co chcecie, możecie nawet dać psom! — rzucił Dolatowski, który wyglądał na całkowicie skołowanego. Sekretarka ruszyła do wyjścia i pewnie cisnęłaby odgryziony język Gettki do pieca albo kubła na śmieci, gdyby Gajewski jej nie powstrzymał. Posłał po doktora Hoffmanna i poprosił, żeby zabezpieczył ten dowód przed zepsuciem. Hoffmann, który jak zawsze miał przy sobie przybornik lekarski, za pomocą szczypczyków podniósł kawałek języka i umieścił w niewielkim słoiku wypełnionym gazą. Mięso już nie krwawiło i zrobiło się ciemnobordowe.

Eckert siedział na krześle, z łokciem opartym o biurko, i dłonią zakrywał twarz. Już nie płakał. Dolatowski przypalił mu papierosa i dał pozostałym znak, żeby zostawić nadkomisarza. Wszyscy wyszli. Został z nim sam. Po chwili wyszli obaj. Nikt nie wiedział, dokąd poszli, chyba do jakiejś knajpy albo do domu Eckerta.

A wieczorem ten telefon. Z samej Warszawy. Sekretarka powiedziała, że Rzydenko na przemian czerwieniał i bladł, jak jakiś kameleon. Próbował coś powiedzieć, wytłumaczyć, ale ktoś po drugiej stronie linii mu na to nie pozwalał. A kiedy odłożył słuchawkę, ciężko opadł na krzesło i pocierał dłonią twarz. Powtarzał ciągle: „To niemożliwe, to niemożliwe”.

Sekretarka stwierdziła, że dzwoniło z Belwederu. Ponoć sam Naczelnik zakomunikował Rzydence, że jego misja w Bydgoszczy dobiegła końca i ma zbierać manatki. Ale może był to tylko adiutant Naczelnika albo jakiś inny funkcjonariusz. W każdym razie na pewno jakaś stołeczna szycha.

— Eckert osobiście zna Naczelnika — stwierdziła sekretarka, kiedy opowiadała Gajewskiemu, Krawczykowi i Jacynie tę historię. — Podobno od czasów legionowych się znają, tylko dziwne, że Eckert się wcześniej czymś takim nie chwalił.

„Głupie babsko. Nie chwalił się, ale w odpowiednim czasie wykorzystał tę znajomość” — myślał Gajewski. „Chciał się pozbyć Rzydenki i tylko czekał na właściwy moment”. Krótco po telefonie z Warszawy major zabrał z gabinetu swoje rzeczy. Miał wracać do stolicy jeszcze tej samej nocy. Razem ze swoimi tajnikami, Hermanem i Siedleckim.

Eckert wrócił do komendy, kiedy major ją opuszczał. Spotkali się w drzwiach gabinetu, który znowu przechodził w ręce nadkomisarza. Gajewski, Jacyna i Krawczyk

byli świadkami tej krótkiej rozmowy.

— Wykończyłeś mnie — powiedział Rzydenko, patrząc w twarz Eckertowi. — Nie, nie wykończyłeś — poprawił się zaraz. — Po prostu wygrałeś tę rundę, ale ja nie składam broni. Rzydenko jeszcze wróci, Eckert. A swoją drogą, szkoda, że twoja żona tak długo męczyła się z tobą. Mogła po prostu odejść ze mną, umarłaby szczęśliwsza.

— Nie wiem, co gorsze, widzieć jej grób czy ją u twojego boku, Rzydenko.

— Straszny z ciebie pies ogrodnika, wiesz, Eckert? Sam skakałeś na boki, a żonie nie pozwoliłeś...

Rzydenko nie dokończył, bo nadkomisarz rzucił się na niego z pazurami. I wydłubałby mu oczy, gdyby Gajewski z chłopakami w porę go nie odciągnęli.

— Bóg mi świadkiem, pożałujesz — powiedział na odchodne Rzydenko i trzasnął drzwiami. Zapanowało przykre milczenie. Eckert odwrócił się do podwładnych i rzekł:

— Przepraszam was, chłopcy.

Wyglądał wtedy jak starzec przyłapany na wyjadaniu powideł ze słoika.

„Nie tak wyobrażałem sobie pracę w policji kryminalnej miasta Bydgoszczy” — myślał Gajewski, leżąc na swoim wąskim, kawalerskim łóżku. Bolała go głowa, bolał ząb i bolało serce. Ale najbardziej bolało go coś, czego nie mógł umiejscowić, coś, co poeci nazywali duszą.

Za oknem pokoju była czarna noc. Na niebie mrugały niewyraźnie gwiazdy. Orion, zimowy gwiazdozbiór, zdał sobie sprawę Leon, który jako chłopak przepadał za obserwowaniem nieba. Nauczył go tego ojciec. Kiedy wypuszczał gołębice, chcąc nie chcąc, musiał zadzierać głowę. Weszło mu to w nawyk. Nieraz, gdy wracali późno do domu z kina czy odwiedzin u znajomych, ojciec przystawał i unosząc wskazujący palec, objaśniał chłopcom nazwy poszczególnych ciał niebieskich i gwiazdozbiorów.

Zygmunt... gdyby tu teraz był, na pewno wiedziałby, jak wszystkiemu zaradzić. On zawsze miał gotową odpowiedź na wszystko. Nie tylko nauczył się czytać i pisać wcześniej niż Leon, on po prostu pożerał książki. Godzinami potem opowiadał ich treść. Mówił o dalekich amerykańskich preriach, na których wśród dzikich indiańskich plemion rozgrywały się przygody nieustraszonych traperów i kowbojów. O podróżach dookoła świata, odbywanych przeróżnymi środkami transportu — od koni, przez kolej

aż po balony i sterowce, które niczym wielkie cygara szybowwały wysoko nad górskimi szczytami i dachami najwyższych budowli świata. Ale najbardziej Leon lubił słuchać opowieści o nieszczęśliwej miłości, kiedy chłopiec i dziewczyna zakochują się w sobie do nieprzytomności, ale z powodu okrutnych przeciwności losu nie mogą być razem, więc cierpią, tęsknią tak długo, aż po niewyobrażalnie długich i skomplikowanych przygodach znowu się spotykają i żyją odtąd długo i szczęśliwie w jakimś domku na wzgórzu, z widokiem na jezioro i pochyłony nad nim las.

— Zobacz, co oni mi zrobili... — Zygmunt zbliżał się do Leona, powłócząc nogami po zrytej pociskami ziemi.

Trzymał się obiema dłońmi za brzuch, a pomiędzy zaciśniętych palców spływała ciemna, prawie czarna krew. Za nim rozbłyskiwały łuny wybuchów i pożarów, a dymy zasnuwały całe niebo aż po horyzont.

— Dlaczego oni mi to zrobili?

Twarz Zygmunta była tuż przy jego twarzy — blada, pokryta błotem zmieszanim z krwią przypominała maskę. Z oczu, których białka z powodu tej ciemnej oprawy wydawały się bielsze niż zwykle, spłynęły dwie duże łzy, rysując na policzkach brata kręte strużki.

— Zobacz, co mi zrobili... — jęczał Zygmunt i spojrzał w dół. Opuścił ręce i wtedy z ogromnej rany w brzuchu wylały się krwawe wnętrzności. Opadły na jego wojskowe buty i gdy Zygmunt unosił jeden bądź drugi, oba chlupotały w tej okropnej mazi.

— To ty powinienes być na moim miejscu! — wołał umarły brat zachrypniętym, grobowym głosem i rękoma uwalanymi krwią oraz wnętrznościami próbował dotknąć twarzy Leona. Usłyszał swój ciężki oddech — biegł przez dymiącą pożarami równinę, raz po raz upadając w cuchnącą wodę, wypełniającą koleiny po wozach piechoty, które wraz z martwymi końmi wały się w przydrożnych rowach.

— To twoja wina, Leon! — wołał z wyciągniętymi rękoma brat, który biegł za nim krok w krok, nie dając żadnej szansy ucieczki.

Leon krzyknął z przerażenia, ale z jego gardła nie wydobył się najcichszy nawet dźwięk.

Leżał w ciemności, oddychając głęboko po złym śnie, a z czoła ściekał mu zimny

pot. Usiadł na łóżku i potarł palcami oczy. „Musisz wziąć się w garść, słyszysz?” — karcił się w duchu, ale senne, upiorne wspomnienie zmarłego brata nie dawało mu spokoju. Po prawdzie Zygmunt zmarł wskutek gangreny, która wdała się po nieudanej amputacji prawej nogi, poszarpanej przez szrapnel. Lekarz przecenił swoje możliwości, albo po prostu szczęście nie sprzyjało tego dnia Zygmuntowi, dość, że zakażenie zabiło go w ciągu doby.

Leon wyjął z szufladki nocnego stolika fotografię brata, którą ten podarował mu, gdy wyruszał na wojnę. Patrzył z niej dwudziestopięcioletni, uśmiechnięty od ucha do ucha chłopak, pełen wiary w przyszłość. Teraz leżał gdzieś we Francji, w dalekiej, obcej ziemi, gdzie nie miał nikogo, kto pomodliłby się nad jego mogiłą.

Leon wsunął szufladkę z powrotem, po czym rozebrał się do bielizny i poszedł do ubikacji. Gdy stał nad sedesem, w małym lufciku dostrzegł męską sylwetkę, stojącą na ulicy. Był gotów przysiąc, że typ wpatruje się właśnie w to okienko. Leon zbliżył się do lufcika, a wtedy mężczyzna na ulicy odwrócił się i szybko odszedł. Leon nie był w stanie go rozpoznać.

— Co się dzieje, u diabła? — wyszeptał. W pokoju zapalił papierosa i położył się. Uznał, że tej nocy już nie zaśnie, bo potok myśli raz poruszony nie da się niczym zatrzymać. Pomyślał o wódce, którą ojciec trzymał w kuchennej szafie, ale pomyśl, żeby się napić, wydał się Leonowi głupi. Zaczął myśleć o Klarze. Gdyby nie fatalny zbieg okoliczności, a przede wszystkim gdyby nie to, że był policjantem, mogliby teraz leżeć razem, obok siebie, w rozgrzanej ich miłością pościeli. Wpadł mu do głowy szalony pomysł, żeby zaraz do niej pobiec, ale po chwili przyszło zwątpienie. Po pierwsze, była głęboka noc, po drugie, Klara skreśliła go ze swojego życia, a po trzecie... „Nie, chyba jednak się napiję” — pomyślał Gajewski i na bosaka podreptał do kuchni. Wódka była tam, gdzie się spodziewał, a butelka niemal nienaruszona, bo ojciec pił tylko przy szczególnych okazjach — ostatnio na cześć wkroczenia Wojska Polskiego do Bydgoszczy.

Chwycił butelkę i wyjął z szafy szklanę. Gdy ją zamykał, poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się — w progu kuchni stała matka. Miała na sobie wełniane bambosze i koszulę nocną — na nią narzuciła wełnianą kamizelkę, której używała zwykle podczas szycia.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała z troską.

— Nic, chcę się napić. — Szept Leona zabrzmiał nieco za głośno.

— To ci nie pomoże. — Matka podeszła do niego. Zobaczył teraz — w nikłym świetle ulicznej latarni, które tu docierało — że nie jest już młodą kobietą; na jej twarzy rysowały się zmarszczki, a włosy były już niemal całkiem siwe. No i oczy matki. Od tych oczu nigdy nie umiał się uwolnić. Teraz też patrzyły na niego, nie potępiając go, ale było w nich coś znacznie gorszego. Rozczarowanie.

— Miałem ciężki dzień, mamó. Nie mogę zasnąć. Napiję się, położę, a jutro wstanę jak nowo narodzony — powiedział, siląc się na optymizm. Ale wiedział, że matki nie oszuka.

— Rób, co chcesz. Jesteś dorosły. Ale pamiętaj, że tylko ty nam zostałeś...

— I Teresa...

— Tak, ona też, ale ona jest daleko.

— Ja też nie będę mieszkał tu wiecznie.

Spostrzegł jej zaniepokojenie. Nie chciała wypuszczać z domu swojego jedyne, to znaczy jedyne żywego syna.

— To ta kobieta, tak? Ta, z którą się spotykasz?

— Już się nie spotykam, mamó. Zresztą to nie o nią, a o mnie chodzi.

Kłamał, ale matka nie musiała wiedzieć wszystkiego.

— Kto będzie nam pomagał, przynosił węgiel z piwnicy? Jesteśmy z ojcem coraz starsi. I coraz słabsi.

Uderzyła w czułe miejsce. Synowską lojalność wobec starych rodziców.

— Nie zostawię was bez pomocy, chcę tylko mieszkać na swoim, mamó.

— Żeby bezkarnie się upijać i uganiać za dziewczuchami...

— Dobranoc.

Zostawił ją i zza zamkniętych drzwi pokoju słyszał, jak drecze z powrotem do sypialni. Wiedział, że matka już nie zaśnie. Trudności ze snem odziedziczył po niej.

Nalał sobie do szklanki i wypił. Alkohol płynnym ogniem wypełnił jego wnętrze. Zrobiło mu się cieplej i jakby lepiej. Wiedział, że to tylko alkoholowa sztuczka, ale wiedział też, że w tej chwili nie stać go było na nic więcej. Wypił znowu. Wódka była dość ciepła, ale co tam, ważne, że działała jak trzeba. Znieczulająco. Jeszcze chwila

i poczuł, że otoczenie zyskuje bardziej miękkie i przyjazne kontury, a jego koszmary okazały się czymś odległym, jak łąd żegnany przez odpływającego żeglarza.

Leon sięgnął na półkę po książkę, oprawioną w twardą tekturową okładkę. *Przypadki Robinsona Crusoe* — głosił napis na stronie tytułowej. Kartki nosiły ślady wielokrotnej lektury. Nigdy żadna książka nie wywarła na Leonie takiego wrażenia jak ta. „Odziedziczył” ją po starszym bracie, który z pamięci potrafił cytować obszerne jej fragmenty. A Leon widział siebie jako Robinsona i tak bardzo wcielił się w tę rolę, że zbudował kiedyś na drzewie domek, który miał udawać szałas Robinsona na bezludnej wyspie.

Dziś naprawdę się na niej znajdował. Piękna, biała twarz Eleonore Bloch nagle ożyła i Leon zobaczył, że przyzywa go do siebie, zginając paluszek, z którego ściekała krew, tworząca gorejący napis: „Aufer a nobis, quaesumus, Domine”. Potem wszystko zaczęło wirować i zlewać się w jedno: „Annelise”, topiący się chłopiec, medium z knajpy, ryk Rzydenki, płacz Eckerta, poważne wejrzenie profesora Gintera, wszystko wirowało coraz szybciej i szybciej, aż Leon począł zapadać się w tych wirujących cembrowinach ku czającej się gdzieś w dole czarnej otchłani.

— Klara!!! — Słyszał własne wołanie, ale jego głos rozplýwał się w szumie i pędzie. Zacisnął mocno szczękę i wtedy z jego ust zaczęły wypadać, jak szklane paciorki, zęby.

„Kat chodzi bez maski” — usłyszał tuż przy swoim uchu czyjś chrapliwy szept, ale gdy otworzył oczy, nikogo przy nim nie było. Nie mogło być, bo nadal tkwił w tunelu, którego końca nie było widać. Spadał jak ciężki wór, ciśnięty do ciemnej, głębokiej piwnicy. Koszmar zdawał się otwierać przed nim kolejne dna, jak kolejne laleczki ukryte jedna w drugiej, i Leon był przekonany, że jeszcze chwila, jeszcze sekunda i odkryje wreszcie kogoś, kto tym wszystkim zawiaduje i sprawia, że on i cała reszta ludzi są tylko marionetkami w ogromnym, ruchomym mechanizmie. Jednak nic takiego nie następowało, bo kiedy już zbliżał się do rzekomego rozwiązania, laleczka odkrywała kolejną laleczkę...

Wtedy — zawsze tak robił, kiedy ogarniał go strach albo kiedy nie rozumiał, co się z nim dzieje — zaczął mówić bezgłównie: „Zdrowaś Maryjo...”. Czarne maski jeszcze przez chwilę tańczyły wokół niego, ale on mówił dalej: „Módl się za nami grzesznymi

teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”, a potem powtórzył modlitwę jeszcze dziewięć razy. Pomogło.

Dochodziła piąta nad ranem, kiedy wywiadowca kryminalny Leon Gajewski zasnął twardym, pijackim snem. Na dnie butelki została niedopita odrobina wódki.

Obudził się dwie i pół godziny później, trzeźwy i z mocnym postanowieniem, że od dziś, od tej chwili, nie bierze alkoholu do ust. Rześki, a raczej zgrywający rześkiego przed samym sobą, odbitym w wysokim lustrze na szafce vis-à-vis łóżka, zaczął robić pompki. Poczuł, że za moment serce eksploduje mu z wysiłku, ale wyciskał dalej, dziesięć, jedenaście, dwanaście, pot ściekał po czole i kapał z końcówki nosa na brązową farbę podłogowych desek, trzynaście, czternaście, piętnaście, no, kapralu Gajewski, nie mazać się, zapierdalać, aż dupa ognia da, jak mawiał major w koszarach przy Gdańskiej, skąd w 1914 roku wyruszyli na wojnę. Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, przy dwudziestej pompce Leon stwierdził, że musi zwymiotować, i ledwie zdążył do ubikacji, gdzie zwrócił zawartość wczorajszej kolacji, a do tego jeszcze pasma żółci jako bonus. Umył się w lodowatej wodzie i wreszcie poczuł, że wraca mu zdolność jasnego rozumowania.

— Dzień dobry! — rzucił wesoło do matki krzątającej się w kuchni.

— Kawy ci zrobiłam — powiedziała, nie odwracając się. Podszedł do niej, chwycił jej spracowaną, szorstką dłoń i ucałował.

— Przepraszam, mamó.

A jednak postanowienie, które powziął tej nocy, nie osłabło w nim ani na jotę. Jeśli chce uwolnić się od przeszłości (konkretnie od widma zmarłego brata i absurdu poczucia winy), musi się wyprowadzić. Z Klarą wydawało się to prostsze, ale nauczył się już, że pomiędzy planami a realnym życiem istnieje długa, kręta i wyboista droga. A czasem po prostu przepaść.

Zjadł ze smakiem sznytkę grubo posmarowaną wiejskim masłem (matka z ojcem zdążyli już wyjść do kościoła), popił czarną kawą, a następnie ubrał się w czyste rzeczy i wyszedł z mieszkania. Wstąpił po drodze do Świętej Trójcy. Wierni stopniowo zapełniali ławki przed poranną mszą o ósmej. Gdzieś w jednym z pierwszych rzędów siedzieli Marianna i Józef Gajewscy. „Powinienem siedzieć tam z nimi” — pomyślał

Leon z wyrzutem, ale przecież miał robotę do wykonania. Przyłożył do czoła krążek lodu z kamiennej misy przy wejściu, potem przyklęknął w ostatniej ławce. Kiedyś służył tu jako ministrant i myślał nawet o pójściu do seminarium, ale wojna i liczne związane z nią wypadki zweryfikowały te plany.

Wychodząc z kościoła, zauważył, że w konfesjonale siedzi ksiądz Jacek Zabłocki, tutejszy wikary, trzydziestoletni, zwalisty i obdarzony donośnym głosem. Leon lubił jego kazania, które były krótkie i obfitujące w wymowne przykłady z życia. Wikaremu Zabłockiemu nieobce było także poczucie humoru. Zeszłej zimy, kiedy odwiedził Gajewskich z kolędą, przeprosił ojca, że przyszedł za wcześnie i ten nie zdążył schować się w gołębniku. Ojciec i matka się nie śmiali, ale Leon z wikarym wymienili porozumiewawcze spojrzenia, bo tak się jakoś zwykle składało, że w porze wizyt duszpasterskich ojciec rzadko bywał w domu.

Leona coś tknęło i przyklęknął przy pokrytym grubym pergaminem okienku spowiednika. I nagle usłyszał swój głos, ale pochodzący jakby spoza niego. Głos ten opowiadał bardzo szczegółowo i bardzo płynnie, niemal bez pauz, o życiu Leona Gajewskiego, dwudziestoczworoletniego nowicjusza policji kryminalnej miasta Bydgoszczy. Nie taił przed księdzem niczego, nawet gorących chwil spędzonych z Klarą i płonnych nadziei, jakie z nią wiązał. Ksiądz nie omieszkał zrugać go za zbyt lekkie podejście do cnoty czystości. Ale dodał przy tym, że „tak jak kropla drąży skałę, tak twój upór może przynieść pożądaný skutek, zwłaszcza że — zawiesił głos — skoro już zbałamuciłeś dziewczynę, to za punkt honoru powinieneś postawić sobie doprowadzenie jej przed ołtarz... życie w grzechu tylko z początku wydaje się bowiem atrakcyjne, potem jednak, w miarę zanurzania się w nieczystościach, człowiek traci kontakt z Bogiem, a przez to i szansę na zbawienie i życie wieczne...”.

Leon słuchał spokojnie, choć gdy wikary wspomniał o „zbałamuceniu” Klary, miał ochotę głośno się zaśmiać.

— Bardzo mi przykro z powodu twojego brata. To... niesprawiedliwe, że akurat on... — Głos za okienkiem był cichy, ale Leonowi wydawało się, że zabrzmiał bardzo donośnie i że starsze kobiety modlące się w ławkach na pewno wszystko usłyszały.

— Ma ksiądz rację, tacy jak on powinni przeżyć — przyznał ponuro Gajewski.

— Nie możesz się za to winić...

— Kiedy ja się nie winię — odparł nieszczercze. — Ja tylko miałem więcej szczęścia.

— On już zaznał szczęścia w niebie.

— Mówi to ksiądz tak, jakby wiedział na pewno.

— Ja nie wiem, ja wierzę. A czy ty, Leon, wierzysz?

— To ostatnie, co mi zostało.

Wikary przystąpił do odmawiania formułki kończącej spowiedź, ale Gajewski wciąż nie wstawał z klęczek.

— Coś jeszcze? — zapytał łagodnie duchowny.

Leon opowiedział mu o sprawie, nad którą bezowocnie pracował, o zaszlachtowanej niemieckiej rodzinie na barce „Annelise” i o swoich koszmarach z tym związanych, tajemniczym liście, czarnych maskach i podejrzeniu, graniczącym z pewnością, że ta sprawa ma drugie dno. Nieludzkie dno.

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się kapłan.

— Kiedy byliśmy z chłopakami w knajpie, trafiliśmy na występ kalekiej kobiety, która przepowiadała przyszłość.

— Diabelskie sztuczki...

— Wbiła w nas przeraźliwy wzrok i wypowiedziała dwa słowa. Wielkie zło. Do dziś mam w uszach ten głos.

Po drugiej stronie okienka zapanowała chwila milczenia. W końcu ksiądz rzekł:

— Tylko Pan Bóg zna przyszłość. I tylko On ma moc strącania demonów do piekła. Tam, gdzie ich miejsce.

— A jeśli piekło jest tutaj, proszę księdza?

Ksiądz Zabłocki nic nie powiedział, tylko zrobił znak krzyża. Ale gdy Leon wstał z kolan, chwycił go za rękę i włożył mu w dłoń obrazek przedstawiający Michała Archanioła.

— Noś zawsze przy sobie. Jego pomoc będzie ci potrzebna — powiedział kapłan i wyszedł z konfesjonału, by odprawić mszę. Grube podeszwy jego butów cicho stuknęły po kamiennej posadzce.

Leon odwrócił obrazek i przeczytał: „Święty Michale Archaniele! Wspomagaj nas w walce, a przeciw zasadzkom i niegodziwości złego ducha bądź naszą obroną. Oby go

Bóg pogromić raczył, pokornie o to prosimy, a Ty, Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła. Amen”.

Wsunął obrazek za przegródkę portfela.

— Spóźniłeś się — powiedział na powitanie Eckert, kiedy Gajewski wszedł do jego gabinetu. Stary wyglądał jak po nieprzespanej nocy. Na jego biurku leżał „Dziennik Bydgoski” z wybitym wielkimi literami tytułem na pierwszej stronie:

W BRUDNYCH ODMĘTACH ZEPSUCIA I ZBRODNI

TAJEMNICA MORDU NA BARCE „ANNELISE” NARESZCIE WYJAŚNIONA?

Zaczął czytać:

Policja kryminalna miasta Bydgoszczy złapała być może mordercę śp. rodziny Blochów z barki „Annelise”. Śp. Ernst, jego żona Hildegarde i dzieci tychże: Karl i Eleonore, zamordowani zostali niezliczoną ilością uderzeń ostrym narzędziem w nocy z 20 na 21 stycznia br. Ich okaleczone zwłoki znalazła handlarka z Rybiego Rynku, A. Spustek. — Serce mi złamał ten widok okrutny. Nie zapomnę go do końca moich dni. Trupy zostały ułożone w upiorną płataninę — mówi pani Spustkowa.

Mordercą okazał się znajomy rodziny, 31-letni Niemiec Heinrich Gettka, boj z hotelu Rio na ulicy Fryderykowskiej. Jego zatrzymania dokonali policjanci kryminalni w obławie nad kanałem. Jak mówią świadkowie, użyta była broń ostra. Jednakowoż nikt ranny nie został. W pokoju Gettki w hotelu policja dokonała przeszukania niezwykle gruntownego. Gettka po zatrzymaniu został przewieziony do Komisaryatu Głównego, gdzie go poddali policjanci badaniu. Co się stało dalej — wiemy z naszego źródła, bo władze policyjne odmawiają komentarzy.

Otóż Gettka został umieszczony w izolatce w piwnicy i tam w dziwnych okolicznościach dokonał samookaleczenia, język własny sobie odgryzając. To rzecz jasna sprawiło, że jego przesłuchanie stało się niemożliwe. Więźnia

odstawiono do szpitala, gdzie znajduje się pod stałą strażą policyjną. Co tak przeraziło H. Gettkę, że pozbawił się języka? Może wizja hańbiącej śmierci z ręki kata? Byłoby to jakby przyznanie się do winy. Jedno jest pewne — w brudnych odmętach zepsucia i zbrodni coraz więcej pływa trupów i ciał okaleczonych, bo i nie tylko śp. rodzina Blochów, ale i były radca J. Gamrath oraz wytwórca artykułów zabawkarskich G. Oszućnik życie postradali w kręgu tej ponurej sprawy. Ile jeszcze łez i nieszczęść musi spłynąć, żebyśmy wreszcie mogli powiedzieć, że prawo zwyciężyło nad zbrodnią?

Artykuł podpisany był inicjałami M.W.

— Wilczyński — powiedział komisarz.

— Wilk go nazywają — potwierdził Eckert. — Masz z tym coś wspólnego?

— Nie — odparł Gajewski i opowiedział nadkomisarzowi o swoim spotkaniu z Wilczyńskim i o propozycji tamtego.

— Kazałem mu iść do diabła — zakończył.

— Wygląda na to, że cię posłuchał. — Eckert cisnął gazetę na stertę dokumentów na biurku.

— Jacyna pilnuje tego Gettki w Świeciu. Może ten Wilczyński dowiedział się od niego... Zresztą to teraz nieważne, musimy trzymać się planu, jeśli to w ogóle można nazwać planem... Krawczyk kręci się na Mackensenplatz, kazałem mu wywęszyć, gdzie się odbywają te wieczorki literackie. Później go zmienisz, a na razie...

Eckert spojrzął na zegarek.

— Cholera, zaraz muszę być z Dolatowskim w ratuszu.

Leonowi zrobiło się żal starego. Widział, że nie jest z nim najlepiej. Widział też, że czuje się w tym obcym mieście strasznie samotny.

— Mam iść z panem? — zapytał, mimo że nie miał ochoty świecić oczami przed prezydentem i jego ludźmi.

— Nie. Odwiedzisz urzędy pocztowe z tej listy. To są adresy i numery skrzytek pocztowych. Spisane z maski.

Gajewski spojrzął z niedowierzaniem na Eckerta. Nie doceniał jego zdolności

detektywistycznych.

— Spróbuj się dowiedzieć, kto z tych skrytek korzystał, jak będzie trzeba, przyciśnij, pogróż, ale masz mi nie wracać z niczym. Jasne?

— Jasne, szefie.

Zawahał się przez chwilę i zapytał:

— To prawda, że po szefa telefonie do Warszawy Rzydenko został odwołany?

Eckert spojrzał na niego nieco zbity z tropu tym pytaniem.

— Czy tu nie da się zachować niczego w tajemnicy?

— No, bo mówią, że szef do samego Belwederu dzwonił, do Komendanta.

Eckert nabrał powietrza do płuc, odkaszlnął.

— Powiem ci, bo cię lubię, chociaż nie wiem dlaczego. Ale jak wypaplasz, to wyrwę ci język i pošlę tam, gdzie Gettkę.

— Tylko między nami, szefie — odparł Leon niecierpliwie i podniósł dwa palce, jakby składał przysięgę.

— Między nami, to znam Ziuka od... no, będzie ze dwadzieścia lat. Niejedno razem przeszliśmy. Jak to się mówi, raz na wozie, raz pod wozem... — Eckert zamyślił się, po czym rzekł: — Słyszałeś o akcji pod Bezdunami?

Z miny Gajewskiego wywnioskował, że chłopak nie słyszał.

— Ale o Organizacji Bojowej PPS coś musiałeś słyszeć?

— Co nieco — odparł Gajewski, który nigdy polityką się nie interesował, a jego ojciec nie był raczej wielkim zwolennikiem Piłsudskiego i bliżej mu było do endecji.

— Nie zawsze w życiu ścigałem bandytów. Bywało, że mnie ścigali jak bandytę. Bo napad na pociąg pocztowy z pieniędzmi to przecież bandytyzm, nie? To było we wrześniu tysiąc dziewięćset ósmego. Potrzebowaliśmy pieniędzy na organizację, na pomoc naszym uwięzionym towarzyszom... kolegom znaczy. I na tworzenie wojska. Czasem trzeba postąpić paskudnie, żeby osiągnąć wyższy cel. Rozumiesz, co mam na myśli?

Eckert spojrzał na Gajewskiego.

— Nie musi mi pan tego tłumaczyć — powiedział spokojnie policjant.

— Nie brałem udziału w akcji, nie. Ja tylko... Pomagałem zdobyć materiały wybuchowe. Nie było mnie tam, kiedy chłopcy zdobyli pociąg. Zabezpieczałem dalekie

tyły. Kto inny rzucił bombę na wagon. Ktoś rzucił drugą. Wszystko szło jak po maśle, koledzy zabrali worki z pieniędzmi i ruszyli każdy w swoją stronę. Wtedy zobaczyłem, że jeden z żołnierzy z obstawy pociągu celuje do Ziuka, znaczy do Komendanta. Rzuciłem się w jego stronę i poczułem pieczenie w lewej nodze. Strzeliłem i zobaczyłem, jak tamten pada martwy. Na szczęście kula nie trafiła w tętnicę w mojej nodze, przeszła centymetr obok. Ziuk zabrał mnie do szpitala w Wilnie. Wiedział, że był moim dłużnikiem, ale nie korzystałem z tego. Aż do teraz.

— Rzydenko był tego wart? — zapytał Gajewski.

— Nie, ale bałem się, że jeśli tu zostanie dłużej, to go zwyczajnie zabiję. Zrobiłem to dla jego dobra. — Eckert zaśmiał się przez nos. — No, zmykaj już — powiedział, pakując papiery do skórzanej teczki. Gajewski zasalutował i wyszedł.

Tak, teraz poczuł się znacznie lepiej, chociaż myśli o Klarze nie opuszczały go ani na chwilę. Ale znowu miał czym zająć głowę i ręce. „Chociaż taki pożytek z tej roboty” — pomyślał, wychodząc z budynku przy Wilhelmowskiej. „Zrobię co trzeba, ale najpierw spróbuję ją odnaleźć, porozmawiać... Nie, najpierw praca, potem sprawy prywatne” — przykazał sobie w duchu i śmignął na drugą stronę ulicy.

Gmach Poczty Głównej, mieszczący się między Wilhelmowską a nabrzeżem Frankego, wybudowany w pruskim stylu narodowym, bardziej przypominał zamek Sinobrodego niż urząd. Wyposażony był w liczne wieżyczki, sterczące niczym naostrzona palisada, a zdobieniami można by odzielić niejedną luterańską kirchę w mieście. Prusacy po zwycięskiej wojnie z Francją chcieli pokazać swoją potęgę, także finansową, dlatego nie oszczędzili pieniędzy na budowę bydgoskiego Postamtu. Z chwilą wejścia wojsk polskich gmach dyrekcji poczty przeszedł w polskie ręce, łącznie z całym wyposażeniem budynków oraz ambulansami pocztowymi.

W środku widać było, że mimo niedzieli reorganizacja trwa w najlepsze. W okienkach nie pracowali dziś urzędnicy pocztowi, jednak na korytarzach sporo było wojskowych i ludzi w cywilu, którzy przynosili jakieś paczki i kartony wypełnione dokumentami.

— Jestem z policji. Chcę rozmawiać z waszym przełożonym — powiedział Leon do pierwszej z brzegu kobiety, pokazując jej legitymację. Urzędniczka nie wyglądała

nawet na zdziwioną, widocznie w okresie przejściowym Poczta Główną odwiedzali różni osobnicy. Kobieta połączyła się z kimś telefonicznie i dosłownie po minucie przy Gajewskim zjawił się wysoki, postawny mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze. Gdyby nie aksamitne nałokietniki, można by pomyśleć że jest, nie przymierzając, adwokatem albo rachmistrzem.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał jegomość, a Gajewski przedstawił się, ponownie okazując legitymację i listę numerów skrytek.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się, kto korzystał z tych skrytek — powiedział. W odpowiedzi usłyszał:

— Takich rzeczy zwykle nie udostępniamy, chyba że na pisemny wniosek...

Popatrzył z niechęcią na urzędnika.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Wielokrotnego morderstwa. Proszę nie komplikować, panie...

— Żelski.

— Panie Żelski. Nie chce pan, byśmy uznali, że utrudnia pan śledztwo?

— Ależ ja tylko...

— Pan jest tu od niedawna, prawda?

— Tak, od paru dni zaledwie...

— Szkoda by było kończyć tak dobrze zaczęta karierę...

Urzędnik westchnął głośno i machnął ręką.

— Proszę za mną — powiedział i ruszyli na piętro, do gabinetu dyrektora poczty.

Jego ściany były wyłożone ciemną boazerią, a za biurkiem wisiało nowiutkie godło Rzeczypospolitej. Pod nim widać było ślady po portrecie kajzera i czarnej cesarskiej gapie.

Żelski chwycił kartkę z numerami i podszedł do regału wypełnionego teczkami.

— Jaki okres pana interesuje? — zapytał urzędnik.

Gajewski zastanowił się przez chwilę.

— Powiedzmy ostatni rok — odparł pełen obawy, że czeka go przekopywanie się przez masę papierzyśk pokrytych trudno czytelnym niemieckim pismem.

— Ma pan szczęście, Niemcy wszystko skrupulatnie archiwizowali. — Żelski położył przed nim teczkę.

— To wnioski o udostępnienie skrytek pocztowych w Bydgoszczy za miniony rok. Wraz z adnotacjami, jak zostały rozpatrzone i które numery przyznano na jaki okres. Nie będzie panu przeszkadzać, że zajmę się swoimi sprawami?

Ton był uprzejmy, ale i lekko złośliwy, a może Gajewskiemu tylko tak się wydawało.

— A czy panu nie będzie przeszkadzało, jeśli zapalę? — zapytał Leon, któremu lepiej myślało się w oparach nikotyny i substancji smolistych.

— Tutaj się nie pali. — Tym razem urzędnik był nieprzejednany.

Gajewski niechętnie schował wyciągnięte już papierosy i zapalniczkę. Zamiast nich wyjął notes i ołówek. Zaczął przeglądać zawartość teczki.

Początkowo jego twarz nie wyrażała niczego poza skupieniem, na przemian ze znużeniem. Kilka razy nawet ziewnął, zasłaniając usta w ostatniej chwili przed wymownym spojrzeniem Żelskiego, który niby zajęty swoją papierkową robotą, dyskretnie obserwował intruza. Parokrotnie spojrzął na Gajewskiego, jakby chciał zapytać: „no i jak tam pańskie śledztwo?”, ale nie odzywał się.

Po upływie około czterdziestu minut, co Żelski sprawdził na swojej cebuli, twarz Gajewskiego zmieniła się zupełnie. Nabrała rumieńców, a oczy zaczęły błyszczeć. Policjant kilkakrotnie porównywał dane z kartki od Eckerta z informacjami z teczki. Jakby nie dowierzał w to, co odkrył. Ale wszystko się zgadzało. Tylko jedno nazwisko łączyło wszystkie numery skrytek pocztowych. Nazwisko Karla Blocha. Była jeszcze jedna prawidłowość. Zmieniał numery skrytek co miesiąc.

— Po co te ceregiele? — zapytał na głos zamyślony Gajewski.

— Słucham? — Żelski podniósł wzrok znad swoich papierów.

— Muszę sprawdzić tę skrytkę. — Wywiadowca napisał w notesie numer i podał urzędnikowi wyrwaną kartkę. Żelski nie spojrzął na nią, tylko na Gajewskiego. Było to spojrzenie pełne irytacji.

— Wiem, pisemny wniosek. Obiecuję, że będzie pan go miał i nawet dyplom od komendanta policji w ramce, jeśli tylko pozwoli mi pan tam zajrzeć — mówił Leon gorączkowo, jak chłopiec, który właśnie odkrył, że martwa żaba dotknięta szpilką porusza się.

Żelski znowu głęboko westchnął i dopiero teraz rzucił okiem na kartkę.

— Czy życzy pan sobie coś jeszcze? Wie pan, mam ogrom roboty, a nie chciałbym tracić czasu na pańskie...

Żelski przerwał, widząc, że Gajewski pochyła się ku niemu nad stołem, niemal się nad nim kładąc.

— Ma pan dzieci? — zapytał.

— Tak.

— A ja nie, ale widziałem zamordowane dzieci razem z ich zamordowanymi rodzicami. Jedno z tych dzieci, nastoletnich i dojrzałe wyglądających dzieci, wynajęło tę skrytkę.

— Jest na dole. Zaprowadzę pana. — Żelski sprawiał wrażenie przejętego.

W części parteru zastawionej szafami ze skrytkami Żelski otworzył metalowe drzwiczki jednej z nich i odsunął się od ciemnego otworu, oddając go do dyspozycji komisarza. Gajewski sięgnął do wnętrza, jakby wkładał rękę do Ust Prawdy.

Namacał jakiś kształt, chwycił go i wyciągnął na światło dzienne. Była to szara koperta zaadresowana na nazwisko Karla Blocha. Nie było nazwiska nadawcy.

— Nie zdążył jej odebrać — powiedział Gajewski, bardziej do siebie niż towarzyszącego mu urzędnika.

Otworzył kopertę; w środku nie było nic poza zwykłą kartką wyrwaną z zeszytu, w którą zawinięte były dwa banknoty z wizerunkiem Benjamina Franklina. Leon zagwizdał ze zdumienia.

— Dwieście dolarów! Nadawca musiał mieć spore zaufanie do poczty — zauważył.

— Zaufanie klienta jest dla nas najważniejsze — odpowiedział Żelski wyuczoną formułką, choć zaraz dodał z uznaniem: — To jest prawdziwy pieniądz, nie to co nasze papierki...

— To prawda. Ale kto by ryzykował przesyłanie takich sum?

Leon przyjrzał się dokładnie kopercie. Nadano ją zwykłą przesyłką. Na pieczęcie widniał napis „Ossielske”, zniemczona wersja Osielska, miejscowości położonej jakieś dziesięć kilometrów od Bydgoszczy w kierunku na Królewiec.

— Co dzieje się z przesyłkami niepobranymi w porę ze skrytek? — zapytał Gajewski.

— Są odsyłane nadawcy z odpowiednią adnotacją.

— A jeśli nadawca nie podał adresu?

— Przechowujemy je przez jakiś czas, a potem wystawiamy na licytację.

— Proszę mnie więc zaprowadzić do miejsca, gdzie te przedmioty przechowujecie.

Leon chciał mieć pewność, że nie przeoczył niczego. W magazynie przesyłek nieodebranych Żelski wygrzebał (ta niemiecka przezorność!) jeszcze jedną, bliźniaczo podobną przesyłkę. Nadana w lipcu 1919 roku w Fordonie. W środku była identyczna, dość sztywna kartka wyrwana z bloku („rysunkowego” — pomyślał Leon), ale tym razem zamiast pieniędzy było w niej zdjęcie przedstawiające nagiego chłopca w pozie Apollina („To ty, Karl?” — zapytał w duchu Gajewski, bo choć fotografia była niewielka i dość lichej jakości, to wyraźnie widoczna była trójkątna pieczętka ze znakiem zapytania). Na wewnętrznej stronie złożonej na czworo kartki ktoś wystukał na maszynie:

TY BEZWSTYDNA, NIEMIECKA ŚWINIO,
NIE WIESZ, Z KIM ZACZAŁEŚ...

Napis wykonano w języku niemieckim, ale niemieckie znaki diakrytyczne naniesiono ręcznie, ołówkiem kopiowym.

— Bardzo pan mi pomógł, panie naczelniku — powiedział Leon do zniecierpliwionego już nieco Żelskiego.

— Na pewno zamierza pan to zabrać. Będę potrzebował pokwitowanie. No i...

— No i pisemny wniosek o udostępnienie pańskiego sezamu! — zażartował policjant, spotykając się z gromiącym spojrzeniem urzędnika.

„Nie chciał, żeby go rozpoznano, dlatego nadawał przesyłki poza Bydgoszczą” — myślał Gajewski, idąc w kierunku Mackensenplatz. „Ty bezwstydna, niemiecka świnio... Młody Bloch musiał czymś go bardzo zdenerwować. Czymś wstydliwym, co za wszelką cenę musiało pozostać w ukryciu... Za cenę dwustu dolarów miesięcznie? Jeszcze w lipcu się bronił, ale szczeniak musiał go czymś »przekonać«, że lepiej będzie, jeśli zapłaci za jego milczenie. »Nie wiesz, z kim zacząłeś...« Tak może napisać ktoś w akcie dużej desperacji, wręcz rozpacz, albo ktoś naprawdę przekonany o własnej pozycji. Czyż śmierć rodziny Blochów tego przekonania nie potwierdziła?

No i dwieście dolarów miesięcznie, kogo byłoby stać na wypłacanie takiej kwoty?”

„Kim jesteś?” — zastanawiał się dalej wywiadowca, zdając sobie sprawę, że szerokim łukiem omijał park, w którym sterczała w niebo biblijna kompozycja nieboszczyka Lepckego, mimo że było to po drodze, a jeszcze nie tak dawno lubił tamtędy flanerować. „Niemiecka świnió. Tak nie napisałby prawdziwy Niemiec, no i ta tylko udająca niemiecką czcionka” — pomyślał Leon.

Mackensenplatz był czymś w rodzaju kolonii domów jednorodzinnych, które wyrosły jeszcze przed wojną wokół skweru, wysadzanego ozdobnymi drzewkami i żywopłotem. Wojna przerwała rozbudowę osiedla i do jej wybuchu pobudowano tu zaledwie pięć willi. Było stąd widać wysokie drzewa osłaniające cmentarz ewangelicki po drugiej stronie praktycznie niezabudowanej ulicy, będącej przedłużeniem Fröhnerstrasse w kierunku wschodnich przedmieść. Po przeciwnej stronie, w niewielkiej odległości, znajdował się kompleks zabudowań dawnego kajzerowskiego Instytutu Rolniczego, w którym jeszcze do niedawna ludzie w białych kitlach pracowali nad nowymi odmianami roślin mających wykarmić rosnącą populację cesarstwa. Średnia szkoła dla chłopców, zwana obywatelską, oraz podobny do niej gmach Średniej Szkoły Realnej im. Paula Hindenburga czerwonymi dachówkami wyraźnie odcinały się na tle nieba po stronie wschodniej.

Panował tu spokój charakterystyczny dla peryferii. Odgłosy miasta, jeśli w ogóle docierały, to stłumione przez odległość. Wiało za to zdrowo, niebo znowu zaciągnęło się ciężkimi chmurami zwiastującymi śnieg.

— Ładnie tu, cholera — mruknął do siebie Leon Gajewski, po czym, jak to miał ostatnio w zwyczaju, z przeciągłym syknięciem wciągnął do ust lodowate powietrze, żeby zneutralizować nieustanne ćmienie zęba.

Nagle poczuł silne uderzenie w plecy. Krawczyk szczyrzył do niego swoje poźółkłe, choć pewnie zdrowe jak cały on, zębiska.

— Zimno jak skurwensyn! — powiedział na powitanie i wyciągnął w kierunku Gajewskiego wyjętą z kieszeni płaszcz metalową piersiówkę.

— Napijesz się?

Leon zawahał się, ale pokręcił przecząco głową. Krawczyk wychylił łyk

z piersiówki, wydając po tym głośne „aaa”. Leon wyobraził sobie gorący płyn, który rozlewa się po jego wnętrzu i czyni go lekkim, zdystansowanym, krótko mówiąc — odpornym na ciśnienie otaczającego świata.

— Kręcę się tu już nie wiem jak długo, ale nic się nie dzieje. Ktoś wyjdzie z pieskiem na spacer, ktoś wyjedzie automobilem z garażu, ktoś okiennicę otworzy. Nuda, panie. Nie wiem, po co nas tu stary posyłał — powiedział Krawczyk.

— Nie pij więcej, bo za dużo od tego gadasz — zgasił go Leon. Krawczyk udał obrażonego.

Znajdowali się w pewnej odległości od willi przy Mackensenplatz, nieco zakryci przez szpaler niewysokich drzew oddzielających plac od terenu pobliskiej szkoły.

— Ciekawe, kogo stać na takie fikuśne pałace — odezwał się Krawczyk po chwili.

— Na pewno nie ciebie i mnie, Krawczyk — odparł Leon.

Budowle robiły wrażenie, były starannie wykończone, miały liczne zdobienia, a niektóre przypominały rzeczywiście klasycystyczne pałacyki. Do każdej z willi przylegał okazały ogród.

— Ty, Leon, powiedz mi, jak to tera będzie, co? — zapytał po chwili Krawczyk.

— Z czym?

— No, ze wszystkim.

„Nie wiem nawet, co będzie ze mną, a co dopiero ze wszystkim” — pomyślał Gajewski.

— Jak to jak? Dobrze będzie, Krawczyk. Musi być dobrze, bo gorzej już było — powiedział, siląc się na żartobliwy ton.

— Niby tak, ale moja mówi, że Ruskie i Niemcy się dogadają i znowu nas rozdziobią. Moja ciągle ino gazety czyta i radia słucha. Mówię, że w ciąży nie może się tyle denerwować, ale ona swoje. Myślisz, że znowu nas te czarne kruki rozdziobią, Leon?

W głosie Krawczyka było autentyczne zmartwienie.

— Byłoby szkoda — odparł Gajewski.

— No.

— Ale nie rozdziobią.

Krawczyk spojrział na niego z ulgą, jakby ta odpowiedź rozwiewała czarne chmury

krążące nad młodą Rzeczpospolitą.

— Leon... a jak ta twoja, no wiesz...? — zapytał niepewnie wywiadowca.

Leon machnął ręką w geście rezygnacji.

— Głupio wyszło, to fakt, ale na moje, to musisz jej teraz pokazać, że ci naprawdę zależy.

— Świetna rada, Krawczyk. Ino że już za późno.

— Za późno to będzie na cmentarzu.

Krawczyk pociągnął nosem. Przeszepowali z nogi na nogę, żeby trochę się rozgrzać.

— Masz jeszcze coś w tym baku? — zapytał Leon, a Krawczyk bez słowa podał mu piersiówkę. Była miła w dotyku, a alkohol zaskakująco dobrze smakował.

— Jak niby mam to jej pokazać, co? — Gajewski spojrzał z lekkim rozbawieniem na kumpla. — Nie stać mnie na żadną z rzeczy, które robią na niej wrażenie.

— Przepraszam, Leon, ale ty jednak głupi jesteś — odparł wywiadowca. — Nie poleciała przecież na ciebie, bo jesteś nadziany.

— No nie...

— Więc inaczej musisz zakombinować.

— Ale jak?

— NNPJZ.

— Co?

— Nigdy nie przestawaj jej zdobywać. Kobiecie trzeba pokazać, że ci na niej zależy. Wtedy będzie jadła ci z ręki.

— Tak jak twoja?

Krawczyk spojrzał krzywo.

— No bo ty jeszcze nie wiesz, że własną żonę zdobyć najtrudniej.

Rozmowę przerwało im pojawienie się samochodu, który nadjechał od strony Instytutu Rolniczego i zatrzymał się przed jedną z willi. Z auta koloru kości słoniowej wysiadła para, młoda kobieta i znacznie od niej starszy mężczyzna. Oboje bardzo elegancko ubrani, co można było stwierdzić nawet z tej odległości. Oboje też mieli na twarzach czarne karnawałowe maski. Otworzyli furtkę i zniknęli za zielonymi tujami, które gęsto porastały plac przed frontem budynku. Samochód tymczasem odjechał. Minął Gajewskiego i Krawczyka i skierował się w stronę Gdańskiej. Zauważyli, że za

kierownicą siedział szofer w ciemnogrnatowym uniformie i czapce.

O mały włos przeoczyliby pojawienie się kolejnego gościa. Tym razem był to samotny mężczyzna, bardzo tęgi, który idąc, podpierał się laską. Przyszedł na piechotę. Zanim zniknął wewnątrz willi, poprawił na twarzy swoją maskę.

— O, coś się zaczyna dziać — powiedział Krawczyk i jakby na zawołanie, przed obserwowanym domem zatrzymał się kolejny samochód. Tym razem był to niewielkich rozmiarów pojazd, z którego wysiadła leciwa matrona podtrzymywana przez dwóch młodzieńców, którzy mogli być jej wnukami, jeśli nie prawnukami. Ich twarze także były zamaskowane.

— Rozdzielmy się — polecił Krawczykowi, który spacerowym krokiem przeszedł na przeciwległą stronę placu, skąd miał również doskonały widok na willę.

W ciągu kolejnego kwadransa do budynku weszło jeszcze siedem osób, kobiet i mężczyzn w różnym wieku. Niektórzy podjeżdżali samochodami, które natychmiast odjeżdżały, inni ściągali na piechotę. Gajewski zauważył, że większość z tych osób zachowywała się nad wyraz ostrożnie. Zanim weszli do willi, dyskretnie rozglądali się wkoło.

Po chwili okolica znowu opustoszała. Krawczyk zbliżył się do Gajewskiego.

— Co teraz? — zapytał.

— Idę tam. — Gajewski spojrzał na willę, gdzie w oknach na parterze zapaliło się światło.

— I co, powiesz, że chcesz się podciągnąć z książek tego... jak mu tam?

— Przybyszewskiego.

— Właśnie. Ale coś mi tu śmierdzi, Leon. Nie powinieneś tam chodzić sam.

— Dobra — zgodził się Gajewski. — Idź do szkoły i zadzwoń po Eckerta, niech zbierze ludzi i szybko przyjeżdża. Ja też czuję smród.

Krawczyk pobiegł w kierunku szkoły obywatelskiej, skąd miał nadzieję dodzwonić się do Eckerta. Leon tymczasem podszedł do willi. Na betonowym słupie przy furtce znajdował się dzwonek z tabliczką, na której było napisane: dr Piotr Domański. Nikt z gości z dzwonka nie korzystał, co znaczyło, że byli dobrze znani gospodarzowi. I przez niego oczekiwani.

Leon ostrożnie pchnął metalową furtkę i wszedł na posesję. Usłyszał przemieszane

głosy i lekką muzykę z gramofonu. W środku bawiono się w najlepsze.

— Cholera, mówiłem, żeby nie robił nic na własną rękę! — zaklął do słuchawki wściekły Eckert, kiedy Krawczyk zakomunikował mu, że jego zdaniem Gajewski ma zamiar wkroczyć do willi, gdzie miał odbywać się wieczorek literacki, bal maskowy albo czort wie co.

— Nie róbcie nic, dopóki nie przyjedziemy — dodał Eckert i z trzaskiem odłożył słuchawkę. „Dziki, cholera, nawet na chwilę nie można go zostawić samego” — myślał, sprawdzając, czy w broni ma pełny magazynek.

— Jacyna! — ryknął przez otwarte drzwi na korytarz i po chwili pojawił się wywiadowca, który niedawno wrócił ze Świecia, gdzie przy Gettce złuzował go miejscowy policjant. Zdaniem Jacyny, z Gettki już nic nie będzie. Biedak podobno robił pod siebie i co gorsza — jadł własne ekskrementy.

— Gdybym tego nie widział, tobym panu nie mówił — zapewniał Jacyna. Wywiadowca stwierdził też, że Heinrich ma w oczach taki strach, jakby cały czas widział przed sobą potwora.

Eckert nie wierzył w to, że Gettka jest sprawcą, choć nie wykluczał, że mógł mieć coś wspólnego z mordem na „Annelise”. Nie to jednak było teraz najważniejsze. Przeczucie mówiło staremu, że Gajewski może wplątać się w niezłe tarapaty.

— Jedziemy na Mackensenplatz — rzucił do Jacyny.

— Gdzie? — zdziwił się tamten.

— Nieważne, pokażę drogę. Cholera, potrzebujemy więcej ludzi. Mamy tu jeszcze kogoś?

— Tylko ten chłopak na posyłki. Mówi, że chce być policjantem.

— Dobra, dawaj go tu. Będzie nas ubezpieczał. I niech dyżurny ściągnie, kogo się da, na ten Ma ckensenplatz. Nawet z domów. Będziemy potrzebować posiłków — postanowił Eckert.

Jego zdenerwowanie wynikało nie tylko z niesubordynacji Gajewskiego, ale przede wszystkim ze spotkania w ratuszu. Choć skończyło się przed paroma godzinami, Eckert wciąż miał po nim podwyższone ciśnienie. Prezydent Iwaszko dał mu jasno do zrozumienia, że jeśli szybko, to znaczy do końca miesiąca, nie wyjaśni sprawy, nie ma czego szukać w Bydgoszczy. Dolatowski, niby przyjaciel, a podwinął ogon i nie zrobił

nic, by poprawić sytuację Eckerta. Nie miał do niego o to pretensji, Dolatowskiemu niewiele zostało do emerytury, chciał do niej dotrzeć w miarę spokojnie. A jednak Eckert czuł spore rozczarowanie postawą komendanta. Nadkomisarz co prawda próbował klarować magistrackim urzędnikom, że robi wszystko, żeby złapać mordercę, ale sprawa jest wielowątkowa i trudno o szybkie wyniki.

— Jeśli tak, panie Eckert — cedził słowa Iwaszko. — Może błędem było pozbywanie się Rzydenki? Nie wnikam w wasze prywatne sprawy, ale z drugiej strony nie życzę sobie, żeby one rzutowały na sprawy zawodowe. Czy wyrażam się jasno?

Prezydent wbił w nadkomisarza wzrok, jakby chciał przewiercić go na wylot.

Eckert odparł, że decyzję o odwołaniu Rzydenki podjął nie on, ale najwyższe władze.

— Po pańskiej interwencji — zauważył Iwaszko.

Czuł, że jego pozycja nie była jeszcze nigdy tak słaba jak teraz. Wiedział też, że wyczerpał już swój kredyt zaufania w Warszawie, a nawet gdyby był on jeszcze aktualny, nie zamierzał więcej z niego korzystać. Miał gotową formułkę, którą zamierzał wygłosić pod koniec odprawy w ratuszu. Chciał wyrazić wdzięczność za wsparcie ze strony władz cywilnych, jak i za obywatelską mądrość ze strony prasy, przynajmniej jej większej części. Zamierzał też zapewnić, że ręczy honorem za to, że zbrodnia z „Annelise” zostanie wyjaśniona do końca, bez najmniejszych niedomówień.

Ale zamiast tego popatrzył w okno, za którym rysowała się jasnym kolorem jedna ze smukłych wież kościoła pojezuickiego. Gołębie przysiadły na niej, żeby po chwili zerwać się do krótkiego lotu. Sygnaturka na wieży wybiła dziesiątą — spotkanie przeciągnęło się już do dwóch godzin.

— Panowie, jestem przekonany, że to nie Gamrath, Oszuścik i nie Gettka są sprawcami mordu, chociaż nie da się wykluczyć, że mogli mieć jakąś wiedzę na ten temat. Nadal szukamy mordercy. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za śledztwo.

Wstał, spojrzął w twarze wszystkich obecnych. Nikt go nie zatrzymywał, gdy wychodził.

Teraz jechał automobilem prowadzonym (całkiem sprawnie, musiał przyznać) przez „bosego Antka” spod Łowicza, tego... nawet nie znał jego nazwiska.

— Przypomnij, jak się nazywasz? — poprosił Eckert.

— Banaś, panie nadkomisarzu. Szczepan Banaś — odparł tamten.

— Podobno chcesz zostać policjantem?

— Tak jest, panie nadkomisarzu. — Szczepan Banaś uśmiechnął się, ukazując dwa równiutkie rzędy białych zębów.

— To słuchaj mnie, Banaś — powiedział z naciskiem Eckert. — Jak chcesz dożyć chwili, w której zostaniesz policjantem, musisz robić dwie rzeczy: słuchać mnie i wykonywać moje polecenia.

— Tak jest!

Jacyna na tylnym siedzeniu uśmiechnął się z przekąsem.

— Będziesz siedział w samochodzie i na nas czekał. Nie rób nic, dopóki ci nie powiem albo nie pokażę, zrozumiano? — Eckert patrzył uważnie na kierowcę.

— Siedzieć i czekać, nie robić nic bez pana zgody — podsumował Szczepan.

— Właśnie. A teraz to. — Eckert wyjął z kieszeni płaszcza pistolet, który wziął z komisariatu dla chłopaka.

— Używałaś już kiedyś czegoś takiego? — zapytał.

— Jasne — skłamał Szczepan Banaś.

— Jasne — powtórzył jak echo Eckert i posłał Jacynie porozumiewawcze spojrzenie.

— Odbezpieczasz, o tak, i pociągasz za spust, o tak. — Komisarz pokazał „na sucho”, jak obchodzić się z pistoletem. — Ale tylko, kiedy będzie grozić ci niebezpieczeństwo. Włóż sobie za pasek.

— Tylko tak, żeby sobie jajec nie odstrzelić! — Jacyna zaniósł się rechetem.

Szczepan Banaś, nie spuszczając wzroku z ulicy, którą jechał, umieścił pistolet za paskiem. Pomyślał, że gdyby matula z ojcem go teraz zobaczyli, nie uwierzyliby własnym oczom.

Drzwi były otwarte, a kiedy wywiadowca kryminalny Leon Gajewski przekroczył próg willi i wszedł do niezbyt obszernego korytarza, miał wrażenie, że nikt nie zauważył jego przybycia. W urządzonym w stylu kolonialnym salonie, usytuowanym na lewo od korytarza, panowało ożywienie właściwe tej fazie przyjęcia, kiedy formułki

towarzyskie goście mają już za sobą, a alkohol pozbawia ich kolejnych, choć jeszcze nie ostatnich, hamulców. Na pierwszy rzut oka znajdowało się tu około piętnastu osób w karnawałowych maskach, kobiet i mężczyzn mniej więcej w równych proporcjach, ale w bardzo zróżnicowanym wieku. Przy czym panowie na ogół znacznie górowali wiekiem nad paniami. Niekiedy do tego stopnia, że miało się wrażenie, iż to jacyś wujkowie, a wręcz dziadkowie konwersujący wesoło z wnuczkami. Nie zgadzały się tylko pozy — panie na ogół siedziały panom na kolanach, a ręce panów wędrowały tam, gdzie z pewnością nie powędrowałyby ręce wujków czy dziadków. Chyba że byłiby to krewni z bardzo sprośnym usposobieniem. Na stoliku pod ścianą stała cała bateria butelek, z których dolewano sobie do woli.

— Pan do kogo? — Gajewski odwrócił się jak oparzony, słysząc za sobą nieznanomy męski głos.

Zamarł z wrażenia. Zobaczył ogromnego mężczyznę z kwadratową szczęką, pociemniałą od mocnego zarostu i z ciemnymi, wąskimi szparami oczu. Lustrowały go czujnie. Mężczyzna był ubrany jak lokaj. Trzymał w ręku tacę z zakąskami. I nagle Gajewski doznał olśnienia — był to „Wyrwidąb”, którego spotkał w melinie na Krumme Gasse. I który na pewien czas pozbawił go świadomości.

Zanim zdążył wydukać odpowiedź, w korytarzu zjawił się szczupły i żyłasty mężczyzna, około czterdziestoletni, o trójkątnie zarysowanej szczęce i jakby dla kontrastu, łagodnym spojrzeniu. Jego maska była wykonana z czarnego jak smoła materiału, który podkreślał błękit oczu.

— Karolu, zanieś tacę do salonu — powiedział mężczyzna, a Wyrwidąb skinął głową i nie spuszczać wzroku z Leona, udał się do gości. Po chwili wrócił i zniknął za niedomkniętymi drzwiami kuchni.

Mężczyzna, który stał przed Gajewskim, miał na sobie taliowaną brązową marynarkę, pod którą lśniła biała koszula z jedwabnym, blad różowym krawatem i brylantową szpilą, spodnie z wąskimi nogawkami i szpiczaste lakierki. Leon był pod takim wrażeniem eleganta, że zajęło mu chwilę znalezienie właściwych słów.

— Zdaje się, że pomyliłem adresy... Towarzystwo Literackie „Requiem Aeternam” to tutaj?

Mężczyzna zmrużył oczy, przypatrując się Gajewskiemu.

— Nazwa dość pretensjonalna, nieprawdaż?

Gajewski był zbity z tropu.

— Ale jednocześnie zabawna — dodał elegancki mężczyzna i uśmiechnął się. Leon zauważył, że nosi złotą protezę zęba.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do środka weszli będący w doskonałym humorze młoda kobieta i mężczyzna. Przesłali się śmiać, widząc obcego.

— *Salve*, bracie — powiedział mężczyzna, zwracając się do eleganta ze złotym zębem.

— Bracie, *salve* — odparł tamten i ucałował dłoń kobiety, okrytą długą, czarną rękawiczką z jedwabiu. Gajewski zauważył, że w drugiej dłoni kobieta trzymała długą lufkę z papierosem.

— Witaj, serdenko — powiedziała do „złotego zęba” i sama ukazała swoje, doskonale utrzymane uzębienie.

— Witaj, królowo, *salve regina*, nic się nie kończy, wszystko zaczyna — odparł mężczyzna, długo nie puszczając szczupłej dłoni młodej damy.

Stopień poufałości pomiędzy przybyłymi a gospodarzem był duży. Partner zdjął z ramion kobiety futro z szynszyli, a ona przechodząc, otarła się, niby przypadkiem, o eleganta. Wymienili między sobą spojrzenia — nie było w nich już żadnej galanterii, wyłącznie lubieżność.

Teraz dopiero gospodarz zamknął drzwi wejściowe na dwa zamki i dodatkowo na klucz. Po plecach komisarza przebiegł krótki dreszcz. Zrozumiał, że drzwi były otwarte, bo gospodarz czekał jeszcze na parę spóźnialskich.

— A kim jest ten pan? I dlaczego nie ma maseczki? — zapytała młoda kobieta, taksując Gajewskiego od stóp do głów i z powrotem. Leon stwierdził z pewnym zdumieniem, że sprawiło mu to satysfakcję.

— Pan szuka Towarzystwa Literackiego „Requiem Aeternam” — pospieszył z odpowiedzią gospodarz.

— Więc go nie znasz? — zwrócił się partner kobiety do „złotego zęba”.

— Nie, ale mam nadzieję, że poznam. Że wszyscy go dziś poznamy. — Elegant znowu pokazał swoją efektowną protezę.

— Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem doktor Piotr Domański, specjalista

chirurg. A to moi przyjaciele: hrabia Zygmunt Bogusławski i jego...

— Wystarczy panna Izabela. — Kobieta zsunęła wyuczonym ruchem rękawiczkę z dłoni i wyciągnęła ją w stronę Gajewskiego. Poczuł, że jest ciepła i miękka, przyjemna w dotyku. Schylił się i pocałował; pachniała jakoś korzennie, odurzająco.

— Leon Gajewski jestem. Państwo wybaczą tak nagłe najście, ale usłyszałem o państwa wieczorach, a że uwielbiam twórczość pana Przybyszewskiego jeszcze z czasów szkolnych, postanowiłem ośmielić się i...

— Łgarstwo — przerwał mu zimno Domański, choć od razu się uśmiechnął. — Ale całkiem urocze. — Chirurg zwrócił się do świeżo przybyłych: — Mój dom jest waszym domem, kochani, więc czujcie się jak u siebie...

Para weszła do salonu, mieszając się momentalnie z tłumkiem, spowitym delikatną mgiełką dymu. Dało się wyczuć nie tylko woń tytoniu, lecz także znane już Gajewskiemu opary opium.

Domański bez ceregieli przystąpił do dokładnego przeszukiwania policjanta.

— Proszę wybaczyć, ale to konieczne. Dbam o bezpieczeństwo moich gości — wyjaśnił spokojnie.

Znalazł pistolet i bez słowa schował go do kieszeni marynarki. Spojrzał tylko na Gajewskiego z czymś w rodzaju ojcowskiego wyrzutu. W końcu natrafił na policyjną legitymację. Oddał ją Leonowi.

— To nie będzie mi potrzebne. Panu zresztą też. Proszę iść przodem, tędy — powiedział Domański i otworzył niewielkie, ukryte za ubraniami drzwi do piwnicy.

Gospodarz włączył światło i Gajewski ujrzał przed sobą długie, strome schody. Na bielonych ścianach zauważył rozmazane, brunatne plamy. „Krew” — pomyślał odruchowo. Chirurg odezwał się:

— Wiedziałem, że prędzej czy później tu traficie, ale nie spodziewałem się, że zrobicie to w tak nieprzemyślany sposób. A może się mylę, może jest pan tylko wabikiem, a pańscy koledzy szykują coś specjalnego? Proszę dać mi jakiś powód, bym nie sądził, że jesteście bandą partaczy.

— Dokąd idziemy, doktorze Domański? — zapytał Gajewski głośno, ale dźwięk zabrzmiał głucho jak w grobie.

— Ku przeznaczeniu, policjancie Gajewski.

Zeszli ze schodów i Domański włączył zwisającą z sufitu lampę z blaszanym kloszem. Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu o kształcie zbliżonym do kwadratu. „Urządzone jak burdel” — ocenił Gajewski. Ustawiono tu kilka sof i foteli, był też barek z alkoholami, a na środku stało coś, co przypominało stół operacyjny, w czterech miejscach wyposażony w skórzane paski z zapięciami, a także w złobienia odprowadzające... „Krew, nie udawaj, że nie wiesz. Te rowki służą do odprowadzania krwi, tak samo jak te paski do wiązania ofiar” — myślał gorączkowo policjant.

Przy stole stała ogromna lampa operacyjna. Obok niej metalowy stolik z narzędziami chirurgicznymi i sporym zapasem sączków. Nieco dalej wisiał łańcuch zakończony grubymi kajdanami. Przerzucono go przez obręcz wbitą w sufit, a jego drugi koniec był nawinięty na stalowy kołowrotek, wyposażony w blokadę nawijania i przymocowany śrubami do podłogi.

Domański włączył lampę i snop światła oślepił wywiadowcę. Gdy przyzwyczaił się do jasności, zobaczył, że na suficie namalowana jest, dość niezdarnie, imitacja fragmentu fresku Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, przedstawiająca stworzenie Adama.

— Prawda, że robi wrażenie? — zawołał chirurg.

— Kiepska podróba. — Gajewski starał się, by zabrzmiało to jak najbardziej pogardliwie.

Domański cmoknął.

— Cóż, w tym mieście trudno o artystów z prawdziwego zdarzenia. Ale zapewniam, że to, co dla pana szykuję, będzie absolutną światową prapremierą. Niech się pan rozluźni i podda biegowi zdarzeń, na który i tak nie ma pan wpływu...

Domański stanął twarzą w twarz z Gajewskim.

— Tak, to ja...

Oczy chirurga były doskonale puste.

— Karl musiał zginać, bo zrobił się za bardzo pazerny. Lubię gry, więc początkowo mnie to bawiło, tak samo jak... jego młode, szczupłe ciało. Mógł służyć za model anatomiczny, nie miał grama tłuszczu, tylko mięśnie, ścięgna, żyły i krew. Tak, całe mnóstwo krwi.

Krwistoczerwona kotara przykuwała wzrok Gajewskiego.

— Korci pana, żeby zobaczyć, co jest za nią. Dowie się pan już wkrótce — powiedział łagodnie Domański. — A wracając do Karla. Cóż, nie mogłem pozwolić, żeby ten szczeniak mną pomiatał. Do pewnego momentu było to nawet... podniecające, potem jednak stało się męczące i grubiańskie. Próbowałem go powstrzymać, prośbą i groźbą, ale nic nie działało. Zwyciężyła w nim natura pazernego pruskiego chłopca.

— Pozbył się pan Karla. Ale dlaczego pozostali? — Głos Gajewskiego był chrapliwy ze zdenerwowania.

Domański schwycił go obiema dłońmi za ubranie.

— Wszyscy byli zbrukani! Dla nikogo nie mogłem zrobić wyjątku, to byłoby niesprawiedliwe. Ta śliczna mała i jej brat od dziecka wykazywali brudne skłonności. O tak, przez kilka ładnych lat byli naszymi maskotkami. Naszymi ulubionymi szataniątkami. Stary Ernst liczykrupa chętnie przystał na ten układ, tym bardziej że miał z niego przyzwoite zyski. Sprzedawał nam opium, morfinę i inne klucze do raju. A przede wszystkim sprzedawał nam swoje dzieci. Wiecznie milcząca Hildegarda początkowo miała mu za złe, ale silna ręka Ernsta przekonała ją ostatecznie. Tak było, dopóki nie podrośli, a kiedy już podrośli, zaczęli być nieostrożni, gadatliwi, niecierpliwi. Sami się skazali. Tamtej nocy przyszedłem, żeby ich oczyścić przez krew, krwią na nowo ochrzcić! Och, jakże Niemcy uwielbiają to słowo. Blut. W ich języku brzmi niemal jak chluśnięcie posoki z otwartej tętnicy. Jak uderzenie uwolnionych wnętrzności o posadzkę. Skarga uwięziona w przeciętej krtani.

— Jest pan chorym człowiekiem — wycedził policjant.

Domański roześmiał się w głos, aż do oczu nabiegły mu łzy. Przetarł je wierzchem wskazujących palców.

— Jestem poza zdrowiem i chorobą, poza dobrem i złem. Jestem...

— Übermensch, co?

— Godna odnotowania orientacja, zważywszy na fakt, że jest pan tylko psem. Ale to właśnie pan może mnie pokonać. Zgładzić nieprawości nasze... jeśli oczywiście pan zdoła... Ale najpierw... ostatni krąg!

Domański popchnął Gajewskiego lufą pistoletu, odsunął czerwoną kotarę i włączył górne oświetlenie. To, co Leon zobaczył, spowodowało, że łzy nabiegły mu do oczu

i miał ochotę rzucić się na chirurga.

W dwóch niewielkich pomieszczeniach znajdujących się naprzeciw siebie, za drzwiami zbitymi prowizorycznie z nieheblowanych desek i zamkniętych na grube kłódki, polegały dzieci. W jednej celi dziewczynki, w drugiej chłopcy. Dzieci miały na oko nie więcej niż piętnaście lat, co można było ocenić przez szpary w drzwiach. Widząc światło, nastoletni więźniowie zaczęli wstawać z posłań i podchodzić do drzwi. Teraz Gajewski zobaczył pomiędzy deskami ich oczy. Był w nich zwierzęcy strach.

Dzieci patrzyły na niego, ale nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Większość małych więźniów nosiła świeże bądź zabliznione rany cięte na rękach, nogach i twarzach.

— Niech się pan nie rozczula, to tylko małe złodziejaszki i początkujące kurewki, element zgarniany z ulic jak śmieci... Tu przynajmniej mogą się na coś przydać. Oczywiście, dopóki się nie zużyją. — Domański lekko popchnął Leona.

Z góry dobiegały głośne dźwięki muzyki. Do piwnicy zaczęli schodzić goście. Każdy miał na twarzy czarną maskę. Domański skinął na dwóch mężczyzn, którzy wykręcili Gajewskiemu ręce do tyłu i skuli je kajdankami na łańcuchu. Chirurg obrócił kilka razy korbę i zablokował kołowrotek; łańcuch naprężył się, nie dając Leonowi opuścić rąk poniżej pasa.

— Towarzystwo Literackie „Requiem Aeternam” zaprasza! — zawołał Domański.
Z cel wyprowadzono półnagie dzieci.

Wywiadowca kryminalny Krawczyk rozglądał się bezradnie po okolicy. Zajął mu prawie kwadrans znalezienie telefonu w ogromnym szkolnym gmaszysku i wytłumaczenie nierozumiejącej dobrze po polsku sekretarce, że musi pilnie zadzwonić. W końcu bez pytania dopadł aparat i zrobił co trzeba, nie zważając na krzyki starej Niemki. Gdy wrócił na plac, po Gajewskim nie było śladu.

— Kurwa! Gdzie go poniosło?! Stary nas zabije! — zaklął pod nosem.

Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Dziki prawdopodobnie wszedł do willi, w której znajdowało się kilkanaście potencjalnie niebezpiecznych osób. Krawczyk szybko podszedł do ogrodzenia budynku. W oknach salonu na parterze paliło się

światło, dochodziła też stamtąd głośna muzyka z zacinającej się płyty. Ale w środku nie było widać nikogo. Krawczyk po raz kolejny rozejrzał się, ale wyczekiwane przez niego posiłki nie nadjeżdżały.

— Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa! — powtarzał, jakby tym wezwaniem chciał wyładować napięcie i jednocześnie dodać sobie odwagi. Myślał o żonie, która czekała na niego z obiadem, dziś przy niedzieli miała być zupa i drugie. „Pewnie krupnik” — myślał Krawczyk, który nie przepadał za krupnikiem, w przeciwieństwie do małżonki. „Ale może się zlituje i zrobi pomidorową, a do tego klopsy” — zastanawiał się.

Potańczał twarz dłonią. Nie wiedział, co robić. Postąpił krok w kierunku furtki, ale zawahał się, cofnął. Głęboko westchnął, raz i drugi. Jeszcze raz się rozejrzał — ani śladu Eckerta i reszty.

— Nie ma czasu, kurwa mać! — mruknął i wszedł na teren posesji doktora Domańskiego.

Niemal w tym samym momencie identyczne słowo wyrwało się z ust Szczepana Banasia. Wychodził właśnie z zakrętu z Wilhelmskiej w Conradstrasse, gdy poczuł, że auto dziwnie zarzuciło. Jednocześnie usłyszał turkot felgi na bruku. Wiedział już: złapali gumę. Zatrzymał pojazd. Wysiadł i obejrzał go dookoła.

— Co jest? — zapytał Eckert.

— Trzeba wymienić koło, panie nadkomisarzu! — odparł Banaś.

— Dupa czyli — skomentował po swojemu Jacyna.

Wszyscy trzej stanęli przy unieruchomionym samochodzie. Banaś zaczął manipulować przy kole zapasowym, ale Eckert go powstrzymał.

— Nie ma czasu. Musimy zostawić gruchota — powiedziawszy to, pokiwał o lasce ulicą Konrada, wzdłuż wschodniego ogrodzenia cmentarza, na którym spoczywała jego nieboszczka żona. Ale nie myślał teraz o niej, tylko o Gajewskim i Krawczyku. „Nogi im z dupy powyrywam, jak się okaże, że weszli tam bez ubezpieczenia” — myślał, ciężko oddychając. Jacyna z Banasiem wyrwali do przodu, ale raz po raz oglądali się na nadkomisarza, który nie mógł sprostać w biegu młodzieniaszkom. Na chwilę musiał przystanąć, bo poczuł, że jeszcze chwila i serce

pęknie mu jak papierowa torebka. Machnął na swoich ludzi, żeby biegli dalej, a sam próbował uspokoić oddech. Minęła dłuższa chwila, nim znowu ruszył w kierunku Mackensenplatz opustoszałą, willową okolicą.

Krawczyk nacisnął klamkę, drzwi były zamknięte. Popatrzył przez grube, kolorowe szkiełka drzwiowego witrażu, ale nie mógł niczego dostrzec. Postanowił obejść budynek dookoła, licząc na to, że znajdzie inne wejście. Przy ścianach rósł ostrokrzew, który przy byle dotknięciu ranił do krwi. Garaż był zamknięty na żelazną sztabę, zajmującą całą szerokość drzwi. Willa miała kiedyś piwniczne okienka, ale teraz były one zamurowane. Na okna założono kraty. „Mysz się nie przecisnie” — pomyślał ze złością i rozczarowaniem Krawczyk.

Na tyłach domu znajdowała się niewielka przybudówka, rodzaj drewnianej werandy, pomalowanej na zgniłozółty kolor. Przez okienko można było dojrzeć, że wewnątrz są trzymane narzędzia ogrodowe, wąż do podlewania i inne graty. Ale co ważniejsze, przybudówka była połączona z resztą budynku niewielkimi drzwiami. Pozostawało wyłamać niewielką kłódkę, którą zamknięte było wejście do komórki, a następnie — sforsować kolejne drzwi. I mieć nadzieję, że nikogo nie zaalarmuje hałas, jaki niechybnie przy tej okazji powstanie.

Wystarczyło mocne kopnięcie, a noga Krawczyka wybiła dziurę w lekko już zmurszałych drzwiach i znalazła się wewnątrz. Poruszone narzędzia obaliły się z łoskotem. Z drugimi drzwiami nie poszło już tak łatwo. Krawczyk kopnął raz i drugi, ale nie chciały puścić. Chwycił więc szpadel i z całej siły uderzył jego ostrą krawędzią w szparę między drzwiami a framugą na wysokości zamka. To wystarczyło, żeby sforsować przeszkodę.

Dorośli sadzali dzieci na kolanach, głaskali, pieścili. Dłonie, kobiece i męskie, wędrujące po drobnych, dziecięcych ciałach. Obnażające ich najwstydliwsze tajemnice. Nastolatki nie stawiały najmniejszego oporu.

— Zastrzyki z witamin i morfiny, *spécialité de la maison*, robią swoje! — Chirurg wyszczerzył zęby w stronę policjanta, który poczuł, że zaczyna mu się zbierać na mdłości.

Ale to nie był jeszcze szczyt ohydy. Te same dwa draby, które przykuły go do łańcucha, teraz zaprowadziły do stołu blondwłosą dziewczynę. Miała na sobie jedynie koszulkę na ramiączkach. Mężczyźni w maskach położyli ją jak lalkę na stole i przytroczyli pasami. Dziewczynka obróciła w bok głowę i jej wzrok spoczął na Gajewskim. Zobaczył, że z oczu dziecka płyną łzy. Szarpnął łańcuch, ale poczuł jedynie ból wykręcanych stawów.

— Zostawcie ją, skurwysyny! — krzyknął.

Domański przytknął mu do twarzy skalpel. Leon zauważył, że ma na dłoniach rękawiczki chirurgiczne.

— Nieładnie się pan wyraża — powiedział chirurg i skinął na swoich pomocników.

Jeden z nich zaraz wetknął Gajewskiemu w usta brudną szmatę. Leon poczuł, jak knebel dochodzi do gardła. Zamiast krzyku wydobywał się z niego nieartykułowany charkot.

Domański skierował lampę na dziewczynkę. Pochylił się nad nią, trzymając skalpel w uniesionej dłoni. Zbliżył ostrze do ręki dziecka, które zaczęło cicho płakać.

— Boję się — szepnęła ledwo słyszalnie.

— Cicho, dziecinko, wszystko będzie dobrze — odparł Domański i naciął jej białą skórę na ramieniu. Z podłużnej rany popłynęła krew, którą oprawca od razu zlizał. W ślad za nim poszli pozostali uczestnicy orgii. Po kolei pochylali się nad dziewczyną i zlizywali krew sączącą się z rany.

Domański robił kolejne nacięcia — na rękach, nogach i na brzuchu. Pomieszczenie wypełniło się jękiem dziecka oraz bezsilnym charczeniem Gajewskiego i brzękiem potrząsanych przez niego kajdan.

Towarzystwo w maskach zlizywało krew dziecka; mężczyźni i kobiety, teraz już całkiem nadzy i rozochoceni, pili ją, rozmazywali na sobie i na partnerach, po czym wracali do swoich „maskotek”. Dzieci działały bezwolnie, jak nakręcane marionetki. Wkrótce dało się słyszeć głośne westchnienia i przyspieszone oddechy. Orgia wchodziła w szczytową fazę.

Rozpacz i przerażenie ogarnęły Gajewskiego. To, co widział, było piekłem. Odmawiał w myślach modlitwę do Michała Archanioła, płacząc z bezsilności.

Krawczyk wszedł do środka. Usłyszał głośny dźwięk zacinającej się płyty. Aria

Nadira w wykonaniu Enrico Caruso urywała się w pół frazy i zaczynała od początku. Było w tym coś upiornego. Wywiadowca nie zdążył jednak zajrzeć do salonu, z którego muzyka dobiegała, bo wyrósł przed nim ogromny mężczyzna. Jego zaciśnięte pięści były wielkości bochnów chleba. Krawczyk w mig pojął, że w walce wręcz nie ma z olbrzymem żadnych szans. Wyjął pistolet z kabury i skierował w stronę zbliżającego się mężczyzny.

— Stój, bo strzelam!

Olbrzym uśmiechnął się. Miał cały rząd sztucznych zębów, ale z metalu tańszego niż proteza zdobiąca szczękę jego pana.

— Połóż się na ziemię! — polecił mu Krawczyk.

Lokaj schylił się, ale zamiast wykonać polecenie wywiadowcy, zniemacka rzucił się na niego całą masą zwalistego cielska. W tym samym momencie Krawczyk strzelił. Kula drasnęła napastnika w udo. Wyrwidąb wydał krótki okrzyk bólu, ale nie zwalniał żelaznego uścisku z przegubów Krawczyka, który wciąż trzymał pistolet. Lokaj sapał tuż przy jego twarzy, szczerząc metalowe zęby i usiłując wykręcić broń w stronę głowy Krawczyka. Był znacznie od niego silniejszy, a poza tym przyciskał go do ziemi ogromnym ciężarem, utrudniając, a wręcz uniemożliwiając oddychanie. Krawczyk zobaczył tuż przed oczami lufę pistoletu. Poczuł, że jego spodnie robią się mokre od moczu i krwi. I że koniec jest bliski.

Nagle usłyszał huk i leżący na nim mężczyzna zwiotczał, znieruchomiał. Jego otwarte wciąż oczy były martwe.

— W samą porę, cholera, myślałem, że już nigdy nie przyjdziecie — powiedział Krawczyk na widok Jacyny stojącego nad trupem i nadal celującego w niego dymiącą lufą pistoletu.

Ze wstrętem zsunął z siebie potwornie ciężkie ciało. Na plecach Wyrwidęba zobaczył okrągłą plamę krwi. Dopiero teraz zauważył, że ręce drżą mu jak po ciężkim przepiciu.

— Gdzie Gajewski? — Do willi wpadł zdyszany Eckert.

— Nie wiem — odparł Krawczyk.

— Mieliście nie robić nic na wariata...

Tuż za Eckertem trzymał się Banaś. Chłopak pobladł na widok trupa. Po chwili

policjanci usłyszeli zza drzwi wejściowych odgłos wymiotowania.

— Tu są jakieś drzwi — zauważył Jacyna, odchylając ubrania, które zasłaniały wejście do piwnicy.

— Banaś, żyjesz? — zapytał Eckert.

Chłopak kiwnął głową.

— Zostajesz na czatach. Zatrzymujesz wszystkich. W razie stawiania oporu, strzelasz — rozkazał Eckert, który nie wierzył jednak w to, że niedoświadczony młokos będzie w stanie temu sprostać.

— Tak jest, panie nadkomisarzu! — prawie że krzyknął Szczepan.

— I nie krzycz tak, bo jeszcze go obudzisz. — Eckert skinął na leżącego twarzą do podłogi Wyrwidęba.

Dał znak Krawczykowi i Jacynie, ostrożnie otworzył drzwi do piwnicy i wszyscy trzej ruszyli w dół schodów.

W momencie gdy Domański usłyszał strzały, wykręcił bezpieczniki i w piwnicy zapanowały egipskie ciemności. Słysząc w nich było pokrzykiwania zaskoczonych uczestników orgii, którzy nie zdążywszy się nawet ubrać, wybiegali tylnym wyjściem — po uprzednim otwarciu metalowej pokrywy ukrytej pod donicami — wprost do ogrodu.

— Jest tu kto? — zawołał Eckert, próbując dostrzec cokolwiek w mroku.

Usłyszał nieartykułowany krzyk Gajewskiego, a zaraz potem odgłos tępego uderzenia i głośne jęknięcie.

— Skoro już kości zostały rzucone, to zapraszam!

Śmiech Domańskiego rozniósł się głucho po piwnicy.

— Dom jest otoczony. Wyjdź z podniesionymi rękami — powiedział Eckert.

— I pan wie, i ja wiem, że tylko jeden z nas stąd wyjdzie — odparł z ciemności Domański.

Jacyna wyjął latarkę i światło znowu zalało piwnicę. Policjanci, celując z broni, stali vis-à-vis Domańskiego, który przytykał skalpel do szyi Gajewskiego, stojąc za jego plecami. Z ust i nosa Leona ściekała krew, ale był przytomny. Ciężko dyszał i pojękiwał. Uniesione wysoko na łańcuchu, skrępowane ręce, sprawiały mu ogromny

ból.

Na stole operacyjnym wciąż leżała dziewczynka. Miała liczne, krwawiące rany cięte na całym ciele. Była nieprzytomna.

— Jezu, co oni jej zrobili — jęknął Krawczyk, podchodząc do małej.

— Zabierzcie ją stąd. I wezwijcie karetkę — polecił nadkomisarz.

— O tak, nie będzie już potrzebna. — Domański uśmiechnął się.

Krawczyk zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na niego, ale zrezygnował, widząc, że chirurg mocniej przyciska ostrze skalpela do tętnicy Gajewskiego. Pojawiła się krew.

Leon rzekł:

— Zabijcie go. Nie patrzcie na mnie, tylko go zabijcie.

Krawczyk z Jacyną schowali broń, odpięli dziewczynkę od stołu i wynieśli z piwnicy.

— I oto nadchodzi *grande finale!* — powiedział teatralnie Domański.

Eckert nie spuszczał oka z przeciwnika. Gdy uznał, że nadszedł właściwy moment, zawołał:

— Dziki, w bok!

Gajewski wykonał szybki ruch, padł strzał i w czole Domańskiego zrobiła się niewielka dziurka. Z tyłu czaszki była nieco większa. Na ścianę za nią bryznęła krew, trochę mózgu i fragmentów kostnych. Mężczyzna upadł na wznak. Spod jego głowy zaczęła wypływać ciemnoczerwona kałuża.

Eckert szturchnął butem Domańskiego. Nie dawał już najmniejszych oznak życia. W jego dłoni wciąż tkwił zakrwawiony skalpel.

— Gdzie tacy się rodzą? — Eckert popatrzył przez chwilę na znieruchomiałą twarz Domańskiego.

Pogrzebał w jego kieszeniach. Wyjął komplet kluczy. Zwolnił blokadę kołowrotka i Gajewski opadł na kolana. Jeden z kluczy pasował do kajdan. Eckert przekręcił go i obręcze spadły z nadgarstków. Gajewski rozmasował je.

— Tam — powiedział i skinął głową w stronę czerwonej kotary.

Eckert wszedł za nią. Po chwili zaczęły wychodzić zza niej dzieci. Gdy dorośli uciekli, wróciły do swoich cel jak wytresowane zwierzątka. Ale teraz, widząc martwego oprawcę, jakby na nowo odżyły. Na chwilę skupiły się nad trupem

Domańskiego, po czym, jakby tknięte jakimś impulsem, całą chmarą wybiegły z piwnicy. Policjanci na zewnątrz z trudem wyłapywali małych, oszołomionych zakładników.

Gajewski spojrzął na sponiewierane zwłoki chirurga. Splunął na nie i wyszedł.

Szczepan Banaś zdumiał się, widząc nagie bądź półnagie postacie buszujące wśród огоłoconych z liści drzewek, krzewów i suchych kwiatowych badyli. Drżącym ze zdenerwowania głosem rozkazał nagusom, żeby padli na ziemię. Większość z nich nie posłuchała, prysnęli do sąsiednich ogrodów i zniknęli chłopakowi z oczu. Wkrótce na miejsce zajechał duży automobil z policjantami pościąganyymi z domów i komisariatów. Banaś szybko wyjaśnił sprawę. Funkcjonariusze rozbiegli się po okolicy i po pewnym czasie udało im się wyłapać wszystkich uciekinierów.

Kłębiaste chmury na zachodzie zaróżowiły się. Wyglądały jak kolorowa wata. Bardzo szybko zapadł zmrok.

— Gdzie Gajewski? — zapytał Eckert, rozglądając się po ganku willi.

— Nie wiem, nie widziałem — odparł Krawczyk.

— Poszedł, szefie — powiedział Jacyna, zapytany o Gajewskiego.

— Dokąd?

Jacyna wskazał ruchem głowy w kierunku Śródmieścia.

— Mówił, że musi się przejść — dodał.

Eckert głośno westchnął:

— Cholera...

Spod willi doktora Domańskiego jeszcze długo odjeżdżały ambulanse medyczne i policyjne automobile, kręcili się śledczy. Aż w końcu domostwo zostało komisyjnie zaplombowane. Cisza wróciła na Mackensenplatz.

Musiał zobaczyć Klarę, choćby świat miał się skończyć. Ale właśnie teraz, po tym wszystkim — musiał. „Powiem, że żałuję — myślał — że potraktowałem ją jak pierwszą lepszą dziwkę, z którą idzie się do łóżka po paru randkach. Bo ona nie zasługuje na takie traktowanie, żadna nie zasługuje, ale ona w szczególności. Doprowadzę się do porządku, zaczniemy wszystko od nowa, przecież zamknęli już

sprawę, złapali mordercę, więc wszystko można zacząć od nowa. Powinna to zrozumieć, jeśli jest kobietą czułą, a przecież jest, to zrozumie. Jeśli postawi warunek: ona albo moja praca, to wybiorę ją. Mogę rzucić tę robotę, Eckert i chłopaki rozumieją, na pewno rozumieją...”

Ściemniało się, gdy Gajewski przechodził przez park z fontanną „Potop”. W blasku latarni prezentowała się okazale i monumentalnie. Wydawało się, że niedźwiedzica lada moment zaryczy z bólu po śmierci swego dziecka.

„Spowiedź” Domańskiego wciąż brzmiała w uszach policjanta. „Dlaczego nie wspomniał ani słowem o ułożeniu ciał w kompozycję zbliżoną do »Potopu«? No tak, idiota ze mnie, nie zapytałem go o to, nie pociągnąłem za język — pomyślał Gajewski — dałem się ponieść nerwom, zamiast na zimno gromadzić fakty, łączyć je ze sobą jak rasowy policjant. Najwidoczniej nie nadaję się do tej roboty, więc tym lżej będzie ją rzucić, jeśli tylko Klara...”

Z zazdrością mijał napotykaną na ulicy parę, z zazdrością patrzył na ludzi rozmawiających za wielkim oknem kawiarni „Wiedeńskiej”, na niespiesznych przechodniów przystających przy iluminowanych witrynach składów i wymieniających się uwagami. „Tak wygląda życie, Gajewski” — powiedział do siebie w duchu. Miał je na wyciągnięcie ręki, jeszcze niedawno, a teraz czuł się samotny jak palec w środku ruchliwego, żyjącego miasta.

A jednak najkrótszą drogą zmierzał do mieszkania Klary. Im bliżej był, tym mocniej biło mu serce. „Powinna być w domu” — myślał gorączkowo. Nawet jeśli miała dziś próbę, to na pewno już skończyła, a do wieczornego przedstawienia zostało jeszcze trochę czasu. Pora jest więc idealna, żeby zacząć z nią życie na nowo.

Otworzyła mu niemal od razu. „Jakby na mnie czekała” — pomyślał z nadzieją, kiedy łagodnym gestem zaprosiła go do środka. W pokoju stały spakowane walizki. Jedna leżała otwarta na łóżku, obok niej jeszcze niewłożone rzeczy. Ten widok zmroził Gajewskiego. Spojrzał na Klarę.

— Jutro wyjeżdżam. — Odwróciła się szybko, żeby nie dostrzegł żadnego grymasu na jej twarzy. Tym razem nie chciała się zdradzać z uczuciami.

Usiadł na krześle, nie zdejmując płaszcza. Bezwładnie opuścił ręce. Wyglądał jak biedny, zbity chłopiec. Klara usiadła naprzeciw niego. Spojrzała mu w oczy. Chwyliła

jego dłonie i otuliła swoimi.

— Jak zwykle strasznie wyglądasz — powiedziała zmartwiona, dotykając jego spuchniętych ust.

„Troskliwa, dobra Klara” — pomyślał Gajewski. Nie odsuwał się. Potrzebował tego.

— Dlaczego wyjeżdżasz?

— Myślisz pewnie, że z twojego powodu, ale prawda jest taka, że dawno już to planowałam. A teraz pojawiła się szansa. W Warszawie zaczyna się tworzyć prawdziwy przemysł filmowy. Dostałam propozycję. Ten facet... był wtedy w teatrze na wieczorze z okazji wkroczenia naszych wojsk. Powiedział, że szukają właśnie kogoś takiego jak ja. Byłabym głupia... nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym nie skorzystała. Mam już nawet nowy pseudonim artystyczny. Klara Schell. Podoba ci się?

„Trajkocze przejęta swoim życiem, ale mnie już w nim nie ma” — myślał Gajewski zgorzkniały i zrezygnowany. „Byłem idiotą, wierząc, że Klara zechce spędzić resztę życia w Bydgoszczy. Ze mną. Daleko od Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa... Choć z drugiej strony, blisko Berlina...”

— Mógłbym pojechać z tobą — powiedział nieśmiało.

Uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: „o czym ty bredzisz, głuptasku?”. Zamiast tego rzekła:

— To nie jest dobry pomysł.

— Dlaczego? — Nie przestawał dopytywać, choć wiedział doskonale, że ta rozmowa prowadzi donikąd.

Klara puściła jego rękę, wstała i podeszła do okna. Patrzyła w nie zaszklonymi oczami.

— Bo... nie chcę się wiązać, nie chcę zakładać rodziny, rodzić dzieci, przynajmniej nie teraz. Potrzebuję wolności. A ty... ty potrzebujesz żony, domu, gdzie będziesz mógł wracać i czuć się bezpiecznie. Ja ci tego nie dam.

— Kocham cię — powiedział bezradnie.

„Boże, jaka ona piękna” — myślał, patrząc na jej sylwetkę w ciasno opinającej ciało sukience, na jej falujące włosy. Przyływ pożądania zamącił mu widzenie.

— Ja ciebie też — odparła, nie odwracając się od okna.

Było słyhać, że płacze. Leon podszedł do niej, delikatnie dotknął ramienia. Nie bronila się, chwyciła go za dłoń, którą trzymał na jej barku. Odwróciła się z rozmazanym makijażem.

— Pocałuj mnie — powiedziała cicho.

Ich usta połączyły się, jakby jedno chciało wysssać z drugiego wszystkie soki. Klara wsunęła nogę między nogi Leona i całowali się nieprzytomnie, do utraty tchu. Nie zważał na szczypanie zranionej wargi, na wszystkie bóle ciała, tylko modlił się, żeby ta chwila nigdy nie mijała. Ale minęła, i to szybko. Klara nagle odsunęła go od siebie, otarła usta, jakby zbudziła się z krótkiego, choć głębokiego snu.

— To nie ma sensu — stwierdziła i jakby nigdy nic wróciła do pakowania walizki.

Gajewski przytrzymał jej ręce i powiedział, patrząc jej w oczy:

— To ma sens. Jeśli tylko damy temu szansę.

Jego słowa zabrzmiały drewniano. Poruszyła rękoma i zwolnił uścisk.

— Proszę, nie męcz mnie już — powiedziała, wkładając złożone w kostkę ubrania do walizki.

— To ten facet. Ten z Warszawy, tak? Zawsze jest jakiś facet...

— Nie, a zresztą to nie ma teraz znaczenia. Jeśli chcesz, możesz mnie jutro odprowadzić na pociąg.

„Powiedziała to, bo jeszcze tliła się w niej reszta tego czegoś” — pomyślał. „A może chciała dać mi jakąś nadzieję?”

— Wyjeżdżam szesnasta z minutami. Jutro muszę jeszcze pozłatwiać trochę spraw na miejscu, nie miałabym głowy do pakowania się.

— O zachodzie słońca.

— Tak, o zachodzie słońca.

Od razu po wyjściu od Klary wszedł do najbliższego sklepu i kupił butelkę wódki. „Jestem słaby” — myślał, wchodząc do jednej z ciemnych bram Śródmieścia. „Jestem słaby, bo moja siła odeszła wraz z nią”. Pociągnął z butelki, alkohol wywołał mdłości, ale tylko na początku. Wstrząsnął się i wypił znowu. Teraz już lepiej, teraz już można wyjść na ulicę i sprostać temu miastu. Tam, w górze, płyną ciemne chmury, widać na nich jeszcze resztki słońca, które schowało się już głęboko. Niżej kominy, dachy, ściany kamienic, potem ludzie, całe mnóstwo ludzi. Jest karnawał i jest niedziela, zdał sobie

z tego sprawę po raz pierwszy. Ludzie idą na bale, na domowe przyjęcia, będą pić, jeść, tańczyć, całować się, będą się bawić, bo ludzie chcą się bawić, chcą zapomnieć choć na chwilę o tym, co ich czeka jutro, o tych wszystkich sprawach, które trzeba odbyć, odbębnić, przeżyć, przeżyć jak niesmaczną papkę.

„Moje buty na płytach trotuaru, moje kroki odbijające się od niego” — myślał, idąc z rękami w kieszeniach płaszcz. W jednej z nich kciukiem przytrzymywał korek flaszki, żeby się z niej nie ułało. Ale tam niżej, patrzył pod nogi, tam w dole są trupy, całe masy trupów, gniją w ziemi, płyną podziemnymi kanałami, cuchnąca, bulgocząca maź niemająca początku i końca.

Dwie strzeliste wieże kościoła pojezuickiego przy Starym Rynku ciemnymi, niemal czarnymi cieniami rysowały się na szarym niebie, na którym błąkały się nikłe resztki łuny zachodu. Było mroźno i ludzie wypatrywali mającego nadejść lada dzień ataku zimy.

Gajewski bezbłędnie trafił do lupanaru przy Mauerstrasse, kameralnie oświetlonej przez tłuste światła gazowych latarni. Zapłacił właścicielce i poszedł do pokoju na piętrze z jedną z tutejszych dziewczyn. Postawił butelkę wódki na stoliku przy łóżku, a sam na nim usiadł i patrzył na rozbierającą się kurewkę. Miała ładną, przyjemną twarz, choć była nieco przy kości, a na jej ramionach i nogach widniało sporo sińców.

— To przez to, że słabo widzę i ciągle się o coś obijam — powiedziała niemalże przeprasząco, gdy stała przed nim już całkiem naga.

Napił się, a potem wziął dziewczynę do łóżka i zrobił z nią to, co chciał zrobić z Klarą. I widział twarz Klary, kiedy pochylał się nad tamtą.

Potem wyszedł, bardzo już pijany, bo nie jadł od dawna, i zanurzył się w gęsty, cuchnący wydzielinami nurt nocnego życia. Wydawało mu się, że rozmawia z redaktorem Wilczyńskim z „Dziennika”, który skądś już zdążył się dowiedzieć o akcji przy Mackensenplatz i który koniecznie chciał wydobyć od Gajewskiego jakieś smaczne, to znaczy krwawe kąski, ale równie dobrze mógł to być sen albo wytwór jego chorej wyobraźni.

Noc minęła szybko, aż nad ranem wywiadowca kryminalny Leon Gajewski legł nieprzytomny twarzą w rynsztoku.

„Ostatni krąg...” — zdążył pomyśleć resztką odpływającej świadomości.

PONIEDZIAŁEK, 26 STYCZNIA 1920 ROKU

— Miałeś szczęście, że cię znalazł ten szmaciarz, bo byś zamarzał na śmierć.

Głos, niby znajomy, choć dochodzący z daleka, jakby zza ściany skrzyni. Trzeba otworzyć oczy. Powieki sklezione zaschniętą ropą, przez wąską szparę widać jakieś rozmazane plamy. Ruszają się. To chyba ludzie. „Ludzie, jestem wśród ludzi, więc chyba żyję”.

— No, budzimy się, Leon!

Głos Eckerta. Leon otworzył szerzej oczy. Oślepiło go światło, choć w dużej sali lecznicy miejskiej przy Gdańskiej wcale nie było zbyt jasno.

„Jestem w szpitalu” — pomyślał Gajewski i zaczął sobie gorączkowo przypominać wydarzenia poprzedniej nocy. Ale pełno było w nich luk. Jak się tu znalazł?

Na łóżku siedział przy nim Eckert.

— Pić — powiedział Leon, ale jego głos zaskrzypiał nieprzyjemnie.

Nadkomisarz podał mu szklankę z wodą, która stała na stoliku obok. Policjant błyskawicznie ją opróżnił. Usiadł na łóżku. Powoli wracał do świata żywych.

— Zawiadomiliśmy już twoich rodziców. Martwili się o ciebie.

Eckert patrzył na niego badawczo, a wyraz jego twarzy nie zwiastował niczego dobrego.

— Co z dziećmiakami? — zapytał Gajewski.

— Przewieźliśmy je do szpitala na Alexanderstrasse. Te w lepszym stanie już trafiły do sierocińca Dietza, zresztą po wydobrzeniu wszystkie tam trafią. Nikt się do nich nie przyznaje. Nie mają żadnych dokumentów. Jakby w ogóle nie istniały.

— A ta dziewczyna?

— Źle z nią było. Straciła dużo krwi, a poza tym była nafaszerowana morfiną. Ale lekarze mówią, że z tego wyjdzie.

Do sali chorych wszedł siwy mężczyzna w białym lekarskim kitlu. Obejrzał kartę choroby Gajewskiego i przyjrzał mu się badawczo.

— Podreperowaliśmy pana na tyle, na ile było to możliwe. Nie stwierdziliśmy odmrożeń ani innych poważniejszych obrażeń. Niestety, gorzej z pana nerwami.

Próbował pan wyskoczyć z okna. Wprawdzie to tylko pierwsze piętro, ale pan o tym nie musiał wiedzieć. Szczerze mówiąc, sprawiał pan wrażenie osoby obłąkanej. Jednak nie będziemy pana tu trzymać, nie dysponujemy odpowiednią opieką dla takich jak pan, no i potrzebujemy łóżek. Ale zalecam co najmniej tydzień odpoczynku. Najlepiej bez alkoholu. Nie chcę niczego przesądzać, ale może powinien przebadać pana psychiatra. I niech pan bierze to, nie więcej niż trzy razy dziennie po kilka kropel. To waleriana, nie laudanum. — Lekarz podał mu fiolkę z kroplami i odszedł.

— Wiesz, że będę musiał cię zawiesić. Samowolne oddalenie się, porzucenie obowiązków służbowych i tak dalej. Policjant nie może zachowywać się jak byle gówniarz. Nie reprezentujesz tylko siebie, ale coś więcej.

— Tak jest, panie nadkomisarzu.

Zza okna dobiegały odgłosy dzwonów śródmiejskich kościołów. Wybiła dwunasta. Cztery godziny do odjazdu, odruchowo obliczył Leon. Wstał i mimo zawrotów głowy zaczął się przebierać ze szpitalnej piżamy w swoje ubranie, które leżało złożone na krześle. Ktoś już zdążył oczyścić je z błota. W kieszeniach było wszystko z wyjątkiem butelki.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia? — spytał Eckert. Wciąż siedział na łóżku i wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle.

— Wszystko napiszę panu w raporcie.

— Nie o tym mówię.

— A co więcej mogę powiedzieć. Wywala mnie pan i ja to przyjmuję do wiadomości. Nie nadaję się.

Eckert spojrzał na niego z wyraźnym żalem.

— Po pierwsze, zawieszam, nie wywalam. Po drugie, nie ty decydujesz o tym, czy się nadajesz, czy nie. A po trzecie...

Eckert przerwał, zastanawiając się, jak zakomunikować to, co miał do zakomunikowania.

— Kiedy umarła moja żona, uznałem, że żyję przez pomyłkę, z powodu czyjegoś kiepskiego żartu, bo powinienem odejść razem z nią. Ale żyłem dalej, szedłem spać, wstawałem, pracowałem. Bardziej jak manekin niż żywy człowiek, ale jednak żyłem. I przez te lata zrozumiałem jedno. Że rozpacz jest jak choroba, którą łatwo zarazić

innych. Nie wolno zarażać ludzi własną rozpaczą. Zachowaj ją dla siebie, a najlepiej powierz ją komuś większemu od siebie.

Siedzieli obok siebie, stary i młody, obaj znużeni i patrzący w nieokreślone punkty przestrzeni. W drzwiach sali chorych pojawili się rodzice Gajewskiego. Eckert poklepał go po plecach i wstał.

— Czekam na szczegółowy raport. I nie zaszkodzi, żebyś poradził się specjalisty. Profesor Ginter chętnie cię przyjmie, nawet dziś. Już z nim rozmawiałem. Zgodził się nawet nie wziąć ani feniga. Tu masz adres jego gabinetu.

Eckert podał podwładnemu złożoną kartkę. Leon przytrzymał jego rękę.

— Dziękuję za uratowanie życia u Domańskiego — powiedział.

— Drobiazg. Widocznie nie nadeszła jeszcze twoja godzina — odparł Eckert i wyszedł, kłaniając się państwu Gajewskim.

— Właśnie miałem wychodzić — powiedział Leon, kiedy podeszli do niego.

— Przyniosłeś nam wstyd. — Głos ojca zabrzmiał zimno i obco.

Matka miała w oczach łzy. Nie mógł na to patrzeć.

— Chodźmy stąd — powiedział i wyszedł z sali, bo ciekawskie spojrzenia innych pacjentów nie dawały mu spokoju.

Rodzice poszli za nim. Znaleźli się na ulicy. Pomyślał, że zabierze ich na kawę i ciastka do „Wiedeńskiej”. Ale nie chcieli.

— Wracasz z nami do domu. Chyba że nie chcesz, to droga wolna — powiedział ojciec, zaciskając szczęki.

— Teraz nie mogę, muszę załatwić parę spraw. Zobaczymy się wieczorem.

Postanowił, że wtedy powie im, że w poniedziałek się wyprowadza. Do tego czasu powinien znaleźć jakiś pokój, cokolwiek.

— Jak chcesz — odparł Józef Gajewski.

Dotarli do przystanku tramwajowego niedaleko Teatru Miejskiego. Na Wilhelmowskiej ukazała się czerwona bimba. Nagle matka objęła Gajewskiego i mocno przytuliła.

— Cokolwiek zrobisz, będę cię kochać — usłyszał przy swoim uchu jej szept.

Potem bez słowa odwróciła się i z ojcem wsiedli do tramwaju. Pojazd oddalił się w stronę Okola.

Godzinę później komendant Dolatowski stał przed lustrem w swoim gabinecie i dopinał guziki galowego munduru. Wkrótce czekała go chwila tryumfu. Miał przedstawić władzom miejskim oraz wojskowym wyniki śledztwa w sprawie morderstwa na barce „Annelise”. Nareszcie wszystkie klocki pasowały do siebie jak ulał. Świeży raport tego Gajewskiego pokrywał się z wcześniejszymi ustaleniami, a ponadto dowody znalezione w willi Domańskiego potwierdzały główną tezę śledczą. Zbrodnia miała tło obyczajowe, a jej bezpośrednim motywem była chęć pozbycia się po pierwsze szantażysty, a po drugie — niewygodnych świadków. Metoda działania sprawcy, jego precyzja w zadawaniu ran, a także swego rodzaju artystyczne „zacięcie” w sposobie zaaranżowania miejsca zbrodni jasno wskazywały na doktora Domańskiego. Mężczyzna ukończył medycynę, w czasie wojny operował żołnierzy na froncie zachodnim. Potem osiadł w Bydgoszczy, gdzie prowadził prywatną praktykę, choć główne źródło jego dochodów stanowiła masa spadkowa po zamożnych rodzicach ze stolicy Wielkopolski. W domu Domańskiego znaleziono sporo przedmiotów świadczących o tym, że miał on dobrą orientację w historii sztuki, zwłaszcza niemieckiego akademizmu końca XIX wieku. W papierach natrafiono nawet na szkic podpisany imieniem i nazwiskiem Ferdinanda Lepckego, którego Domański musiał poznać albo w czasie swoich berlińskich studiów, albo już później, kiedy rzeźbiarz wykonywał zlecenia władz Bydgoszczy. Szkic przedstawiał jedną z wersji „Potopu”, swoiste studium na ten temat.

Wreszcie odciski palców, choć Dolatowski wciąż nie ufał tym nowinkom z Warszawy. Ale Orłowski ponad wszelką wątpliwość stwierdził, że linie papilarne znalezione na miejscu zbrodni, zwłaszcza na napisie zostawionym na suficie kajuty, są liniami papilarnymi Domańskiego. W jego garażu stał czarny automobil. Czego chcieć więcej? Każdy sąd, mając takie dowody winy, skazałby go na śmierć.

Kartka wysłana do Gajewskiego, z napisem „Kat chodzi bez maski”, również musiała być sprawką tego chirurga, choć w tym wypadku nie udało się znaleźć bezpośrednich dowodów rzeczowych o tym świadczących. Przemawiały natomiast za tym poszlaki, które układały się w nierozzerwalny łańcuch. Łańcuch prowadzący prosto do willi przy Mackensenplatz. Domański chciał być zdemaskowany, bo najwidoczniej

męczyły go wyrzuty sumienia. A teraz mieli go, martwego, leżącego na stole sekcyjnym u doktora Hoffmanna, ale wreszcie go mieli.

Dolatowski czuł satysfakcję. Oto miasto uwolnione zostało nie tylko od niemieckiej władzy, ale także od ciężkiej i dusznej atmosfery, jaką niosła za sobą zbrodnia na „Annelise”. „Czynnikom niemieckim zresztą powinno to zamknąć usta — dumał Dolatowski — bo sprawcą okazał się silnie zniemczony Polak. Wilk syty i owca cała, można powiedzieć”. Korzystnym obrotem sprawy był również fakt, że morderca nie żył. Zaoszczędziło to niewątpliwie wydatków młodemu państwu polskiemu, które zaangażowane było w wojnę z bolszewią i potrzebowało środków pieniężnych na niezbędne zbrojenia.

„Kto wie, może mnie awansują i do Poznania przeniosą, do komendy wojewódzkiej?” — pomyślał Dolatowski i jeszcze raz dokładnie obejrzał się w lustrze, żeby wyeliminować jakiegokolwiek ryzyko wpadki, jeśli chodzi o formę zewnętrzną.

Jedno go tylko martwiło. Na jego biurku leżało podanie Eckerta o przejście w stan spoczynku. Nadkomisarz był jego najlepszym człowiekiem, nie licząc Gajewskiego, ale ten był nieobliczalny w swoich odruchach, a przede wszystkim niedoświadczony. Dolatowski postanowił nie przyjmować wniosku Eckerta i zamiast tego dał mu jeszcze czas do namysłu i podjęcia ostatecznej decyzji. „Jeśli bowiem nie przeniosą mnie do Poznania i nie awansują — myślał komendant — to będę potrzebował tu kogoś takiego jak stary Eckert”. Jeśli go zabraknie, on sam, Dolatowski, będzie musiał być „zderzakiem” w spotkaniach z opinią publiczną, prasą, a przede wszystkim z władzami zwierzchnimi. Teraz co najmniej część uderzeń brał na siebie Eckert. Stary legionista, którego zasług nie zapomniano w Warszawie. „To, nawet jeśli bezpośrednio mi nie pomoże — kalkulował Dolatowski — to na pewno nie zaszkodzi”.

Nadkomisarz Eckert zajrzał do gabinetu Dolatowskiego, a ten skinął na niego na znak, że jest już gotów do wyjścia. Razem mieli spotkać się w ratuszu z przedstawicielami władz. Komendant zamknął teczkę. Był pewien, że tym samym ostatecznie zamknął sprawę „Annelise”.

Środek znieczulający, którym prawdopodobnie nafaszerowano go w lecznicy,

przestawał działać. Najpierw Leon poczuł pieczenie pękniętej wargi, potem odezwał się chory ząb. Policjant przechylił buteleczkę z kroplami i poczuł w ustach gorzki smak. Starał się, żeby pokryło chore miejsce. Poczł lekłą ulgę. Ale jednocześnie medykament działał wyraźnie otepiąjąco. Było to jednak i tak znacznie lepsze od ostrego bólu.

Z raportem dla Eckerta uwinął się w niecałe dwa kwadranse, opisał w najdrobniejszych szczegółach to, co zapamiętał z wizyty w willi Domańskiego, nie omieszkał też wspomnieć o swoich wątpliwościach, które w raporcie określił mianem „marginalnych ustaleń”. Miał na myśli sposób ułożenia ciała na „Annelise”. Dodał jednak, że jego zdaniem nie ma najmniejszych wątpliwości, że zbrodniarzem jest (był) Domański. Dowodem koronnym było jego przyznanie się do winy. Koniec. Nie ma nic więcej do dodania. Oddał raport i wyszedł. Teraz uznał, że skoro nie ma nic konkretnego do roboty (do czasu wyjazdu Klary, w który nadal nie wierzył), to mógłby zobaczyć co u tej małej z willi chirurga. Szpital Dziecięcy Sióstr Miłosierdzia Świętego Wincentego à Paulo przy Alexanderstrasse znajdował się niedaleko, więc Gajewski udał się tam pieszo. Rozłożysty ceglany budynek z licznymi dobudówkami i piętrzącymi się stromo blankami przypominał warowny zamek, ulokowany nieopodal malowniczego zakola Brdy.

Wewnątrz pachniało pastą do podłogi i środkami odkażającymi. Korytarzem przechodziło kilka sióstr zwanych szarytkami, od koloru ich habitów. Wyróżniały się białymi, rozłożystymi czepkami i kiedy dostojnie sunęły, trzymając tace z lekarstwami albo blaszane baseny, wyglądały trochę jak białe ptaki, które usiłowały wzbić się do lotu.

— Sostro... — Leon zaczepił jedną z zakonnice, młodą przyszczatą dziewczynę ze wstydliwie opuszczonym wzrokiem. — Szukam dziewczynki, przywieziona wczoraj wieczorem, liczne rany na całym ciele...

Siostra spojrzała na niego. Nie musiał mówić więcej. Wiedziała, o kogo pyta.

— A kim pan jest dla chorej? — zapytała.

— Nikim.

— W takim razie nie może pan jej zobaczyć.

— Jestem policjantem. Byłem przy niej, kiedy to się stało...

— Proszę chwileczkę zaczekać — powiedziała siostra i weszła do pokoju, z którego wyszła po chwili w towarzystwie starszej, kostycznej zakonnicy, najwyraźniej swojej przełożonej.

— Mogę zobaczyć pańską legitymację? — zapytała starsza siostra niskim, nieco zachrypniętym głosem.

— Nie mam jej. Jestem tu prywatnie.

Siostra przez chwilę nad czymś się zastanawiała, w końcu rzekła:

— Dobrze, może pan ją zobaczyć, ale tylko na chwilę. I proszę jej nie męczyć. Tylko Bóg wie, ile to dziecko wycierpiało w swoim krótkim życiu.

— Jak ona się nazywa? — zapytał Gajewski.

— Nie powiedziała — odparła starsza zakonnica. — Ona w ogóle jeszcze nic nie powiedziała.

Przełożona wróciła do swojego pokoju, a młodsza zakonnica zaprowadziła Leona na koniec korytarza. Za drzwiami po prawej stronie, w izolatce, leżała dziewczynka z piwnicy Domańskiego. Pokój był niewielki, bardzo wysoki i bardzo jasny dzięki wysokiemu oknu z widokiem na Brdę, w połowie wysokości przysłoniętemu białą, wykrochmaloną zazdrostką.

Dziewczynka leżała na boku, twarzą do okna, a tyłem do wchodzącego wywiadowcy. Leon podszedł do niej i dotknął delikatnie ramienia. Mała drgnęła. Spojrzała na niego. Z wierzchu był lęk, ale gdzieś na dnie spojrzenia coś jakby przebłysk radości i ulgi.

— Poznajesz mnie? — zapytał, ale dziewczynka znowu się odwróciła.

Na twarzy, szyi i rękach miała świeże opatrunki.

— Mogę koło ciebie usiąść?

Brak odpowiedzi. Leon przystawił sobie krzesło między jej łóżkiem a oknem.

— Nie bój się. Poznajesz mnie?

Nieznacznie zaprzeczyła ruchem głowy.

— Naprawdę nie poznajesz? Byłem tam. Widziałem, co się stało.

Milczenie.

— Pamiętasz co się stało?

Milczenie. To samo kiwnięcie głową.

— On nie żyje.

Mała pacjentka jakby na moment zeszywniała. Po chwili zwróciła się w stronę Gajewskiego. Jej twarz pojaśniała.

Dziewczynka wyciągnęła w jego stronę wychudzone ramię, pokryte bliznami i opatrunkami. Położyła dłoń na dłoni Leona.

— Czy jest ktoś, kogo powinniśmy zawiadomić?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam.

Płakała cicho. Łzy ciekły po zapadniętych policzkach i upadały na poduszkę. W drzwiach ukazał się „biały ptak” w osobie młodej zakonnicy, która dała Gajewskiemu znak, że już czas. Leon pochylił się nad małą i ucałował ją w czoło.

— Już nikt cię nie skrzywdzi — wyszeptał policjant i wyszedł z pokoju.

Po wyjściu ze szpitala przespacerował się nad Brdę. Rzeka zawsze go uspokajała. Płynęła tu łagodnym zakolem, rozlewając się dość szeroko między pochyłymi brzegami wyłożonymi kamieniami. Z prawej strony było widać stalową konstrukcję mostu Cesarskiego, z parami masywnych latarni gazowych na murowanych cokołach po obu stronach przeprawy. Za mostem, w stronę Śródmieścia, przy obu kamiennych brzegach cumowały barki. Z drugiej strony wznosiła się smukła ceglana wieża ewangelickiego kościoła farnego, a na prawo od niej, nad dachami kamienic, górowały dwa strzeliste hełmy pojezuickiego kościoła Świętego Ignacego Loyoli.

Nad wodą zwieszały się czarne witki wierzb płaczących, które przeglądały się w ciemnym, powolnym, a mimo to potężnym nurcie. Tuż obok znajdował się okazały pałacyk Towarzystwa Wioślarskiego „Frithjof” z pustą teraz przystanią. Buty Gajewskiego głucho zadudniły na deskach kładki między przystanią a Brdą. Szedł piaszczystą alejką, mijając nielicznych spacerowiczów. Pogoda nie zachęcała do przechadzek. Był tęgi mróz, a dodatkowo od wody mocno wiało.

Gajewski przeszedł pod mostem Cesarskim w stronę nabrzeża Frankego. Poczł ochotę na jajecznicę na boczku, więc zaczął rozglądać się za jadłodajnią. Kwadrans później, siedząc w dość podłej knajpce nad parującą jajecznicą z sześciu jaj, do której zamówił kubek kawy zbożowej z mlekiem i dwie grubo smarowane masłem sznytki, wyjął z portfela kartkę z adresem profesora Władysława Gintera. Wywiadowca nie pamiętał wydarzeń z minionej nocy, ale to, co powiedział lekarz oraz zmartwione miny

rodziców i Eckerta, skłoniło go do tego, żeby jednak skorzystać z konsultacji specjalisty od chorób nerwowych.

Psychiatra polecony przez Eckerta praktykował przy Moltkestrasse, ulicy lekarzy, urzędników i adwokatów, z której wszędzie było blisko. Była to kamienica z charakterystycznym halabardnikiem umieszczonym nad wejściem, usytuowana niedaleko kościoła baptystów. Rzeźba musiała strzec domostwa przed niepowołanymi gośćmi — pomyślał Gajewski, wchodząc do środka.

Wewnątrz panował wzorowy ład i porządek. Pachniało czystością. Klatka schodowa świeżo wypucowana i wypastowana. Kwiatki na parapetach, dywaniki na podłogach. Lśniące posadzki. Nie mogło być inaczej, bo ceny za lokale w tej okolicy były najwyższe w całej Bydgoszczy.

Mieszkanie profesora Władysława Gintera mieściło się na piętrze kamienicy. Mosięzna tabliczka na obficie rzeźbionych, masywnych, dwuskrzydłowych drzwiach wyposażonych w witrażowe okienka, nie pozostawiała wątpliwości. Gajewski poruszył pokrętko dzwonka i wewnątrz rozległ się gong, podobny do uderzenia kościelnego dzwonu. Za szybkami zamajaczył jakiś cień i zamek zachrobotał. Drzwi otworzyły się i Leon zobaczył przed sobą wysoką i smukłą postać profesora. Ubrany był niecodziennie: w luźne spodnie z czarnego jedwabiu i wykonaną z tego samego materiału, zawiązywaną koszulę z mandaryńskim kołnierzem i szerokimi mankietami, spod których wystawały długie dłonie w cienkich, białych rękawiczkach. Można było przez nie dostrzec ciemne owłosienie i sygnet. Na stopach profesora tkwiły czarne, skórzane pantofle.

— Jakże się cieszę, że pana widzę! — powiedział kordialnie i rozwarł ramiona w geście powitania.

Jednak nie dotknął Leona, który zauważył, że zamykając za nim drzwi, profesor dyskretnie sprawdza korytarz.

— Być może zdziwił pana mój strój, ale noszę się tak wyłącznie w domu. To taka słabostka miłośnika Orientu...

Ginter poprowadził go dość wąskim i ciemnym korytarzem do pokoju, w którym zwykł przyjmować pacjentów. Tutaj światła było nieco więcej. Duże okno było na wpół przysłonięte ciemnobrązowymi kotarami, związanymi u dołu aksamitnymi

sznurami z ozdobnymi frędzlami, zaczepionymi o mosiężne haki zamocowane w ścianie.

Gabinet był spory, urządzony z przepychem, a zarazem przytulnie. Na ścianach wisiały obrazy olejne, grafiki i fotografie w ramkach. Regał zajmujący całą ścianę za biurkiem profesora wypełniony był książkami, w większości starymi, stały tam też, otwarte na stronach z reprodukcjami, albumy malarstwa i rzeźby oraz całe mnóstwo bibelotów. Nie tylko pochodzenie, ale i przeznaczenie większości z nich było Gajewskiemu nieznane. Na masywnym, podwójnym biurku leżały, najwyraźniej porzucone niedawno, luźne kartki z notatkami i pootwierane książki. Ginter zrobił ręką zamaszysty gest, jakby zagarniał wszystkie te papiery.

— Wybawił mnie pan z opresji, ponieważ nie przepadam za pracą papierkową i szukam byle okazji, żeby się od niej wymigać — powiedział wesoło profesor. — Niestety, w mojej profesji bywa to konieczne, w pańskiej zresztą także, prawda? Proszę, niech pan siada.

Ginter wskazał swojemu gościowi miejsce na dużej kanapie, przy której była ustawiona niska, masywna ława z ciemnego drewna. Stała na niej karafka z wodą, dwie szklanki oraz drewniane pudło z szachami. Komisarz usiadł na końcu kanapy, stwierdzając, że jest bardzo wygodna. Profesor zajął miejsce na fotelu po drugiej stronie ławy.

— Ja też mam już dziś za sobą pisanie raportu — powiedział Gajewski.

— No widzi pan. Obaj musimy od czasu do czasu sporządzać raporty. Oczywiście każdy w swojej dziedzinie. Ale łączy nas coś jeszcze.

Gajewski popatrzył na Gintera wyczekująco.

— Obaj wolimy pracować z ludźmi. Napije się pan?

— Poproszę.

— To czysta, kryniczna woda. Nie pijam nic innego.

Gajewski popił ze szklanki. Woda smakowała jak zwykła kranówka.

— Znakomicie oczyszcza organizm, a przy tym powoduje uczucie sytości. Wypijam zawsze dwie szklanki przed posiłkiem, dzięki temu się nie przejadam. Polecam, to sprawdzona metoda.

— Picie wody zamiast jedzenia? Ja jak jem, to jem, a jak piję, to piję — powiedział

Gajewski.

Ginter uśmiechnął się i odstawił szklanekę z połową zawartości.

— Tak, słyszałem coś o tym. Nie oszczędza się pan, prawda? Stąd pańskie przezwisko „Dziki”? — Głos profesora brzmiał rzeczowo, profesjonalnie.

— Jedni gadają, że coś trzeba zrobić, a inni to robią. Ja należę do tych drugich. Może dlatego tak mnie nazywają? — odparł policjant.

— Gra pan? — zapytał Ginter, widząc, że Gajewski przygląda się pudełkowej szachownicy.

— W to? Nie. Tylko w piłkę.

— W piłkę?

— Futbol.

— Aaa... — Profesor udał zainteresowanie.

— Ale już dawno nie grałem. Pan gra w szachy?

— Tylko sam ze sobą.

— Brak odpowiedniego partnera?

— Wręcz przeciwnie. Jestem całkiem interesującym partnerem dla siebie. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo potrafię się czasem zaskoczyć.

Profesor uśmiechnął się, ale Gajewski zauważył, że jego oczy cały czas były takie same: wpatrywały się zimno i badawczo w rozmówcę. Wywiadowca uznał, że czas przejść do rzeczy.

— Wie pan, po co tu przyszedłem.

— A pan wie?

— Mówią, że może pan pomóc w takich przypadkach jak mój.

— Och, nie dramatyzowałbym. Jest pan przemęczony i to wszystko.

— Wszystko? Dziś w nocy podobno chciałem się zabić. Mówię „podobno”, bo nic nie pamiętam. A wcześniej wydawało mi się, że coś lub ktoś mnie obserwuje i dotyka, chociaż wkoło nie było żywego ducha.

— Za dużo stresu i alkoholu, za mało snu.

Gajewski spojrział na profesora z niedowierzaniem.

— Więc mam odstawić gorzałę, wypaść się i wszystko wróci do normy?

— Oczekiwał pan ode mnie jakiejś cudownej recepty? Otóż nie ma takiej. Przeżył

pan ogromny stres związany z prowadzonym śledztwem i nie tylko...

— Nic się przed panem nie ukryje — przerwał Leon.

— ...i pański organizm się zbuntował — kontynuował Ginter niezrażony.

Gajewski dopił wodę ze szklanki. Odstawił ją i wtedy jego wzrok zatrzymał się na niewielkim zdjęciu wiszącym w ramce na ścianie za plecami Gintera. Nawet z odległości kilku metrów było widać, że przedstawiało fontannę „Potop”. Przed fontanną stały dwie postacie, ale Gajewski ze swojego miejsca nie mógł dojrzeć szczegółów.

— Co tak przykuło pańską uwagę? — Wzrok profesora powędrował za spojrzeniem Gajewskiego.

Gdy znowu spojrzął na rozmówcę, jego twarz była zmieniona, jakby coś rzuciło na nią cień. „Zachmurzyło się” — pomyślał policjant.

— To ja z synem. Latem, krótko po odsłonięciu fontanny.

To powiedziawszy, Ginter powoli zbliżył się do fotografii, zdjął ją z gwoźdźca i położył na stole przed Gajewskim. Leon podniósł ją pod światło i oniemiał.

— Przecież to...

— Piotr Władysław Domański, który jak sędzę, spoczywa obecnie w kostnicy Szpitala Miejskiego przygotowany do pochówku.

— Nic nie rozumiem. Mówi pan to tak spokojnie... — Gajewski był nie tylko zaskoczony, lecz także bezradny.

— Wkrótce pan zrozumie. Władysław na drugie ma po mnie. Nazwisko po matce, Jadwidze Domańskiej, która urodziła go, będąc zamężną z poznańskim adwokatem Jędrzejem Domańskim. Nawiasem mówiąc, porządny człowiek. Uznał Piotra za własnego syna, choć zawsze miałem poważne podejrzenia, że jest dzieckiem z nieprawego łoża. Konkretnie z łóżka mojego pokoju w hotelu Central w Berlinie, gdzie Jadwiga i ja spędziliśmy jedyną w życiu wspólną noc. Proszę zaoszczędzić mi pytań o szczegóły. Oboje byliśmy młodzi, ona nieco rozczarowana swoim znacznie starszym, wiecznie zajęтым, choć zamożnym mężem, a ja nie miałem nic do stracenia. Tak oto przypadkowe spotkanie się naszych spojrzeń na Unter den Linden doprowadziło w rezultacie do trupa leżącego w podziemiach szpitala, do pana siedzącego przede mną i do barki „Annelise” w mroźną, świąteczną noc z 20 na 21

stycznia Anno Domini 1920.

Gajewski z niedowierzaniem patrzył na twarz Gintera, na której pojawił się lekki uśmiech.

— Proszę mówić jaśniej — powiedział Leon.

Jego głos zabrzmiał grobowo.

— Wszystko w swoim czasie, panie wywiadowco kryminalny! Niech pan lepiej opowie, co pana gryzie. Oczywiście poza lekkim głodem alkoholowym i znacznie silniejszym głodem erotycznym.

— Już panu mówiłem, że gram tylko w futbol.

— Po co ten nieprzyjazny ton? Przecież wiem, że mimo sukcesem zakończonego śledztwa, coś panu doskwiera. Mam rację, prawda?

Ginter pochylił się ku Gajewskiemu i w wypolerowanym blacie ławy odbił się jego nieco szpiczasty, gładko wygolony podbródek.

— Nie wiem, o co panu chodzi. — Leon uciekł wzrokiem przed badawczym spojrzeniem psychiatry.

— O to, że nie jest pan przekonany, czy to już koniec.

Gajewski odsunął się w tył, głębiej wnikając w miękkie oparcie kanapy. Miał wrażenie, jakby ten ruch wykonał bez udziału woli. Tymczasem Ginter odwiesił na miejsce fotografię z „Potopem” i wrócił do Gajewskiego. Policjantowi dało to czas, żeby ochłonąć.

— Pan dobrze wie, że znaleźliśmy zabójcę Blochów i że jest nim pański... kimkolwiek jest, mamy go. A teraz pozwoli pan, że się pożegnám, mam sporo spraw do załatwienia.

Gajewski wstał, ale zaraz opadł z powrotem na swoje miejsce, popchnięty na nie jakąś siłą, której nie rozumiał i która go przerażała.

— Co?... — zdołał wybąkać.

— Nie mówię o bezpośrednim wykonawcy mordu. Mówię o jego faktycznym sprawcy — powiedział wolno i dobitnie profesor.

— Nie rozumiem, co pan do mnie mówi...

Ginter ponownie wstał, podszedł do biurka i z jego szuflady wyjął jakąś kartkę.

— Ślad numer dwa — oznajmił i położył ją przed Gajewskim.

Był to odbity przez kalkę list z napisem „Kat chodzi bez maski”.

— Ja to do pana wysłałem — powiedział profesor i nie czekając na odpowiedź Gajewskiego, kontynuował: — Oczywiście może pan nie dać mi wiary, ale podejrzewam, że nasz dociekliwy daktyloskop Orłowski mógłby pana przekonać. Gdyby oczywiście wpadł na to, żeby pobrać ode mnie odciski palców. Zapyta pan: dlaczego to zrobiłem? Odpowiadam: z nudów. Wrodzona niecierpliwość nie pozwoliła mi czekać bezczynnie, aż jakimś zrzędzeniem losu wpadniecie na właściwy trop. Dlatego podsunąłem wam podpowiedź. Niestety, nie odczytaliście jej właściwie. Pozostały wam intuicja i domysły, inaczej mówiąc czucie i wiara, dwa narowiste konie.

— Czego miała to być podpowiedź?

— Kat chodzi bez maski, Leonie. Proszę spojrzeć na moją twarz. Nie zobaczy pan na niej nawet śladu fałszu. Jestem prawdą.

— Jakbym słyszał Domańskiego.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— A ja myślę, że jest pan mitomanem. Od razu pan mi podpadł.

— Dziękuję za komplement. Mity są matecznikiem ludzkości. Zna pan *Epos o Gilgameszu*?

— Kolejna zagadka? — rzucił ironicznie Gajewski.

— „Który wszystko widział po krańce świata, poznał morza i góry przemierzył, w mrok najgłębszy zajrzał, z przyjacielem pospołu wrogów pokonał. Zdobył mądrość, wszystko widział a przejrzał, widział rzeczy zakryte, wiedział tajemne, przyniósł wieści sprzed wielkiego potopu”¹ — Ginter wyrecytował bez zająknięcia. — Gilgamesz chciał zdobyć nieśmiertelność. Być równy bogom. Pokonał najstraszliwszego potwora Humbabę. „Humbaba głos ma z grzmiącego potopu, morze wzburza, lądem potrząsa, do boju rusza orkanem ryczącym, potopem rozmywa strony świata, wściekłość jego jak potop. Kiedy paszczę rozewrze, niebo się wzdryga, skały drżą i leśne wzgórza się chwieją, w szczeliny uchodzi, co tylko żyje! Twarz jego z kiszek upleciona, usta jego z ognia, oddech ze śmierci...” Z Bykiem Niebiańskim zesłanym przez lubieżną boginię Isztar też sobie poradził.

— Ładna bajka.

— Niestety z kiepskim zakończeniem. Nawet potężny Gilgamesz okazał się igraszką w rękach bogów, którzy stracili go do krainy umarłych.

— Idę. Wracam do krainy żywych. — Gajewski znowu próbował wstać i znowu opadł na kanapę, pchnięty z jeszcze większą siłą.

— Wyjdzie pan, jeśli panu pozwolę.

— To przestaje być śmieszne.

Trzecia próba powstania zakończyła się dla Gajewskiego kolejnym przyłgnięciem do oparcia siedziska. Ze zgrozą stwierdził, że nie może się ruszać; jakby tkwił w naczyniu wypełnionym tężejącym betonem. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w oczy Gintera. Nie mógł się od nich oderwać. Poddał się. To wszystko go przerosło.

— Na czym to ja skończyłem? Aha, na krainie umarłych. A potem... długo nie wiedziałem o istnieniu Piotra. Jadwiga wyjechała z Berlina, ja zostałem, by pod naciskiem rodziców kontynuować studia medyczne, ale przede wszystkim — by zrealizować moje największe marzenie, jakim było dostanie się na Akademię Sztuk Pięknych w Wiedniu. Niestety, nie dane mi to było mimo kilku prób, trzymanyh zresztą w tajemnicy przed rodzicami. Ale to nie zabiło we mnie miłości do sztuki. Dorabiałem malowaniem akwareli, aż odkryłem w sobie talent, który skierował moje zainteresowania na całkiem nowe tory. Skłamałem, mówiąc, że spotkanie naszych spojrzeń było przypadkowe. O nie, to ja najpierw spostrzegłem Jadwigę wśród tłumu przechodniów w pogodny, jasny dzień. Nie zauważyłaby mnie, gdybym nie przyciągnął jej wzroku... Powiedziałem sobie w duchu: „spójrz na mnie” i ona po prostu spojrzała. A kiedy zapragnąłem spędzić z nią noc, okazało się, że także nic nie stoi na przeszkodzie. Mąż Jadwigi musiał akurat na krótko przerwać urlop z powodów służbowych, a dyskrecję recepcjonisty kupiłem nie sutym napiwkim, ale dość dobitnie wypowiedzianymi słowami, że mnie nie widział. I wie pan co? Zdaje się, że on naprawdę mnie nie widział.

— Więc noc z Jadwigą była pańskim kaprysem? — Gajewski usłyszał swój głos jakby spoza siebie.

— Kaprysem, ale z dalekosiężnymi skutkami. Zacząłem interesować się żywymi obrazami. Pana starszy kolega Eckert poszedł tym śladem, o czym doniosły mi życzliwe dusze. Wie pan, ustawianie aktorów na podobieństwo dzieł malarskich. I rzeźbiarskich.

Uczestniczyłem w tym i jako aktor, i jako reżyser. Nareszcie mogłem mieć wpływ na rzeczywistość bez uciekania się do moich — nazwijmy to — sztuczek. Przyznam się jednak panu, że w reżyserowaniu żywych obrazów moje zdolności okazały się niezwykle przydatne. Nie musiałem strzepić języka. Byłem też cenionym suflerem teatralnym, bo i to zdarzyło mi się robić w czasach górnej i chmurnej młodości. Zapomniany tekst kładłem do głów aktorów bez używania mowy. Nie wiem, czy bardziej mnie podziwiali, czy się bali. Chyba jednak to drugie, bo w końcu musiałem odejść z teatru. Na pożegnalnym przedstawieniu kazałem komediantom wypowiadać niezapisane w scenariuszu kwestie. Spektakl wywołał sensację. Okazało się, że wystarczy kazać aktorom mówić prawdę.

— Prawdę? Raczej to, co pan za prawdę uważał — wtrącił Gajewski.

— Słuszna uwaga. Ale nie powinien pan zapominać o jednym. Cały nasz świat, od pierwszego otwarcia oczu po ich ostatnie zamknięcie, opiera się na zasadzie władzy i poddaństwa. Stworzenia, dopóki żyją, są wobec siebie nierówne, połączone różnymi zwierzchnościami. W tym pokoju także jest tylko jedna władza. I nie jest to władza, którą pan reprezentuje. Dopiero śmierć przynosi równowagę i wszystkich zrównuje...

Ginter zerknął na zegar stojący w narożniku pokoju. Mosiężne wahadło huśtało się miarowo. Wskazówki zbliżały się do godziny drugiej po południu.

— Początkowo upajałem się władzą, jaka mi się trafiła. Jak ślepej kurze ziarno... Aranżowałem zdarzenia, łączyłem i rozdzielałem ludzi, grałem nimi jak pionkami na szachownicy życia. Bywały chwile, kiedy czułem się jak... Nie „jak”, po prostu czułem się bogiem. To prawda, ułomnym, śmiertelnym, ale dysponującym władzą nieosiągalną dla zwykłego człowieka. Tak minęło piętnaście lat od naszej nocy z Jadwigą. Pewnego dnia dostałem od niej list. Dotarła do mnie za pośrednictwem prywatnego detektywa. Jadwiga poinformowała mnie o tym, że mamy syna. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie przerażenie, jakie w niej zaczął wzbudzać, wchodząc w tak zwany trudny wiek. Żeby nie wdawać się w zbędne, a raczej upiorne szczegóły, Piotruś lubował się w zadawaniu bólu. Zaczął od przypalania owadów za pomocą szkła powiększającego swego ojca, a raczej ojczyma. Jadwiga patrzyła przez palce na te wyczyny Piotrusia. Tłumaczyła je, proszę uważać, zamiłowaniem chłopca do przyrody. Ale jak się pan

zapewne domyśla, raz zaczęta przygodę z sadyzmem trudno porzucić. Chłopiec wkrótce przeniósł swoje skłonności na większe żywe istoty: ptaki, myszy, szczury, chomiki, świnki morskie, koty, psy... Kiedyś Jadwiga nakryła go, jak w ogrodzie zakopuje żywcem szczenięta. Tłumaczył, że to był tylko eksperyment... Ale to jeszcze nic. Chłopak rozwijał się, jeśli można użyć tego słowa, w dość osobliwym kierunku. Zaczęły się dziwne obrzędy z krzyżowaniem zwierząt, wykradanie ludzkich szczątków z cmentarnych kaplic, zmawianie zaklęć, rzucanie uroków, krótko mówiąc — czarna magia... Jeden z nie lubianych przez Piotrusia kolegów, typowy klasowy tyran, zapadł z dnia na dzień na chorobę objawiającą się porażeniem ośrodka mowy. Lekarze nie potrafili tego wytłumaczyć. Lecz kiedy w biurku Piotrusia Jadwiga znalazła zdjęcia owego kolegi oraz pukiel jego włosów z wyraźnymi śladami przypalania, pojęła, że nasz chłopiec może dysponować zdolnościami, które czynią go niebezpiecznym, śmiertelnie niebezpiecznym.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni... — powiedział z przekąsem Gajewski, a profesor zmierzył go pełnym smutku spojrzeniem.

— Jadwiga miała prawo oczekiwać, że jej pomożę z tym problemem, choć byłem wściekły i zrozpaczony, że przez tyle lat ukrywała przede mną owoc naszego romansu — ciągnął Ginter, jakby nie słyszał Gajewskiego.

— Nie szukał jej pan przez te lata?

— Już panu mówiłem, byłem zajęty czym innym, a poza tym... nie chciałem się z nikim wiązać, wiedząc, jak moje zdolności duchowe mogłyby wpłynąć na ewentualne pożycie. Ale przeszłość w końcu mnie dopadła. List Jadwigi był długi, wielostronicowy. Pisała, że czara goryczy przelała się z chwilą zgonu mecenasa Jędrzeja Domańskiego. Zgon ten był nagły i niespodziewany, choć mecenas osiągnął już siłę wieku. Śmierć nastąpiła pod nieobecność Jadwigi, gdy w domu byli tylko mecenas i Piotruś. To on miał znaleźć ojczyzna przy biurku, z twarzą wykręconą w groteskowym grymasie bólu i przerażenia. Lekarze stwierdzili atak apopleksji. Jadwiga nie umiała tego wytłumaczyć, jednak pewne poszlaki sprawiły, że powzięła podejrzenie, iż nasz syn ma coś wspólnego ze śmiercią mecenasa Domańskiego. Jak bowiem wytłumaczyć fakt, że w szpargałach chłopaka zachowały się rzeczy osobiste jego ojca, nie tylko fotografie, nie tylko włosy zbierane ze szczotki, ale też ścinki paznokci, które

młodzieniec gromadził przez długi okres?

Piotruś, jakby na przekór, porzucił swoje „eksperymenty”, stał się czułym, uczynnym i spokojnym chłopcem. Ale Jadwiga była przerażona. Jej kobieca intuicja widziała w Piotrusiu nie dobre dziecko, ale potwora. W obawie, że w końcu popadnie w obłęd, desperacko zwróciła się o pomoc do mnie. Uznaliśmy oboje, że przez wzgląd na słabe nerwy Piotrusia, nie będę się ujawniał. Postanowiłem jednak odtąd trzymać nad nim dyskretną pieczę na odległość, korzystając z wcześniejszych doświadczeń.

— Zrobił pan z syna żywy obraz?

— Niezupełnie. Kierowałem jego życie na właściwe, jak mi się wydawało, tory. Za sprawą mojej parapsychicznej sugestii poszedł na medycynę i został wziętym chirurgiem. Niestety, wybuchła wojna i rzucony w wir zdarzeń związanych ze służbą na froncie, a potem z dostaniem się do alianckiej niewoli, straciłem kontrolę nad życiem syna, a także kontakt z jego matką. Jak się okazało, z opłakanymi skutkami. Gdy po wojnie przyjechałem do Poznania, dowiedziałem się, że Jadwiga nie żyje. Zabiła ją hiszpanka. Piotr prowadził już w tym czasie praktykę w Bydgoszczy. Nie tylko medyczną...

— Jak pan się dowiedział, że jest w Bydgoszczy?

Ginter wyczuł niedowierzanie w głosie Gajewskiego.

— Znalazł go ten sam detektyw, który znalazł mnie dla Jadwigi.

— Myślałem, że potarł pan szklaną kulę...

— Proszę sobie nie stroić żartów! — Profesor przerwał i przepłukał wodą zaschnięte gardło. — Postanowiłem osiąść w Bydgoszczy, która jeśli wierzyć przewodnikowi Józefa Świącickiego, była „jednym z najzdrowszych miast Niemiec” i „właściwym miejscem dla wszystkich, którzy po burzach życia nie chcą już poddawać się nerwowemu pędowi wielkich miast, lecz wolą przeżyć swoje dni w spokoju”. Wkrótce wiedziałem o moim synu wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że zbrodnicze skłonności w nim nie wygasły, a wręcz przeciwnie — przybrały na sile i perwersyjności. Obrósł lepkiem i odrażającym gąszczem ciemnych interesów, dobra stopa życiowa pozwalała mu na zaspokajanie chorych żądz i zachcianek, w swoim pięknym domu stworzył siedlisko najohydniejszej zbrodni, jaką można sobie wyobrazić. Mój syn był wcielonym złem. Mówię to z całym przekonaniem. Musiałem

to skończyć...

Ginter wstał, żeby rozprostować kości. Zaczął przechadzać się po pokoju, przystając co pewien czas przy oknie. Gajewskiemu także ścierpły nogi, ale gdy próbował się ruszyć, stwierdził że profesor nadal „trzyma” go z niezmienną mocą.

— Jeszcze nie czas, młody człowieku — powiedział Ginter odwrócony do okna. Po czym skierował twarz ku Leonowi i rzekł:

— Zbliżamy się do finału. Opowiem panu, co stało się na barce „Annelise”. Proszę zamknąć oczy.

Głos Gintera brzmiał spokojnie, ale władczo. Gajewski momentalnie wykonał polecenie. Poczuł, że zapada się w głęboką ciemność. Poczuł też wilgotne zimno, woń szlamu i usłyszał chłopot rzecznych fal, uderzających o burtę barki.

— Noc była cicha. Ustały już zabawy, pokazy sztucznych ogni, ludzie zmęczeni radością wywołaną powrotem Matki Polski posnęli jak dzieci. Na barce też wszyscy spali mocnym snem. Wchodząc na trap, usłyszałem chrapanie. A ściślej mówiąc, usłyszałem Piotrem. On był moim uchem, okiem i karzącą ręką. Jesteśmy tam razem, on i ja. Doskonale przygotowani, od stóp do głów ubrani w chirurgiczny kostium ochronny. Na oczach mamy czarną maskę. Rekwizyty pójdą później do pieca.

Pierwsza budzi się Frau Bloch. Stara Hildegard ma płytki sen. Widząc nas, zamierza podnieść larum, ale ucisza ją szybkie, precyzyjne cięcie skalpelem po gardle. Jednak nieunikniony w tej sytuacji hałas w postaci przedśmiertnego charkotu oraz zapach świeżej krwi zwabiają czarnego kundla. Psisko, warcząc, rzuca się na nas, ale trzymany w drugiej ręce długi nóż rzeźnicki przebija mu klatkę piersiową. Zwierzę zawisa przez chwilę jak na rożnie, aż w końcu wiotczeje. Wtedy opuszczamy go na podłogę, obok martwej Hildegard. Na scenę wkracza Karl, zarozumiały piękny młokos, który chciał nas wystrychnąć na dudka. Nie mogliśmy mu na to pozwolić. Nie mogliśmy też sobie pozwolić na pozostawienie przy życiu świadków. Karl jest zwinny i silny, ale jest też na wpół śpiący i zaskoczony. Idzie w ślady matki z fachowo rozplatanym gardłem. Ostrze skalpela zahacza o kości kręgów szyjnych. Stary Ernst popił sobie tej świętej nocy i niedawno zapadł w głęboki, choć niespokojny sen pijaka. Ponieważ piskliwie prosi o litość i usiłuje zasłonić się swoją piękną córką Eleonore, mówiąc, że mamy brać ją, nie jego, mamy dla niego wyjątkowy prezent. Tradycyjnie

skalpelem podrzynamy gardło, ale w ramach bonusu nożem otwieramy jamę brzuszną. Ciepła krew i wnętrzności wylewają się z drgającego ciała starego świntucha Ernsta. Piękna, śmiertelnie wystraszona Eleonore, półnaga, z odsłoniętą piersią, z różową stwardniałą brodawką na jej szczycie, piękna Eleonore kuca skulona w kącie kajuty. Piotr i ja, ja w Piotrze, zbliżamy się do niej bardzo powoli.

„Błagam, nie zabijaj mnie. Nikomu nie powiem” — powtarza cicho, zachłystując się łzami. To tak, jakby tuż przed szczytem stwierdzić, że jednak nie idziemy dalej i wracamy do ciepłych kapci. Dlatego stojąc nad błagającą nas piękną Eleonore, nie potrafimy powstrzymać się od parsknięcia śmiechem. Jesteśmy poza dobrem i złem, jeszcze jeden krok i postawimy nogi na dachu świata! Eleonore wyciąga ręce w geście błagalno-obronnym, ale ostrze z nierdzewnej, hartowanej stali Kruppa trafia prosto w serce dziewczyny, tuż nad odsłoniętą lewą piersią. Piękna Eleonore już nigdy się nie zestarzeje, już nigdy nie oszpeci jej czas. Nieruchomo wpatruje się w bezkresną dal. Martwe dłonie obejmują ostrze.

Humbaba jest pokonany, pozostaje nadanie zbrodni odpowiedniej formy. Piękno nie zna granic, przenika ze świata żywych do krainy umarłych i odwrotnie. „Potop” jest czystym pięknem. Jeszcze tylko podpis:

AUFER A NOBIS, QUAESUMUS, DOMINE, INIQUITATES NOSTRAS...

Pańskie śledztwo jest moim największym dziełem. Najdoskonalszym żywym obrazem z wykorzystaniem autentycznych ludzkich namiętności. Wystarczyło odpowiednio wpływać na zachowania uczestników dramatu. Bawiłem się ludźmi jak marionetkami. Pociągałem za niewidzialne sznurki, łączące mnie z ich umysłami, dyktowałem najpiękniejsze wiersze miłosne. Uczyłem ręce obchodzić się odpowiednio z ostrymi narzędziami. Karcilem nieposłusznych. Pan też do mnie przyszedł, bo tak mu kazałem. Musiałem trochę panu pomóc. Nawet specjalnie odprawiłem służącą...

Zgładź nieprawości nasze, prosimy Cię, Panie.

Zgładź nieprawości nasze...

Zgładź nieprawości nasze!!!

Gdy wywiadowca kryminalny Leon Gajewski ocknął się, wciąż siedział okrakiem na niedającym oznak życia Władysławie Ginterze, zaciskając na jego szyi sznur zerwany z kotary. Dotknął jego szyi — nie wyczuł pulsu. Ze wstrętem oddalił dłonie od jeszcze ciepłego ciała i poderwał się na równe nogi. Myślał gorączkowo.

Jeśli zostawi tak Gintera, pójdzie na wiele lat do ciężkiego więzienia. Koronowo, może posadzą go blisko domu. W najlepszym wypadku zamkną w domu wariatów. Świecie — ładne krzyżackie miasto, ale nie na tyle, żeby spędzić w nim resztę życia w pokoju bez klamek.

Trzeba działać szybko, służąca może w każdej chwili wrócić. Sądząc po czystości w mieszkaniu, kobieta spędza tu dużo czasu. Gajewski rozejrzał się po pokoju i utkwiał wzrok w masywnej klamce drzwi, z nasadą rzeźbioną na kształt lwiej głowy. Chwycił Gintera pod pachy i przeciągnął bezwładne ciało pod drzwi. Zawiązał pętlę ze sznura. Założył na szyję denata, ale uznał, że to zły pomysł; najpierw musiał przywiązać sznur do klamki, dopiero potem powiesić na nim trupa. Nie było to łatwe. Sznur był stosunkowo krótki. Trzeba było najpierw usadzić Gintera pod klamką, oprzeć o drzwi (mógł przecież w ostatniej chwili zechcieć spojrzeć w okno), a następnie założyć mu na szyję pętlę. I modlić się, żeby sznur nie pękł. W końcu się udało: profesor wisiał na klamce w pozycji siedzącej, z pośladkami nieznacznie uniesionymi nad posadzką. Ale ta pozycja nie wydawała się naturalna, dlatego Leon przekręcił ciało w stronę drzwi. Teraz wyglądało, jakby Ginter klęczał u klamki. Dłonie bezwładnie opierały się o podłogę. Leon nie mógł się powstrzymać, żeby nie zdjąć mu rękawiczki i obejrzeć rysującego się pod nią sygnetu. Złota obręcz nie chciała zejść z palca. Gajewski przyjrzał mu się więc z bliska, zbliżając twarz do dłoni trupa. Na owalnej płaszczyźnie sygnetu widniały inicjały: JD i WG.

Gajewski otarł pot z czoła. Pozostało oczyścić mieszkanie ze śladów bytności. Wyjął z kieszeni spodni chustkę do nosa, nieco brudną, ale na szczęście suchą i zaczął przecierać nią miejsca, które jak sądził, miały styczność z jego palcami. Szklanka, szachy, na wszelki wypadek blat ławy, nie zaszkodzi przetrzeć oparcie kanapy. Podeszedł do drzwi. Przetarł posadzkę wokół miejsca powieszenia profesora. Oczyścił klamkę i nacisnął ją przez chusteczkę. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju.

„Fotografia!” — pomyślał jak rażony gromem. Szybko podszedł do wiszącego na ścianie zdjęcia, żeby i je pozbawić swych odcisków palców. Nie wierzył własnym oczom. Na zdjęciu nie było Domańskiego! Była fontanna „Potop”, o jakieś dziesięć lat młodszy profesor Ginter na jej tle, a obok niego... jasna plama, jakby od skazy papieru fotograficznego. Gajewski odwrócił obrazek, odgiął blaszki i wyjął zdjęcie z oprawki. Na jego odwrocie było napisane: „Dziękuję za wszystko. Ale nie mogę zagwarantować, że Pańskie koszmary się skończą. W.G.”. Leon wziął fotografię, włożył do popielniczki na biurku i spalił. Papier zwinął się od gorąca, a ogień szybko pochłonął „Potop” i profesora Gintera. Oprawkę policjant schował do kieszeni płaszcza. Dla świętego spokoju przejrzał jeszcze biurko, ale nie znalazł już żadnych „niespodzianek”, co go tym bardziej zaniepokoiło.

Wychodząc z gabinetu Gintera, jeszcze raz dokładnie przetaił mosiężną klamkę z głową lwa. Po drugiej stronie drzwi zrobił to samo.

„Coś się zmieniło” — pomyślał Eckert, kiedy jak co dzień stał nad grobem żony na starym cmentarzu ewangelickim przy Wilhelmowskiej. Nigdy nie uważał się za człowieka religijnego, choć w domu we Lwowie odebrał dobre, katolickie wychowanie. W krew weszło mu cowieczorne odmawianie pacierza, ale od lat już nie był w kościele. Żona z kolei pochodziła z pogranicza Śląska i Małopolski, gdzie tradycje luterzańskie były silne. Wiara była dla niej czymś naturalnym, jak oddychanie. W każdą niedzielę wstawała wcześniej niż on, robiła sobie małe śniadanie i wychodziła do kościoła, starając się go nie zbudzić. Ale on zwykle już nie spał. Niekiedy był bliski tego, żeby pójść z nią, zobaczyć wreszcie z bliska jej Boga albo chociaż jego stadko, wypełniające posłusznie przykazania. Ostatecznie jednak zostawał w domu, zwyciężała w nim niewiara. Maria nie robiła mu nigdy wymówek, nigdy też nie namawiała, żeby przyjął jej wiarę. Poznali się stosunkowo późno, on był już głęboko w legionowej działalności, ona — odczytana trzydziestolatka z dobrego, ziemiańskiego rodu z kresów — wbrew woli rodziców została nauczycielką. Podziwiał ją, gdy dzień w dzień wstawała skoro świt, żeby jechać bryczką do wiejskiej szkoły pod Lwowem, gdzie czekała na nią gromadka wpatrzonych w nią smarkaczy. Podziwiał ją, ale zwykle zachowywał wobec niej chłodny dystans. Nie

umiał okazywać uczuć, nikt go tego nie nauczył.

Stojąc teraz nad grobem Marii, próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ją przytulił. Nic nie przychodziło mu do głowy. „Chciałbym teraz leżeć tam zamiast ciebie” — myślał. „Nie zasłużyłaś na mnie i na tak okrutną, niesprawiedliwą śmierć”.

Gdy nowe polskie władze skierowały Eckerta do Bydgoszczy, żeby zajął się tam organizowaniem polskich oddziałów paramilitarnych mających stać się forpocztą odrodzonej Rzeczypospolitej, Maria przyjechała za nim ze Lwowa. Przyjechała, chociaż czuła się już bardzo źle. Słabła z dnia na dzień, a na jej ciele zaczęły pojawiać się dziwne i niepokojące guzy. Trzy miesiące później, na początku stycznia 1919 roku, już nie żyła. Były to trzy miesiące wypełnione cierpieniem. Eckert na przemian przeklinał Boga i błagał go o cud. Ale cud nie chciał nastąpić. Maria próbowała jeszcze stawiać czoła śmierci, wstawiała i ledwie trzymając się na nogach, próbowała prowadzić dom. Ale była już tylko cieniem dawnej Marii. Odsunęła się od niego, poprosiła, żeby przygotował dla niej oddzielne łóżko, a on poczuł ulgę. Ulgę i przeraźliwy wstyd. Zagłuszał go alkoholem i innymi kobietami. To było coś, co na własny użytek nazywał piekłem. Piekło miało jednak dopiero nadejść.

Noc, w którą umarła Maria, była mroźna i rozgwieżdżona. Wiedział, że zbliża się koniec. Jego żona leżała na łóżku z zapadniętymi piersiami, z przymkniętymi oczami, a z jej otwartych ust dobywało się okropne rżenie. Oddychała z trudem, resztką zzartych przez nowotwór płuc. Każdy oddech sprawiał jej ból. Eckert starał się go uśmierzyć, podając żonie zwiększoną dawkę morfiny, ale gdy chciał zrobić zastrzyk, stanowczo odepchnęła jego dłoń. Jej smutne oczy wpatrywały się w niego tak, jakby patrzyła już z drugiego brzegu. W pewnym momencie jej pierś opadła i już się nie uniosła. Lecz oczy nadal były otwarte. Przytknął lusterko do ust. Maria nie oddychała.

Poczuł się okropnie, kiedy musiał zdejmować z niej zabrudzoną ostatnim opróżnieniem jelit bieliznę. Duży stół w salonie nakrył prześcieradłem, a potem położył na nim nagą Marię. Popłakał się, widząc, jak zniszczone chorobą było jej ciało. Umył ją gorącą wodą, umył każdy jej palec, każdy z zakamarków, które tak dobrze znał. Myśl, że wkrótce to ciało spocznie w ziemi, wśród korzeni i robaków, przyprawiała go o mdłości, ale jakiś diabeł schowany w nim głęboko bił z radości w werbel: jesteś już wolny, jesteś już wolny! Słyszał go potem jeszcze wiele razy

i wiele razy przeklinał sam siebie w najgorszych słowach.

Po ponad roku od tamtej chwili nadkomisarz Bolesław Eckert po raz pierwszy poczuł, że coś się zmieniło. Jakby z jego barków spadł jakiś ciężar, jakby jego pierś została uwolniona od ciasnej obręczy, która nie dawała swobodnie oddychać. Ale zmieniło się coś jeszcze, czego Eckert nie potrafił sobie uprzytomnić. Wiedział tylko, że ta zmiana jest w jakiś sposób związana ze śledztwem. Nagle przeblysł: „kat chodzi bez maski”, Gajewski i Ginter. Ginter!

Nie zwlekając, Eckert pospieszył ku Moltkestrasse, błagał w duchu, żeby udało mu się po drodze złapać tramwaj.

Ktoś musiał wysłuchać jego błagania, bo zaledwie po piętnastu minutach nadkomisarz stał nad trupem profesora Władysława Gintera, wiszącym na kłamce po wewnętrznej stronie drzwi gabinetu.

Mieszkanie nie nosiło śladów włamania, biurko profesora wyglądało tak, jakby dopiero co od niego wstał. „Żadnego listu” — myślał Eckert, rozglądając się po papierach na biurku i po książkach na regałach. Najwidoczniej profesor uznał, że zabierze ze sobą przyczynę ostatecznego kroku.

Połowę dużego okna gabinetu przysłaniała ciemna kotara. Drugą przytrzymał sznur, taki sam jak ten, na którym wisiał Ginter. Eckert pochylił się nad ciałem. Oczy były na wpół otwarte, z ust wystawał ciemnoróżowy koniuszek języka, wargi sine, a skóra na szyi, tam gdzie ścisnął ją sznur, nabrzmiała, jakby lada chwila miała eksplodować pod ciśnieniem zgromadzonych pod nią płynów.

Eckert odruchowo spojrział w tym samym kierunku, w którym zwrócone były martwe oczy profesora. Zauważył stojącą na jednej z półek niewielką figurkę. Była wykonana z alabastru i przedstawiała nagą kobietę z przepaską na szerokich biodrach, trzymającą w dłoniach obfite piersi. Na szyi miała bogaty naszyjnik, najpewniej z pereł. Jej twarz była uśmiechnięta w sposób, który przywodził na myśl doświadczone kobiety kryjące sprośność pod cienką maską konwenansu. Isztar — przypomniał sobie imię bogini Eckert. Natknął się na to imię, czytając w bibliotece *Requiem aeternam*, a potem sprawdził w encyklopedii, w której znajdował się wizerunek łudzaco podobny do figurki w pokoju Gintera.

Coś jakby niepokój pojawił się w sercu starego wojaka. Niepokój ten nazywał się

Gajewski. Sam go tu wysłał. „Czy był tu, zanim to się stało? Nic na to nie wskazywało, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale jeśli nawet był, to jeszcze nie musiał mieć nic wspólnego ze śmiercią profesora” — rozważał Eckert. Jedno mu tylko nie dawało spokoju. Dywan przy biurku Gintera był podwinięty, jakby coś o niego zawadziło. „Ciągnięte ciało” — pomyślał nadkomisarz i sam się w duchu za te natrętne myśli skarcił. „Równie dobrze mógł to być szurający pantoflami po podłodze profesor, stary durniu!”

Do mieszkania weszła służąca, która z miejsca podniosła krzyk, widząc wisielca i stojącego nad nim starszego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu. Eckert ruszył szybko w jej stronę, zasłaniając makabryczny widok.

— Kto pan jest? Co tu się stało?! — rozpaczła kobiecina, pulchna pięćdziesięciolatka z kokiem na głowie, przykrytym siateczką. Na jej wypukłym brzuchu lśnił świeżo uprany fartuszek.

— A jak pani myśli? Niech pani nie wchodzi! Jestem z policji.

Poprosił o klucze do mieszkania, wypchnął ją za drzwi i polecił, żeby wracała do domu i czekała na wezwanie na policję.

— Ale co tu się stało?! — nie dawała za wygraną.

— Nie pani sprawa. Dokumenty jakieś pani ma? — zapytał Eckert surowym, urzędowym tonem.

Służąca podała mu papier. Spisał dane i oddał go.

— A teraz do domu, bo każę panią zamknąć — mruknął nieprzyjaźnie.

Kobieta, płacząc, wyszła z mieszkania. Eckert podszedł do telefonu, który znajdował się w przedpokoju, i połączył się z komisariatem.

Stado wron kołowało nad Szpitalem dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Świeciu nad Wisłą. Masywną budowlę z czerwonej cegły, z półkoliście zwieńczonymi oknami i ażurowym wykuszem nad wejściem otaczał gęsty starodrzew. Pacjent Heinrich Gettka nie spał minionej nocy spokojnie. Na całym oddziale słychać było jego zwierzęcy krzyk. Także od rana był pobudzony i lekarz dyżurny zdecydował o podaniu mu dodatkowej dawki środka uspokajającego. Po zastrzyku Gettka leżał bez ruchu na swoim łóżku, bezmyślnie wpatrując się w okno, za którym przelatywały

czarne ptaki. O trzynastej podano mu kleistą zupę, mocno przestudzoną ze względu na wciąż świeżą ranę w miejscu języka. Po obiedzie zasnął, ale krótko przed piętnastą zerwał się na równe nogi. Dopadł do zakratowanego okna izolatki, spojrzął w szarobiałe niebo i zaczął się głośno śmiać. Jego śmiech wzbudził niepokój innych pacjentów, a gdy do pomieszczenia wszedł lekarz z pielęgniarzem, Gettka zaczął ich obtańcowywać, szczerząc do nich poźółkłe zęby.

— Co się stało, Heinrich? — pytał lekarz, a Heinrich przejechał ręką przy szyi i uniósł ją, jakby pokazywał wieszanie. I śmiał się jeszcze głośniejszym, i jeszcze radośniej obtańcowywał biały personel. Lekarz dał znak pielęgniarzowi, który gwizdnął na kolegę i razem szybko przytroczyli pacjenta do łóżka. Przypięty pasami Heinrich nadal śmiał się i rzucał konwulsyjnie, jakby taniec tańczył wewnątrz niego. Tak było, dopóki nie zaaplikowano mu kolejnej dawki laudanum, po której biedny Heini zapadł w sen bez snów.

— Żadnej poprawy. Trzeba będzie zaaplikować elektrowstrząsy — westchnął lekarz.

Zanim wyszedł, spojrzął jeszcze na bezwładnego pacjenta, a potem na ściany z wydrapanym paznokciami w setkach powieleń imieniem: ELEONORE.

Gajewski nie wiedział, jak dostał się na Dworzec Główny kolei żelaznej. Wiedział tylko, że musiał dotrzeć tu najkrótszą drogą, a więc zakosami śródmiejskich ulic: Blumenstrasse, Mittelstrasse, Elisabethstrasse, wreszcie Bahnhofstrasse, która poprowadziła go prosto do budynku dworca. Zegar na dworcowej wieży wskazywał kilka minut przed czwartą po południu. Z lewej strony za budynkami stacyjnymi czerwona kula słońca dogasała w gęstych śniegowych chmurach i kłębach czarnego dymu z loko motyw.

Pociągi pasażerskie do Warszawy nie kursowały, ale od czego są koneksje nowych mocodawców panny Klary? Załatwili jej miejsce w wagonie doczepionym do wojskowego eszelonu. Mieli gest. Lokomotywa posapywała, puszczając na boki kłęby białej pary. Klara Szelachowska vel Klara Schell zaaferowana tłumaczyła coś bagażowemu, który objuczony pakunkami różnych kształtów i wielkości ładował je do wagonu.

— Tylko ostrożnie! — zawołała za nim i w tym momencie za jej plecami znalazł się Leon.

Zasłonił jej oczy dłońmi.

— To ty — powiedziała, ale nie było w jej głosie ani radości, ani zaskoczenia.

Raczej znużenie. Odwróciła się w jego stronę.

— Nie myślałam, że przyjdiesz...

— Ładnie wyglądasz...

— Dziękuję. Ale to tylko pozory. W środku jestem cała rozdygotana z nerwów.

— Poradzisz sobie.

— Miły jesteś.

— Zepsułem to.

Powiedział te dwa słowa, jakby nagle uświadomił sobie prosty fakt. Klara pogłaskała go po twarzy, ale szybko cofnęła dłoń, zakłopotana własną czułością. Zauważyła, że Leon skrzywił się na ułamek sekundy.

— Zrób wreszcie porządek z tym zębem — powiedziała jak troskliwa mama. — Obiecuj mi, bo się na ciebie obrażę.

— Obiecuję.

— No, na mnie już czas... Muszę zobaczyć, czy ten gamoń bagażowy nie pogniół moich kostiumów.

Chwila kłopotliwego zawahania, a potem jej usta na jego nieogolonym policzku.

— Żegnaj, Leon! — zawołała, będąc już przy schodach do wagonu.

Podniósł dłoń, ale zaraz bezwładnie ją opuścił, odwrócił się i zaczął iść w kierunku końca peronu. Nagle poczuł szarpnięcie za rękę. Klara. Ukochana, dobra Klara. Ich usta zwały się w gorącym pocałunku. Z podniecenia pociemniało mu w oczach. A potem dziewczyna bez słowa weszła do wagonu.

Rozległ się donośny głos konduktora:

— Wsiadać! Drzwi zamykać!

Po chwili powietrze przeszył ostry dźwięk gwizdka. Wagonem szarpnęło, a lokomotywa zaczęła wydawać coraz szybsze sapnięcia. Pociąg ruszył. Gajewski, niewiele myśląc, skoczył, chwytając się dłońmi krawędzi uchylonego okna. Jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Klary, zdumionej i przerażonej zachowaniem Leona. Ale on

nie słyszał wołania starego zawiadowcy, nie czuł bólu mięśni i tego powodowanego przez krawędź okna, wbijającą się w dłonie. Pociąg powoli nabierał prędkości, a on mówił z pamięci wiersz z książki, którą kilka dni temu dostał od Klary:

*Więc plamiąc mojej psyche nadwiślański gotyk,
Jak jaskrawe barokko wykwitł w niej erotyk.*

Lecz zaraz wszystkie pazie z obrazów Van Dycka,
Kłaniając się uprzejmie, rzekły, że to bajka... ²

Nie dokończył, stwierdziwszy nagle, że i wiersz, i cała ta sytuacja nie mają sensu; puścił krawędź okna i skoczył na peron tuż przed jego końcem.

— Jak się już urządzę, prześlę ci adres. Będziesz mógł do mnie pisać! — wołała Klara z otwartego okna.

Stary zawiadowca dokuśtykał do odwróconego w jej stronę Leona.

— Życie panu niemiłe?! — ryknął.

— Nie! — odparł Gajewski, a zawiadowca, gdy przyjrzał mu się z bliska, zrozumiał, że czasem lepiej odpuścić.

— Ech, ludzie, ludzie... — wymamrotał tylko i odszedł do swoich spraw.

Gajewski wciąż patrzył za Klarą. Oddalała się, była coraz mniejsza, aż w końcu zupełnie stracił ją z oczu. Stracił ją.

Wyszedł przed dworzec i zapalił papierosa. Nie minęło kilka minut, jak ściał go ból. Przez ostatnie dni przyzwyczał się do ćmienia, teraz jednak z minuty na minutę cierpiał coraz bardziej. Ból promieniował od dziurawego zęba we wszystkich kierunkach, rozrastał się, wypełniał całą szczękę, wewnątrz czaszki, nie dawał skupić się na niczym i powodował, że każdy najmniejszy ruch wydawał się ponad siły.

Przypomniało mu się, że Wilczyński dał mu adres jakiegoś, podobno dobrego dentysty. Wygrzebał kartkę z portfela. Miał szczęście. Gabinet Georga Sikorskiego mieścił się rzut beretem od dworca, na rogu Dworcowej i Elżbiety.

Jak informowała tabliczka umieszczona przy wejściu do kamienicy, specjalnością zakładu dentystycznego Georga Sikorskiego były sztuczne zęby w złocie i kauczuku, złote mostki i korony „w najmodniejszym wykonaniu” oraz plomby „we wszelkich cenach”. Napis zapewniał też, że na pacjentów czeka „rzetelna obsługa”. Wchodząc na

piętro, na którym mieścił się gabinet, Gajewski zastanawiał się, czy złoty ząb Domańskiego pochodzi właśnie od Georga Sikorskiego. Kolejny atak jednak rozwiął wszelkie rozważania. Policjant marzył tylko o tym, żeby pozbyć się tego piekielnego bólu.

W dość ciemnej poczekalni urządzonej w przedpokoju mieszkania siedziało kilka osób, ale Gajewski nie zamierzał czekać. Zapukał do biało malowanych drzwi gabinetu i nie czekając na odpowiedź, otworzył je. Zastał doktora Georga Sikorskiego pochylonego nad pacjentem, któremu borował ząb. Używał w tym celu wiertła wprawianego w ruch za pomocą nożnego pedału połączonego z kołem zamachowym, które za pośrednictwem paska transmisyjnego przekazywało napęd na wiertło.

— Panie doktorze, strasznie boli. Pomoże pan? — zapytał najżałośniej, jak potrafił, Leon.

Ujrzawszy Gajewskiego, dentysta przerwał borowanie, a pacjent zastygł z szeroko otwartymi ustami, usiłując obejrzeć sobie intruza.

— Z bólem przyjmuję w piątki, dziś tylko pacjenci zarejestrowani — odparł dentysta łamaną polszczyzną, ale widząc zboląłą minę Leona i jego złożone błagalnie dłonie, dodał: — No dobrze, przyjmę pana poza kolejnością.

„Muszę naprawdę źle wyglądać, skoro tak szybko się złamał” — pomyślał Gajewski. Była tu łazienka udostępniona dla pacjentów, więc skwapliwie skorzystał z okazji, żeby obejrzeć się w lustrze. To, co zobaczył, nie było przyjemne. Jego nieogoloną twarz pokrywały blizny i zadrapania, nos wciąż jeszcze nie powrócił do swojej pierwotnej objętości, pod oczami wisiły sine wory, a wargi miał popękane od mrozu i kacowej suchości. Ochłapał kilkakrotnie twarz zimną wodą i nie wycierając jej, wrócił do poczekalni.

Minęło dwadzieścia długich jak wieczność minut, wypełnionych próbami przeglądania pism rozłożonych na stoliku i wyobrażeniami mąk, jakie miał mu zadać doktor Georg Sikorski. Wreszcie, przy akompaniamencie pretensji pozostałych pacjentów („tu każdy z bólem”, „co za porządki”, „nie po to czekam, żeby wpuszczać bez kolejki”) Gajewski wślizgnął się do gabinetu. Usiadł na fotelu twarzą w kierunku okna, a dentysta, który właśnie skończył myć ręce, włączył lampę na stojaku. Światłość zalała wywiadownicę.

— Proszę otworzyć usta. Szerzej. Co my tu mamy...

Głos Sikorskiego brzmiał spokojnie, bez mała flegmatycznie. Gajewski poczuł na zębach, dziąsłach i języku dotknięcia metalowego, ostro zakończonego narzędzia oraz lusterka, którym dentysta zaglądał do wnętrza jego jamy ustnej. Poczuł, jak to wnętrze wypełnia się śliną, której nie mógł przełknąć, i ogarnęło go coś w rodzaju paniki.

Naraz z gardła policjanta dobył się ni to jęk, ni to westchnienie — ostrze napotkało epicentrum bólu.

— Oho — mruknął dentysta. — Mamy go.

Oglądał ząb przez chwilę z zawodowym grymasem na twarzy. W końcu wy dobył z jamy ustnej Gajewskiego narzędzia i orzekł:

— Nie ma czego ratować. Za późno pan przyszedł. Trzeba rwać.

Gajewski zamknął najpierw oczy, potem usta. Oto spełniał się jego najczarniejszy sen. Od lat nie był u dentysty, bo cieszył się zdrowymi zębami, aż tu nagle taki klops. Nie będzie już mógł śmiać się od ucha do ucha, chyba że... sztuczny ząb to w końcu nic strasznego. Za to sporo kosztuje.

— Życzy pan ze znieczuleniem czy bez? — zapytał Sikorski.

Gajewski bólu bał się bardziej niż samej śmierci, a mimo to powiedział:

— Bez.

Dentysta uśmiechnął się kwaśno, widząc niepewną minę pacjenta.

— Pieniędzy dużo pan nie zaoszczędzi, za to zaoszczędzi pan sobie bólu.

— Już powiedziałem, niech pan wyrywa bez znieczulenia.

— Jak pan sobie życzy — odparł z rutynową uprzejmością, ale i z nutką perwersyjnej satysfakcji Sikorski i sięgnął po narzędzia: szczypce i dźwignię do podważenia korzenia zęba.

To było jak przekroczenie punktu bez powrotu. „Jeśli teraz stchórzę, stracę twarz przed tym Niemcem” — myślał Gajewski, ale było już za późno. Georg Sikorski łagodnym głosem nakazał mu szeroko otworzyć usta. Stał przy nim bokiem, lewą dłonią chwycił jego głowę na wysokości czoła i przyciągnął do swojej piersi, a trzymanymi w prawej ręce szczypcami chwycił chory ząb i silnie nim szarpnął.

Gajewski zawył z bólu i przerażenia, słysząc, jak coś chrupnęło w jego szczęce.

— Cholera! — wyrwało się Sikorskiemu po niemiecku. — Ułamał się... Niech pan

nie zamyka ust!

Lekko naruszony ząb już nie promieniował bólem, on nim eksplodował niczym bomba założona niewinnie wśród zdrowego uzębienia. Dentysta chwycił za dźwignię i zaczął ją wciskać między dziąsło a korzeń.

— Mocno się trzyma, verfluchte donnerwetter — przeklął po niemiecku lekarz, ale nie przerywał wysiłków.

A Gajewski nie przestawał wyć. Miał wrażenie, że traci zmysły. Nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że większość pacjentów, słysząc te piekielne odgłosy, chyłkiem opuściła poczekalnię.

Wreszcie znowu coś chrupnęło i tym razem na twarzy dentysty pojawiła się ulga. W szczypcach trzymał zakrwawiony korzeń z resztką strawionego przez próchnicę zęba.

— Chce pan na pamiątkę? — zapytał, zbliżając to trofeum do twarzy Gajewskiego.

— Niech idzie do diabła! — odparł policjant i wypluł do spluwaczki z pół szklanki śliny zmieszanej z krwią. Powędrował tam też wyrwany ząb. Ćmiło jeszcze, ale poruszył językiem i przekonał się, że w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowało się źródło bóleści, teraz jest duża szczyrba.

Na dworze zrobiło się szaro. Gajewski, z opuchniętą twarzą i opatrunkiem w ustach, szedł powoli w stronę Okola. Nie był już taki pewien, jak przed paroma godzinami, czy chce się wyprowadzić z domu rodziców. Czuł się zmęczony, ale dziwnie wolny. Zostawił za sobą światła dworca, posapywanie parowozów, metaliczne odgłosy dobiegające z zakładów naprawczych taboru. Przed nim majaczyły pojedyncze światła jego rodzinnej dzielnicy. Gdzieś niedaleko, po drugiej stronie rzeki, był jego dom. Jakiś pijaczek wytoczył się z zarośli i niezwykle elokwentnie poprosił:

— Czy ma pan szanowny papieroska?

Gajewski poczęstował go i dał ognia. Pijaczek uchylił czapki i poszedł w swoją stronę. Od Brdy powiało mrozem i gnilną wonią nadrzecznych zarośli. „Za ten zapach oddałbym wszystkie skarby świata” — pomyślał policjant i z rękami w kieszeniach podążył w kierunku starych, ceglanych wiaduktów kolejowych. Można było nimi szybko dostać się z dworca na Okole.

Przystanął na środku wiaduktu. Pod nim, kilkanaście metrów w dół, toczyła swoje ciemne, wartkie wody Brda. Widział przed sobą świecące latarnie na ceglany moście Wiktorii, rozjarzone światłem lamp i okien Śródmieście, w dali majaczyły wieże kościołów: farnego i pojezuickiego oraz kopuła synagogi, a rzeka płynęła w dole, obojętna i cierpliwa. Odwrócił się w drugą stronę — za nim rozciągały się tereny półdzikie, a w każdym razie pozostające poza granicami Bydgoszczy właściwej. Królestwo jego dzieciństwa.

Gajewski wyjął z kieszeni oprawkę po zdjęciu Gintera i cisnął za balustradę wiaduktu. Gdzieś w dole rozległ się plusk. W tym samym momencie Leon poczuł, że na powiekach, nosie, ustach i dłoniach zaczynają mu osiadać zimne śnieżynki. Spojrzał na światło najbliższej latarni — w jej kulistym blasku wirował gęsty śnieg. Świeży biały puch szybko pokrywał całe połączenie miasta, przedmieść, lasów i pól.

Gajewski wychylił się mocno poza balustradę. Pod sobą miał ciemną, wypełnioną cichym szumem rzeki otchłań. Wystarczy jeden niewielki ruch, jeden nieznaczny skurcz mięśni, kilka centymetrów w przód — i wszystko zniknie.

— Bzdura! — powiedział nagle, zaciskając dłonie na zimnej balustradzie wiaduktu. Cofnął się. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył w stronę domu.

Pociąg z Bydgoszczy do Warszawy minął już bydgoskie północne przedmieścia, zwane przez Polaków Bielawami, przez Prusaków ziemczone na Bleichfelde. Stalowe koła miarowo stuknęły na złączach szyn. Wkrótce skład skręcił obszernym łukiem na południe, z głośnym dudnieniem przejechał po moście żelaznym na Brdzie i skierował się w stronę Torunia. Sunął teraz przez zasłane pierzynką śniegu rzadko zabudowane i lesiste tereny.

Klara Szelachowska, a od dzisiaj Klara Schell, siedziała w przedziale pulmanowskiego wagonu pierwszej klasy. Na zewnątrz sypał śnieg, tworząc na oknie białą zmarzlinę. Ale wewnątrz było ciepło i przytulnie. Klara wyciągnęła się w wygodnym fotelu i otworzyła grubą zeszyt, w którym prowadziła notatki. Nie zaglądała do niego od wielu dni. Teraz nadeszła chwila, żeby uporządkować myśli i spokojnie przyjrzeć się ostatnim, tak szybko minionym dniom. W zamyśleniu, przygryzając lekko końcówkę ołówka, patrzyła na siedzącego naprzeciwko niej

starszego pana w typie urzędnika albo buchaltera, ale dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że gapi się na współpasażera. Spuściła wzrok i zaczęła pisać.

„Siedzę w pociągu, który zabiera mnie z Bydgoszczy, gdzie spędziłam prawie całe dotychczasowe życie. Przede mną Warszawa. Czuję lęk przed nieznanym i jednocześnie wielkie podniecenie. Mam przeczucie, że drugiej takiej szansy od losu nie dostanę. Klara Szelachowska, córka praczki ze Szwederowa, jedzie do Warszawy robić karierę w filmie. Reżyser Michał Adler, który był w Bydgoszczy na moim występie, powiedział, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. To znaczy zakochał się w mojej grze... Ale kiedy ze mną rozmawiał, widziałam w jego czarnych żydowskich oczach błyski, które mówiły co innego. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Chcą tylko jednego. Cała sztuka polega na tym, żeby umieć wybierać takich, którzy dadzą coś w zamian. Czy jestem cyniczna? Nie wiem. Życie nauczyło mnie, żeby nie przywiązywać się zbyt do ludzi, bo oni szybko odchodzą, a człowiek zostaje sam i musi żyć dalej.

W Bydgoszczy nie czułam się w pełni szczęśliwa. Niby miałam wszystko. Grałam wprawdzie najczęściej w tej polskiej tancbudzie przy Wilhelmowskiej, ale miałam piękne widoki na przyszłość. Nigdy nie zapomnę pierwszego wejścia na scenę Teatru Miejskiego, teatru z prawdziwego zdarzenia. Z powodu tremy nie wiedziałam, jak się nazywam. Wychodzę z kulis, nogi miękkie jak z waty, światła rampy biją po oczach, ale idę, jakbym brodziła w rzece blasku. I kiedy wzrok przyzwyczajają się do niego, zaczynam zdawać sobie w pełni sprawę z tego, gdzie jestem. Przede mną, na widowni i w lożach sześćset głów, sześćset twarzy. Wpatrzonych tylko we mnie. Zaczynam wypowiadać swoje kwestie, znam je doskonale, tak wiele godzin w domu i na próbach w teatrze im poświęciłam, więc mówię i w miarę mówienia czuję się coraz pewniej. Po chwili znika trema, a wpatrzone we mnie twarze mają przyjazny, pełen skupienia wyraz. Uwielbiam ten moment, kiedy niepewność przeistacza się w uniesienie, trema płynnie przechodzi w pewność słowa i gestu.

Grałam, śpiewałam, byłam lubiana, może nawet uwielbiana — także przez Niemców, mimo że po niemiecku mówię z silnym akcentem. Ale oni lubią słowiańskie Mädchen. Gdy idzie o TE sprawy, różnice językowe i rasowe idą na bok.

Boże, jak ja się potwornie w Brombergu nudziłam! Czułam, że się duszę, że

potrzebuję więcej przestrzeni życiowej, żeby w pełni rozpostrzeć skrzydła. Gdyby nie chwile zapomnienia dzięki »pannie M.« i gdyby nie ci śmieszni chłopcy, którzy się wiecznie koło mnie kręcili, nie wiem, jak bym to zniosła.

Ten biedny Heinrich... Chyba kochał się we mnie, zresztą kto go tam wie, był milkliwym gburem. Lubię takich prymitywów — przez chwilę. Dają odskocznię od tak zwanego normalnego życia.

Najdziwniejszy z wszystkich był chyba ten Leon, chłopak z Okola, który udawał przede mną urzędnika magistratu, a okazał się... policjantem. Boże, ale się dałam nabrać. Nie żebym miała coś przeciwko policjantom, ale nie lubię być oszukiwana. Musiałam go ukarać. Na pewno pomyślał, że mój wyjazd ma związek z nim, ale trochę cierpienia powinno go uszlachetnić.

Przysiadł się do mnie na balu sylwestrowym, miałam już trochę w czubie, on też trzeźwy nie był. Przebalowaliśmy całą noc. Było miło, choć widziałam, że bardzo się stara, żeby być *au courant*. Trochę za bardzo jak na mój gust. A jednak było w nim coś takiego, co mnie do niego przyciągało jak ćmę do światła. Jego głos, jego mocno zarysowana szczęka, grdyka, która tak śmiesznie się poruszała, kiedy przełykał. Jego dłonie, takie ciężkie i szorstkie, zupełnie nieurzędnicze, ale jednocześnie delikatne. I jego... męskość.

Było mi z nim naprawdę dobrze. Może gdybym nie była taka »głupia«, zostałabym z nim, ale co ja bym robiła w tej Bydgoszczy? Może pojechałby za mną? Raczej na pewno by to zrobił. Tylko czy ja go kocham? Czy ja w ogóle kiedykolwiek kogokolwiek kochałam? Nauczyłam się świetnie odgrywać miłość na scenie, ale nie potrafię sobie z nią radzić w życiu. Nie muszę umieć wszystkiego. To, czego nie umiem, po prostu dogram.

Zawsze chciałam być aktorką, jako mała dziewczynka postanowiłam sobie, że albo wszyscy będą mnie podziwiać, albo się zabiję. Nie chciałam skończyć jak moja mama, przy zapijaczonym mężu, ze zniszczonym od ciężkiej pracy kręgosłupem, z powykręcanyymi reumatyzmem dłońmi. Nie będę ofiarą losu tylko dlatego, że urodziłam się na Szwederowie! Takim jak ja nie wolno patrzeć za siebie, rozczulać się nad najpiękniejszymi nawet chwilami, bo to jest zaklęcie, czar, który nie pozwala im iść do przodu. A ja chcę do przodu!!! Życie jest krótkie i trzeba umieć z niego czerpać

pełnymi garściami. Brać je takim, jakie jest. Czy to się komuś podoba, czy nie, nie zamierzam tłumaczyć się przed nikim ze swoich wyborów.

Czeka na mnie wielka Warszawa, będę grała w filmach. Moje nazwisko będzie drukowane wielkimi literami obok takich gwiazd, jak Pola Negri.

Ten Adler ma po mnie wysłać samochód z szoferem, mam też zarezerwowane miejsce w hotelu Polonia Palace przy Alejach Jerozolimskich. Warszawa. Jak to słowo teraz pięknie brzmi. Cała drzę. Jeszcze dwie godziny i będę w innym świecie. Bal! Niech żyje bal!

Napiszę do niego, jak już będę wiedziała, na czym stoję w Warszawie. Albo i nie napiszę. Kto to wie, co będzie jutro, skoro chwila terażniejsza wydaje się zagadką?”

Przerwała notowanie, bo nagle poczuła w sercu lęk i żal. I ogromną pustkę. Coś traciła, może coś najważniejszego w życiu. Dotknęła czołem zimnej szyby. Za nią rozciągała się nieprzenikniona ciemność.

— Gościa masz, Leon. U ciebie — powiedziała matka, kiedy ściągał w przedpokoju płaszcz, na którym śnieg szybko zmieniał się w wodę. Kobieta rozwiesiła ubranie blisko pieca, żeby przeschło, i wróciła do szycia. Stary Gajewski siedział w kuchni i czytał gazety z całego tygodnia, jak to miał w zwyczaju. Trzymał przy tym nad tekstem szkło powiększające. Leon podszedł do niego, ale ojciec nawet nie drgnął.

— Jak się dowiadujemy z miarodajnego źródła, czas pozostanie na razie ten sam, co dotychczas. Nie potrzeba więc tymczasem zegarów przesuwac o godzinę — przeczytał na głos przez ramię ojca.

— Ty i tak zawsze będziesz się spóźniał — powiedział ojciec, nie podnosząc głowy znad gazet.

Leon spojrział na niego, mieląc w ustach odpowiedź, ale natrafił na duże ogłoszenie kina Kristall-Palast przy Gdańskiej.

— *Z największej biedy.* Wielki nihilistyczno-kryminalny dramat w pięciu aktach. Muszę się wybrać, jeszcze nigdy nie widziałem dramatu nihilistyczno-kryminalnego.

— A co, mało ci? — spytał ojciec.

— Zgoda, wybierzemy się na coś innego. Ja stawiam bilety — odparł wesoło Leon.

— Idź, pan na ciebie czeka. — Ojciec wreszcie spojrział na syna. Gdzieś w kącikach

oczu błąkało się coś w rodzaju uśmiechu. Leon położył dłoń na ramieniu starego. Józef Gajewski wrócił do lektury „Dziennika”.

— To pan — powiedział Gajewski, widząc odwróconego tyłem do niego Eckerta, stojącego przy oknie w jego pokoju.

Miał na sobie płaszcz. Wyglądał trochę jak zjawa. Nadkomisarz odwrócił się, trzymając kapelusz w lekko uniesionej na znak powitania ręce, a Leon wszedł i zamknął za sobą drzwi. Jak niemal co wieczór dobiegało zza nich terkotanie maszyny do szycia.

— Nie zdejmie pan płaszcz? — spytał Gajewski.

— Nie, ja tylko na chwilę — odparł Eckert i podszedł do Leona.

— Dlaczego pan tak patrzy? — Głos Gajewskiego zdradzał zaniepokojenie.

— Usiądźmy — zaproponował Eckert i zajął miejsce przy stole, na którym leżała koronkowa serweta, a na niej stał wazon ze sztucznymi kwiatami z kolorowej bibuły. Leon usiadł naprzeciw.

— Ginter nie żyje — powiedział dość obojętnym tonem Eckert, ale patrzył badawczo na Gajewskiego.

— Co się stało? — Leon starał się, by jego zdumienie zabrzmiało naturalnie.

— Wszystko wskazuje na to, że samobójstwo — odparł Eckert, dostrzegając niewielki odcień ulgi w twarzy rozmówcy.

— Jak?

— Powiesił się na sznurze od kotary. A sznur przywiązał do klamki drzwi gabinetu.

— A jeszcze dziś mnie pan do niego wysyłał...

— Właśnie dlatego tu jestem. Dotarłeś tam?

„Niech tak nie świdruje tym swoim wzrokiem” — myślał w duchu Gajewski.

— Nie — odparł spokojnie. — Nawet chciałem, ale ostatecznie pomyślałem, że skoro jestem zawieszony, to czasu mam sporo... Planowałem iść do niego w tygodniu.

— Rozumiem — odparł Eckert, co w uszach Gajewskiego zabrzmiało jak: „dobra, dobra, nie sil się na kłamstwa, ja wiem, jak było”.

— Ale dlaczego on to zrobił? — zapytał Leon, tym razem całkiem szczerze.

— Też chciałbym to wiedzieć. Żadnego listu pożegnalnego, sytuacja finansowa stabilna, zdrowie mu dopisywało. Teoretycznie nie miał powodów...

— Ludzie mają swoje tajemnice.

— Właśnie — podchwycił Eckert.

Zapadła cisza. „Zaraz powie, że wie, iż to ja zabiłem, ale przecież nie zabiłem, to było samobójstwo moimi rękami” — myślał gorączkowo Leon. Nadkomisarz jednak patrzył zamyślony gdzieś w bok, potem przeniósł wzrok na Gajewskiego i rzekł:

— Ta sprawa wyssała ze mnie resztkę sił. Odchodzę ze służby.

— Jak to pan odchodzi? Przecież dopiero zaczynamy organizować policję w Bydgoszczy — odparł zaskoczony Gajewski.

— Poradzicie sobie.

— A co z panem?

— Jadę na kurację do Truskawca, w rodzinne strony. Ale wrócę, do żony. Chciałbym, żebyś zajął moje miejsce, Leon.

Gajewski patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

— I dlatego jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to powiedz to teraz. W czterech ścianach tego pokoju — powiedział z naciskiem Eckert.

Gajewski poczuł się jak przyparty do muru, obezwładniony serią ciosów.

— Co chce pan usłyszeć? — zapytał dla zyskania na czasie, bo doskonale wiedział, czego oczekiwał Eckert.

— Prawdę.

— Nawet jeśli powiem prawdę, pan i tak mi nie uwierzy.

— Wiem, że tam byłeś.

Znowu świdrujące spojrzenie Eckerta. Opuszczony wzrok Gajewskiego. Nie mógł już tego znieść. Był zmęczony. Rzekł cicho:

— Byłem.

Nagle obaj drgnęli, bo rozległo się pukanie do drzwi i stanęła w nich matka.

— Może byś zaproponował panu coś co picia? — powiedziała do Leona tonem upomnienia. — A może pan coś zje? Odgrzeję z obiadu — zaproponowała komisarzowi.

— Naprawdę dziękuję, zaraz uciekam — odparł Eckert, a pani Gajewska z nieznacznym uśmiechem wycofała się za drzwi.

— I co dalej? — zapytał trochę zniecierpliwiony nadkomisarz.

Leon westchnął ciężko i zaczął opowiadać staremu, co go spotkało w gabinecie Gintera. To jak ocknął się z dłońmi zaciśniętymi na jego szyi także. I to, że nie miał pojęcia, co działo się z nim przez sekundy poprzedzające ten moment. Gdy skończył, Eckert powiedział tylko:

— Rozumiem.

— Pani mi nie wierzy.

Nadkomisarz patrzył na zakurzony bukiet z bibuły i drutu.

— Ohydne te kwiaty — powiedział.

— Nie miałem czasu, żeby wymienić — odparł Gajewski.

Eckert wstał i założył kapelusz. Leon wstał także. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— To nieważne, czy ci wierzę, czy nie. Ważne, że wszystko wskazuje na samobójstwo. I niech tak zostanie.

Stary wyszedł, z przedpokoju rzucił „dobranoc” rodzicom Gajewskiego i opuścił mieszkanie. Po chwili Leon usłyszał dobiegające z ulicy kroki i stukot laski Eckerta. Leżał na łóżku i patrzył w ciemny sufit.

1. Fragmenty w tłumaczeniu Roberta Stillera. [\[wróć\]](#)

2. Fragment wiersza Erotyk Jarosława Iwaszkiewicza. [\[wróć\]](#)

EPILOG

WTOREK, 27 STYCZNIA 1920 ROKU

Zaraz po śniadaniu Gajewski wyciągnął z pawlacza starą piłkę, wypastował ją, a potem obszedł kumpli z „Towarzystwa Terminatorów”. Zajęło mu to dwie godziny.

Patrzyli na niego jak na wariata. Grać w piłkę? W taki mróz? W takim śniegu? Ale on był uparty i w końcu udało mu się przekonać kilku chłopaków, żeby rozegrali mecz w ogrodzie Patzera między Berliner- a Hippelstrasse, niedaleko kościoła Świętej Trójcy. Może przekonała ich desperacja w oczach Gajewskiego, która śmieszyła i budziła lęk jednocześnie. O dziwo, nawet wikary Jacek Zabłocki zgodził się stać na bramce.

W każdej z drużyn było zaledwie po trzech zawodników, więc umówili się, że bramka będzie jedna („przy dwóch zajeżdżymy się na amen”). Grali w głębokim, kopnym śniegu, a ciemna od pasty piłka szybko wytracała w nim impet i zatrzymywała się, ale im to nie przeszkadzało. Ich gromkie okrzyki po każdym strzelonym голу i złorzeczenia po każdym zepsutym zagraniu niosły się wysoko nad drzewami ogrodu Patzera.

Gajewski stwierdził, że techniki gry jednak się nie zapomina, tak jak nie można zapomnieć umiejętności jazdy na rowerze. Technikę miał tę samą, co w czasach swojej ministrantury, kiedy w piłkę grywał regularnie, bywały okresy, że dzień w dzień. Ale nie miał już dawnej szybkości, jego mięśnie nie były tak sprężyste jak kiedyś. Męczył się szybko, pot oblewał go od głowy po tyłek, ale nie poddawał się. „Dziki nigdy się nie poddaje, a jeśli się poddaje, to tylko sprawom, na które nie ma wpływu” — mówił sobie w duchu. Prowadził piłkę krótko przy nodze (mówiono, że ma „klej w butach”), przekładał ją z prawej do lewej, kiwał przeciwników z wrodzoną łatwością, potem ustawiał sobie piłkę w odpowiedniej pozycji i prawą albo lewą nogą (choć lepiej wychodziło to prawą) posyłał ją w stronę bramki, utworzonej przez dwa drzewa. Ksiądz Zabłocki swoją masywną sylwetką zajmował sporą przestrzeń między „słupkami”, ale przy kąśliwych strzałach Gajewskiego nie miał większych szans. Raz

za razem chodził w krzaki za bramką, żeby wydostać z nich piłkę. Wykopywał ją potem wysoko, najwyżej jak tylko potrafił, a że kopnięcie miał mocne, szmacianka szybowiała w górę, robiąc się małą kropką na niebie, a po paru sekundach upadała między walczących o nią zażarcie chłopaków.

Po godzinie byli już tak zziajani, że padli w śnieg.

Leżeli tak, z rozrzuconymi szeroko ramionami, ciężko dysząc, patrząc w jasne, zimowe niebo. Gajewski wziął garść białego puchu, przetał nim twarz, głośno prychnął. Ale to, co próbował zapomnieć, wcale nie chciało zniknąć. Zamknął oczy, by po chwili je otworzyć, bo poczuł na sobie cień. Stał nad nim wikary Zabłocki.

— Co jest, Dziki? — zapytał, widząc zamyśloną, jakby nieobecną twarz Gajewskiego.

— A nic, psze księdza. Tak se leżę. Byle do wiosny.

— Do wiosny jeszcze ho, ho, a może jeszcze dalej. No, ruszaj się, bo wilka złapiesz.

Ksiądz podał mu rękę i pomógł wstać.

NAZWY TOPOGRAFICZNE

(Nazwa niemiecka — ewentualne spolszczenie używane do 1920 roku — nazwa współczesna)

FRIEDENSTRASSE — Jasna

BERLINERSTRASSE — Berlińska — Świętej Trójcy

NAKELERSTRASSE — Nakielska

HIPPELSTRASSE — Kordeckiego

WILHELMSTRASSE — Wilhelmowska — Jagiellońska

DANZIGERSTRASSE — Gdańska

SPEICHERSTRASSE — Szpichlerna — Spichlerna

FRIEDRICHSPLATZ — plac Fryderykowski — Stary Rynek

KIRCHENSTRASSE — Kościelna — Magdzińskiego

BRÜCKENSTRASSE — Mostowa

BAHNHOFSTRASSE — Dworcowa

SCHWEDENSTRASSE — Podgórna

WILHELMSBRÜCKE (Z HAFENBRÜCKE) — most Wilhelma (z mostem Portowym)
— mosty Solidarności

PETERSONSTRASSE — Petersona — Obrońców Bydgoszczy

MAUERSTRASSE — Pod Blankami

KAISERBÜCKE — most Cesarski — most Bernardyński

KUJAWIERSTRASSE — Kujawska

LESSINGSTRASSE — Niemcewicza

GOETHESTRASSE — Goethego — 20 Stycznia 1920 roku

KRUMME GASSE — Kręta

LÖWESTRASSE — Poczтовая

HERMANN-FRANKE-STRASSE — Hermanna Frankego — Stary Port

SCHARRENSTRASSE — Jatki

BLUMENSTRASSE — Kwiatowa

BRAHEMÜNDE — Brdyujście
SCHLEINITZSTRASSE — Schleinitza — Chrobrego
KARLSTRASSE — Karola — Warszawska
ELISABETHMARKT — rynek Elżbiety — plac Piastowski
VORWERKSTRASSE — Fredry
FRIEDRICHSTRASSE — Fryderykowska — Długa
HOFSTRASSE — Jana Kazimierza
ZIEGELEISTRASSE — Jary
POSTSTRASSE — Batorego
MACKENSENPLATZ — Sielanka
FRÖHNERSTRASSE — Krasińskiego
CONRADSTRASSE — Ossolińskich
ALEXANDERSTRASSE — Świętego Floriana
MOLTKESTRASSE — Cieszkowskiego
WALLSTRASSE — Podwale
MOTTGASSE — Zaulek
GRÜNSTRASSE — Parkowa
VIKTORIASTRASSE — Królowej Jadwigi
PRINZENSTRASSE — Łokietka
MITTELSTRASSE — Sienkiewicza
HOFSTRASSE — Dziedzińcowa — Jana Kazimierza
PRINZENTHAL — Wilczak
MÜHLTAL — Smukała
SCHLEUSENAU — Okole